BIBLIOTEKA PWSP KRAKÓW
35.451
M 134

WYPISY POLSKIE

DLA KLAS III

WYDANIE

CZ. 2

KSIĘGARNIA
G. CZERNICHERA I SPÓŁKI
W KRAKOWIE.

Romiacki Władysław

WYPISY POLSKIE

DLA KLASY TRZECIEJ

SZKÓŁ GIMNAZYALNYCH I REALNYCH

UŁOŻYLI

JAN CZUBEK I ROMAN ZAWILIŃSKI

WYDANIE DRUGIE.

W KRAKOWIE
KSIĘGARNIA S. A. KRZYŻANOWSKIEGO
1904.

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Pedagog
W KRAKOWIE
35.451

W Krakowie, 1904. — Odbito w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego, pod zarządem Józefa Filipowskiego.

Polon

SPIS RZECZY.

Str

1. Hymn do Boga, przez F. P. 1
2. Chłopiec okrętowy (z »Przyjaciela Dzieci«) 1
3. Łza monarchy, przez Franciszka Waligórskiego 3
4. Cesarz na Błoniach (z »Książki pamiątkowej« A. Nowoleckiego) 4
5. Mazur, przez Wincentego Pola 6
6. Wizyta u Mickiewicza, przez Teofila Lenartowicza. . . . 7
7. Ognia! — przez Konstantego Gaszyńskiego 7
8. Czesi, przez Edwarda Jelinka 8
9. Pożegnanie jaskółek, przez Maryana Gawalewicza 17
10. Czarny chleb (z dziennika »Czas«) 18
11. Święty Wojciech, przez Karola Szajnochę 21
12. Salve Regina, przez Teofila Lenartowicza 26
13. Staszic (z »Przyjaciela Dzieci«) 27
14. Nabożeństwo za fundatorów, przez Stanisława hr. Tarnowskiego 31
15. Gęsi, przez Ignacego Krasickiego 33
16. Zdobycie Jerozolimy przez Krzyżowców, z niem. tłóm. L. Rogalski 33
17. Zemsta Staszica (z »Przyjaciela Dzieci«) 37
18. Dyabeł i zboże, przez Adama Mickiewicza 38
19. Tatarzy na Rusi, przez Anatola Lewickiego 39
20. Sól. I., przez B. Dyakowskiego 42
21. Z życia Adama Mickiewicza. I., przez St. Gębarskiego . . 46
22. Strachy, przez A. E. Odyńca 50
23. Król i kwestarz, prze Ignacego Chodźkę 53
24. Sól. II., przez B. Dyakowskiego 56
25. Pierścień św. Kingi, przez Karola Szajnochę 58
26. Dzwon wawelski, przez Edmunda Wasilewskiego 62
27. Kraków starożytny, przez Michała Bobrzyńskiego. . . . 63
28. Odwiedziny u Lelewela, (z »Przyjaciela Dzieci«) 68
29. Koronacya wnuki Kazimierza W., przez M. Synoradzkiego 69
30. Zaścianek, przez Adama Mickiewicza 74
31. Łostaje, przez Ignacego Chodźkę 75
32. Odzyskanie Rusi przez Jadwigę, przez Anatola Lewickiego 80
33. Katarynka, przez Bolesława Prusa 84
34. Wilk i owce, przez Ignacego Krasickiego 89
35. Krzyżacy. I., przez Karola Szajnochę. 89
36. Z życia Adama Mickiewicza. II. przez A. E. Odyńca . . 95

Str.

37. Domejko i Dowejko, przez Adama Mickiewicza 97
38. Krzyżacy II., przez Karola Szajnochę 99
39. Nagroda cnoty (z »Wieczorów Rodzinnych«) 104
40. Puszcze litewskie, przez Adama Mickiewicza 107
41. Chrzest Litwy, przez Karola Szajnochę 109
42. Elegia na śmierć przyjaciela, przez Lucyana Siemieńskiego 113
43. Ślub rycerski, według Henryka Sienkiewicza 116
44. Z opłatkiem, przez Maryana Gawalewicza 119
45. Dwa przykłady poświęcenia (z »Przyjaciela Dzieci«) . . 120
46. Pojedynek rycerski, przez Henryka Sienkiewicza . . . 121
47. Chłop i Jowisz, przez Ignacego Krasickiego 129
48. Bitwa pod Grunwaldem, z Jana Długosza »Historyi polskiej« 129
49. Dla idei (z dzieła »Sztuka życia«) 134
50. Fragment, przez Maryę Konopnicką 136
51. Wycieczka do Wietrzna, przez Bronisława Znatowicza . 137
52. Uniwersytet krakowski, przez Romana Plenkiewicza . . 142
53. Dwaj weterani, przez Franciszka Morawskiego 146
54. Mysza narada, przez Antoniego Goreckiego 147
55. Wynalazek druku (z »Wieczorów Rodzinnych«) 148
56. Elżbieta Rakuszanka, przez Karola Szajnochę 153
57. Wspomnienie z Maripozy, przez Henryka Sienkiewicza . 161
58. Na obczyźnie, przez Maryę Konopnicką 166
59. Lwów przy końcu XV. w., przez Zygmunta Kaczkowskiego 167
60. Na wakacych, przez Bolesława Prusa 172
61. Żaki szkolne (z »Przyjaciela Dzieci«) 174
62. Pani Twardowska, przez Adama Mickiewicza 178
63. Otrzęsiny, przez J. I. Kraszewskiego 180
64. Mały zbawca, przez Zofię Kowerską 187
65. Z życia Adama Mickiewicza. III., przez St. Gębarskiego . 192
66. Pieśń filarecka, przez Adama Mickiewicza 194
67. Quo vadis? — przez Henryka Sienkiewicza 194
68. Torf i torfowiska, przez Józefa Siemiradzkiego 197
69. Podlasie 200
70. Grzybobranie, przez Adama Mickiewicza 203
71. Ogień ze słońca, przez Stanisława Kramsztyka 204
72. Śmierć Apostołów, przez Henryka Sienkiewicza 208
73. Zaranie, przez Adama Mickiewicza 213
74. Ząb czasu, przez Wł. Skłodowskiego 214
75. Wielkanocne zabawy ludowe w Galicyi wsch., przez Jana Karłowicza 219
76. Chrześcijańska pokora, przez Ignacego Chodźkę 223
77. Astronomia Wojskiego, przez Adama Mickiewicza 225
78. Jak się tworzy rola? przez Wł. Skłodowskiego 226
79. Anna Rakuszanka (z »Kłosów ojczystych«) 209
80. Poranek mglisty, przez Adama Mickiewicza 233
81. Bielany pod Krakowem, przez M. Synoradzkiego . . . 234

Str.
82. Matejko, przez tegoż 236
83. Krakowiak, przez Edmunda Wasilewskiego 241
84. Zielone Świątki na Bielanach, przez Wł. L. Anczyca . . 242
85. Paroch, przez J. I. Kraszewskiego 245
86. Ptaszek, przez Adama Asnyka 251
87. Domek mojego dziadka, przez Ignacego Chodźkę . . . 252
88. Stal, przez Wilhelma Bruchnalskiego 257
89. Łowy, przez Adama Mickiewicza 262
90. Chorwaci, według Sewera 264
91. Dżuma w Łucku, przez K. Bodzantowicza 267
92. Alpuhara, przez Adama Mickiewicza 269
93. O miłości ojczyzny (z dziełka, pod tymże tytułem bezimiennie w Poznaniu 1899 r. wydanego) 271
94. Koncert myśliwski, przez Adama Mickiewicza 277
95. Mały pisarz, przez Edmunda de Amicis 278
96. Bitwa pod Lissą (według Brommy'ego i Littrowa »Die Marine«) 284
97. Mury Habsburga, podług Karola Simrocka 288
98. Sabałowa bajka, przez Henryka Sienkiewicza 289
99. Tatry, przez Wł. L. Anczyca 290
100. Zakończenie roku szkolnego w Krzemieńcu przez Ant. Andrzejowskiego 292
101. Chrystus z nami, przez Antoniego Czajkowskiego 295

Spis rzeczy podług gatunków prozy i poezyi.

A) Proza.

I. Powiastki, opowiadania, legendy.

1. Chłopiec okrętowy (2)
2. Wizyta u Mickiewicza (6)
3. Ognia! (7)
4. Czarny chleb (10)
5. Staszic (13)
6. Zemsta Staszica (17)
7. Z życia A. Mickiewicza. I. (21)
8. Król i kwestarz (23)
9. Odwiedziny u Lelewela (28)
10. Łostaje (31)
11. Katarynka (33)
12. Z życia A. Mickiewicza. II. (36)
13. Nagroda cnoty (39).
14. Elegia na śmierć przyjaciela (42)
15. Ślub rycerski (43).
16. Dwa przykłady poświęcenia (45)
17. Dla idei (49)
18. Dwaj weterani (53)
19. Wspomnienie z Maripozy (57)
20. Na wakacyach (60)
21. Mały zbawca (64)
22. Z życia A. Mickiewicza. III. (65)
23. Quo vadis (67)
24. Śmierć Apostołów (72)
25. Chrześcijańska pokora (76)
26. Anna Rakuszanka (79)
27. Matejko (82)
28. Paroch (85)
39. Dżuma w Łucku (91)
30. Mały pisarz (95)
31. Sabałowa bajka (98)

II. Obrazki i szkice.

a) historyczne.

1. Św. Wojciech (11)
2. Zdobycie Jerozolimy (16)
3. Tatarzy na Rusi (19)

4. Pierścień św. Kingi (25)
5. Kraków starożytny (27)
6. Koronacya wnuki Kazimierza Wielkiego (29)
7. Odzyskanie Rusi przez Jadwigę (32)
8. Krzyżacy. I. (35)
9. » II. (38)
10. Chrzest Litwy (41)
11. Pojedynek rycerski (46)
12. Bitwa pod Grunwaldem (48)
13. Uniwersytet krakowski (52)
14. Wynalazek druku (55)
15. Elżbieta Rakuszanka (56)
16. Lwów przy końcu XV. w. (59)
17. Żaki szkolne (61)
18. Otrzęsiny (63)
19. Bielany (81)
20. Bitwa pod Lissą (96)
21. Cesarz na Błoniach (4)

b) geograficzne.

22. Czesi (8)
23. Podlasie (69)
24. Chorwaci (90)

III. Opisy i obrazki.

a) z przyrody i przemysłu.

1. Sól. I. (20)
2. » II. (24)
3. Wycieczka do Wietrzna (51)
4. Torf (68)
5. Ogień ze słońca (71)
6. Ząb czasu (74)
7. Jak się tworzy rola? (78)
8. Stal (88)

b) z życia i obyczajów.

9. Nabożeństwo za fundatorów (14)
10. Wielkanocne zabawy lud. (75)
11. Zielone Świątki na Bielanach (84)
12. Domek mojego dziadka (87)
13. Zakończenie roku szk. w Krzemieńcu (100)

Rozprawka.

O miłości ojczyzny (93)

B) Poezya.

I. Opisowa.

a) Bajki.

1. Gęsi (15)
2. Dyabeł i zboże (18)
3. Wilk i owce (34)
4. Chłop i Jowisz (47)
5. Mysza narada (54)

b) Powiastki.

6. Łza monarchy (3)
7. Dzwon wawelski (26)
8. Domejko i Dowejko (37)
9. Pani Twardowska (62)

c) Legendy i ballady.

10. Strachy (22)
11. Alpuhara (92)
12. Mury Habsburga (97)
13. Chrystus z nami (101)

d) Opisy i obrazki.

14. Zaścianek (30)
15. Puszcze litewskie (40)
16. Grzybobranie (70)
17. Zaranie (73)
18. Astronomia Wojskiego (77)
19. Poranek mglisty (80)
20. Łowy (89)
21. Koncert myśliwski (94)

II. Liryczna.

1. Hymn do Boga (1)
2. Mazur (5)
3. Pożegnanie jaskółek (9)
4. Salve Regina (12)
5. Z opłatkiem (44)
6. Fragment (50)
7. Na obczyźnie (58)
8. Pieśń filarecka (66)
9. Krakowiak (83)
10. Ptaszek (86)
11. Tatry (99)

1. Do Boga.

Błysnął poranek, zniknęły cienie,
Ja wzrok z pokorą toczę po niebie;
Boże! najpierwsze moje westchnienie
I moją duszę wznoszę do Ciebie!

Czuję Twą wielkość: wieczność jej strażą,
U nóg Twych strumień czasu przecieka,
U nóg Twych losy świata się ważą,
I drżący piorun Twej woli czeka.

Lecz gdy się groźną potęgą trwożę,
Boska mnie litość tarczą okrywa;
Wołam do Ciebie, Ojcze i Boże!
Ty słuchasz głosu, który Cię wzywa.

Spraw, niech mi serce cnotą goreje,
Nieszczęściem zagrodź występku drogę;
A jeśli zbłądzę, daj mi nadzieję,
Że jeszcze Ciebie przebłagać mogę.

2. Chłopiec okrętowy.

Na pokładzie okrętu, płynącego do Ameryki, ruch niezwykły panował. Niebezpieczeństwo groziło, burza zaczęła się podnosić, na pokładzie biegano i krzyczano, gdyż poplątały się sznury od żagli, co groziło zatopieniem okrętu. Dla uratowania całej osady trzeba było koniecznie wejść na maszt i rozwikłać powikłane sznury, co naturalnie narażało na wielkie bardzo niebezpieczeństwo. Nareszcie postanowiono wysłać na maszt chłopca okrętowego, który się żwawo uwijał pomiędzy przestraszonymi podróżnikami, spełniając rozkazy swych przełożonych.

— Chłopcze — zawołał kapitan — wydrapiesz się na maszt i rozplączesz sznury; inaczej zginiemy wszyscy. Tobie, jako lekkiemu i zwinnemu, uda się to łatwiej, niż któremu z nas.

Chłopiec przystanął, zamyślił się, wpatrzył w wzburzone fale i odrzekł:

— Dobrze, panie kapitanie, ale pozwól na chwilkę udać się do kajuty.

— Cóż chcesz tam robić?

— Potem ci, panie, powiem.

— Idź więc, ale śpiesz się i wracaj, bo niebezpieczeństwo nagli.

Chłopiec pobiegł do kajuty i wkrótce wróciwszy zawołał:

— Spełnię chętnie, panie kapitanie, twoje polecenie! Jeżeli zginę, nikt po mnie nie zapłacze, bom sierota; niech się więc dzieje wola Boża!

To rzekłszy, chłopczyna zwinny, jak kot, zaczął się drapać na maszt po sznurowej drabince. Im wyżej się wznosił im wiatr silniej dął, tem więcej wzmagała się obawa pozostałych o życie dzielnego chłopca, a tu na nieszczęście położenie jego stawało się coraz straszniejsze. Morze się burzyło, wiatr się wzmagał, okrętem, jak skorupką, zaczęły podrzucać fale, około niego roztwierały się przepaści wodne, a jednak mimo to odważny chłopiec piął się coraz wyżej i już, już dochodził prawie do celu.

— Dlaczegoście pozwolili, panie kapitanie, narażać się chłopcu na śmierć pewną? — mówił jeden z litościwszych podróżnych. — Patrzaj, już wiatr odrywa go od masztu, chwilę jeszcze, a wpadnie w morze.

— Jestem o niego spokojny — odrzekł kapitan. — Wprawdzie powietrze bardzo wzburzone, ale utrzymanie sznurów żaglowych w porządku to jego obowiązek, od spełnienia którego nic go nie uwalnia. Za chwilę jednak znajdziemy go między sobą.

Podczas tej rozmowy żagle rozplątane wróciły do porządku i chłopiec zaczął się spuszczać na pokład. Było to jednak połączone z równem niebezpieczeństwem, jak wspinanie się ku górze. Podróżni też w milczeniu, z przyśpieszonym oddechem i wlepionemi w dzielnego chłopca oczami, śledzili jego poruszenia. Wreszcie jedna chwilka, jeden skok — i stanął między nimi.

Okrzyk radości wydobył się ze wszystkich piersi. Uchwycono go w objęcia, ściskano, całowano, a gdy zapytano, co

robił w kajucie, zanim postanowił dla ocalenia wszystkich narazić się na tak widoczne niebezpieczeństwo, odrzekł z największą prostotą:

— Modliłem się, prosząc Boga, bym was mógł wyratować a sam szczęśliwie wrócić i cieszyć się waszą radością. W takich chwilach zawsze się do Boga udaję i zawsze w Jego opiece pomoc znajduję.

3. Łza monarchy.

(Ustęp z życia cesarza Franciszka Józefa I).

Cisza zaległa komnatę Cesarza,
Wokoło spokój zapanował głuchy;
Zda się, słyszałbyś nawet szelest muchy,
A uroczyście — jakby u ołtarza.
Siedzi Monarcha, tonąc w myślach cały,
I ciężkie troski czoło mu owiały...
Och! bo bolesne spełnić ma zadanie:
Podpisu jego straszny wyrok czeka,
Co ma rozstrzygnąć o życiu człowieka
I winowajcę słać na rusztowanie!
A karę ciężką ma tu ponieść wina:
Okropny dramat zemsty i rozpaczy,
Co ciężkim grzechem życie ludzkie znaczy,
Popchnął młodzieńca do zbrodni Kaina!
Lecz był to jeszcze młodzian pełen siły
I straszny czyn swój spełnił w dzikim szale,
Gdy go wróg jego zbezcześcił zuchwale
I furye zemsty dłoń mu uzbroiły.
Więc się Monarcha długo z sercem drożył,
Wziął pióro w rękę — i znów je odłożył,
Znów ciężki smutek osiadł mu na czole,
A wyrok czekał podpisu na stole.
Nakoniec Cesarz — walcząc z srogą męką —
Począł Swe imię kreślić drżącą ręką.
Lecz nim się pierwsza głoska ukazała,
Ciężka łza spadła z cesarskiego oka,
Jak kropla rosy niebiańskiej z obłoka.
Wzdrygnął się Cesarz, pchnął wyrok od siebie,
»Nie!« — rzekł z promienną uniesieniem twarzą —
»Wszakże łzy wszelką winę ludzką mażą:
»Bądź miłosiernym, jako Pan twój w niebie!
I kładąc pismo w ręce sekretarza:
»Weź je na powrót — dodał rozrzewniony —

»Pismo zalane — wyrok ten zniszczony;
»Bóg go osądzi, król — życiem obdarza...«
A anioł Boży, co stoi na straży
Starej świetności habsburskiego rodu,
Zapisał czyn ten u wieczności grodu,
A Stwórca łaską swoją go odważy.

4. Cesarz na Błoniach.

(Ustęp z podróży cesarza Franciszka Józefa I. po Galicyi w r. 1880).

W towarzystwie arcyksięcia Albrechta ruszył cesarz Franciszek Józef drogą wojskową ku Błoniom, gdzie straż honorową nad rzeczką Rudawą pełniło Towarzystwo Weteranów. Gdy wjechał na Błonia, przedstawił się wspaniały i czarujący zarazem widok, który w zachwyt wprawił wszystkich bez wyjątku, począwszy od monarchy, a skończywszy na niezliczonej publiczności, zalegającej Błonia i wały. Oto orszak konny, złożony z 600 wieśniaków krakowskich, otoczył w pędzie powóz Najjaśniejszego Pana i zgrabnie, łamiąc się na dwie grupy, uszykował się po obu stronach cesarskiego powozu. Ruch ten był świetnie wykonany. Dzielni Krakowiacy ze swobodą i dokładnością, którą podziwiali nawet oficerowie jazdy, utworzyli szpaler; jedna część wymknęła się naprzód, reszta ostrym kłusem w zwartych, wybornie utrzymywanych kolumnach towarzyszyła monarsze. Konie półśredniej miary, ale żwawe i ogniste, jeźdźcy do malowania! Rzeczywiście było to widowisko nadzwyczaj powabne i malownicze, a że było niespodziewane, że nosiło tak oryginalne piętno ludowe i narodowe, że nie było naśladownictwem i do niczego nie było podobne, co gdzieindziej widzimy przy publicznych uroczystościach, że to takie było krakowskie, takie polskie, takie nasze, a wkońcu, że ten hufiec barwny tak był uniesiony radośnie i tak z duszy rad był zrobić przyjemność i złożyć hołd monarsze — to wszystko dodawało tem większego wdzięku.

Ale co za świetny dowód zgrabności (są słowa korespondenta »Gaz. Lwow.«), dzielności, powiedziałbym rycerskiej fantazyi tutejszego ludu! Co za urodzony ułan taki Krakowiak! Jak się w tem przebijała rycerska natura, wrodzony animusz i serdeczne junactwo tego ludu, co na koniu,

z lancą w ręku, zasłynął na tylu pobojowiskach! Widziałem banderye rozmaitych narodowości, w rozmaitych kostiumach, niekiedy kosztem tysięcy sztyftowanych, ćwiczone, musztrowane, organizowane długo i cierpliwie — a przecież tej krakowskiej kawalkacie prym oddać muszę, a liczni korespondenci pism zagranicznych i urzędnicy dworu podzielają to zdanie.

Tamte wszystkie banderye były sztuczne, teatralne — ta stanowiła prawdziwy, żywy, szczery obraz ludowy. Cieszymy się, że gdy gdzieindziej potrzeba archeologów, krawców, nauczycieli jazdy, długich prób i ćwiczeń, aby złożyć nieliczną banderyę i poduczyć ją zgrabnych ruchów, u nas tak dotąd przechowały się jeszcze oryginalne cechy narodowości, utrzymały się w wiejskim ludzie takie rycerskie usposobienia, istnieją jeszcze takie malownicze stroje, że dość, aby 600 chłopaków z kilku wiosek w świątecznych karazyach siadło na koń, a już mamy banderyę barwną i dziarską.

Wystawcie sobie 600 hożych chłopaków, »malowanych dzieci«, jak mówi piosnka ludowa, każdy w białej sukmanie z czerwonymi wyłogami, w krakusce czerwonej, ustrojonej w kitę z pawich piór i bukiecik czerwony, z pękiem długich barwistych wstążek u spinki przy kołnierzu — wystawcie ich sobie na żwawych koniach, uszykowanych wybornie, trzymających się w siodle śmiało, swobodnie i z wdziękiem, pędzących wśród grzmotu okrzyków! Każdy z tych jeźdźców z prawdziwie polską fantazyą, tą samą, co to przypięła skrzydła orle do pancerza husarzy, upiął sobie do lewego ramienia chustkę barwistą, a gdy to wszystko darło z kopyta, gdy ta biała chmura z pąsowym rąbkiem leciała wichrem po zielonem błoniu, a wstążki u spinek trzepały się od wiatru, a owe różnobarwne szarfy u lewego ramienia unosiły się w górę, jak skrzydła w locie — widok był tak piękny, tak niezwykły i oryginalny, że nikt nie mógł się oprzeć wrażeniu.

Cesarz z wielką przyjemnością, która widocznie malowała się na jego twarzy, przez cały czas jazdy spoglądał to na lewo, to na prawo, a gdy prezydent miasta, który poprzedzał powóz cesarski, zrobił uwagę, że może tuman kurzu, wzbijający się z pod kopyt koni, przykry będzie dla monarchy, odpowiedział, że kurz mu wcale nie wadzi, i że widok dzielnego hufca sprawia mu rzeczywiście zadowolenie.

Do najbliższego Krakusa przemówił po polsku »skąd jest«; dalej pytał innego, który żwawo poskoczył na koniu, czy umie po niemiecku, a że trafił na wysłużonego żołnierza, ten odpowiedział, że umie i wywiązała się rozmowa o kawalkacie Krakusów.

Spostrzegłszy przywódcę ich, p. Adama Tańskiego, którego prawdopodobnie poznał, albowiem mówił z nim tego dnia rano przy przedstawieniu się Wydziału Rady powiatowej krakowskiej, dał znak, aby się zbliżył. Pan Tański podjechał i uchyliwszy krakuski, jadąc tuż koło powozu w wyciągniętym kłusie, czekał na zapytanie Naj. Pana. Naj. Pan dziękował w pełnych serdeczności słowach za urządzenie tak pięknej banderyi, wyraził swoje najwyższe zadowolenie z dziarskiego wyglądania ludzi i koni, a następnie zapytał p. Tańskiego, w którym pułku jazdy służył; otrzymawszy odpowiedź, iż on nie w konnicy, ale w inżynieryi służył, zwrócił się do namiestnika i uśmiechając się, wyraził żartobliwie zdziwienie, że inżynierya potrafi dowodzić jazdą.

Następnie znowu zapytał p. Tańskiego, ilu ludzi ma w banderyi? Na co odpowiedział p. Tański:

»Najjaśniejszy Panie! Tu obecnych jest 600; jeżeli jednak, Naj. Panie, najmiłościwiej rozkazać raczysz, postawi Galicya na obronę tronu i monarchii takich 100.000«.

Cesarz uśmiechnął się szczerym, wesołym śmiechem, który Go nie opuszczał aż do powrotu na rynek. Kawalkata odprowadziła Go do rogatki Wolskiej, skąd już do »Baranów« stała miejska straż obywatelska.

5. Mazur.

Piękna nasza Polska cała,
Piękna, żyzna i nie mała!
Wiele krain, wiele ludów,
Wiele stolic, wiele cudów;
Lecz najmilsze i najzdrowsze
Przecież człeku jest Mazowsze.
Bo gdzie takie cudne stroje,
I śpiewanki i dziewoje?
Kto w podkówki tak wykrzesze?
Komu miłe tak pielesze,
Jak ojczyste Mazurowi,
Niechaj cała Polska powie.
Poza Niemnem puszcza sroga,
A na Rusi błotna droga,
Góral zbytnie podkasały,
A Odraki lud zniemczały;
A więc nasza, nasza góra:
Niemasz w świecie nad Mazura!
Mówią, że tam na Podolu
Rośnie żyto bez kąkolu;
Ale u nas dary Boże
Płyną Wisłą aż za morze....

Przyśpiewują jej flisaki,
A grosz człek ma jaki taki.
Gdzieś za światem Dniepr tam płynie
Sławne konie w Ukrainie;
Ale kto, jak Mazur właśnie,
Wiozący z konia biczem trzaśnie?!
Kiedy jedzie do Warsęgi,
Mówią wszyscy: Mazur tęgi!
Tęgi Mazur, wej, w pokoju!
Lecz się przyda i do boju,
I Bóg, żeby świat dziś stworzył,
Już z Mazurów by go złożył,
Nawet w tańcu nasza góra:
Niema w świecie nad Mazura!

Wincenty Pol.

6. Wizyta u Mickiewicza.

Po rewolucyi 1848 r., pewnego razu pojawiło się u pana Adama dwóch młodzieńców; kamizeleczki jak z igły...

— Skądże przyjeżdżacie?

— A z kraju — rzekli *unisono.*

— No cóż, chłopcy dorośli: byliżeście na wojnie w tem powstaniu?

— Nie, proszę pana Mickiewicza.

— A czemużeście nie byli?

— A to dlatego, że mama powiedziała, że ma nas tylko dwóch jedynaków, to pozwolić nie może...

Adam uśmiał się serdecznie. — A po cóżeście tu przyjechali?

— Na wyćwiczenie w języku.

— No, nie źle... i cóż wam więcej mama poleciła?

— A to, żebyśmy pana Mickiewicza zobaczyli.

— I zobaczyliście?...

— A tak...

— No, to bywajcie zdrowi!

Teofil Lenartowicz (Wspomnienia).

7. Ognia!

Za czasów Augusta III. (Sasa) w jednej z fortec, należących do Rzeczypospolitej, był komendantem jakiś pan wysokiego rodu, i nie zważający na nic, nawet na równość szlachecką. Tak więc urządził u siebie, iż zawsze w sieniach musiał dzień i noc wartować na ordynansie jeden z towarzyszów garnizonowych, ludzi dobrego urodzenia, którymi czasem posługiwał się, jakby ostatnimi pachołkami. Raz

przecież niejaki Rzętkowski, szlachcic z Łęczyckiego, dał mu następną nauczkę.

Ów Rzętkowski (który służył przy armatach) siedział pewnego dnia jako ordynans na ławie w sieni, myśląc o niebieskich migdałach — aż tu raptem otwierają się drzwi, wchodzi komendant dobrodziej i pokazując na przygaszoną fajkę, woła: »Ognia, Rzętkowski!« Chłopak sprytny, a przytem nie mający wielkiej chęci hajdukować, choćby orderowemu panu, biegnie na wały i mówi oficerowi, straż odbywającemu, że komendantowi przyszła fantazya, aby natychmiast dać ognia ze wszystkich armat. Tymczasem zniecierpliwiony fajczarz, iż tak leniwo spełniają jego rozkazy, wychodzi znowu do sieni — wtem pum, bum, pum — słyszy ogromną kanonadę, jakby salwę dla króla Jegomości (w owych bowiem czasach nie było wojen, i proch służył tylko na takowy użytek). *Obstupuit*, a po chwili zapytał, co się to znaczy?

Gdy się rzecz wyjaśniła i gdy pan komendant, pieniący się od gniewu, wołał, że on ognia do fajki żądał, Rzętkowski odpowiedział, jak na szlachcica familianta przystało:

— Ja służę Rzeczypospolitej, a Rzeczpospolita fajki nie pali; do jakiego ognia służę, takiego podałem.

Konstanty Gaszyński.

8. Czesi.

Naród czeski, należący do szczepu tak samo, jak Polacy, słowiańskiego, językiem, religią, dziejami i licznemi tradycyami blizko z nim spokrewniony, zamieszkuje żyzne kraje korony św. Wacława, t. j. królestwo czeskie, margrabstwo morawskie i po części też Śląsk. Według ostatniego spisu ludności jest w Czechach 3,930.093 Czechów, na Morawach 1,727.270 i na Śląsku 146.865*). Kraje to piękne, ma-

*) Niektóre okolice tych krajów zamieszkują też Niemcy, a Śląsk Polacy. Liczby powyżej przytoczone wskazują tylko ilość ich według języka, używanego w życiu codziennem (»Umgangssprache«). Obszar języka czeskiego, a raczej czesko-słowiańskiego, wychodzi poza obręb ziem korony czeskiej na południu do Austryi Dolnej i Węgier, na północy do Śląska Górnego. W Ameryce jest 500.000 Czechów. Również i gdzie-

lownicze i bogate, o których zwykło się mówić, że dostarczają mieszkańcom swoim wszystkiego prócz — soli.

Dzieje czeskiego narodu przedstawiają trzy wybitne i charakterystyczne epoki: rozwój, upadek i cudowne odrodzenie. Począwszy od mitycznych postaci Czecha i Libuszy, odpowiadających Lechowi i Wandzie w mitycznej historyi narodu polskiego, widzimy aż do króla Jerzego Podjebrada szereg mężów znakomitych w narodzie i niepospolitych monarchów, widzimy stale rosnącą narodową i samodzielną potęgę Czechów. Za Karola IV. († 1378), zwanego »ojcem ojczyzny«, stanęły Czechy na najwyższym stopniu oświaty i dobrobytu. Jemu zawdzięczają Czesi sławny praski uniwersytet (1348). Praga, stolica kraju, stała się wtedy jednem z najwspanialszych miast Europy, kwitła oświata i sztuka w całym kraju.

Jeżeli w tej epoce nie brakowało Czechom dzielnych królów, wojowników i bohaterów, poszczycić się również mogą wcale pokaźną liczbą znakomitych pracowników na polu literatury i sztuki. Język czeski osiągnął wcześnie taki stopień rozwoju, że stał się językiem urzędowym i literackim, a nawet dyplomatycznym i to w czasach, gdy powszechnie panowała łacina. Bo język ten był językiem króla, panów, szlachty i ludu, brzmiał pełnym dźwiękiem na sejmach i w najwyższych urzędach krajowych. Po czesku pisano dzieła treści prawniczej, filozoficznej, pedagogicznej, nie mówiąc już o innych gałęziach piśmiennictwa.

Nie brakowało też w Czechach mecenasów, którzy władając ogromnymi majątkami, wspierali szczodrą ręką wszystko, cokolwiek służyć mogło do cywilizacyjnego rozwoju ojczystego kraju. Sławne zamki i znakomite rezydencye czeskich panów, bogate księgozbiory i wspaniałe galerye obrazów, jak również liczne pomniki architektury, dzieła rozgłośnych mistrzów czeskich, świadczyły wymownie o zamiłowaniu sztuk i umiejętności.

---

indziej poza krajem jest mnóstwo Czechów osiadłych; tak na przykład w samym Wiedniu liczy się okrągło Czechów 300.000. Słowaków należących do latorośli »czesko-słowiańskiej«, liczą przeszło 2 miliony. Wszystkich Czechów (ze Słowakami) w ojczyźnie i gdzieindziej można liczyć na $9^1/_2$ miliona.

Uszanowanie i uznanie otaczało Czechów. Eneasz Sylwiusz († 1464), późniejszy papież Pius II., podróżując po Czechach, podziwiał niepospolite wykształcenie tego ludu, »gdzie nawet i kobiety książki czytają i gdzie widzieć można tak pyszne kościoły i budynki, jak nigdzie«. A niemiecki poeta, Jerzy Fabrycyusz, żyjący na początku XVI. w. nie wahał się zaznaczyć:

»Teutoniae in medio generosa Bohemia regnum
Constituit, populi fortis et acris opus«*)

Nic też dziwnego, że z potężnym i oświeconym narodem chętnie szukano łączności i przymierzy; osobliwie najbliższa po krwi siostrzyca, Polska, w ciągu tej epoki nieustanne z Czechami utrzymywała stosunki, a ci znowuż niejednokrotnie oczy zwracali ku Polsce. Wszak to czeska Dąbrówka wniosła chrześcijaństwo do Polski, a Bolesław Chrobry myślał nawet o połączeniu Czech z Polską. W r. 1300. obierają panowie wielkopolscy czeskiego Wacława królem polskim. W XV. w. stosunki wzajemne tak się ożywiają, że powstaje przysłowie »co Polak, to pan, co Czech, to hetman«; Czesi po sześćkroć ofiarują władcom Polski i Litwy koronę św. Wacława, aż wreszcie królewicz polski Władysław zasiada (1471) na tronie czeskim. Ileż to razy musiał wtenczas w starym Krakowie uroczyście rozbrzmiewać język czeski!

Pod pierwszymi Habsburgami (Ferdynandem, Maksymilianem i Rudolfem) krzewi się oświata i piśmiennictwo, chociaż znaczenie polityczne upada. Za cesarza Rudolfa II. zabłysnął ostatni już promyk pomyślności narodu czeskiego. Rudolf lubił Czechów i język czeski i dwór praski znowu zajaśniał świetnością, jakiej nie pamiętano od czasów Karola »ojca ojczyzny«. Alić niedługo po śmierci Rudolfa († 1611) całej tej świetności i pomyślności zadaje cios śmiertelny nieszczęsnej pamięci bitwa na Białej Górze (8. listopada r. 1620)

W latach 1621—1626. opuściło ojczyznę 36.000 rodzin, między niemi 1068 familii dawnej szlachty. Wychodźtwo nabierało tak ogromnych rozmiarów, że po wojnie trzydziestoletniej (1618—1648) królestwo czeskie liczyło już tylko

*) »W środku Niemiec szlachetna Bohemia utworzyła królestwo, dzieło mężnego i dzielnego narodu«.

700.000 mieszkańców. Miasta i wioski stały pustką i gdzie dawniej wrzało życie, ruch, tam osiadła nędza, boleść, przekleństwo. Wojny i epidemie wyniszczyły doszczętnie kraj nieszczęśliwy. Jeszcze elektor Maksymilian Bawarski wywiózł po katastrofie białogórskiej na 1500 wozach skarby sztuki czeskiej, 1632. r. elektor saski Jan Jerzy zabrał, co zostało i wywiózł na 50 wozach do Drezna, nareszcie szwedzki generał hr. Königsmark roku 1648. zabrał do Sztokholmu mnóstwo drogocennych zabytków, zostawiając tylko gołe ściany kościołów i pałaców, a nawet domów prywatnych. Sławne zamki czeskich panów powoli się rozpadły w gruzy. Również siedmioletnia wojna stała się źródłem nowych, niezliczonych nieszczęść.

Pod brzemieniem tylu klęsk upadał do reszty naród na duchu, jadem rozpaczy zatruty. Język czeski, usunięty zewsząd, zamilkał powoli, kryjąc się do ubogich chałup wieśniaczych. Dla narodu czeskiego miano wtedy już tylko lekceważenie i pogardę.

W smutnych tych czasach napisał Jezuita czeski, zacny patryota Bohusław Balbin († 1688), rozpaczając nad stanem nieszczęśliwej ojczyzny, następne przejmujące grozą słowa:

»O ty z pośród Czechów najpierwszy, święty Wacławie, bądź *Wratysławem* i dawną *sławę* twoim Czechom *przywróć*. Postaw nas znowu na tej wyżynie, z której spadliśmy przez własną gnuśność i zbrodniczą złość drugich lub z winy mnogich pochlebców, Tobie, świętej religii i królom aż do chwili upadku dochowując wiary. Pomnij, narodu naszego obrono i podporo! że dla Ciebie zginiemy, jeżeli zginiemy. Od ludzi nowych tej czci, jaką Ci Czechy przez tyle wieków oddawały, próżnobyś oczekiwał. Przeto Cię o to kornie błagamy: Nie daj nam zginąć razem z potomstwem. A jeżeli już wyrodnych może synów słuchać nie raczysz, to słuchaj i wysłuchaj ojców, którzy za swojem potomstwem orędowali i Ciebie teraz w niebie oglądają. Święty Wacławie, męczenniku Chrystusów, czeskiej korony jedyny dziedzicu, oręduj za nami!«

W tak opłakanym, w takim niewypowiedzianie smutnym stanie znajdował się naród czeski w końcu XVIII. i na początku XIX. wieku. Naród słynący dawniej z potęgi, upadł prawie zupełnie. Zdawało się nawet, że naród czeski

ulegając prądom wynarodowienia, zejdzie bez śladu z widowni dziejów. Były to czasy, gdy nawet wstydzono się w miastach mówić głośno po czesku i wszystko, co czeskie, uważano za niegodne cywilizowanego człowieka. Nie było szkół czeskich, nie było literatury ojczystej, nie było społeczeństwa w narodowem znaczeniu — była tylko garść chłopów czeskich w czeskich wioskach i górach. Gdy w końcu ośmnastego wieku nieliczne grono patryotów czeskich zaczęło się zajmować losami czeskiego narodu, myśląc o tem, jak znów obudzić życie czeskie, odpowiedział im sławny uczony, Józef Dobrowsky, ojciec słowiańskiej filologii, sam syn tego kraju († 1829): »Dajcie pokój umarłym!« Więc uważano wtedy naród czeski już za umarły!!

A jednak geniusz narodu dał Czechom garstkę mężów, którzy z bezprzykładnem poświęceniem, z olbrzymią wytrwałością i z idealną miłością kraju ojczystego, na żadne nie zważając przeszkody i żadną nie zrażeni trudnością, wzięli się do pracy nad odrodzeniem narodu czeskiego. Działali i wpływali oni zwłaszcza na szerzenie i krzewienie oświaty pośród najniższych warstw narodu, dążąc nie tylko do jego oświecenia i rozbudzenia w nim świadomości narodowej, lecz także i do podniesienia dobrobytu przez ulepszenie rolnictwa i wszelkich gałęzi gospodarstwa, jako też przemysłu i handlu. Prawdziwem dobrodziejstwem i znakomitym czynnikiem w dziele odrodzenia czeskiego była czeska książka; z niej to dowiedział się przebudzający się lud czeski o świetnej przeszłości swego narodu, z niej czerpał jednocześnie otuchę, że jedynie przez poczciwą i wytrwałą pracę, przez miłość języka ojców i ojczyzny zdobędzie sobie poszanowanie, jakiego mu przedtem odmawiano. Wkrótce też pojawiają się owoce tych szlachetnych usiłowań: z wiejskich chat czeskich wychodzili ludzie, którzy nie tylko umieli kraj swój kochać, lecz i skutecznie dlań pracować. Praca w kierunku ideału, jaki przyświecał pierwszym pracownikom, stała się godłem następnych pokoleń. Wcześnie też przyszli Czesi do przekonania, że gdzie nie wystarczą siły jednostki, tam trzeba się skupiać i spólnemi siłami tworzyć to, czegoby jednostki same przez się stworzyć nie zdołały. Powstały więc setki i tysiące towarzystw, zapomocą których

wprowadzano w czyn najrozmaitsze przedsięwzięcia, zmierzające do podniesienia oświaty i dobrobytu ogółu. Na potrzeby publiczne, narodowe, nigdy Czesi nie szczędzili grosza. Ofiarność ich podziwem napełnia obcych.

Jednym z najwspanialszych pomników tej ofiarności Czechów jest teatr narodowy (narodni divadlo) w Pradze, na który zbierano prawie 30 lat składki po całym kraju. Niema w Czechach chyba wioski, któraby na ten wspaniały gmach sztuki dramatycznej nie dorzuciła swego wdowiego grosza. Gdy wspaniały ten gmach, kosztujący przeszło milion zł., nieszczęśliwym trafem się spalił (12 sierpnia 1881), Czesi w ciągu dwóch lat zebrali drugi milion, i teatr na nowo, jak feniks, powstał z popiołów. Pamiętny na zawsze zostanie dla Czechów dzień 18. listopada 1883. r., w którym na otwarcie nowo odbudowanego teatru dawano narodową operę »Libuszę«, utwór genialnego Smetany; w tym dniu Czesi obchodzili uroczyście ukończenie prawdziwie narodowego dzieła, na które cały naród składał groszowe ofiary i na którem też słusznie dumny umieszczono napis: »Naród sobie«. To też zapał w całych Czechach był nie do opisania: młodzi i starzy, uczeni i prostaczkowie, bogacze i biedacy, wszystko to garnęło się do »złotej« Pragi, aby oglądać wielkie to dzieło, widomy pomnik narodowej łączności i spójni; dość powiedzieć, że pociągów teatralnych przybyło z różnych stron kraju przeszło 100, a nawet z poza oceanu, z Ameryki, przywiózł osobny okręt czeskich gości na te iście narodowe gody.

Wypadałoby wymienić i inne liczne instytucye, które przez skupienie sił i karność wewnętrzną znakomicie działały i dotąd działają w kierunku budzenia i krzepienia narodowego ducha. Tak n. p. już w 1830. r. założona została w Pradze w celu wydawania naukowych książek czeskich »Macierz czeska«, która w historyi odrodzenia piśmiennictwa czeskiego zajmuje osobną kartę, jedną z najpiękniejszych. Od nastania doby konstytucyjnej poczęli przedstawiciele narodu czeskiego krzątać się jeszcze usilniej, niż dawniej, około rozbudzenia poczucia narodowego i dźwignięcia oświaty swego ludu. W zgromadzeniach prawodawczych, w Radzie państwa i w Sejmie domagali się

posłowie czescy wydatniejszego uwzględnienia swych potrzeb i rzeczywiście w krótkim czasie uzyskali to, że założono wiele szkół ogólnie kształcących i zawodowych.

Mają więc Czesi teraz sposobność wszelką do kształcenia się w narodowym swoim języku, a podźwignięcie oświaty ludowej odbiło się też wkrótce w wielkim wzroście i rozwoju piśmiennictwa. Nareszcie założono w Pradze i uniwersytet czeski obok dawnego, niemieckiego, a to ognisko wiedzy rozlewa szeroko swe promienie i zapewnia przyszłość poważnej pracy naukowej.

Obok tych usiłowań i starań, które miały na celu uzyskanie pomocy rządu i kraju dla dzieła oświaty, nie można jednak pominąć szlachetnych dążeń do rozbudzenia ofiarności na cele publiczne w całym narodzie. Pomyślny stan oświaty zawdzięczać należy obok owej pomocy rządu także własnej wytrwałości i gotowości do ofiar.

Kiedy chodziło o to, aby zakładać większą ilość szkół ludowych czeskich, aniżeli to można było uczynić z funduszów ogólnych, zawiązała się instytucya »Macierz szkolna«, której celem jest zakładanie i utrzymanie własnym kosztem czeskich szkół i ochron w Czechach, na Morawach i Śląsku. Na utrzymanie tych szkół zbiera się w Czechach rok rocznie około K. 400.000

Ale skąd biorą Czesi owe krocie i miliony na wszystkie te piękne cele, na owe teatry, »macierze«, pomniki znakomitych mężów i t. p.? — możnaby zapytać ze zdumieniem. Może to setki i tysiące, sypane hojną dłonią bogaczów, pokrywają owe olbrzymie wydatki coroczne? Bynajmniej! Takich, coby chcieli i mogli rzucić na ołtarz dobra publicznego po 100.000, jest nawet w bogatych Czechach stosunkowo mało; znany jest dotąd jeden tylko podobny czyn, budowniczego Hlávki, który na czeską akademię nauk dał K. 400.000. Ale Czesi mieli zawsze i mają milion ludzi, co w danej chwili gotowi dawać po 2 h. dziennie, co wynosi rocznie K. 7,200.000, a z taką sumą można już coś zrobić. Oto przykład, jeden z tysiąca. Popularna jest w całej Pradze, nawet na kraj cały »hospoda«, czyli restauracya »U Fleků«. W republice dziennych gości »U Fleků« jedno z najwybitniejszych miejsc przed kilku laty zajmował szewc Bílek,

człowiek bardzo skromny i niepokaźny. Był on niezmordowanym zbieraczem składek narodowych i chociaż miał »U Fleků« tylko z centami do czynienia, pochlubić się mógł tysiącami zł., które za jego pośrednictwem wpłynęły na cele publiczne czeskie. Co wieczór, jak rok długi, pojawiał się Bílek między swymi druhami, chodził od stołu do stołu, zatrzymywał się przy każdym gościu, znanym, czy nieznanym, to wszystko jedno; proste skinienie głowy jego wystarczało, aby odpowiedź wyraziła się datkiem. Trudno znaleźć rękę, coby nie dała choćby jednego centa. Obszedłszy wszystkie stoły, Bílek wracał na swoje miejsce i żniwo pieniężne składał po obrachunku do osobnej kasy, od której klucz mają dwaj goście.

Do r. 1893 zebrano na cele narodowe po cencie »U Fleků« dzięki gorliwości szewca Bílka okrągło K. 28.000*).

Inny przykład. Wiadomo, jak świetne interesa robią fabrykanci papieru, mianowicie kosztowniejszych potrzeb listowych. Otóż »Macierz czeska« wpadła na myśl szczęśliwą. Sprzedaje ona w swym składzie najrozmaitsze potrzeby listowe i papierowe z godłem »Macierzy szkolnej«. I tak możesz dostać w biurze »Macierzy szkolnej« w Pradze papier listowy z kopertami po 50 sztuk (w ozdobnych kasetkach) za 3 K., karty wizytowe po 6 h. (z rozmaitemi ozdobami), karty na rozmaite zaproszenia (na zabawy, bale itd.) po 6 i 12 h., karty legitymacyjne po 6 h. Oryginalne są też telegramy wydawane przez »Macierz«. Są to ozdobne blankiety podobne do zwykłych telegramów, z tą tylko różnicą, że wysyła się je do adresatów pocztą. Telegramów takich używa się oczywiście tylko wtedy, gdy rzeczywistych telegramów niema potrzeby wysyłać, jak n. p. powinszowania, uroczyste pozdrowienia, słowem w takich razach, gdy z góry wiemy, że »jutro wypadnie telegrafować«, co zdarza się niezawodnie często, zwłaszcza w Czechach. Blankiet taki kosztuje 20 h. — na rzecz »Macierzy«. Manipulacya z nim bardzo prosta: to, co się chciało telegrafować, napisze się na blankiecie (lecz zapłaciło się zań wprzódy 20 h.), naklei nań

*) Dziś Bílek już nie żyje — ale dzieło jego »u Fleků« prowadzą inni. W taki sposób do końca roku 1902. zebrano w tej jednej restauracyi przeszło K. 60.000

markę pocztową, jak na zwykły list, rzuci się do pierwszej lepszej skrzynki — no i telegram »Macierzy« idzie...

Ażeby się rzecz ta nie wydawała może śmieszną, dodać należy, że »Macierz« w ten sposób zebrała w ciągu lat 6 nie mniej, jak K. 40.426.

W taki sposób opędzają Czesi ogromne wydatki na oświatę i cywilizacyjne potrzeby swego narodu!...

Praktyczni jednak Czesi nie zaniedbali i materyalnej strony życia narodowego: odrodzenie duchowe i ekonomiczne — oto ideał, który już od samego początku wszystkim pracownikom przyświecał. To też gospodarstwo, przemysł i handel czeski poczynił olbrzymie postępy. Wielka krajowa wystawa czeska, urządzona r. 1891 na pamiątkę pierwszej przemysłowej wystawy w Pradze r. 1791, była właśnie obrazem postępu czeskiej pracy w ciągu lat stu minionych. Czesi na tej wystawie pragnęli pokazać, jak umieją pracować, co zrobili i jakimi już osiągniętymi skutkami pochlubić się mogą. Była też ta wystawa świetnym popisem rąk pracowitych i umysłów dojrzałych. Nawet obcy z poszanowaniem wyrażali się o rezultatach czeskiej pracowitości, która na tej wystawie prawdziwe święciła tryumfy. Przemysł drobny i wielki, rolnictwo, leśnictwo, cukrownictwo, piwowarstwo, wyroby ze skóry, z drzewa, kości, słomy, jedwabiu, wełny, papiernictwo, sztuki reprodukcyjne, górnictwo, porcelana, szkło, przemysł chemiczny, wyroby z żelaza i metalów, ze złota i srebra, machiny, budownictwo, środki komunikacyjne, meble i dekoracye, przedmioty naukowe (chirurgia, optyka, mechanika), zegary, instrumenta muzyczne, pedagogia, literatura, sztuki piękne (malarstwo, rzeźba, architektura), hygiena i t. d., — słowem wszystko, co wytwarza praca i cywilizacya, przedstawiły do oceny czeskie ręce, które, jak z przyjemnością było widać, skwapliwie i chętnie biorą się do wszystkiego.

Wszystko to, jedno z drugiem, doprowadziło naród czeski do obecnego jego materyalnego dobrobytu i duchowego rozwoju. Nie poznaje dziś Czech i Czechów, kto ich znał z przed lat 50. Piękne, miłe ich wioski i miasta żyją życiem swojskiem, dobijając się coraz lepszej, szczęśliwszej przyszłości. Owo pamiętne odrodzenie narodowe stało się

wspaniałym faktem historycznym, wskazującym ludom zacofanym lub upadłym drogi, które prowadzą do wywalczenia sobie należnego poszanowania i zajęcia zaszczytnego stanowiska w świecie. Dzięki swej wytrwałości, swej pracy, swej rozumnej świadomości, dzięki wstrętowi do wszelkiego rodzaju udawania, kłamstwa i lenistwa, dzięki poczuciu obywatelskich obowiązków i gorącej miłości narodu i ojczyzny, doczekali się Czesi spełnienia niejednego ze swoich narodowych życzeń. Są dziś społeczeństwem, w znacznym stopniu na własnych nogach stojącem, posiadającem szereg instytucyi, które zapewniają im pożądany rozwój i w przyszłości. Rozwinęła się do niebywałej potęgi literatura czeska i sztuka, znajdująca uznanie nawet za granicą, mają swoje szkolnictwo i starodawny uniwersytet, a w ostatnich czasach doczekali się też najwyższej instytucyi naukowej: czeskiej akademii umiejętności, utworzonej reskryptem cesarskim z dnia 23. stycznia 1890 r.

Słowem pod godłem pracy, oświaty i miłości »wstał zmartwych« pobratymczy naród czeski...

Edward Jelinek.

9. Pożegnanie jaskółek.

Żegnajcie, jaskółki!... czas blizki rozstania,
Daleko do celu, daleko —
Już jesień was z letniej gościny wygania,
Więc lećcie pod Bożą opieką!...

Przed wami pustynie i morza i góry —
Spoczynek nie rychło was czeka;
Żegnajcie, jaskółki, pieszczochy natury,
Skrzydlata ty drużbo człowieka!

Tu zima wnet spadnie i śniegi i grudnie,
I ciężkie się chmury przywloką —
Tam niebo jaśniejsze, cieplejsze południe
I słońce weselsze ma oko...

Tu, jakby wpatrzone wciąż w ziemską niedolę,
Pod rzęsą łzę miało rok cały
I chmurę zadumy posępnej na czole —
A uśmiech, jak z musu, niestały...

Wy lećcie, swobodne! — nam strzecha rodzima
Wystarcza za nieba lazury,
U ognisk domowych nie straszy nas zima,
Ni wicher z północy ponury.

I chociaż się niebo nad nami zachmurzy,
Choć śniegi świat w koło zawieją —
My strzechy pilnujem od wichru i burzy
I krzepim się wiosny nadzieją.

Więc lećcie, spokojne o gniazda tu wasze —
Z powrotem będziemy wam radzi,
Gdy, wiosnę przynosząc, spadniecie w poddasze;
A teraz — niech Pan Bóg prowadzi!

Maryan Gawalewicz.

10. Czarny chleb.

(Legenda florencka z XIV. wieku).

Mikołaj Nerli był bankierem w sławnem mieście Florencyi. Od wczesnego ranka do późnego wieczora przesiadywał przy biurku i po całych dniach prowadził rachunki w swych księgach. Pożyczał pieniędzy monarchom i magnatom, dostojnikom i kupcom, i pożyczyłby nawet dyabłu, gdyby się nie bał zawiązywać stosunków z tym, którego zwą złym duchem i który lisem jest podszyty. Mikołaj Nerli obdarł wielu ludzi, zebrał niezmierne bogactwa, to też używał wielkiej w mieście powagi. Mieszkał w pałacu, do którego przez wązkie tylko okna dochodziła jasność światła Bożego; urządził tak dom swój przez ostrożność, gdyż mieszkanie bogacza musi być nieomal twierdzą.

Pałacu Mikołaja Nerli strzegły silne zamki i łańcuchy. Wewnątrz ściany ozdobione były wspaniałemi malowidłami, posadzki okryte drogimi kobiercami. Mikołaj Nerli słynął nie tylko ze swych bogactw, lecz także z hojnych fundacyj. Na krańcach miasta zbudował szpital, którego ściany w rzeźbach i malowidłach przedstawiały znakomite jego czyny; w nagrodę za ofiarę pieniężną, jaką poniósł na wykończenie kościoła Panny Maryi, portret jego zawieszono na chórze świątyni. Klęczał na nim ze złożonemi rękoma u stóp Przenajświętszej Panienki, a wyglądał, jak żywy, w swej czer-

wonej wełnianej czapeczce, w płaszczu futrem podbitym, z twarzą żółtą, nalaną, z bystremi oczkami.

Gdy pewnego wieczora zimowego Mikołaj Nerli wracał do pałacu później, aniżeli zwykle, w bramie obstąpił go tłum półnagich żebraków, wyciągających błagalnie ręce.

Ofuknął ich gniewnie, ale głód uczynił nędzarzy wściekłymi i drapieżnymi, jak wilki. Obstąpili bogacza ciasnem kołem i ochrypłymi, żałosnymi głosami błagali o kawałek chleba.

Rozgniewany bogacz już podniósł w górę rękę, uzbrojoną w ciężką laskę, gdy wtem nadszedł jeden z jego domowników, niosąc na głowie kosz z czarnym chlebem, przeznaczonym dla służby i robotników pałacowych.

Mikołaj Nerli skinął na służebnika, aby się zbliżył, i biorąc obydwiema rękoma bochenki chleba z kosza, począł je rzucać biedakom. Potem poszedł do domu, położył się i zasnął.

Podczas snu, rażony paraliżem, umarł tak nagle, że znalazł się niespodzianie w obliczu świętego Michała Archanioła.

Archanioł, trzymając w ręku wagi, kładł na szalki ciężary. Mikołaj Nerli poznał na szalce, idącej na dół, klejnoty wdowie, które przyjmował w zastaw, obcinki złotych monet, jakie sobie przywłaszczał, i wszystkie skarby, zebrane lichwą, oszustwem i wyzyskiem.

Zadrżał z przerażenia, widząc, że święty Michał waży w tej chwili w jego własnych oczach cały jego żywot, który nagle zakończył. Były bogacz stał pokorny, nieśmiały i strwożony.

— Święty Michale! — odezwał się drżącym głosem — widzę, że kładziesz na jedną szalę wszystkie korzyści, jakie w życiu swem osiągnąłem. Racz więc położyć na drugą szalę te piękne fundacye, któremi pragnąłem dowieść swej pobożności. Nie zapomnij ani o kościele Panny Maryi, do którego w trzeciej części się przyczyniłem, ani o szpitalu, jaki całkowicie z własnych funduszów wystawiłem.

— Bądź spokojny, Mikołaju Nerli — odpowiedział Archanioł. — Nic nie zapomnę.

I jasnemi rękoma położył na lżejszą szalę kościół Panny Maryi i szpital.

Szala nie opadła.

Bogacza ogarnął straszny niepokój.

— O święty Michale! — błagał dalej — Racz dołożyć na szalę piękną kropielnicę od świętego Jana i ambonę od świętego Andrzeja, na której wyrzeźbiony jest w naturalnej wielkości krzyż Pana naszego, Jezusa Chrystusa. Te rzeczy drogo mnie kosztowały.

Archanioł znów położył na szalę i ambonę i kropielnicę — szala nie spadała. Mikołaj Nerli uczuł, że zimny dreszcz przejmuje go do szpiku kości.

— Święty Archaniele! — odezwał się nieśmiało — czy jesteś pewny, że wagi twoje są sprawiedliwe?

Święty Michał odparł z uśmiechem, że wagi nie mogą być fałszywe, gdyż nie były robione na wzór tych, jakich wekslarze używają do ważenia złota.

— Jakto! — westchnął Mikołaj Nerli, blady i prawie nieprzytomny — ten kościół, ta ambona, ta wielka kropielnica, ten szpital olbrzymi nie ważą razem więcej, niż źdźbło słomy, lub pióro ptasie?

— Widzisz, Nerli — odpowiedział Archanioł — że dotąd ciężar twych nieprawości o wiele przewyższa wagę twych dobrych uczynków.

— Ach, więc pójdę w ogień wieczny! — zawołał bogacz, dygocąc ze strachu.

Cierpliwości, Nerli — odrzekł ważnik niebieski — cierpliwości! Jeszcześmy nie skończyli! Jeszcze nam coś zostało...

I święty Michał wziął w ręce bochenki czarnego chleba, które poprzedniego dnia bogacz rozdał żebrakom. Położył je na szalę dobrych uczynków i szala opadła, druga zaś jednocześnie się podniosła, obie szale stanęły na równi. Skazówka nie posuwała się ani na lewo, ani na prawo. Ciężary były jednakowe.

Bogacz własnym oczom nie wierzył.

Archanioł Michał rzekł uroczyście:

— Widzisz, Mikołaju Nerli, że się nie nadajesz ani do nieba, ani do piekła. Idź zatem, wracaj do Florencyi. Rozmnażaj w swem mieście ten chleb czarny, jaki rozdałeś własną ręką, ale w nocy, aby cię nikt nie widział. W ten sposób tylko zasłużysz na zbawienie. Albowiem nie dość, że niebiosa otwierają się łotrowi, który za grzechy żałuje, i ja-

wnogrzesznicy, która płacze. Miłosierdzie Boże nie ma granic — zbawi nawet i bogacza! Bądź ty jednym z takich! Rozdawaj chleb, który tak zaciężył na szali twych dobrych uczynków. Idź!

Mikołaj Nerli powrócił na ziemię i obudził się na własnem łóżku. Postanowił pełnić przykazanie archanielskie i szczodrą ręką rozdawać chleb ubogim, aby zasłużyć na królestwo niebieskie.

W ciągu lat trzech, jakie jeszcze przeżył na ziemi po pierwszej swej śmierci, był miłosierny dla nieszczęśliwych i hojne dawał nędzarzom ofiary.

II. Święty Wojciech.

Do przemożnych rodów czeskich należeli w X. wieku Sławnicy. Ród ten posiadał rozległą krainę z stołecznym grodem Lubicz na pograniczu polskiem i przyjazne z Polakami dzierżył sąsiedztwo. Na czele tego rodu stało sześciu braci, z których starsi, Sobiebor, Spicimir, Pobrasław, Poraj, Czesław, zamieszkiwali gród ojczysty, młodszy zaś Wojciech, rzadkiej piękności i nadzwyczajnie żywego umysłu młodzian, wychowywał się na dworze magdeburskiego arcybiskupa, Adalberta, pobierając tam nauki od słynnego w całych Niemczech nauczyciela, Oteryka. Przy otrzymanem z rąk arcybiskupa święceniu kapłańskiem złożył młodzian swoje czeskie rodzinne imię, a przyjął natomiast miano swego niemieckiego patrona, Adalberta, pod którem też powrócił do ojczyzny. Około tegoż czasu umarł tam pierwszy czeski biskup, Thietmar, w którego miejsce książę Bolesław Srogi ze swymi panami wyniósł na biskupstwo młodego Adalberta (r. 983).

Atoli Czesi szydzili z nauk biskupa. Ten twardokarki naród — prawi współczesny świadek — żył bezprawnie w wielożeństwie. Czeladkę chrześcijańską sprzedawano Żydom niewiernym, dnie świąteczne obchodzono różnorakiem bałamutnem nabożeństwem, o dnie zaś postne, oddając się rozkoszom, wcale nie dbano. Nie zaradziły temu kazania św. Wojciecha, ani pięcioletni przykład cnót i świątobliwego życia, jaki dawał ze siebie, odwiedzając więźniów i chorych, odziewa-

jąc i karmiąc ubogich, poprzestając na czwartej części dochodów swego biskupstwa, na skąpej postnej strawie, na twardem łożu, na chwilce snu. Nareszcie lękając się o zgubę własnej duszy wśród tak grzesznego ludu, postanowił mąż święty opuścić stolicę biskupią i udał się do Rzymu w celu uzyskania pozwolenia papieskiego w tej mierze. Wstąpiwszy do klasztoru św. Aleksego na górze Awentyńskiej w Rzymie, po roku nowicyatu przyjął śluby zakonne, mając z sobą nieodstępnym towarzyszem swego brata, Radzyma. Wszelako już we dwa lata przybyło poselstwo czeskie, żądając powrotu św. Wojciecha do Pragi. Na odbytym z tego powodu synodzie rozkazał papież Jan XVI. mnichowi Adalbertowi objąć na nowo stolicę biskupią, ile że Czesi obowiązują się słuchać jego przykazań. Wraca tedy św. Wojciech z Radzymem i dwunastu z Włoch zabranymi zakonnikami do Pragi, gdzie książę Bolesław i lud czeski z radością go witają. Jednakże w tym samym czasie książę Bolesław Srogi, który jakikolwiek ład w kraju utrzymywał, zapada w ciężką chorobę i odstępuje rządy synowi Bolesławowi Rudemu, gorliwemu przyjacielowi Werszowców, którzy stanowczą przewagę biorą nad Sławnikami. Rozzuchwaleni przyjaźnią młodego księcia Werszowcy, rozpoczęli otwartą wojnę ze Sławnikami, której nieszczęsnych następstw lękając się św. Wojciech, z niewymownym żalem i płaczem powtórnie Pragę opuścił i czemprędzej konno uciekł do Rzymu.

Św. Wojciech, schroniwszy się w Rzymie, byłby już rad poprzestał na zaciszy klasztornej, gdyby nie przybycie młodego Ottona III., z przełożonym biskupów praskich, arcybiskupem mogunckim, na cesarską koronacyę do Rzymu (w maju r. 996). Cesarz Otto powziął osobistą skłonność do św. Wojciecha, a arcybiskup mogunckí śpiewał wciąż dawną piosenkę, domagając się powrotu św. Wojciecha do Pragi. Kazano więc rzucić mury klasztoru i za jedyną łaskę pozwolono mu wprzódy wyprawić posłów do Prażan z zapytaniem, czy go chcą przyjąć. W razie nieprzyjęcia miał się św. Wojciech oddać nawracaniu ludów pogańskich, na co papież Grzegorz V. już naprzód udzielił mu tytułu arcybiskupa nawróconej krainy. Owoż gdy młody cesarz Otto III. wracał do Niemiec, udał się z nim tamże i św. Woj-

ciech, gnany tak nieustannie z kraju do kraju. Nie śpiesząc zaś do swojej grzesznej trzody, zabawił mąż święty najprzód przy swoim szesnastoletnim przyjacielu i uczniu, cesarzu Ottonie, w Moguncyi, gdzie we dnie nauczał cesarza i dworzan, po nocach zaś dla utwierdzenia się w ewangielicznej pokorze, czyścił skrycie obuwie najlichszym ciurom dworskim i ciągle wizye niebieskie miewał. Zarazem nieustanna chętka pobożnych wędrówek wiodła go po różnych miejscach świętych, mianowicie po Francyi, dokąd kilkakrotnie z Moguncyi czynił wycieczki, pielgrzymując do grobu św. Marcina w Tours, stamtąd do grobu św. Dyonizego w Paryżu, dalej do grobu św. Benedyktyna w Floryaku i do grobu św. Maura. W końcu przyszło przecież udać się już do Pragi.

Ale zboczył św. Wojciech na dwór polskiego Bolesława i pozostał przez całą zimę przy Bolesławie Chrobrym, przygotowując się do apostolskiej wyprawy w kraje sąsiednich pogan. Książe Bolesław kochał go wielce, słuchał wiernie jego przykazań i ustaw i miał mocną chęć zatrzymania go u siebie; wszelako nie śmiał się sprzeciwiać woli świętej. Rozmyślał zaś najprzód biskup Wojciech, czy do ziemi Lutyków albo Prusów ma się obrócić? Bolesław skłonił go ku Prusom, jako krajowi bliższemu i dobrze sobie znanemu. Jakoż dobrał św. Wojciech dwóch towarzyszy, których uważał za zdolnych do świętej walki i do dźwigania ewangelii, t. j. nieodstępnego druha Radzyma i presbytera Benedykta. Z tymi o pierwszej wiośnie (r. 997.) wyruszył święty pod opieką Bolesława z nad granic jego państwa (gdzie się dotąd zatrzymywano) przez Polskę ku ziemi pruskiej. W drodze — opowiada świadek ówczesny — przybyła apostolska drużyna do Gniezna, wielkiego miasta w owej części państwa polskiego. Tam mszę św. Wojciech odprawił i wnet sam, mając zostać Chrystusową ofiarą, ofiarę Pańską spełnił. Ochrzczono też nadmiar wiele narodu. Poczem bez zwłoki zbliżyli się apostołowie ku Wiśle i wsiedli do łodzi, którą im dał Bolesław, uzbroiwszy ją trzydziestu żołnierzami dla bezpieczeństwa w podróży. Zapłynął więc św. Wojciech do Gdańska, które leży na kresach nadmiar rozległego państwa książęcia Bolesława, a dotyka wy-

brzeży morskich. I tam, jak w Gnieźnie, odprawiono nabożeństwo, ochrzczono mnogą ludność i udano się morzem w dalszą drogę do Prus.

Po kilkudniowej żegludze przybił statek z apostołami i zbrojnym orszakiem do brzegów pruskich w okolicy dzisiejszego Królewca. Niosąc słowo ludowi, odprawił święty Wojciech zbrojną rotę nazad do Polski, a sam w kościelne szaty odziany, z dwoma towarzyszami i skąpym zapasem żywności, na ziemię nieznaną wstąpił. W tym czasie rozeszła się po sąsiednich osadach pogłoska o gościach z tamtego świata, nieznanych obyczajów i nieznanego stroju. Nadpłynęła więc w małej łódce garstka krajowców i wysiadłszy na brzeg, zaczęła badać nieznanych ludzi. Podczas gdy towarzysze św. Wojciecha niezrozumiale się tłómaczyli a on sam niewzruszony śpiewał dalej pieśni z psałterza, ugodził go jeden z przybyszów wiosłem, rozkazując mu odejść z towarzyszami. Zaczem ustąpili apostołowie z tego miejsca i przebywszy poblizką rzekę, weszli w głąb kraju.

Tam nad wieczorem spotkał ich pewien możny krajowiec, pan przyległej osady, i zaprowadził ich do wsi. Zbiegły się tłumy ludu, pytając: »Skąd, po co przyszli?« Św. Wojciech krótkiemi odpowiedział słowy: »Przybywam z ziemi polskiej, którą chrześcijański król Bolesław sprawuje. Jestem sługą Tego, który stworzył niebo i ziemię, morze ze wszystkiem, co tylko żyje, i przynoszę wam zbawienie... abyście obmyci chrztem świętym, narodzili się w Chrystusie i osięgli przezeń odpuszczenie grzechów i królestwo niebieskie«. Natenczas wszczęła się wielka wrzawa; odpowiedziano urągowiskiem świętemu, zaczęto szydzić ze słów apostolskich, ale nikt jeszcze palcem cudzoziemców nie tknął, lubo przybycie ich poczytywano za wróżbę nieszczęsnych skutków. »Dla takich ludzi — ozwały się głosy kapłanów w tłumie — ziemia nasza odmówi urodzajów, drzewa nie rozwiną się, trzody rozpładzać się nie będą, stare bydlęta wyzdychają... Mamy swoje własne prawa i obyczaje, według których żyjemy wszyscy, a wy, co inny, nieznany nam zakon macie, natychmiast stąd ustąpcie, bo jutro śmierć was czeka«. I jeszcze tej samej nocy wsadzono ich do łódki i wywieziono z głębi kraju; tych zaś, którzy na granicy mieszka-

jąc, wpuścili złowrogich cudzoziemców w głąb ojczyzny, postanowiono ukarać śmiercią, zburzywszy im zagrody, a żony i dzieci w niewolę zaprzedawszy.

Przez pięć dni pozostali apostołowie z polskiej ziemi na pogranicznem wybrzeżu. Wówczas zasmuconym, że ani ludu nawrócić, ani upragnionej śmierci męczeńskiej dostąpić nie mogą, przyszło na myśl, czy nie lepiejby było zmienić strój duchowny, zapuścić brodę i przybrawszy obyczaje krajowców, żyć z nimi i biesiadować, własną ręką uprawiać rolę i tak trybem dawnych apostołów pracować nad ich zbawieniem, albo też, czy nie wypadałoby raczej opuścić wcale kraju pruskiego i udać się do Lutyków, których język zna św. Wojciech, a którzy jeszcze go nie widzieli i z łatwością tedy przy zmianie stroju, daliby się podejść apostołowi.

Rozmyślając nad tem, szli w pogańskiej ziemi trzej mężowie wzdłuż brzegów morza, które szaloną wrzało burzą. Gdy więc św. Wojciecha przestrach ogarnął, brat jego Radzym żartobliwemi słowy rozweselił zatrwożonego apostoła, przymawiając mu z uśmiechem: »Trwożysz się, waleczny wojowniku Chrystusa; a cóżbyś uczynił, gdyby zbrojna czerń nas opadła?« Opowiadał też z pogodną twarzą sen, jaki miał przeszłej nocy: »Widziałem w pośrodku ołtarza kielich złoty, do połowy winem napełniony. A gdym się z niego chciał napić, wzbronił mi sługa ołtarza, mówiąc, że to wino tobie na jutro ku dusznemu jest zachowane pokrzepieniu«. »Oby Pan Bóg — odpowie apostoł — na dobre obrócił to widzenie; — wszakże snom ułudnym nikt wierzyć nie powinien«. Taką rozmową, tudzież Dawidowemi pieśniami drogę sobie skracając, szli duchowni wędrowcy nagim, bielejącym od śniegu lasem naprzód, aż około południa wyszli na równe pole, gdzie brat Radzym mszę św. odprawił, a starszy Wojciech Ciało i Krew Pańską przyjął. Poczem dla posilenia się napił się odrobiny miodu i uszedłszy kilkaset kroków, spoczął z towarzyszami na ziemi i usnęli.

Miejscem ich spoczynku było święte pole Romowe, nieznane naszym wędrowcom. Przestąpienie jego miedzy było zniewagą religii krajowej, żądającą pomsty śmiertelnej. Skoro więc obcych mężów zoczono, nadbiegła zbrojna rota, wie-

dziona przez Prusa, któremu niegdyś na wojnie Polacy brata zabili. Rzucono się na śpiących i skrępowano ich powrozami. Gdy nieprzyjaciele związanego wywiedli na wierzchołek góry, zapewne do stóp ołtarza pogańskiego, a naczelnik gromady, kapłan pogański, wymierzył włócznię do pierwszego nań ciosu, miał św. apostoł zawołać: »Co chcesz odemnie?« Na co jednak poganie nie zważając, śmierć mu włóczniami zadali (23 kwietnia 997.).

Obydwóch towarzyszy zostawiono, jako mniej winnych służebników, przy życiu. Pozwolili nawet Prusowie towarzyszom św. Wojciecha wrócić do Polski, ciało zaś samego męczennika starannie przechowali, aby je sąsiedniemu książęciu Bolesławowi za wielkie sprzedać pieniądze.

Jakoż rzeczywiście nabył Bolesław od nich zwłoki męczeńskie i złożył je naprzód w Trzemesznie, a później w nadzwyczajnie bogatym grobowcu w Gnieźnie.

Karol Szajnocha.

12. Salve Regina.

Bądź pozdrowiona bez zmazy poczęta,
W której przedwieczne zamieszkało Słowo;
Bądź pozdrowiona, o Maryo święta,
Bądź pozdrowiona, Królowo!

Bądź pozdrowiona, stroskanych nadziejo!
Uproś nam, Pani, długich cierpień kres;
Jakież to łzy się i poty nie leją
Na tym padole łez!

W życiu wygnańczem, w cierpienia obfitem,
Byśmy szatańską ominęli sieć,
Twojego płaszcza okryj nas błękitem,
W żywota nocy świeć!

A po wygnaniu nam sierotom Ewy,
Synaczka swego na niebiosach wskaż,
Niechaj anielskie zawiodą nam śpiewy:
Oto Zbawiciel wasz!

O! litościwa, łaskawa, o! słodka,
Niech głosy nasze do Ciebie się wzbiją,
Niech nas już nowa niedola nie spotka,
Matko Maryo!

T. Lenartowicz.

13. Staszic.

Państwu Staszicom nie chowały się dzieci: co które doszło do lat dwóch, Pan Bóg je zabierał. To też, gdy roku 1755. przyszedł na świat syn, pan Staszic, burmistrz miasta Piły, powiedział:

— Ofiarujmy go Panu Bogu; niechaj, gdy przyjdzie do lat, zostanie księdzem.

— Wyjąłeś mi z ust te słowa, a z serca najszczersze życzenie — odpowiedziała matka.

I z jakąś większą otuchą spoglądali na dziecię, któremu dano imię Staś. Gdy począł chodzić, matka ubrała go w brunatny z grubego sukna habit franciszkański, przepasała konopnym sznurem i zrobiła *votum*, że w takiem ubraniu chodzić będzie do lat dziesięciu.

— Z ubraniem nabędzie i powołania do stanu kapłańskiego — mówiła sobie.

Chłopiec był wątły, lecz chował się zdrowo; umysł miał bystry i wcześnie garnął się do książki. W szkołach uczył się doskonale. Wkrótce skończył szkołę w Pile, potem w Poznaniu, rozrósł się i już oddawna zrzucił z siebie habit franciszkański. Wyglądał teraz, jak wszyscy młodzieńcy w jego wieku, tylko jakoś o księżej sukni nie myślał.

Martwiło to panią Staszicową, ale małżonek ją pocieszał:

— Moja jejmość, niechajno Staś przyjdzie do lat, rozejrzy się po świecie: zostanie księdzem, zostanie.

Nie doczekali się jednak tej pociechy, bo oboje w jednym roku przenieśli się do wieczności, zostawiając syna zaledwie w siedemnastym roku życia.

Młody Stanisław, osierocony tak wcześnie, musiał teraz sam myśleć o sobie. Rodzice zostawili mu wcale pokaźną fortunę, lecz zarazem wolę swoją, nakazującą, ażeby został księdzem. Wola rodziców jest święta — myślał sobie młody Staszic — ale poczekajmy jeszcze. Muszę się przecież czegoś nauczyć, poznać ludzi. Wszystko to i duchownemu potrzebne. Ojciec mi nieraz mówił: »Dobry obywatel powinien dbać o to, ażeby uboższym i mniej oświeconym dobrze czynić, z równymi być w zgodzie, wyższym nie pochlebiać i przed nimi się nie płaszczyć, a tak pracować, żeby kraj z jego

pracy miał pożytek«. Otóż pragnę być przedewszystkiem dobrym człowiekiem.

Po takiej wewnętrznej rozmowie z sobą wyjechał na uniwersytet do Lipska. Nie poprzestał jednak na nim; w rok wyjechał do Getyngi, następnie do Paryża, wszędzie zaś uczęszczał na kilka wydziałów, poświęcając się przedewszystkiem przyrodzie i filozofii.

— Cóż ci po tylu naukach? — pytali koledzy.

— Do czego cię doprowadzi geologia? To nie jest nauka, któraby dawała wysokie stanowisko społeczne — dodawali.

— Ho, ho, moi bracia, jeżeli mamy się uczyć tylko dla tego, ażeby otrzymać wysokie stanowisko, to rzućmy wszystko i bierzmy się do orania ziemi. Bo orząc ziemię, przydamy się przynajmniej na coś, a ucząc się zaś tylko dla stanowiska, będziemy, jak te bujne kłosy, co w górę głowę wznoszą, a pożytek z nich ladajaki — odrzekł Stanisław.

— Dziwak! — mruknął paniczyk.

— Dziwak! — powtórzyli inni, wzruszając ramionami.

Odtąd miano »dziwaka« zrosło się ze Staszicem, prześladując go przez całe życie.

Po powrocie do kraju (około r. 1780) i przybyciu do Warszawy wiele rzeczy mu się nie podobało a nawet raniło szlachetne jego serce.

— U innych narodów jest lepiej, u nas jest źle. Muszę wielu rzeczy moich ziomków nauczyć — myślał młodzieniec.

Tymczasem znalazł wielką zaporę.

Był mieszczaninem; ówczesne zaś prawo nie pozwalało mieszczanom, choćby najuczeńszym, zasiadać w sejmie, do spraw państwa się mieszać.

— Smutne prawo — pomyślał Staszic.

— A jednak pragnę być dobrym obywatelem — dodał.

— Trzeba się zaprzeć swojego »ja«, pracować na uboczu, i dobremi radami swoim współobywatelom służyć, ażeby im na przyszłość życie znośniejszem uczynić — myślał sobie dalej.

— Trzeba młode pokolenie inaczej wychować, a wszystko się zaraz zmieni na lepsze — rzekł raz w kółku swoich przyjaciół.

Słowa te doszły do ordynata Andrzeja Zamojskiego,

który wówczas złożył już pieczęć kanclerską i usunąwszy się w domowe zacisze, pragnął życie swe poświęcić wychowaniu synów i polepszeniu bytu włościan.

Dwa wzniosłe charaktery, dwa niepospolite umysły wkrótce porozumiały się z sobą. Staszic został nauczycielem synów byłego kanclerza.

— Tajemnice nauki przed waszymi umysłami odkrywać, to rzecz moja; do ukształcenia jednak waszego charakteru najpiękniejszym jest wzorem życie waszego ojca — mawiał Staszic do swoich wychowanków.

Synowie kanclerza poszli w świat, a Staszic nie opuszczał domu ich ojca.

Dwaj ci ludzie rozumieli się doskonale, dopełniając prace swoje wzajemnie. Staszic wszedł do domu Zamojskich młodzieńcem, opuścił go mężem dojrzałym i księdzem, bo podczas pobytu w domu kanclerza przyjął święcenia kapłańskie. Wszystko, co młodzieńcze jego serce odczuwało, starał się teraz w czyn wprowadzić.

Kanclerz, chcąc wynagrodzić starania Staszica około swych synów, zapisał mu, umierając, kilkanaście tysięcy złp. i dożywotnie mieszkanie w pałacu swoim w Warszawie na Nowym Świecie.

Staszic zamieszkawszy w Warszawie, która była wówczas pod panowaniem pruskiem, wytężył wszystkie swoje siły, ażeby nie pozwolić młodzieży się zniemczyć. Został więc członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk, które założono roku 1800., a którego zadaniem było utrzymanie języka polskiego, tudzież rozwój nauki i oświaty polskiej. Nadto Towarzystwo Przyjaciół Nauk starało się o wydawanie książek pożytecznych i rozpowszechnianie ich po całym kraju. W tym celu ogłaszano co rok konkurs na napisanie dzieła z dziedziny językoznawstwa, przyrody lub historyi.

Staszic poprzednio już napisał znakomite dzieło p. t.: »Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego«. Teraz zajął się poznaniem kraju i bogactw, spoczywających w łonie jego ziemi. Odbył więc podróż po Tatrach i napisał dzieło p. t.: »O ziemiorodztwie Karpatów«, które otrzymało nagrodę na konkursie Tow. Przyjaciół Nauk. Nie poprzestając jednak na teoryi, postanowił te bogactwa ziemi wyzyskać i na korzyść

kraju obrócić: jemu też zawdzięczamy urządzenie istniejących dotąd kopalni marmuru około Kielc i Chęcin, jako też wznowienie kopalni srebra w Olkuszu.

— Im więcej wydobywamy skarbów z łona ziemi, tem kraj staje się bogatszym; lecz ku temu potrzeba drogi poprawić i ludzi zdolnych przygotować — myślał sobie Staszic. A że co pomyślał, lubił w czyn wprowadzić, postarał się o założenie szkoły dróg i mostów w Warszawie.

Bolało go też bardzo, że Towarzystwo Przyjaciół Nauk nie ma swojego domu, w którymby mogło zbiory swe i bibliotekę pomieścić, a zarazem odbywać swoje narady. Kupił więc kamienicę na rogu Nowego Światu i Krakowskiego Przedmieścia i ofiarował ją na własność Towarzystwu.

— Dobrzeby było jaki pomnik przed tym domem postawić, a i naszemu wielkiemu astronomowi hołd oddać — myślał sobie znowu.

I jak zaczął myśleć a oszczędzać, odmawiając sobie nie tylko przyjemności, ale częstokroć najkonieczniejszych potrzeb, wkrótce stanął pomnik Kopernika, wykonany przez Thorwaldsena, duńskiego rzeźbiarza, a zdobiący dotąd Warszawę.

Skąpił sobie, to prawda, ale za oszczędzony grosz umiał zawsze coś pożytecznego dla kraju uczynić.

Kupił też duży majątek ziemski w Hrubieszowskiem, urządził go jak najlepiej, pozakładał szkółki elementarne, warsztaty stolarskie, ciesielskie i tkackie, oraz szpital, ziemię zaś podzielił na części i rozdarował włościanom.

To nic, że darował; uczynić to każdy może, kto ma na to; ale urządził tak mądrze, że włościanie, płacąc co rok na utrzymanie wzniesionych przez niego zakładów, musieli do szkół posyłać dzieci, a zdolniejsze kształcić w jakiem rzemiośle.

Istnieje też w Warszawie szkoła imienia Staszica, założona jego staraniem.

Wśród tych bogactw żył sam tak ubogo, że obuwie jego i suknie po kilkakroć naprawiane, nieraz szewc i krawiec odnosił, mówiąc:

— Najbieglejszy rzemieślnik nic z tego już nie zrobi.

— Dziwak z tego księdza Staszica — mówiono też sobie po cichu.

Lecz gdy zmarł r. 1826., za trumną jego szły tłumy z sercem, przepełnionem wielkim żalem, i dotąd odwiedzają grób tego dobroczyńcy bliźnich na Bielanach, przy kościele OO. Kamedułów.

14. Nabożeństwo za dobrodziejów.

W pierwszych dniach listopada odprawiało się co roku u św. Anny nabożeństwo za fundatorów. Gimnazyum chodziło na nie zawsze, odkąd było nabożeństwo i gimnazyum. Proceder zachował się ten, że rektor uniwersytetu zawiadamiał czy zapraszał, a dyrekcya dniem lub więcej naprzód zapowiadała klasom. Zwyczaj, który uwalniał co najmniej od jednej lekcyi, był oczywiście bardzo szanowany. W tym roku przeszło już parę dni listopada, a nie zapowiadano nam nic. Zrazu było tylko lekkie zdziwienie, później pewien niepokój, wreszcie niecierpliwa ciekawość, co to ma znaczyć? co się stało? Aż pewnej soboty, wybiła dziesiąta, wyszliśmy na pauzę: i widzimy, jak z berłami na czele idzie Uniwersytet do kościoła! A my nie idziemy? nie wezwali nas? czy nas nie puścili? Oczywiście nie puścili. A dlaczego? Na długie narady nie było czasu, bo cała pauza trwa kwadrans; więc bez narad, instyktowym *communi consensu*, jednym popędem i pędem znaleźliśmy się wszyscy w kościele i we wzorowym porządku zasiedli zwykłe miejsca w ławkach. Protestanci poszli także; poszedł i Ettmayer, którego ojciec jeszcze przed rokiem był naczelnikiem rządu w Krakowie. Nie bez strachu, ale dumni z siebie i pewni, że fundatorowie z górnego nieba patrzą na nas z przyjemnością, siedzieliśmy poważnie, jak senatorowie na kurulskich krzesłach, a jak oni o wchodzących Gallach, tak my nadrabiając miną, niespokojnie myśleliśmy o tem, co się dzieje w klasie, co się zwłaszcza dzieje w gabinecie.

Niebawem ukazał się w kościele bardzo czerwony nos i bardzo niebieska kapota: stary Bartłomiej skonstatował naszą obecność. Nie zrobił takiego efektu, jak gołębica w arce Noego; owszem, zjawił się, jak ptak złowrogi. Siedzimy dalej nieporuszenie, ale strach coraz większy: co się tam stało, jak Sawa (Sawczyński) wszedł do klasy i zobaczył, że klasa

uciekła! Że się nie stało nic dobrego, przekonaliśmy się zaraz. Rychło po Bartłomieju wszedł do kościoła dyrektor; zwolna, zcicha, mierzonym krokiem, poprawiając włosy na czole, jak zwykł był, kiedy się gniewał, obszedł dokoła nasze ławki i wpatrywał się w każdego wzrokiem badawczym, zimnym, przeszywającym, straszliwym! W tej chwili byliśmy jeszcze więksi, niż senatorowie rzymscy. Żaden dyrektora nie widział; żaden nie raczył uważać, że on jest, że krąży koło nas, nie jak lew ryczący, ale jak tygrys skurczony i gotów do skoku: modliliśmy się za fundatorów, poważni, godni, przejęci nabożeństwem, o niczem innem myśleć i wiedzieć niezdolni. Dyrektor nie powiedział nic, okrążył i wyszedł.

Ale nabożeństwo się skończyło; przyszła chwila stanowcza: trzeba było oko w oko zmierzyć się z niebezpieczeństwem. Krótki szept po ławkach: co robić? czy odrazu uciekać do domów i na czwartej godzinie (w sobotę rano było ich cztery) już się nie pokazywać? Nie! Wszak nie uciekaliśmy od lekcyi; pokażmy właśnie, że nie o lekcyę nam chodziło; właśnie wróćmy na czwartą godzinę. To będzie dopiero z honorem i odwagą, to będzie godne nas — i fundatorów!

Ledwośmy wrócili do klasy i znowu najporządniej siedli na miejscach, wchodzi dyrektor, za nim jeden profesor, drugi profesor, trzeci profesor, wszyscy profesorowie. Miny srogie: najlepsi nawet nie raczyli na nas patrzeć; nawet pan Gralewski wlepił wzrok w podłogę. Jaka była reprymenda dyrektora, Bóg raczy wiedzieć; nikt nie uważał na treść, bo każdy w strachu czekał konkluzyi. Konkluzya przeszła nasze najczarniejsze przeczucia. Za to zuchwalstwo niesłychane, za to nadużycie zaufania, za ten zły przykład, dany młodszym, jako niegodni uprzywilejowanego stanowiska, będziemy przeniesieni do gmachu, pod klucz, a nasze miejsce na probostwie zajmie klasa szósta, porządniejsza i przyzwoitsza, niż my.

Strata miłej wolności bolała nas srodze, ale żeby jakaś mizerna szósta klasa stroiła się w nasze prawa, jak sojka w pawie pióra, żeby ona miała używać naszych swobód, fraternizować z przekupkami i z Negrem, cieszyć się rozkosznemi pauzami na ulicy i na plantacyach, i patrzeć dwa

razy na dzień z kamienicy proboszcza na nas, idących do gmachu, pod zamknięcie, to było nie do zniesienia!

Poszliśmy zaraz na sejm, radzić co mamy robić; nie było nic do zrobienia. Trzeba było cierpieć, a jedyna pociecha — nie pokazać, że się cierpi: *grosse Seelen dulden still!* Złe prędzej przeszło, niżeśmy myśleli. Baliśmy się, że zostaniemy w gmachu przez cały rok, a przynajmniej do końca półrocza. Nadspodziewanie po dwóch tygodniach kazano nam wrócić na probostwo, a szóstej klasie na skromne stanowisko, jakie jej przystało.

St. hr. Tarnowski (Szujskiego młodość).

15. Gęsi.

Gęsi, iż Rzym uwolniły,
Wielbione były.
A że się to i w nocy i krzyczeniem działo,
Ujęte chwałą,
Szły na radę — i stanęło,
Aby zacząć nowe dzieło:
W krzyczeniu się nie szczędzić,
Lisy z lasa wypędzić.
Więc wspaniałe a żwawe,
Poszły w nocy i wrzawę
W lesie zrobiły,
Lisy zbudziły.
A te, gdy z jamy wypadły,
Zgryzły gęsi i zjadły.

16. Zdobycie Jerozolimy przez Krzyżowców.

Noc, poprzedzającą przybycie pod Jerozolimę, Krzyżowcy bezsennie przepędzili; ileż przewędrowali krajów, ileż przecierpieli nędzy, nim przyszli do tego świętego celu krucyaty! Jerozolimy nie można było widzieć z daleka; od świtu, przez kilka godzin, sześćdziesiąt tysięcy zbrojnych pielgrzymów, ciągnąc górami Judei, miało wzrok utkwiony w tę stronę, gdzie im się miała ukazać góra Oliwna. Jakież ogarnęło ich uniesienie zapału, ile popłynęło łez radości, kiedy ujrzeli wreszcie mury i wieże grodu Kalwaryi! Rycerze pozsiadali z koni i szli bez obuwia: płacz, jęki,

modlitwy i okrzyki: »Jeruzalem!« tysiąckroć powtarzane, wyrażały tkliwy entuzyazm wojska krzyżowego.

Jeruzalem, gród królów narodu hebrajskiego, proroków i Chrystusa Zbawiciela, gród tak sławny i tylekroć burzony, miał w epoce pierwszej krucyaty ten sam obszar, co i dzisiaj. Obraz miejsc był tenże sam: smutny, ponury i niemy. Przekleństwa Pisma Świętego zdają się wypełniać tutaj po wszystkie wieki.

Godfryd z Buillonu, Robert z Normandyi i Robert z Flandryi stanęli obozem na płaszczyźnie, pokrytej drzewem oliwnem, na północnej stronie Jerozolimy, naprzeciw bramy, zwanej dzisiaj damasceńską, tudzież małej bramy Heroda, dziś zamurowanej. Stronę południowo-zachodnią, naprzeciw bramy betlejemskiej, zajął Tankred; Rajmund hr. Tuluzy opanował wzgórza, zwane dzisiaj górami św. Jerzego; wązka dolina Rafaim i rozległa a głęboka sadzawka przegradzały go od murów Jerozolimy. Niepomyślne to było stanowisko dla oblegających; hrabia Tuluzy przeniósł zatem część swego obozu na górę Syon w południowej stronie miasta. Doliny, a raczej głębokie wąwozy, Jozafata i Siloe, nie dozwalały ze wschodniej strony grodu ani na obozowanie, ani działania wojenne.

Wojsko egipskie, zajmujące Jerozolimę, składało się z czterdziestu tysięcy. Dwadzieścia tysięcy mieszkańców stanęło także pod bronią. Tłumy muzułmanów z nad brzegów Jordanu, morza Martwego i różnych okolic sąsiednich, zbiegły się do stolicy Judei, aby szukać przytułku i obrony. Imani przebiegali ulice Jerozolimy, zachęcając do odwagi wojowników islamizmu i obiecując zwycięstwo w imieniu proroka.

W pierwszych dniach oblężenia radził pustelnik Piotr przypuścić z góry Oliwnej szturm ogólny; Krzyżowcy, uwierzywszy nadzwyczajnym obietnicom pustelnika, postanowili iść na mury. Nieszczęściem zapał i odwaga nie były dostateczne do obalenia wałów i wież; trzeba było drabin i machin wojennych. Wodzowie zaczęli wtedy starać się o drzewo, potrzebne do budowania machin; niełacna to była rzecz w kraju, zupełnie z lasów ogołoconym. Drzewo, użyte na przygotowania do oblężenia, pochodziło z domów, a nawet kościołów sąsiednich, rozebranych przez pielgrzymów.

Kiedy Krzyżowcy stanęli pod murami Jerozolimy, zaczęły się były letnie upały. Nieprzyjaciel pozasypywał lub zatruł studnie, a ani kropli wody nie zostało w piaszczystem łożysku rzeki Cedronu. Źródło Siloe, płynąc w pewnych przerwach, nie mogło wystarczyć tłumom pielgrzymów; nad ich głowami było niebo ogniste, dokoła ziemia wyschła i skały rozpalone. Rycerze krzyża wystawieni byli na wszystkie męki pragnienia; tak wielka była ta plaga, iż prawie zapomniano o braku żywności. Zawinąwszy w porcie Joppy z zapasami wszelkiego rodzaju, rozprószyła flota genueńska posępne myśli chrześcijan; żywność, narzędzia do budowli, znaczna liczba inżynierów i cieśli genueńskich przybyły do obozu jerozolimskiego. Broniło ich trzechset zbrojnych pod wodzą Roberta Peleta.

Drzewa atoli ciągle brakowało. Lecz Krzyżowcy dowiedzieli się o lesie w pobliżu; wkrótce ujrzano idące długiem pasmem wielbłądy, obładowane drzewem sosnowem i dębowem. Wszystkie ręce wzięły się do roboty; żaden pielgrzym nie próżnował. Kiedy jedni budowali tarany, katapulty, kryte galeryc, ruchome baszty, szli drudzy za przewodnictwem miejscowych chrześcijan ze skórzanymi worami po odrobinę wody do źródła Elpiru, przy drodze damasceńskiej, do źródła Apostołów nieopodal Betanii, do źródła Maryi w dolinie, zwanej puszczą św. Jana, do sadzawki na zachód od Betlejemu, gdzie, jak powiadają, św. Filip dyakon ochrzcił Kandaka, niewolnika królowej Etyopii. Z pomiędzy machin wojennych, wznoszących się groźnie, szczególną zwracały uwagę trzy ogromne wieże nowego kształtu, każda z nich miała trzy piętra: pierwsze przeznaczone były dla robotników, kierujących poruszeniami, drugie i trzecie dla wojowników, mających iść do szturmu. Te trzy ruchome fortece wznosiły się ponad mury oblężonego miasta. Na wierzchołku urządzono pewien rodzaj zwodzonego mostu, który zarzucić było można na wały i tym sposobem ułatwić drogę do miasta. Do tych potężnych przygotowań dodać należy zapał religijny, który już tyle zrodził cudów w ciągu całej wyprawy. Po trzydniowym ścisłym poście odprawili Krzyżowcy w najgłębszej pokorze procesyę wokoło świętego grobu.

Oblężeni wznieśli także wielką liczbę machin wojennych

w tych stronach miasta, którym najwięcej zagrażali chrześcijanie; bez obrony zaś zostawili stronę wschodnią. W tę stronę, naprzeciw bramy świętego Stefana, przenieśli swój obóz Godfryd i dwaj Roberci. Trzeba było wieże i inne machiny wojenne rozbierać na części, a czynność ta, mająca rozstrzygnąć o zdobyciu Jerozolimy, odbyła się w ciągu jednej nocy, i to nocy lipcowej, to jest, w ciągu pięciu lub sześciu godzin. Dnia 14. lipca r. 1090. o świcie dali wodzowie hasło do powszechnego szturmu: wszystkie siły, wszystkie machiny pomknęły się ku wałom. Wśród szczęku oręża i krzyku robotników i rycerstwa posunęły się ku murom trzy wielkie, ruchome wieże. Jedną prowadził Godfryd na wschód, drugą Tankred ku północno-zachodniej stronie, trzecią Rajmund z Tuluzy na południe.

Pierwsze uderzenie było gwałtowne, ale nie stanowcze; dwanaście godzin zaciętej walki nie zdołało zapewnić zwycięstwa. Gdy noc zmusiła chrześcijan do odwrotu, płakali, że Bóg nie uznał ich jeszcze za godnych wnijścia do świętego grodu i złożenia hołdu u grobu Syna Jego.

W następnym dniu wznowiono bitwę. Oblężeni usłyszawszy o zbliżaniu się wojsk egipskich, ożywili się nadzieją zwycięstwa. Męstwo wojowników krzyża nabrało niepokonanej energii. Z trzech stron przypuszczono szturm gwałtowny. Dwie czarnoksiężnice, które, stojąc na wałach, zaklinały żywioły i mocy piekielne, padły pod gradem strzał i kamieni. Szturm trwał pół dnia: Jerozolima nie otworzyła bram Krzyżowcom. Nagle ujrzano na górze Oliwnej rycerza; wywijał on puklerzem i dawał znak hufcom chrześcijańskim, aby szły do miasta. Niespodziewane to zjawisko zapaliło oblegających nowym ogniem. Wieża Godfryda pomknęła naprzód wśród straszliwego gradu kamieni, strzał, ognia greckiego i zarzuciła most zwodzony na machiny wojenne oblężonych, na wory wypchane słomą, sianem i wełną, które pokrywały ostatnie mury miasta. Wiatr niecił pożar i zwrócił płomienie na Saracenów, którzy, otoczeni kłębami dymu, zaczęli się mieszać i cofać. Godfryd, a za nim bracia jego, Balduin i Eustachy, i inni uderzyli na nieprzyjaciela i w ślad za nim weszli do Jerozolimy. Ze swej strony Tankred, dwaj Roberci i Rajmund z Tuluzy niezwłocznie także

wpadli do miasta. Krzyżowcy weszli do Jerozolimy w piątek, o godzinie trzeciej po południu, w dzień i godzinę śmierci Zbawiciela.

17. Zemsta Staszica.

Przy rogatkach warszawskich, obok komor były ścieżki, wydeptane przez wchodzących do miasta i wychodzących. Gdy za czasów księstwa Warszawskiego minister dowiedział się, że temi ścieżkami przemykają się tajemnie przemytnicy towarów, wydał rozkaz, aby strażnicy nie pozwalali całkiem, nawet w dzień, przechodzić temi ścieżkami.

W pobliżu rogatek mieszkał wówczas prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk, radca stanu, Stanisław Staszic i miał zwyczaj co rano wychodzić za rogatkę na przechadzkę. Jednego ranka, nic nie wiedząc o owym zakazie, wybrał się, jak zwykle, na przechadzkę i skierował zabronioną ścieżyną. Wtem spostrzegł go strażnik, a biorąc za jakiegoś biedaka, gdyż Staszic chodził zawsze bardzo skromnie ubrany, krzyknął za nim: Wróć się!

Ani przypuszczając, żeby to na niego wołano, Staszic nawet się nie odwrócił. Niestety, strażnik był człowiekiem gwałtownym i, jak tego dnia, niezupełnie trzeźwym; rozgniewany zatem, że przechodzień idzie dalej, poskoczył za nim, chwycił go za kołnierz i pchnął napowrót ku miastu.

— Upamiętaj się, człeku — rzekł spokojnie Staszic — jestem radcą stanu.

— Kłamiesz! — krzyknął strażnik — jesteś przemytnikiem! — i pięścią tak silnie uderzył starca w plecy, że ten zachwiał się i padł na ziemię. Szczęściem kilka osób widziało tę scenę; przyskoczyli przeto do obalonego Staszica i podnieśli go, a poznawszy, kim jest, odprowadzili do własnego mieszkania.

Niebawem sprawa stała się głośną w całem mieście: dowiedział się o niej minister skarbu, Węgleński, i oburzony na strażnika, wydalił go ze służby. Nieszczęśliwy człowiek ciężko odpokutował swą winę. Naraz znalazłszy się bez kawałka chleba — a miał żonę i liczną dziatwę — chodził od domu do domu, prosząc o zajęcie. Ale próżne były jego

starania. Jednego wieczora wracał znękany do domu, myśląc z rozpaczą, co dalej pocznie, za co kupi jutro dzieciom chleba, bo już ostatni grosz wydał. Niespodzianie spotkał się twarz w twarz z tym, którego znieważył. Staszic nie poznał go zrazu, ale ta postać nędzna, blada, znękana, wzbudziła w nim współczucie i zatrzymał się, by go wesprzeć; lecz gdy spojrzał uważniej, poznał, kto przed nim stoi, i łagodne jego oczy zachmurzyły się. Trwało to przecież jedną sekundę; wnet litość gniew zwyciężyła.

— Widzisz — rzekł — postępowaniem swojem pozbawiłeś się chleba. Jeżeli jednak przysięgniesz mi, że się nałogu pijaństwa wyrzeczesz, to nie tylko ci przebaczę, ale jeszcze poratuję.

Łzy wdzięczności zabłysły w oczach strażnika i rzekł:

— Całemi siłami będę się starał to spełnić. Przysięgam!

— Więc chodź za mną — rzekł Staszic i poprowadził nieszczęśliwego do swego mieszkania; tam wypłacił mu miesięczną pensyę, a później wyrobił nową posadę.

18. Dyabeł i zboże.

Gdy Bóg wygnał grzesznika z rajskiego ogrodu,
Nie chciał przecie, ażeby człowiek umarł z głodu;
I rozkazał aniołom zboże przysposobić
I rozsypać ziarnami po drodze człowieka.
Przyszedł Adam, znalazł je, obejrzał zdaleka
I odszedł; bo nie wiedział, co ze zbożem robić.
Aż w nocy przyszedł dyabeł mądry i tak rzecze:
Niedaremnie tu Pan Bóg rozsypał garść żyta,
Musi tu być w tych ziarnach jakaś moc ukryta;
Schowajmy je, nim człowiek ich wartość dociecze.
Zrobił rogiem rów w ziemi i nasypał żytem,
Naplwał i ziemią nakrył i przybił kopytem;
Dumny i rad, że Boże zamiary przeniknął,
Całem gardłem rozśmiał się i ryknął i zniknął.
Aż tu wiosną, na wielkie dyabła zadziwienie
Wyrasta trawa, kwiecie, kłosy i nasienie!...
O wy! co tylko na świat idziecie z północą,
Chytrość rozumem, a złość nazywacie mocą:
Kto z was wiarę i wolność znajdzie i zagrzebie,
Myśli Boga oszukać — oszuka sam siebie.

Adam Mickiewicz.

19. Tatarzy na Rusi.

Po krajach snują się już od dawna jacyś, obcego pochodzenia, tajemniczy ludzie, dochodzą aż do Czech, do Renu. Dziwne ich postacie, cudackie obyczaje; długie tułowie, krótkie nogi, szeroka twarz, małe, błyszczące ślepie, wysokie kapelusze, krótka odzież, długi kij olbrzymi, na nogach sandały; o chleb proszą, jak żebracy, a dziękują niezrozumiałym językiem: *kartas bog*. To szpiegi Tatarów. Podbili oni już Chiny, Chowarezmów, więcej, niż połowę Azyi, a teraz w ślad za szpiegami ruszą na zniszczenie Europy, chrześcijaństwa, cywilizacyi. Jak błyskawica ich marsze na małych, kudłatych koniach, których całe trzody pędzą za nimi; przechodzą oni góry i lasy, gdzie zaledwie noga ludzka postanie, i uderzają ze strony, skądby się nikt wojska spodziewać nie mógł. Na skinienie posłuszni wodzowi, zakreślając półkole, zasypią chmurą strzał nieprzyjaciela, a potem go śmiertelnym otoczą uściskiem. Mówiono sobie, że ludzi pożerają; to pewno, że nie znali, co litość, co wiara, co ludzkie uczucie, zabierając w jasyr, co piękne i zdrowe, w pień wycinając, co niezdolne na towar. Jest gadka, że przed wzrokiem bazyliszka ptak martwieje bez ruchu; tak krzepła krew ludziom przed Tatarami: na wieść o ich zbliżaniu się padali na ziemię bez zmysłów, lub biegali nieprzytomni, sami nie wiedząc, którędy.

Już w r. 1224. ruszyły były te dzikie hordy na zachód, na Europę; jedni mówili, że chcą dojść aż do Rzymu i pojmać papieża, inni wynaleźli opiewaną później legendę, że przyszli pomścić śmierć jakiejś księżniczki swojej, którą podczas podróży zamordowali byli chrześcijanie. Zebrali się byli przecie wówczas ruscy książęta na wspólną obronę i wyszli w ziemię połowiecką, aż nad rzekę Kałkę.

Był tam ówczesny książę halicki, Mścisław Udały, byli młodzi obaj Romanowicze, byli ludzie z nad Dniepru, Prutu, Buga, byli i z nad Sanu. Ale i tu zgody nie było między nimi, jeden drugiego z nienawiści nie uwiadamiał o zamiarach swoich; i tak straszną klęską skończyła się wyprawa, jakiej »nigdy przedtem nie było«. Wielu książąt legło, Daniło był ranny, Wasylko zrzucony z konia. Na razie jednak

po zwycięstwie znikli Tatarzy; jak nie wiedziano, skąd przyszli, tak nie umiano powiedzieć, gdzie się podzieli.

Ale po latach kilkunastu, r. 1237. wrócili, równie straszni, jak wprzódy, zdobyli po kolei Rjazań, Suzdal, Włodzimierz nad Klazmą, Kozielsk, Moskwę, Perejesław, Czernigów i nareszcie po strasznej obronie Dymitra, podwładnego halickiego księcia, i matkę miast ruskich, Kijów. Wszystkie te miasta obrócono w perzynę. Gdzie nie mogli zdobyć grodu przemocą, tam wywabiali podstępnie mieszkańców do siebie i do nogi wycinali. Nie wzruszały ich procesye błagalne, z krzyżem przedsiębrane — ani żywa dusza nie wracała do domu. Tak zginęli książę suzdalski, Juryj, tak jego żona i dzieci. W Kozielsku młody książę, Wasylko, utonąć miał w strudze krwi. Daniło udał się do Węgier, aby tam z królem wejść w przymierze; gdy wracał, w Synowódzku zastąpiły mu drogę tłumy ludzi jego, uciekających przed barbarzyńcami. Tatarzy już — a było to r. 1241. — zalali ziemię halicką, zdobyli, spalili i wymordowali Kamieniec, Włodzimierz, Halicz i inne grody prócz jednego Krzemieńca. We Włodzimierzu ani jeden człowiek żywy nie pozostał, wszystkie cerkwie zapełnione były trupami. I Daniło uszedł teraz do Węgier, a stąd do Polski. Ale taki sam los spotkał także Polskę. Wielki książę krakowski i śląski, Henryk, życie oddał za kraj i wiarę pod Lignicą; Bolesław Wstydliwy szukał ratunku w ucieczce do Moraw, a za węgierskim Belą IV. Tatarzy gnali aż do Dalmacyi.

Tak okropna była klęska! A jednak, z pewną dumą, z podniosłem uczuciem czytamy te karty dziejów ojców naszych. Bo tam ci ojcowie z brudnych walk bratobójczych wznieśli się do walki za najświętsze sprawy; bo tam krwią swoją dali świadectwo, iż są członkami tej wielkiej rodziny jedynego Ojca, której On własną istotę dał do przechowania; bo tam, w stepach azowskich walczyli ludzie ze wszystkich stron ziemi naszej, a i Przemyśl (ponieważ tylko o Krzemieńcu, że ocalał, wspomina wyraźnie źródło) musiał utoczyć wówczas krwi męczeńskiej swojej.

Ale na tem nie koniec nieszczęściu. Już bowiem odtąd Ruś nie wydobyła się z pod jarzma tatarskiego, aż wy-

dźwignęła ją Litwa i Polska. Jeden książę po drugim szedł do seraju nad Achtubą całować »baszmę«, odcisk stopy chańskiej, kłaniać się ich bałwanom i z rąk chana przyjmować godność książęcia. Jeden z nich, Michał kijowski, miał odwagę odmówić czci bogom tatarskim, ale też chan Batu, jak dziki zwierz, w tej chwili kazał zakłuć Michała wraz z jego bojarzynem Teodorem. W roku 1250., przyszła kolej na Daniła. Przysłał bowiem chan: »Dawaj Halicz«. Z rozpaczą w sercu, opowiada kronikarz, Daniło postanowił pojechać do Batuchana. Oddawszy się opiece Boga i »archistratega« Michała, nakazawszy po cerkwiach i monasterach modlitwy za siebie, wyruszył w drogę śmiertelną. Już w Perejesławiu zeszedł się z Tatarami i widział z boleścią w duszy, jak przychodzili królowie i książęta i wielmoże, jak ich oprowadzano około »kusta« i kazano się im kłaniać, słońcu i księżycowi i ziemi, dyabłu i umarłym w piekle, ojcom ich i dziadom i matkom. A gdy przyszedł do Batu i pokłonił mu się po zwyczaju, rzecze doń Batu:

— Daniło! a czemużeś dawno już nie przyszedł, lecz dopiero dzisiaj? Pijesz czarne mleko, nasz napój, kobyli kumys?

On zaś odpowiedział:

— Dotąd jeszcze nie piłem, lecz kiedy każesz, to piję.

A Batu na to:

— Ty już nasz, ty Tatarzyn: pijże nasz trunek.

On wypił i pokłonił się po ich obyczaju i prosił o pozwolenie oddania pokłonu małżonce chana, która grzeczniejsza od męża, ponieważ nie przywykł do kumysu, winem go częstowała. »O przeklęta czci tatarska!« lamentuje kronikarz, »Daniłowi Romanowiczowi, który był księciem wielkim, który władał ruską ziemią, Kijowem i Włodzimierzem i Haliczem, a razem z bratem jeszcze innemi stronami, każą padać na kolana i chłopem go nazywają i dani chcą od niego, a on życia nie pewien i strach go przejmuje! Jeśli ten czci nie ma, to któż ją mieć będzie?«

Dr. Anatol Lewicki,

(Obrazki z najdawniejszych dziejów Przemyśla).

20. Sól. I.

Pewien wizytator, zwiedzając powierzone swej opiece szkoły, wypytywał w jednej z nich uczniów, czem się ludzie żywią. Chłopcy odpowiadali raźnie i przytomnie, dopóki szło o to, jakich roślin i zwierząt człowiek używa za pokarm; gdy jednak wizytator spytał, czy nie wiedzą nic o minerałach jadalnych, uczniowie oniemieli w pierwszej chwili: tak im się to wydało dziwnem, aby człowiek mógł się żywić kamieniami. Jeden z nich atoli, sprytniejszy, niż towarzysze, opamiętał się zaraz i zawołał: »Owszem, wiemy i nawet sami jadamy codzień taki minerał. Któż bodaj dzień jeden obchodził się bez soli?«

Istotnie, nie dość, że sól jest jadalna, stanowi ona jeszcze niezbędną składową część naszych pokarmów. Wprawdzie nie spożywamy jej samej (chociaż i to nie jest rzeczą niemożliwą), musi ona jednak koniecznie zawierać się w naszych potrawach, gdyż organizm nasz potrzebuje jej nieodzownie do należytego trawienia. Człowiek, który się żywi pokarmami, zupełnie pozbawionymi soli, traci siły, cerę i ostatecznie umiera, nie mogąc wcale trawić, jeżeli znów nie zacznie dodawać tego minerału do swej żywności.

Zwierzęta również potrzebują soli. Któż nie wie o tem, jak chętnie liżą sól konie, woły, krowy lub owce? To też staranny gospodarz pamięta zawsze o tem, aby im ją dawać niekiedy. Dzikim zwierzętom nikt wprawdzie nie daje soli, ale zato znajdują ją zawsze w mniejszej lub większej ilości w roślinach albo mięsie innych zwierząt, któremi się żywią. Słowem, każda istota żyjąca potrzebuje koniecznie tego pokarmu mineralnego.

Człowiek nie żywi się pokarmami surowymi; gotując mięso lub jarzyny, wyciąga z nich część soli, która się rozpuszcza w wodzie, i dlatego musi solić swoje potrawy, aby zawierały należytą ilość tego niezbędnego dodatku. Solimy więc potrawy nie tylko dla smaku, ale i dla zdrowia. Sól jest nieodzowną rzeczą w każdej kuchni.

Otrzymała też nazwę soli kuchennej dla odróżnienia od innych soli, jak np. stosowanej w medycynie soli glauberskiej, gorzkiej, i t. p.

Używamy jej atoli nie tylko bezpośrednio przy gotowaniu potraw; stanowi ona także wyborny środek do przyrządzania rozmaitych konserw. Zabezpiecza mianowicie od gnicia mięso i ryby, które muszą być dobrze nasolone, jeżeli je chcemy przechować bez zepsucia przez czas dłuższy, jak to wyraża dawne przysłowie »Kto do mięsa soli żałuje, temu się mięso zepsuje«. Używamy jej także do kwaszenia kapusty i ogórków. A oprócz tych zastosowań kuchennych służy ona także do bardzo wielu użytków technicznych. Używa się jej mianowicie w przemyśle do wyrobu sody, soli glauberskiej, mydła, szkła, na polewę do naczyń glinianych, w białoskórnictwie, to jest, przy wyprawianiu cienkich i delikatnych skór (np. na rękawiczki, oprawy) i t. d.

Słowem, jest to minerał pierwszorzędnej użyteczności, bez którego bardzo trudno byłoby się obejść. Zostaje też u ludzi w należytej cenie; przodkowie nasi przyjmowali gości chlebem i solą; chlebem i solą wita się państwo młode, chleb i sól ofiaruje się monarchom, a przysłowie powiada »kto ma sól z chlebem, ten nie umrze głodem«, wskazując tem na wielkie znaczenie soli w odżywianiu człowieka i umieszczając ją tuż obok najważniejszego naszego pokarmu — chleba.

Bez soli bardzo trudno byłoby się nam obejść, prawie tak trudno, jak bez wody. Na szczęście oba te ciała mineralne są bardzo rozpowszechnione i znaleźć je można prawie w każdem miejscu. Po wodzie sól jest najpospolitszym minerałem, znajduje się właściwie wszędzie, chociaż nie wszędzie w tak dużych ilościach, aby się nam rzucała w oczy i abyśmy ją mogli stamtąd otrzymywać.

Wchodzi ona mianowicie w skład każdej ziemi, ale zazwyczaj w tak nieznacznych ilościach i tak drobno rozsiana w całej jej masie, że zauważyć jej tam niema sposobu. W niektórych tylko miejscowościach grunt zawiera ją obficiej, a niekiedy bywa nią tak dobrze przesycony, że tylko pewne rośliny mogą róść na nim, wszystkie zaś inne giną, ponieważ wraz z wodą wciągają korzeniami zbyt duże ilości soli. Takie rośliny, rosnące na gruntach słonych, noszą nazwę roślin solankowych.

Grunta słone znajdują się na wybrzeżach mórz i jezior

słonych i na niektórych stepach, położonych w głębi lądu, w miejscowościach gorących i ubogich w deszcze. Stepy takie posiada Azya środkowa, Australia, niektóre części Afryki północnej, oraz Ameryki południowej; w Europie stepy takie znajdują się nad morzem Kaspijskiem i w części nad Czarnem. Ziemia w niektórych z tych miejscowości bywa tak dalece przesycona solą, że w czasie większej posuchy sól ta »wykwita« z niej, to jest, pokrywa ją cienką warstewką białego proszku, niby szronem. Deszcze lub wprost powiększenie się wilgoci w powietrzu rozpuszczają tę sól i sprawiają jej znikanie.

Największą ilość soli znajdujemy w głębi ziemi. Tworzy ona tam ogromne pokłady, mające nieraz po kilkaset metrów grubości i ciągnące się na przestrzeni kilkuset kilometrów, jak np. ogromne pokłady soli wzdłuż północnych stoków Karpat, do których należą słynne kopalnie w Wieliczce i Bochni. Sól taka nosi nazwę kamiennej, ponieważ występuje w postaci wielkich brył, jak kamienie. Znajduje się zwykle w pewnej głębokości i przykryta jest mniej lub więcej grubą warstwą gliny, nie dopuszczającej do niej wody deszczowej, która rozpuszcza i wypłukuje sól z warstw wyższych.

Niekiedy jednak znajdujemy wielkie bryły soli kamiennej i na powierzchni ziemi. Słynna jest skała solna pod m. Kardoną w Katalonii (w Hiszpanii), mająca 180 metrów wysokości i blisko 4 kilometry w obwodzie. Wygląda ona jak ogromny i wspaniały lodowiec, od którego jednak różni się wybitnie temperaturą, a jeszcze bardziej smakiem. Takie góry słone należą wogóle do zjawisk rzadkich, a spotyka się je wyłącznie w krajach suchych; nasza mokra jesień i dżdżyste lato prędkoby rozpuściły nawet takiego olbrzyma, jak Katalońska skała. Któż nie widział, jak sól rozpływa się na powietrzu, jak mętnieją wyroby z soli w czasie słotnym, nawet nie wystawione na bezpośrednie działanie deszczu?

Woda jest głównym wrogiem soli w stanie stałym; rozpuszcza ją i zabiera ze sobą. Ponieważ w każdym gruncie znajduje się zawsze pewna ilość soli, więc i każda woda »słodka« ze źródeł, rzek, stawów lub jezior ma zawsze w sobie pewną domieszkę tego minerału.

Dlaczegóż jednak nie posiada smaku słonego, jak woda morska? Rzecz nie trudna do zrozumienia. Wrzućmy szczyptę cukru do dużej szklanki wody, a napewno nie będziemy wiele czuli słodyczy. To samo dzieje się z wodą źródlaną; woda nabiera smaku słonego dopiero wtedy, gdy na 1000 części zawiera jedną część soli; przy mniejszej zawartości język nasz nie potrafi odczuć jej smaku. Żadna zaś woda źródlana nie zawiera w 1000 kg., jednego klg. soli, lecz zaledwie drobną jego cząstkę; grunt bowiem, z którego źródło wypływa, jest zwykle bardzo w sól ubogi. I tej okoliczności wody »słodkie« zawdzięczają swój smak przyjemny.

Inaczej rzecz się ma ze źródłami solankowemi (np. w Ciechocinku, Rabce, Iwoniczu i t. p.), które mają smak wybitnie słony. Źródła takie wypływają zawsze z podziemnych pokładów soli i dlatego zawierają jej zawsze bardzo dużą ilość, niekiedy nawet do 100 części na 1000, to jest znacznie więcej, niż trzeba, aby woda mogła przybrać nieprzyjemny smak słony. Przewyższają one nawet pod tym względem wodę morską, w której zawartość soli nie przekracza zwykle 35 części na 1000, a bardzo często jest znacznie niższą, niż ta ilość, zawsze jednak taką, iż woda posiada smak wyraźnie słony.

Stała to cecha wody morskiej. Czem jednak wytłómaczyć, że jest zawsze słona, podczas, gdy wody lądowe (rzeki, jeziora) są przeważnie słodkie? Pewien dowcipniś objaśniał to zjawisko obecnością wielkiej liczby śledzi w morzu, które to ryby, jak wiadomo, mają zawsze smak słony.

Istotną przyczyną jest to, że wszystkie rzeki, wpadające do morza, zawierają zawsze drobne ilości soli. Ilości te są wprawdzie bardzo a bardzo nieznaczne, ale że każda rzeka znosiła sól do morza bez ustanku i bez przerwy w ciągu całych długich wieków, stopniowo więc nagromadziły się w niem duże jej ilości.

Jednocześnie atoli powinna była powiększać się i ilość wody w morzu, a co za tem idzie, słoność jej musiałaby pozostawać bez zmiany.

Przypomnijmy sobie jednak, że woda w morzach paruje bez ustanku, wznosi się w górę, opada z deszczem na lądy, daje początek źródłom, oraz rzekom i znów wraca do morza. Nie może być zatem mowy o donoszeniu nowej

wody przez rzeki, właściwie bowiem ta sama mniej więcej jej ilość przemienia się w parę i znów wraca do nich i tak dalej w kółko, przynosząc z sobą coraz nowe ilości soli.

Tak mniej więcej można sobie przedstawić, jak stosunkowo ubogie w sól rzeki mogły zasilić nią całe oceany. Jeżeli zamiast obszernego i rozległego morza wpadają do jeziora, zwłaszcza położonego w klimacie gorącym i suchym, gdzie woda silnie paruje, a deszczów mało pada, to słoność wody w takiem jeziorze dochodzi powoli do ogromnych rozmiarów, tak dalece, że nakoniec nie może się rozpuścić w tej wodzie i zaczyna osiadać na dnie i koło brzegów; ryby i inne zwierzęta giną nieraz zupełnie, nie mogąc wytrzymać w tak gęstym roztworze. Temu właśnie zawdzięcza swą nazwę morze Martwe. Podobne zjawisko można widzieć w jeziorze Eltońskiem koło morza Kaspijskiego, oraz w różnych innych słonych jeziorach i limanach na wybrzeżach morza Czarnego.

W otwartych morzach parowanie wody i zgęstnienie roztworu nigdy nie może posunąć się tak daleko, gdyż dzięki połączeniu, które istnieje między wszystkiemi, następuje zawsze wyrównanie strat, jakie ponoszą morza strefy gorącej przez dopływ wody ze stref zimniejszych.

Jak widzimy, sól kuchenna jest właściwie wszędzie; ludzie jednak mogą z niej korzystać jedynie o tyle, o ile znajduje się w większej obfitości; otrzymanie jej bowiem z wody słodkiej lub ze zwykłej ziemi połączoneby było z tylu kosztami i kłopotami, że wydobywanie jej stamtąd nie opłacałoby się w żadnym razie, a częstokroć byłoby nawet wprost rzeczą niemożliwą. To też ludzie zajmują się wykopywaniem jej z ziemi wyłącznie w takich miejscowościach, w których tworzy mniej lub więcej znaczne pokłady, jak np. w Wieliczce, a z wody otrzymują ją tam tylko, gdzie posiada smak wyraźnie słony, wskazujący na większą zawartość soli, a więc z mórz, jezior i źródeł słonych.

21. Z życia Adama Mickiewicza. I.

Wyjazd z domu rodzicielskiego.

Dzień letni miał się ku schyłkowi, słońce zniżało się nad dalekim borem, żegnając ziemię swymi złotymi promie-

niami, gdy drogą z Nowogródka do Wilna wlokła się zwolna duża bryka żydowska. Siedziało w niej trzech żydów podróżnych i jakiś młodzieniaszek, co najwyżej siedmnastoletni, którego rysy nie wyrażały bynajmniej semickiego pochodzenia.

Wieczór się zbliżał, blaski dnia gasły, na wzgórza, łąki, pola i lasy kładły się zwolna, niby mgła szara, cienie wieczorne, w oddali milkły gwary dnia roboczego; pastusi spędzili już swe stada z pastwisk, kilka zapóźnionych ptaków szybowało w górze, dążąc w stronę boru, oblanego purpurą zachodniej zorzy. Na polach pusto było i cicho, koniec lata zabrał ich plony do stodół i gumien; czerniły się więc i żółciły ścierniska, a gdzieniegdzie, niby opuszczone baszty zamczysk średniowiecznych, wznosiły się stogi siana i sterty zboża, których w oddali na zielonych jeszcze miedzach, jako straż senna, strzegły ciche grusze, krzaki jałowca i tarniny.

Młodzieniec co chwila zwracał się to w tę, to w drugą stronę, rozglądając się czarnemi, rozmarzonemi oczyma po okolicy, która pod wpływem mroku wieczornego zmieniała swe krajobrazy, jakby na zaklęcie różdżki czarodziejskiej.

Kiedy niekiedy oglądał się też po za siebie, jakby chciał żegnać tkliwemi spojrzeniami pozostające w oddali wioski, pola i lasy, poczem z westchnieniem przymykał oczy, wzdychał i przez chwilę rumianą twarz jego okrywała bladość, a oczy wyrażały tęskną zadumę.

Widać jakieś wspomnienia rzewne nie pozwalały młodzieniaszkowi spokojnie, ze zwieszoną głową, drzemać w szerokiej bryce, jak to uczynił właśnie najbliższy jego towarzysz podróży, siedzący obok niego na szerokiem, z dwóch wiązek słomy i siana zrobionem siedzeniu. Ten znużony podróżą starzec już siwobrody nie rozglądał się po okolicy, ani nie rozmawiał z młodszymi, siedzącymi na przedzie fury, z których jeden co chwila machał biczem, napędzając strudzone już szkapy do szybkiego biegu, lecz kiedy niekiedy otwierał oczy i zapytywał, jak daleko jeszcze do Wilna.

— Bądźcie spokojni, ojcze: jutro przed szabasem staniemy w mieście — upewniał powożący żydek, przyczem jeszcze energiczniej wymachiwał biczem.

Tymczasem słońce skryło się za horyzontem, jak w toń

jeziora rzucona wielka, złota kula, a natomiast w głębi niebios, niby wspaniałe perły, zapalały się gwiazdy jedna za drugą.

W wyobraźni młodzieniaszka, jakby zaklęty, stał dom o białych ścianach, gromadka rodzinna pod opiekuńczemi skrzydłami ukochanej matki; zdawało mu się, że słyszy krótkie, urywane, lecz pełne serdecznego wyrazu pożegnania, że czuje łzę matczyną na swoim czole i krzyż, kreślony wraz z błogosławieństwem nad głową, że ta anielska postać tkliwemi słowy żegna go i zachęca zarazem do wytrwałości, jako do jednej z najgłówniejszych zalet charakteru młodzieńczego. Pod wpływem tych wspomnień młodzieniaszek przymyka oczy, bo czuje, że łza rozrzewnienia w nich błysnęła, i sięgając do kieszeni po chustkę, mimowolnie ręką natrafia na sakiewkę z pieniądzmi. Są to ciężką pracą zarobione 11 dukatów, które przy pożegnaniu matka wręczyła mu, mówiąc:

— Weź to, drogi synu, na co stać mnie w tej chwili. Oddaję ci prawie wszystko, co posiadam; nie wiele to jednak znaczyć będzie w wielkiem mieście dla młodzieńca, który chce się, jak ty, kształcić w najwyższym zakładzie naukowym. Lecz módl się do Opiekunów, którzy nigdy nie opuszczają łaknących wiedzy, do Ducha Świętego i Matki Boskiej Ostrobramskiej... Bóg cię nie opuści, zachowaj tylko czyste serce, ukochaj pracę i wytrwałość, a wierzaj — nie zginiesz. Krewny twój, ksiądz kanonik Józef, przyjmie cię w Wilnie i jeśli o słowach moich nie zapomnisz, przytuli cię do serca i pokocha.

Młodzieniaszek wzruszony całował ręce matki, które niby białe skrzydła obejmowały jego głowę i przyciskały do serca w uścisku pożegnalnym.

— Nie zapomnę, o, nie zapomnę nigdy — mówił nawpół przez łzy — tych słów, mateczko najdroższa... Przysięgam, że zasłużę sobie na twą miłość, że nie zawiodę twych nadziei.

— Niechże cię Bóg prowadzi, drogi synu. Ja cię na tę drogę błogosławię...

Tych słów matczynych nigdy młodzieniaszek nie zapomni... towarzyszyć mu one będą wszędzie, niby gwiazda opiekuńcza, wśród ziemskiej wędrówki.

A gdy już siedział na bryce, gdy miał po raz ostatni pożegnać najdroższe sobie istoty, przestrzegł go jeszcze głos matki:

— Pieniędzy pilnuj, bo o przypadek w drodze, wśród obcych a częstokroć złych ludzi łatwo. Dałam ci też i ten święcony dukat z wizerunkiem Najświętszej Panny; niechajże na nic lekkomyślnego wydany nie będzie.

Później jeszcze ostatnie uściśnienie, ostatni uśmiech napoły ze łzami, ostatnie rzucone: »Bądź zdrów!« i konie ruszyły, fura zaturkotała, głusząc słowa pożegnania; podniosły się za nią kłęby pyłu... wkrótce najdrożsi zniknęli z oczu odjeżdżającego.

Kiedy młodzieniaszek sięgnął do kieszeni, gdzie pod ręką poczuł sakiewkę z pieniędzmi, zdawało mu się, że jeden z siedzących na przodzie fury żydków rzucił nań spojrzenie podejrzliwe; powożący też, długi, rudy chłop, spojrzał nań jakoś z ukosa.

W jednej chwili w młodzieniaszku obudziła się obawa, czy jest dość bezpieczny wśród trzech obcych ludzi, mając przy sobie kilkanaście sztuk złota. Toć nasłuchał się nieraz aż do obrzydzenia krwawych opowieści o zbójcach, o złoczyńcach, o rabunkach. Niedawno nawet głośne było morderstwo, popełnione przez nieznanych i niewyśledzonych dotychczas złoczyńców na osobie biednego wieśniaka, który niósł z jarmarku nowogrodzkiego półtora dukata za sprzedaż trzody chlewnej.

A toć on więcej posiada, niż ów nieszczęsny.

Lecz i siwy Jankiel coś przestał się kiwać i z pod oka spogląda na młodego towarzysza podróży. Czyżby ci trzej Izraelici zamierzali go obrabować, a może zabić? Chciwość jest matką zbrodni. Właśnie najodpowiedniejszą po temu chwilę wybrali, gdyż noc się zbliża, opodal bór ciemnem skrzydłem drogę osłania. Lecz mylą się, że młodzieniaszek będzie łatwą zdobyczą. Ma on przy sobie także stary pistolet nabity, który znalazł niegdyś w biurku ojcowskiem; będzie się miał na baczności, a w razie napaści bronił aż do krwi rozlewu.

Pomimo mroku dojrzał stary Jankiel broń w ręku swego młodego towarzysza i przerażony zawołał:

— Dobry paniczu! niech to panicz schowa... Zbójów w okolicy, dzięki Bogu, niema. Zresztą cóżby im przyszło, gdyby

na nas napadli? Myśmy biedni, nasze całe bogactwo poczciwe serce i czyste sumienie. Ja, dzięki niech będą Jehowie, już pewnie setny raz w życiu odbywam podróż z Nowogródka do Wilna, a nigdy nie byłem napastowany przez zbójów... Wierzaj pan, stary Jankiel przeżył niemało, wychował już wnuków, ma najmłodszego syna w wieku panicza, a starszy powozi na przedzie tej fury. Nas nie masz się pan co obawiać.

Tyle było szczerości w głosie starca, który nie na żarty przeraził się nabitej broni w ręku młodzieniaszka, że ten uznał słuszność słów jego i natychmiast schował pistolet.

— Przebaczcie, Janklu — rzekł nieśmiało — uległem chwilowemu rozdrażnieniu. To prawda, obawy moje były niedorzeczne.

Stary żyd pogładził siwą brodę i rzekł, ucieszony powolnością młodzieniaszka:

— Panicz ma złote serce i złoty rozsądek. Niech Bóg paniczowi we wszystkiem pomaga!

Od tej chwili podróż była mniej uciążliwą dla siedmnastoletniego Adama Mickiewicza, gdyż on to był właśnie tym młodzieniaszkiem, który siedział na owej furze żydowskiej, płócienną płachtą okrytej, i jechał do Wilna na uniwersytet po skończeniu szkół nowogrodzkich. On to, obdarzony bujną wyobraźnią, uroił sobie, że żydzi mogą go obrabować; lecz usłyszawszy od starego kupca, Jankla z Mira, słowa rozwagi i upomnienia, dalszą drogę odbył już spokojnie, częstowany na popasach przez siwobrodego współtowarzysza podróży kawą, owocami i t. p.

Nazajutrz przed wieczorem Wilno posiadało już w swych murach między kandydatami na uniwersytet i młodzieńca, którego czoło geniusz opromieniał, a którego skromność, bojaźń Boża i pragnienie wiedzy wyróżniały zaszczytnie i nakazywały szanować i kochać.

22. Strachy.

Na wierzchołku jednej góry
Stały zamku pyszne mury;
Dach czerwono malowany,
Duże okna, białe ściany;
Nad gankiem herb, domu chwała:
Bęben, sztandar i dwa działa;
W nim małżeńskiej znak jedności,
Cyfra Jego- i Jejmości

Wymyśleniem wcale nowem
Strzela z rury: jednem słowem,
Wszystko pięknie i wspaniale.
Lecz na świecie nic bez *ale,*
Czego, *sic fata tulere,*
Gmach ten miał dowody szczere.
Bo co do mnie, choć bogato,
Choć pięknie wyglądał z wierzchu,
Choćby męstwa był zapłatą,
Nie radbym w nim być o zmierzchu,
Gdyż, jak powiadano cicho,
Było w zamku jakieś licho.

Nikt nie zgadnął, nikt nie wiedział,
Co też tam za kaduk siedział,
Ale że siedział, to pewna.
Czy to zaklęta królewna?
Czy upiór o dyablej mocy?
Czy czarownik? czy złe duchy?
Nie wiem; dość, że o północy
Drzwi skrzypią, brzęczą łańcuchy,
Wicher świśnie, piorun strzeli,
Wysoka osoba w bieli,
W nieznajomych strojach
Chodzi po pokojach
I, aż zaczną śpiewać kury,
Różne płata awantury.

Nienajbardziej radzi z gości,
Pan i pani, pełni strachu,
Zostawiwszy dyablej mości
Usum fructum swego gmachu,
Sami, w co prędszej ucieczce
Widząc ratunek jedynie,
Choć z biedą, jak śledzie w beczce,
Mieścili się w oficynie.
Mieli rozum, bo koniecznie,
Lepiej ciasno, a bezpiecznie.

A tymczasem bies, pan placu,
Hulał sobie po pałacu,
Brojąc, co mu się roiło.
Szczęściem tak się nadarzyło,
Że po dawnej znajomości
Przyjechał do Jegomości
W konwikcie kolega dawny,
Jeden poeta sławny,
A poeta, jakich mało.
Choć mógłbym, z jego pochwałą
Nie mam czasu zbyt się szerzyć.
Prawda, że mu towarzysze
Mówili, iż on źle pisze,
Lecz on temu nie chciał wierzyć;
Bo i któż Zoilów słucha?
Owszem z przekonaniem mocnem
Sądził się w pokorze ducha
Najmniej Homerem północnym.
Bardzo słusznie — któż zaprzeczy?

Ale wracając do rzeczy:
Po półwiecznem niewidzeniu
Skoro go ujrzał Jegomość,
W kordyalnem uściśnieniu
Dawna odżyła znajomość.

By gościa przyjąć sowicie
I uraczyć należycie,
Flasza dębniaku wyjęta,
Co Sasów jeszcze pamięta;
A przy miodzie, mówią starzy,
Słodziej się gawędka gwarzy,
Rośnie ufność w przyjaciołach,
Przymus niknie, duch rzeźwieje.
Dalejże więc to o szkołach,
Co się działo, co się dzieje,
Kto jakie przeszedł koleje,
Kto gdzie bywał, — gadu, gadu
Od poranku do obiadu,
Od obiadu do wieczora:
Wtem już i spóźniona pora.
Na deszcz się jęło zanosić:
Grzeczność każe na noc prosić,
A tu — ani weź, niestety,
Niema gdzie podziać poety!

Gospodarz, gdyby na igle,
Kręci się na wszystkie strony:
Tu grzeczność, tam hałas żony,
Aż potrzebą przynaglony,
Puścił się w końcu na figle.
Nie patrząc więc, czy to pięknie
Będzie, gdy się gość przelęknie,

Słowa nie mówiąc o strachu,
Zaprasza na noc do gmachu.
Wieszcz, jak zwykle, dobra dusza,
Bez namysłu śmiało rusza.
Lecz jegomość widać jeszcze
Nie znał dobrze, co to wieszcze,
Jak pochopni, jak ochoczy
Awanturom zajrzeć w oczy.
Snać nie wiedział, jak to moi
Po Febie bracia stryjeczni
Wszyscy są arcywaleczni,
Żaden się dyabłów nie boi,
Chociaż się wydarza czasem,
Że ich w swoich rymach mieści,
Ale to tylko nawiasem.
Mniejsza o to; ja tymczasem
Wracam do dalszej powieści,
Z którą już bez żadnej przerwy
Prościutko do końca idę.

Otóż, jak wam rzekłem pierwej,
Poeta *in bona fide*,
Nie wiedząc o Bożym świecie,
Ni o zdradzie, ni o strachu,
Maszerował spać do gmachu.

Ale nie sam jeden przecie...
Z kimże takim? — Z Jegomością.
Skądże jemu śmiałość taka?
Grzeczność wiodła nieboraka.
»Niech licho z taką grzecznością!«
Myślał, idąc jak na ścięcie:
Dusza schowała się w pięcie,
Zęby głośne larum dzwonią,
Wzrok schylony zakrył dłonią,
Snać się bojąc ujrzeć strachu.

Przyszli nakoniec do gmachu,
Niosąc na przypadek wszelki
Karabelę, pistolety,
A na wniesienie poety
Węgrzyna cztery butelki.
Przyszli, stolik postawili,
Cztery świece zapalili,
A usiadłszy przy kominie,
Poeta tak zaczął pierwszy:

»Wiesz, jak się w całej krainie
Rozlega echo mych wierszy?
Wiesz jako w trudnych zawodach
Do laurowej bieżąc mety,
Sława ma na czterech odach
Wszystkie prześcigła poety?
Jak za tragedyę sławną
Oklask parteru dostałem?
Lecz nie wiesz, właśnie niedawno
Drugą taką napisałem.
Dziś więc, gdy i czas potemu
I mam do czytania wenę,
Racz jej słuchać; *nota bene*
Tobie to tylko jednemu
Daję ten dowód przyjaźni.
Słuchaj więc, a bez bojaźni
Powiesz mi słowo otwarte;
Bo choć znam, co czego warte,
Choć mnie nigdy na me wady
Miłość własna nie zaślepi:
Sądziłbym jednak, że lepiej
Zasięgnąć twej mądrej rady«.

Nic mu pan nie odpowiedział,
Bo nic nie słyszał, nie wiedział.
Strasznym zdjęty ambarasem,
Nie do krytyk się sposobił;
Pan myślał, by z nim dziś czasem
Strach tragedyi nie zrobił.
Lecz wieszcz, mając chęci szczere
Czytać, a przytem w pamięci,
Że, *qui tacet, consentire*
Videtur, papier rozkręci
I, łyknąwszy haust węgrzyna,
Czytać zaczyna.
I czyta, czyta z zapałem,
Sam sobie tylko przerywa:
»Uważ, jaka scena tkliwa,
Jak tu namiętność wydałem!

Nie skończył aktu połowy,
Drzwi skrzypły, brzękły okowy,
Wicher świśnie, piorun strzeli,
Wysoka osoba w bieli,
W nieznajomym stroju
Chodzi po pokoju,

Coraz bliżej krok pomyka,
Idzie prosto do stolika
I stanęła koło pieca.
Widzi to pan i drży cały,
Jak mur lica pobielały,
Bogu się tylko poleca.

A nasz poeta w ferworze,
Grzbietem zwrócon ku potworze,
Jakby wśród najgłębszej ciszy,
Oprócz siebie nic nie słyszy.
My go bynajmniej nie ganim,
Że myśl utopiwszy w chwale,
Ani przed nim, ani za nim
Co się działo, nie dbał wcale;
A choć słyszał jęk i żale,
Rozumiał, pełen radości,
Że to w jego tkliwej scenie
Tak żałosne rozrzewnienie
Napadło na Jegomości;
Więc dalej rad z powodzenia,
Czyta bez zastanowienia.

A straszydło stojąc z cicha,
Ciągle słucha, ciągle wzdycha;
Przeciągać się zaczynało
I umilkło — znów jęknęło;
Chciało westchnąć — i ziewnęło;
Chce znów westchnąć — i znów ziewa.
Jak zawsze było przywykło
Czekać, póki kur zaśpiewa,
Teraz jednym razem znikło;
I już go więcej nie było!
Możeby jeszcze wróciło —
Lecz Jegomość, rad z odkrycia,
Przynętą hojnej pochwały
Trzymał wieszcza tydzień cały
Do wiadomego użycia
I jak *antidotum* strachu
Co noc go wodząc do gmachu,
Drzemiąc chwalił, co ów czytał.
Nieraz jeszcze strach zawitał;
Aż nie mogąc dostać placu,
Mimo wszelkiego *decorum*,
W trzecim akcie znikł z pałacu
In saecula saeculorum.

Moi czytelnicy mili,
Nie będziecie mi wierzyli;
Lecz by wam tej prawdy dowieść,
Gdy czasem na was którego
Napadnie coś podobnego
Przeczytajcie mu tę powieść.

A. E. Odyniec.

23. Król i kwestarz.

Któryś król, przejeżdżając mimo któregoś z bernardyńskich klasztorów, spostrzegł napis na facyacie: „*Providentia Dei*“; zawołał zatem gwardyana i zapytał:

— Co rozumiecie przez ten napis?

— Miłościwy królu — odpowiedział on — rozumiemy to, że żyjemy *ex providentia Dei*, to jest z opatrzności Boskiej, która przez ręce pobożnych i miłosiernych ludzi opatruje nas chlebem. Zakon nasz nie może posiadać dóbr ziemskich, więc nie orząc, ani siejąc, z łaski dobrodziejów żyjem.

— Dobrze — rzekł król — obaczmyż, jak żyjecie — i wszedł do klasztoru w gościnę z całym dworem na obiad.

Naturalnie dla takiego gościa ksiądz gwardyan nie żałował, co miał najlepszego; a że śpiżarnia zaopatrzona była

porządnie, więc król jegomość zjadł obiad, choć klasztorny, ale dobry i smaczny, i skosztował zapewne bernardyńskiego trojniaku; ale po traktamencie rzekł do gwardyana i do asystujących mu ojców:

— No, widzę, że *providentia Dei* opatruje was hojnie; teraz więc musicie mi dowieść, żeście jej godni, to jest żeście mądrzy i pobożni i że taż sama *providentia* nie tylko daje pokarm waszemu ciału, ale i wasze dusze oświeca i karmi. Zatem macie mi odpowiedzieć na trzy pytania:

Primo — Ilem ja wart?

Secundo — Jak daleko z ziemi do nieba?

Tertio — Co ja myślę?

Daję wam trzy dni czasu, po których, jeżeli mi na każdą tę kwestyę przyniesiecie dostateczną odpowiedź, uwierzę, że *providentia Dei* was wspiera i żeście godni tej opieki, owszem, będę sam dla was jej narzędziem; ale jeżeli pytań tych nie rozwiążecie, wypędzę was z klasztoru, jako ludzi chwalących się fałszywie łaską Opatrzności, której nie są godni.

Trudno opisać, jakie zamieszanie stało się w klasztorze po takim gorzkim koncepcie króla. I jubilaty i definitory, najtęższe teologi suszyli sobie głowy i nie schodzili z konsyliów, na których od rana do wieczora siedzieli, ale nic wymyślić nie mogli: a tu czas upływa, i trzeci, ostatni dzień nadszedł, a odpowiedzi jak niema, tak niema; było ich może ze sto, ale żadnej takiej, któraby królowi podobać się mogła.

Wtem wszedł na walną radę, w refektarzu zebraną, brat kwestarz klasztorny i zapytał:

— A cóżeście, ojcowie, uradzili? Czy macie odpowiedź dla króla?

Po milczeniu i minach wszystkich poznawszy, że sprawa idzie, jak z kamienia:

— No, *reverendissimi* — rzekł — kiedy mądre głowy wasze nic nie wymyśliły, to pozwólcie mnie stanąć przed królem Jegomością: może ja was uratuję i dowiodę, żeśmy nie...

Przerwali i nie dali mu dokończyć ojcowie; ruszyli się hurmem z ław i wszyscy razem pytali, jakie odpowiedzi

ma dać królowi, a niektórzy kiwając wątpliwie głową, odzywali się:

— My nic nie wymyślili, a waszeć masz być mędrszym od nas?

— Odpowiedzi moich — rzekł kwestarz — wam nie powiem, bo do wieczora może jeszcze własne wymyślicie; ale kiedy wam na to oleju w głowach nie stanie, to powiadam wam: posyłajcie po mnie, bo już nic lepszego zrobić nie będziecie mogli.

Argument ten był nieodbity, więc i stanęło na tem, że wysłano kwestarza do króla, nie dopytując się już, co on tam powie, a tylko błogosławiąc na drogę.

Stanął więc kwestarz przed królem.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł wchodząc.

A król odpowiedział:

— Na wieki wieków — i postrzegłszy go, przypomniał onegdajszą gościnę i rzekł: Przychodzisz zapewne, księżulu, z odpowiedzią na moje kwestye.

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział z nizkim pokłonem kwestarz.

A więc król zasiadł na tronie i włożył koronę, zwyczajnie jak król, a koło niego cały dwór od złota i srebra, aż się w oczach kwestarzowi zaćmiło, jednak nie stracił fantazyi.

— No, rzekł król, ilem ja wart?

— Szacujemy Waszą Królewską Mość dwadzieścia dziewięć srebrników — odpowiedział kwestarz. — Zdaje się, że bez krzywdy, kiedy o jeden tylko srebrnik mniej od naszego Zbawiciela.

Król spojrzał po dworzanach; nie było co odpowiedzieć.

— Jak daleko z ziemi do nieba? — zapytał znowu król.

— Moment drogi, Miłościwy królu, skonanie! — odpowiedział kwestarz — Idzie tylko o to, aby nie zbłądzić i nie trafić do piekła; od czego, aby Bóg ustrzegł Waszą Królewską Mość, my, niegodni słudzy jego, gorliwie modlić się będziemy.

Król pokręcił głową.

— No, ostatnie pytanie: co ja myślę?

— Wasza Królewska Mość myślisz — mówił kwestarz —

że kiedy mnie tu wysłali, to ja muszę być mądry teolog, a ja prosty brat pałkuć — kwestarz, do usług Waszej Królewskiej Mości.

— Brawo! — zawołał król i wszyscy za nim: brawo!

— Wygrałeś sprawę, że *providentia Dei* opiekuje się wami i nie opuszcza was w każdym kłopocie. Poczem zaprosił go wzajemnie na obiadek i nakoniec sowicie obdarzonego odesłał. *Ignacy Chodźko.*

24. Sól. II.

Jak powstały olbrzymie pokłady soli, zaopatrujące tylu ludzi w ten tak pożyteczny minerał? Uczeni długo zastanawiali się nad tą sprawą, aż ostatecznie wyjaśnili ją w sposób zadowalający.

Wiadomo, że jeżeli do kwarty wody (1000 gramów) wrzucimy 350 gramów soli, to cała ta sól rozpuści się w niej zupełnie. Jeżeli jednak dodamy jeszcze trochę, to ta ilość, jaka będzie ponad 350 gramów, nie rozpuści się już wcale i zostanie na dnie; woda bowiem może rozpuszczać w sobie sól, tylko w takim stosunku, aby jej znajdowało się nie więcej nad 350 części na 1000 części wody. Taki roztwór, zawierający możliwie największą ilość soli, nazywa się nasyconym; chociażbyśmy do niego dodali jak najwięcej soli, nie rozpuści się już ani jeden kawałeczek.

Jeżeli taki nasycony roztwór soli wylejemy na talerz lub miskę i postawimy na słońcu, aby woda mogła łatwo parować, to wkrótce zmniejszy się w nim jej ilość, a soli zostanie stosunkowo za dużo. Woda jednak nie może nigdy zawierać jej więcej po nad ilość nasycającą; cały więc ten nadmiar soli wydzieli się z roztworu, opadnie na dno i utworzy na niem cieniutką warstewkę. Im następnie woda będzie więcej parowała, tem więcej soli będzie się osadzało i tem grubsza jej warstwa pozostanie na talerzu.

Takie zjawiska osadzania się soli na dnie zachodzą i w naturze wszędzie tam, gdzie woda jest nią nasycona. Zauważyć tego naturalnie nie można w morzach, ponieważ tam strata wody przez parowanie bywa sowicie wynagra-

dzaną przez obfity jej dopływ ze wszystkich rzek, wlewających się do morza. To też nie bywa ono nigdy nasycone solą i nie zawiera jej nigdy więcej nad 35 części na 1000.

Co innego jeziora, ubogie w dopływy, i tak zwane laguny, to jest, zatoki zamknięte i odcięte od morza, zwłaszcza gdy leżą w klimacie cieplejszym. Tutaj z powodu gorąca w lecie woda paruje bardzo silnie, a że dopływów jest bardzo mało, zachodzi więc to samo, co na talerzu, wystawionym na działanie słońca: roztwór staje się coraz gęściejszy, następnie, zaczyna wydzielać z siebie sól, która osiada wzdłuż brzegów i na dnie, tworząc na niem mniej lub więcej grubą warstwę.

Jezior takich na ziemi znajduje się bardzo dużo. Słynne jest oddawna z takiego wysychania morze Martwe, w którem woda doszła już do takiego nasycenia solą, że żadne stworzenie żyć w niem nie może. Bardzo dużo (do 2000) takich jezior posiadają stepy Astrachańskie, okalające od północy morze Kaspijskie. Stanowią one dno wielkiego morza, które powoli wyschło, pozostawiając jako ślad po sobie te liczne jeziorka, wysychające stopniowo tak samo, jak i ono.

Największem wśród nich jest jezioro Eltońskie, mające 250 kilometrów kwadratowych powierzchni. Na niem sprawdzono w sposób nadzwyczaj przekonywujący tworzenie się osadów solnych. W jeziorze tem co rok na początku lata osadza się na dnie cienka warstewka gipsu, który jest trudniej rozpuszczalny, niż sól, i dlatego wydziela się pierwej, potem w miarę większego parowania tworzy się na nim grubszy pokład soli, osadzający się już od jesieni. Następnie, gdy się powietrze oziębi, parowanie się zmniejsza i osadzanie soli ustaje. A gdy przyjdzie wiosna i skąpe dopływy jeziora zostaną nieco obficiej zaopatrzone w wodę, wlewają się one do niego, a wraz z nią przynoszą zawsze pewną ilość mułu gliniastego i piasku, którymi przykrywają pokłady solne, powstałe zeszłego lata.

Powtarza się to wciąż w kółko: co lato tworzą się nowe pokłady soli, oraz towarzyszących jej minerałów rozpuszczalnych, co wiosna woda przykrywa je warstwą gliny i piasku. Jeżeli wiosna trafi się sucha, pokład gliny może się nie utworzyć i nowa letnia warstwa soli osiędzie wprost

na dawnej. Gdy znowuż lato bywa mokre, sól nie osiędzie wcale, albo osiędzie w nieznacznej ilości i wówczas wytworzy się grubsza warstwa gliny. W każdym razie wody w jeziorze wciąż ubywa, aż wreszcie wyschnie ono zupełnie i przeistoczy się w mniej lub więcej gruby pokład soli kamiennej.

W taki sposób powstały wszystkie pokłady tego minerału, które się znajdują na ziemi i tak samo tworzą się wciąż nowe z istniejących obecnie jezior słonych. Znajdują się też one w rozmaitych stopniach wysychania.

Jezioro Eltońskie jest jeszcze bardzo oddalone od zupełnego wyschnięcia; dawniej jednak było znacznie większe, jak tego dowodzą duże pokłady soli kamiennej, poprzedzielane warstwami gliny, znajdujące się w pobliżu jego brzegów. Morze Martwe posunęło się już dalej i jest znacznie więcej wyschnięte.

Co do Wieliczki, to uczeni przypuszczają, że pokłady jej powstały nie z jeziora, lecz z laguny, zatoki, odciętej od morza, które pokrywało całą nizinę u stóp Karpat; znajdowane bowiem w jej soli szczątki muszelek należą do gatunków morskich. Morze to w pewnych odstępach czasu wlewało wodę słoną do laguny, a ciągłe parowanie zgęszczało roztwór i umożliwiało tworzenie się osadów soli na dnie. Że to zaś istotnie nastąpiło, przypisać należy okoliczności, iż w owych dawnych czasach klimat zarówno u nas, jak i w całej Europie środkowej, był znacznie cieplejszy, taki mniej więcej, jak dziś na południowych wybrzeżach morza Kaspijskiego. To też posiada ono takie prawie zupełnie odcięte zatoki (np. Adży-Darya), na których dnie osadzają się co lato warstwy soli kamiennej, przygotowując nowe jej pokłady dla przyszłych czasów i przyszłych pokoleń.

25. Pierścień św. Kingi.

W lat kilka po pierwszej burzy tatarskiej, jeszcze przed darowizną ziemi sądeckiej, prawdopodobnie około r. 1247., udała się księżna krakowska w odwiedziny do ojca. Król Bela obwoził córkę dla rozrywki po różnych okolicach swego państwa. Między innemi zwrócono podróż ku stronom gór

karpackich, w krainę marmo-ruską, rozciągającą się wzdłuż południowych granic Pokucia. Słynęła ta okolica z nadzwyczajnie bogatych kopalń soli rodzimej. Ojciec księżny krakowskiej chciał ucieszyć swego miłego gościa widokiem podejmowanej w kopalniach pracy górniczej. Zatrzymał się podróżny dwór królewski u jednej z żup tamtejszych, otwierających się kilku szachtami, czyli szybami w dolną głąb ziemi. Niezwyczajny obraz podziemnego trudu kopaczy zabawił wielce księżnę młodzieńczą. Żywe atoli przywiązanie do ziemi po drugiej stronie gór i do narodu nadwiślańskiego zasępiło zabawę myślą: czemu i kraina krakowska nie osiągnęła tak pożądanego błogosławieństwa niebios?

Polska nie znała jeszcze podówczas swych własnych skarbów solnych. Rodziło wprawdzie całe podgórze krakowskie niemało soli, lecz była to prawie wyłącznie sól warzona, tak zwana surowica. Wydobywano ją od najdawniejszych czasów na górze Sola, w Bochni, w Wieliczce, tudzież w wielu innych miejscach przyległych. O surowicy bocheńskiej czytamy już za czasów Kazimierza Sprawiedliwego, między latami 1178. a 1194., kiedy pewien pan krakowski, zwany Michora, nadał Miechowitom znaczny dochód z soli bocheńskiej. Jeszcze dawniejsze wzmianki znachodzą się o Wieliczce. Ta była zapewne jeszcze w wiekach pogaństwa głośną z żup swoich. Za czasów Bolesława Krzywoustego, w pierwszych latach XII. stulecia, o cały wiek przed napadem mongolskim i św. Kingą, pobierali Benedyktyni tynieccy od dawnej już pamięci, prawdopodobnie jeszcze od panowania Bolesława Chrobrego, znamienitą intratę solną. Na kilka lat przed przyjściem św. Kingi miał opiekun Bolesławów, Henryk Brodaty, zapewnioną sobie część dochodów wielickich. Były więc dawno przed św. Kingą warzelnie i kopalnie soli w ziemi krakowskiej, była mianowicie w Bochni sól źródłowa, a w Wieliczce źródłowa i kamienna. Wszakże jak Bochnia przy samej soli źródłowej w najmniejsze z późniejszą Bochnią górniczą nie mogła iść porównanie, tak nawet podwójne bogactwo Wieliczki, ubogiej jeszcze podówczas wioski, nie wystarczało bynajmniej na codzienne potrzeby ludności okolicznej. Miała zatem dobrotliwa księżna krakowska wszelki powód do ubolewania nad swoim

krajem, iż nie posiada takiej urodzajności solnej, jaką właśnie zadziwiały gości królewskich kopalnie marmo-ruskie.

W podobnem usposobieniu ozwała się księżna polska do ojca, aby jej darował jeden z szybów kopalni, w który właśnie z nad powierzchni ziemi w tej chwili spoglądano, a którym życzliwa matka ludu pragnęła przyjść w pomoc niedostatkowi swojej drogiej ojczyzny. Prośba św. Kingi zdawała się tem mniej niezwykła, ile że w czasach owych, tak w Węgrzech, jako też w Polsce, każda kopalnia królewska szła pospolicie już to darem, już wypłatą zaległej należytości, w podział i posiadanie wielu osobnych, nieraz wcale oddalonych, a niekiedy nawet zagranicznych ulubieńców lub służebników królewskich. Nie zdziwiony tedy prośbą swej córki, uczynił jej zadość król Bela, przyznając św. Kindze darem szyb zażądany. Dobroć ojca rozweseliła księżnę młodzieńczą. W natchnieniu igraszki niewinnej umyśliła ona wziąć w posiadłość dar rodzicielski, jakoby chcąc zapobiedz, aby niczyja protestacya nie mogła zaprzeczać go w przyszłości. Dopełniano podówczas takiego uwłaszczenia się różnymi symbolicznymi znakami, bądź to uroczystem przywdzianiem podanej sobie przez łaskodawcę czapki, bądź to uniesieniem z sobą grudki ziemi z gruntu darowanego, bądź wreszcie godłem pierścienia, którym albo pan łaskodawczy wwiązywał obdarzonego w nową posiadłość, albo sam obdarzony brał ją wrzuceniem obrączki swojej w jawne odtąd dzierżenie. Św. Kindze podobał się ten ostatni, najwłaściwszy w tej chwili sposób. Zdjęła więc niewielki złoty pierścionek z palca i z uprzejmym uśmiechem wrzuciła go w głąb szybu tuż pod stopami. »Wszyscy, co tam natenczas byli, za żart to raczej, niźli jako rzecz istną przyjmowali«. Tymczasem ten błogi żart wprowadzał księżnę i ziemię krakowską rzeczywiście w używanie szybu darowanego. Pierścień św. Kingi spadł między pracujących w głębi górników, a już to jednocześnie z powracającą nad Wisłę księżną, już to w poblizkiej temu chwili ciągnęły liczne do Polski wozy, naładowane solą z szybu marmo-ruskiego i wędrowali tam z Marmoruszu górnicy solni, mianowicie kopacze z szybu św. Kingi, zawezwani do żup krakowskich w celu lepszego ich urządzenia, zbadania i rozszerzenia.

Jakoż okazują się w Polsce około tego czasu, to jest, w samej połowie stulecia, istotne ślady nowo podejmowanych trudów w tej mierze. Osobliwie zajmowano się nowszą żupą bocheńską. Miał w tem główny udział braciszek Benedyktynów tynieckich, późniejszy opat tego klasztoru, Wierzbięta. W roku 1248., w dokumencie dla klasztoru staniąteckiego, nazywa go książę Bolesław Wstydliwy tak ze względu na jego pracę, jako też koszta niemałe, wielce zasłużonym około żupy bocheńskiej. Atoli użyte przy tem wyrażenie żupnicze *caldarium*, panew, warzelnia, zastosowywane niezmiennie tylko do soli źródłowej, służy za wskazówkę, że w roku 1248. znano w Bochni jeszcze tylko sól wodną. Tymczasem czyniono wciąż dalsze próby kopania w różnych miejscach poblizkich, czy to nowych źródeł, czy też kamiennej szukając soli. Przy jednej z takich prób, we dwa lata po onej wzmiance o żupniczych trudach braciszka Wierzbięty, roku 1251. zajęci wygłębianiem studni górnicy, prawdopodobnie węgierscy, może nawet ciż sami, wobec których św. Kinga swój pierścionek w szyb marmo-ruski wrzuciła, dokopali się w Bochni twardych pokładów soli. Dano o tem upragnionem zdarzeniu czemprędzej wiadomość do Krakowa księstwu obojgu, a zwłaszcza księżnie Kindze, która ze wszechmiar najgorliwszy w tem udział brała. Z błogosławioną nowiną przynieśli górnicy do Krakowa zarazem ów złoty pierścionek marmo-ruski, opowiadając, iż go znaleziono w pierwszym rozbitym bałwanie szybu nowego. Od tej chwili pamięć szczęśliwego odkrycia skarbów bocheńskich, będącego niejako tylko następstwem onego »żartu« w kopalni zakarpackiej, zespoliła się nierozerwanie z jego narzędziem, z cudownym pierścieniem św. Kingi...

Liczne dowody świadczą, że bogactwo solne w tym czasie i za sprawą św. Kingi było odkryte. Zaczynając od mniej stanowczych, moglibyśmy wymienić tu kapliczkę drewnianą, wystawioną przy gościńcu do Bochni, w miejscu, gdzie pierwszy bałwan soli odkryto, a jeszcze w w. XVII. jako pamiątkę tego wypadku pokazywaną. Drugim, nierównie wymowniejszym pomnikiem jest całe miasteczko Bochnia, założone na gruncie dawnej ubogiej wioski tegoż nazwiska w tymże dopiero czasie r. 1253., t. j., we dwa lata

po odkryciu kopalni, gdy dla świeżego jej urządzenia dwór książęcy często teraz w Bochni przebywać zaczął, a zyskowny targ nowej soli liczną w tę stronę przynęcił ludność. Dalsze dowody zawierają się we spółczesnych lub blizkoczesnych zapiskach roczników przeddługoszowych, z których kilka, jak n. p. Rocznik krakowski i sieniawski, opiewają wyraźnie: »R. P. 1251. odkryto w Bochni sól twardą!« Najważniejsze wreszcie świadectwo możemy wykazać w własnych słowach książęcia Bolesława Wstydliwego, wyrzeczonych w dokumencie testamentowym, wydanym na cztery dni przed śmiercią, dnia 6 grudnia r. 1279., na korzyść kościoła krakowskiego. Przekazując mu znaczny dochód z żupy bocheńskiej, oświadcza umierający książę wyraźnie, że kopalnia bocheńska została dopiero za jego czasów odkryta, a polecenie samegoż zapisu szczególnej opiece i egzekucyi św. Kingi, zdaje się wskazywać w niej główną nowoodkrytej żupy patronkę.

26. Dzwon wawelski.

Słyszycie! W Zygmunta dzwonią.
Powietrze wstrzęsły rozdźwięki,
I ciężkie, poważne jęki
Falami Wisły gonią;
W miedziane dachy uderzą,
Walą się w ulice miasta,
Aż się po rynku rozszerzą.

Rok 1520.

Onego czasu król dzwon kazał ulać
I wybudował mu wieżę wysoką;
A król potężny miał sławę szeroką,
Chciał, by swobodnie i dzwon mógł pohulać.
Wieżę naprzeciw ściany Tatrów stawił,
By większe echo aż do morza grało,
Żeby potęgę narodu rozsławił
I w twarz północy zabrzmiał jego chwałą.
I dzwon ulany na karkach stu wołów
Wybiegł na wieżę i zawisł u szczytu;
I wylał z siebie w przepaści błękitu
Pierwszy hymn Boga, jak chóry aniołów.
Głos leciał w górę w pełnych, brzmiących kołach

I wstęgę dźwięków, jak piorun, rozwinął,
Rozbudził echa po gór chmurnych czołach
I do stóp Boga zapłynął!
A od imienia króla mu nadano
Na tym chrzcie »Zygmunta« miano.

Rok 1532.

Z pod Obertyna wracał Jan z Tarnowa,
A nad nim sztandar tryumfu wiał;
W gałązkach dębu jego siwa głowa,
A w oczach ogień zapału tlał.
A przed nim szło pięćdziesiąt dział
I u stóp króla usiadły;
A za działami zdobyte sztandary
Pod stopy króla się kładły;
I z gołą głową wołoskie bojary
Na twarz przed królem upadły!
I zstąpił z tronu on król sędziwy,
Jana do serca przycisnął;
Sławą narodu dumny, szczęśliwy,
Łzą rozczulenia zabłysnął.
I kiedy starzec ściskał starca dłonie męskie,
Dzwon rozgrzmiał po powietrzu swe hymny zwycięskie,
A naród uchem w duszę wciągnął tę pieśń wzniosłą
A wzrok mu się rozogniał i serce mu rosło!...

Edmund Wasilewski.

27. Kraków starożytny.

Chodząc dziś po ulicach Krakowa, niepodobna stworzyć sobie obrazu jego minionej świetności. Tylko oko znawcy może rozpoznać dzieło zniszczenia, nad którem pracował koniec XVIII. wieku i smutniejsze jeszcze czasy byłej krakowskiej Rzeczypospolitej. Przeszły przez nasz starożytny gród nędza materyalna i ubóstwo ducha, które zamiast w przeszłości czerpać do nowej pracy i do nowego rozwoju otuchę, starało się ją wszelkimi sposobami z pamięci i widoku swojego wykreślić. Osobliwszy wandalizm prześladował każdy strop dębowy w komnatach, każdy łuk gotycki w podwojach i sieniach, każdą kolumnę w facyacie domów; łamał śmiało dachówkowe szczyty, zacierał tynkiem każdy ślad rzeźby i ciosu, bo przez wszystkie te resztki i ślady dawna wielkość przemawiała gorzkim wyrzutem do umy-

słów pokolenia, które tak głęboko upadło. Trzeba dziś szerokiej znajomości dziejów, trzeba gruntownych studyów, trzeba ujrzeć miasto, jak Norymberga, które dawną swą szatę umiało zachować, ażeby stworzyć sobie obraz stolicy polskiej z XV., XVI. i XVII. stulecia, ażeby stawić sobie przed oczy tę barwną, a zarazem poważną mozaikę gotyku, renesansu i baroka, na którą w Krakowie składały się świątynie i gmachy publiczne, drobne, ale urocze, artystyczne domy i domki mieszczańskie i wspaniałe dwory senatorskich rodzin i miejskich magnatów, Morsztynów, Bonarów, Pipanów, Lubomirskich, Wielopolskich, Kmitów i... ktoby ich wszystkich wyliczył?

Ale Kraków ten wielki, wspaniały, sięga początkami swoimi co najwyżej czasów Kazimierza Wielkiego. Jakże wyglądał przedtem, przed Kazimierzem w XIII. i w początkach XIV. stulecia? Podróżnego, który wówczas przebiwszy się przez gęste lasy, znalazł się w obliczu Krakowa, inny uderzał widok. Nie było jeszcze przedmieść, nie było Kazimierza, Kleparza, które osobne później stanowiły miasta — Kraków zamykał się w obrębie dzisiejszych plantacyi, a strzegły go nie tyle słabe mury, ile szerokie rowy i ostrokoły. Jeźli je gość przekroczył, znalazł już te same co dzisiaj i tak samo nazwane ulice, przy nich domy chędogie, ale skromne, wystawione przeważnie z drzewa, po części jeszcze strzechą słomianą pokryte, ogrodami zwykle od siebie odgraniczone; znalazł rynek w pośrodku z ratuszem i handlowymi kramami, a w miejscu późniejszych świątyń ujrzał kościółki, w których styl gotycki łamał się dopiero z romańskim. Było się gdzie pomodlić, można było znaleźć gospodę i posiłek; ale jeżeli gościem owym był Polak i na ulicy do przechodnia w ojczystym języku przemówił, przekonał się, że go nie rozumiano, że mowa polska kończy się u bram miasta, a w obrębie jego żywioł i język niemiecki wszechwładnie panuje.

Miejsce dawnej osady polskiej, skupiającej się około grodu książęcego na Wawelu, zajęło w połowie XIII. wieku miasto niemieckie, a na to zjawisko złożył się znany przewrót w dziejach Polski XIII. wieku. Komuż nie stanęły w pamięci, kto raz o nich zasłyszał, owe straszne napady Mongołów, które tylekroć Polskę ówczesną zalały? Pierwsza

nawała, prowadzona przez samego Batuchana, spaliwszy Sandomierz, Kraków i Wrocław, a oparłszy się dopiero o Lignicę, nie pozostawiła po sobie kamienia na kamieniu, a otworzyła wrota nieustannym najazdom barbarzyńskiej dziczy. Słabi wskutek podziałów po śmierci Krzywoustego książęta nie mogli im stawić skutecznego oporu, a tak w krótkim przeciągu czasu dzielnica, na której niegdyś pierwsi Bolesławowie opierali swoją potęgę, gdzie kwitnęło rolnictwo, a pod osłoną grodów polskie zaczynały się rozwijać miasta, stała się jedną wielką, przerażającą pustynią. Resztki ludności, które nie padły pod mieczem i ogniem najeźdźców, które nie poszły w gorszy od śmierci jasyr, błąkały się po lasach wystraszone, wylękłe; społeczeństwo straciło swoją spójnię, brakło do pracy rąk, kapitału, a nadewszystko otuchy. Wówczas to dla kraju, pogrążonego w ostatniej ruinie, pozostał jeden środek ratunku, sprowadzenie i osiedlenie Niemców, chętnych do pochodu na Wschód, w słowiańskie dziedziny. Nie było chwili do stracenia; chwycili się go oburącz książęta, a osobliwie panujący podówczas w ziemi krakowskiej, sandomierskiej i sandeckiej Bolesław Wstydliwy. Przykład księcia naśladowali biskupi krakowscy, naśladowały przedewszystkiem zamożne i Niemcami obsadzone opactwa w Miechowie, na Świętym-Krzyżu, w Sieciechowie, na Tyńcu, w Mogile i t. d. Kolonizowały się Niemcami ze Śląska, z Saksonii, z Frankonii, a nawet z Flandryi wsie polskie, miasteczka i miasta. Wówczas też na zgliszczach dawnego polskiego Krakowa odbudował się nowy, niemiecki Kraków. Obraz tej kolonizacyi skreślony jest w przywileju, wydanym miastu w r. 1257. przez Bolesława Wstydliwego, a przechowanym dotychczas w oryginale w tamtejszem archiwum miejskiem. Jest to formalny kontrakt, zawarty między panującym a przedsiębiorcami kolonizacyi.

Przedsiębiorców takich było trzech: Gedeon, zwany Stylwoyt, Jakób, niegdyś sędzia z miasta śląskiego Nisy, i Dytmar Wolk, wszyscy trzej oczywiście Niemcy, prawdopodobnie ze Śląska przybyli. Zobowiązali się oni miasto Kraków samymi cudzoziemcami zaludnić i odbudować, ale pod warunkami, które im książę Bolesław w przywileju zapewniał.

Zakreślono obszar ziemi, na którym miało się wznieść i z niego użytkować nowo powstające miasto. Wisła stanowiła jego południową granicę, Mogiła wschodnią, rzeczka Prądnik północną, posiadłości klasztoru zwierzynieckiego zachodnią. Wsie Rybitwy i Krowodrza, leżące w tym obrębie, pastwisko na błoniach i łąki, las na górze Chwacimiech, dziś świętej Bronisławy, rybołowstwo, młyny wodne na Prądniku i Wiśle: wszystko to stanowić miało wieczystą i nieograniczoną własność Krakowa. Na tym obszarze gromadzili się koloniści, których przedsiębiorcom ze wszystkich stron Niemiec stosunkami i wpływem swoim udało się ściągnąć i których wieść o zakładającem się wielkiem mieście, o korzystnych dla jego rozwoju warunkach, o łaskawości książąt i udzielonych przywilejach wabiła. Najważniejszym z tych przywilejów było nadanie miastu prawa magdeburskiego. Było to zapewnieniem, że przybysze niemieccy, osiedlający się w Krakowie, znajdą tu drugą swoją ojczyznę, urządzoną na wzór najgłośniejszego podówczas w całych północnych Niemczech miasta Magdeburga. Na modłę magdeburską miały się w Krakowie zorganizować cechy, urządzić rady miejskie i wójtowskie sądy. Kraków otrzymał samorząd w najrozleglejszem tego słowa znaczeniu. Żaden urzędnik książęcy nie śmiał granicy miasta w urzędowym charakterze przestąpić, żadnego urzędnika nie śmiał książę do nadzoru nad sprawami miejskiemi ustanowić. Ludność polska włościańska do obywatelstwa miejskiego nie miała przystępu. Miasto posiadało prawo bicia monety, swobodę od podatków na lat sześć, wolność podróżowania z towarzyszami po całym kraju bez opłaty ceł na lat dziesięć, obowiązek służby wojennej w granicach krakowskiego księstwa.

Korzystając z tych przywilejów, a nie mając ciężarów, urządzał się też i zabudowywał Kraków sposobem niemieckim. Podług planu z góry obmyślanego stanęły najpierw domy, stanowiące czterokątny rynek, *Ring*, większy niż gdziekolwiek w Niemczech, jak na stolicę wielkiego wkrótce państwa przystało; dalej ulice: *Burggasse*, grodzka, prowadząca do wawelskiego grodu, *Spitäler-*, *Florians-*, *Johannis-*, *Slavkovsen-*, *Stephanis-*, *Schuh-*, *Juden-*, *Wissner-*, *Bruder-*

gasse, to jest: Szpitalna, Floryańska, Świętojańska, Sławkowska, Szczepańska, Szewska, Żydowska, Wiślna, Bracka i inne pomniejsze. Ofiarami ogółu i szczodrobliwością Iwona Odrowąża wznosiły się częścią z gruzów, częścią z nowego, oprócz kapliczki św. Wojciecha kościoły: *Unserer lieben Frau, heiligen Crucis, sinte Marc* i *sinte Stephanus*, t. j. Maryacki, św. Krzyża, św. Marka i św. Szczepana, obok klasztorów Franciszkanów i Dominikanów. Książę Bolesław wystawił wreszcie własnym nakładem Sukiennice i kramy na środku rynku, obok miejskiego *rathhausu*, ratusza. Wszystko to, otoczone rowami, wałami i jakiem takiem obwarowaniem, przedstawiało całość w sobie zamkniętą, pełną ruchliwego życia, o ile początkowo skromną, o tyle z każdym dniem silniej się rozwijającą i nieustannym napływem obcej ludności, osobliwie ze Śląska, wzmaganą.

Niemcy krakowscy pojęli wybornie geograficzne swe stanowisko. Położeni tuż prawie przy granicy swojej dawnej ojczyzny, zachowawszy z nią ścisłe stosunki, a widząc przed sobą niezmierzone przestrzenie Wschodu, chwycili w swoje ręce pośrednictwo w handlu między Zachodem a Wschodem. Dwie wielkie drogi handlowe w Krakowie się krzyżowały: jedna prowadziła od brzegów morza Czarnego przez Lwów do Wrocławia, druga z Moskwy i Nowogrodu przez Sącz do Węgier i Wiednia. Otóż mieszczanie krakowscy, otrzymawszy najpierw od Bolesława czasowe, następnie zaś od Leszka Czarnego zupełne uwolnienie od ceł, a wyrabiając sobie pomału wolność handlu na Mazowszu, w Węgrzech, Rakusiech, na Rusi, a nawet w odległej Moskwie, skupiali w swoich rękach handel całego Wschodu i olbrzymie zeń ciągnęli korzyści.

Kiedy w r. 1305. Łokietek zwycięsko powracał do dzielnicy przodków, Kraków przechylił się na jego stronę, nie pierwej jednak, aż nowy monarcha nowym przywilejem dawne prawa zatwierdził i nowych, ile tylko miasto mogło zażądać, udzielił. Mieściło się tu przedewszystkiem prawo przymusowego składu. Żaden obcy kupiec w myśl tego prawa nie miał mijać Krakowa, lecz przybywszy tu ze swoim towarem, musiał go mieszczanom krakowskim odprzedać. Postanowienie to łatwo było podówczas wykonać. W kraju

zupełnie bezdrożnym drogi wiodące przez Kraków były to szlaki jedyne, wijące się wśród nieprzebytych dziewiczych lasów i jeszcze więcej niedostępnych moczarów, mirem, to jest opieką książęcą nad podróżnymi, i towarem ich obwarowane. Zboczyć z nich dla karawany kupieckiej było istnem niepodobieństwem. Teraz więc mieszczanie krakowscy kupowali tamże towar przychodzący zarówno ze Zachodu jak z Północy, Południa i Wschodu, a nałożywszy mu dowolną cenę, wysyłali go i jeździli z nim w przeciwnym kierunku. Konkurencya upadła, Kraków chwycił w swoje ręce najzupełniejszy monopol. *Michał Bobrzyński.*

28. Odwiedziny u Lelewela.

W biednej, zimnej i małej izdebce, pochylony nad stołem, założonym książkami, siedział starzec i coś pilnie pisał. Mróz świecił na ścianie, ale on tego zdawał się nie czuć, pióro jego ciągle posuwało się żwawo po papierze. Wtem drzwi się rozwarły, i do pokoju weszła dziewczyna, niosąc tacę, a na niej filiżankę czystej herbaty, oraz suchą bułkę i postawiła tacę na stole piszącego. Tuż za dziewczyną wsunął się do izby jakiś wytwornie ubrany jegomość i kłaniając się grzecznie rzekł:

— Witam pana, panie Lelewel.

Starzec podniósł czoło, skłonił się uprzejmie głową gościowi i rękę do niego wyciągnął.

— Witam cię, Ludwiku — rzekł — proszę, siądź bliżej przy mnie.

Gość przysunął się śpiesznie, ścisnął podaną sobie dłoń i zajął próżne krzesło, stojące przy stoliku.

— Ależ zimno u pana potężnie — rzekł, zacierając ręce.

— Eh! nie zimno, mój panie: przy pracy krew się rozgrzewa i mrozu się nie czuje — odparł wesoło starzec.

— Szczęśliwyś pan, że w tak późnym wieku tak łatwo znosisz zimno; lecz kiedy opał pana nic nie kosztuje, to mógłbyś przynajmniej na posilniejsze pozwolić sobie śniadanie — odparł gość, patrząc na skromną herbatę.

— Co kto lubi, mój panie kochany. Ja n. p. wolę na śniadanie porozmawiać z Herodotem, ojcem historyków, lub z na-

szym Bielskim, niż jeść bażanty. Mnie tego rodzaju pożywienie więcej sił doda, niż najwykwintniejsze specyały. Na wykwinty pokarmowe nie stać mnie, wybieram więc to, co mi więcej smakuje.

Gość uśmiechnął się, przypuszczając skąpstwo w zacnym starcu i nic nie odpowiedziawszy, zwrócił rozmowę na inny przedmiot.

Minęło pół godziny; znowu drzwi izdebki się rozwarły, i w progu jej stanął jakiś biedak.

— Panie, zlituj się nademną: syn mój chory śmiertelnie, nie mam za co go ratować — rzekł drżącym głosem.

Lelewel podniósł głowę, w oczach jego odmalowało się współczucie, dobył z kieszeni woreczek, wyjął kilka sztuk srebrnej monety i wsunął je w rękę biedaka.

Gość scenie tej przypatrywał się z zaciekawieniem i wielkim podziwem, a gdy obdarzony wyszedł, błogosławiąc dobroczyńcę, przysunął się do starca i całując go w rękę, rzekł z uczuciem i drżącym głosem:

— Przebacz, zacny panie, bo patrząc na twe aż nazbyt skromne życie, nieoględnie posądziłem cię o sknerstwo. W tej chwili poznałem błąd swój... Wybacz więc, żem pozór wziął za prawdę.

— Nie gniewam się — odrzekł Lelewel — i nie dziwię się twej omyłce. Pozór u ludzi ma wielkie znaczenie, z pod którego prawda z trudnością się wydobywa, a często dusi ją, by na świat nie wyszła. Jam z pozorem zerwał na zawsze, wyglądam też, jak stary biedaczysko, co głód łagodzi modlitwą, a ludzie nie wiedzą, żem bogacz, bo nic od nich nie potrzebuję.

29. Koronacya wnuki Kazimierza Wielkiego.

Źle się działo po śmierci Kazimierzowej w Polsce; zdało się, iż gmach potęgi narodowej, z takim mozołem, acz szczęśliwą dłonią przez wielkiego króla wznoszony, w gruzy się rozpadnie i nic z niego krom wspomnienia nie zostanie. Z przerażeniem na stan rzeczy patrzyli ludzie, kraj miłujący, a jeden z nich zapisał, ku wieczystej rzeczy pamięci:

»Magnaci i szlachta gnębią się wzajemną grabieżą i po-

żogą; nawet takich jest niemało, którzy do tego dążą, aby nie mieć żadnego króla, lecz samym sobie przywłaszczyć dobra koronne i obrócić wszystkie wedle upodobania na własny pożytek. Stąd uciemiężenie ubogich, upadek sprawiedliwości, dowolne powodowanie się nie tak słusznością i rozumem, ile raczej popędami chwilowego zachcenia...«

O zamyśle przeistoczenia Polski w Rzeczpospolitą możnowładczą mówiono bardzo głośno i kto wie, czy nie to skłoniło wreszcie Elżbietę, wdowę po Ludwiku węgierskim, do wysłania córki nad Wisłę. Jakkolwiekbądź, długie oczekiwania narodu spełnione zostały — na niebie Polski zajaśniała zorza poranna Jadwigi.

W początku października r. 1384. nadeszły od Tatr wiadomości, iż młodziuchna królewna do granic Polski się zbliża, a niebawem, na szlaku św. Kingi, ukazał się jej dwór podróżny. »Utworzony z długiego rzędu pojazdów dworskich i pańskich, otoczony strażą zbrojną i konnym orszakiem towarzyszącej szlachty węgierskiej, zajmował szeroką przestrzeń gościńca. Zamykał go zaś nieprzejrzany sznur podwód i bryk pakownych, wiozących królewską wyprawę Jadwigi, bogatą w gotowe złoto i srebro, w drogie kamienie i klejnoty, w kosztowne naczynia, szaty, kobierce i złotogłowy...«

Na czele, jako przewodnik główny podróży jechał sędziwy kardynał arcybiskup strzygoński, Dymitr, a obok niego, jako drugi opiekun królewny, podążał biskup czanadzki, Jan. Pod bezpieczną opieką dostojników Kościoła, wśród licznego grona szlachetnych matron i dziewic, bądź wierzchem, na świetnie przystrojonym bachmacie, bądź w kolebie złocistej, podtrzymywanej z boków przez sążnistych pajuków, jechała trzynastoletnia królowa objąć panowanie. W miarę zbliżania się do Polski, zajeżdżali jej drogę znaczniejsi dygnitarze koronni i łączyli się z orszakiem. Zanim tedy mieszczaństwo krakowskie wyszło z powitaniem, już otaczał Jadwigę tłum świetny wojewodów i kasztelanów.

Niebawem oczom podróżnych ukazał się Kraków prastary, w objęciu warownych wałów i rowów. I było coś podobne ono miasto — jak prawią dawni pisarze — do lutni okrągłością swą, a ulica Grodzka z zamkiem jest jako szyja w lutni właśnie. Miało też coś podobnego do orła, którego

głowę przedstawia zamek, szyję — ulica Grodzka, przedmieścia zasię około niego są jako skrzydła jakie.

W obliczu tej nadobnej, po za Wisłą rozłożonej stolicy, przyjęła Jadwigę na Krzemionkach, na górze Lasoty świąteczna procesya duchowieństwa, mieszczaństwa i ludu krakowskiego. Po chorągwiach kapituły i klasztorów dążyło pod chorągwią własną dostojne grono panów rajców krakowskich, jaśniejących bogatym jedwabnym strojem, srebrzystemi obręczami i przypiętym u obręczy kordelasem. Za orszakiem konsulów widniały mniej okazałe grona i proporce cechów rozlicznych. Za zbliżeniem się królowej wszystkie proporce ukłonem głębokim hołd jej złożyły, poczem odbyła się zwykła ofiara daru powitalnego. Ofierze tej, chorągwiom i oznakom radości ludu towarzyszyło brzmienie nieodzownej kapeli — trąb, surm, fletni, piszczałek, oraz krotochwile przeróżnych wesołków.

Przy bramach stolicy odbyły się nowe sceny powitalne. Zabrzmiały dzwony rozgłośne świątyń, ukazał się liczny orszak dziewic przedziwnej urody, w bieli, z płonącemi świecami, ze śpiewem na ustach; nie brakło też młodzi szkolnej, śpiewającej z wielkiem ożywieniem, a za grosz. Ponieważ nieodzownem godłem uciechy były wówczas gęste światła, tedy płonęły i jarzyły się one w rękach duchowieństwa i ludu, w latarniach, porozwieszanych przed domami, w olbrzymich stosach, nieconych po ulicach i placach miejskich. Śród takich oznak radości udała się Jadwiga naprzód do świątyni, gdzie ucałowała najprzedniejsze relikwie i zostawiła ofiarę bogatą, potem dopiero na zamek podążyła.

Jadwiga ujęła sobie wszystkie serca od pierwszego spojrzenia. Kronikarz pisze o tem: »Taka zaś była prałatów i panów polskich ku niej przychylność, tak wielka i serdeczna miłość, że, zapominając prawie swej męskiej powagi, nie mieli sobie za żadną ujmę i sromotę podlegać tak zacnej i cnotliwej niewieście«. Jakoż tą miłością i przychylnością powodowani, postanowili ją niezwłocznie ukoronować i na królowę polską namaścić. »I nie dziw. Wiedzieli bowiem, że tak była wychowaną i ukształconą, iż w niej cnota urodę, skromność powaby, piękność przymioty serca, czystość dziewicza sławę, a łagodność i słodycz obyczajów ród zacny

przewyższała. Widzieli ją rzadkimi na podziw wdziękami od przyrody ozdobioną, ćwiczoną w naukach, układną w obejściu, zachowującą stateczność i powagę nietylko urodzeniu swemu, ale i kobiecie właściwą, przytem umiarkowanie, skromność osobliwą i wstydliwość. Nieba użyczyły jej w darze tak cudnej i wdzięcznej postaci, jakiej żadne nie wydały wieki, a w niej zamieszkała skromność, jedyna i najzacniejsza niewiast ozdoba. Zdawało się, że w kolebce, wraz z mlekiem macierzyńskiem, wpojone jej były wszystkie cnoty. Zaledwie bowiem wyszła z lat dziecinnych, taki już okazywała rozsądek i dojrzałość, że cokolwiek mówiła lub czyniła, wydawało jakoby sędziwego wieku powagę«.

Wprawdzie nie posiadano korony Bolesławów, tę bowiem Ludwik uwiózł do Węgier, ale gorąca miłość narodu uzupełniła ten niedostatek ceremonii. Uznano dawną koronę niewieścią, która służyła do koronowania małżonek królewskich, za odpowiadającą ważności ukoronowania króla polskiego i już w kilka dni po przybyciu, w niedzielę, 15. października, dopełniono na Jadwidze uroczystej koronacyi. Więc dnia tego, wczesnym rankiem, zgromadzili się w zamku krakowskim wszyscy dostojnicy koronni, najznamienitsi panowie świeccy i wszelkie, obecne w stolicy duchowieństwo, któremu przewodniczył arcybiskup gnieźnieński, Bodzanta, i biskup krakowski, Jan Radlica. Po modlitwie wstępnej i pokropieniu Jadwigi wodą święconą wyruszył pochód uroczysty ku katedrze. Przodem ciągnęli panowie i szlachta świecka, za nimi dostojnicy duchowni: opaci z pastorałami, w infułach, biskupi w szatach pontyfikalnych, arcybiskup polski i arcybiskup-kardynał węgierski. Zaczem szli dygnitarze koronni z godłami władzy królewskiej. Koronę niósł kasztelan krakowski, berło wojewoda krakowski, jabłko i miecz inni wojewodowie. Tuż za nimi, pod baldachimem złocistym, przez resztę panów i senatorów trzymanym, szła młodociana królowa, w kapłańskiej albie, tunice, dalmatyce, w sandałach złocistych, w płaszczu królewskim, po którym spływały długie, obfite jej włosy, tworzące w rozpuszczeniu swojem jakby drugi płaszcz, niemniej piękny. Obok królowej postępowały matrony dostojne, między innemi ksienie i przeoryszki krakowskie. Tłum dworzan i szlachty, z pło-

nącemi świecami, wreszcie trębacze i fletniści, ochoczo przygrywający na instrumentach swoich, zamykali ten pochód wspaniały.

W katedrze, gdzie w pośrodku, na podniesieniu, ustawiono tron królewski, złożono godła monarsze na ołtarzu; królowa z orszakiem dworskim zatrzymała się u jego stopni. Rozpoczęła się Msza święta. Przed ewangelią zbliżyła się Jadwiga do ołtarza, arcybiskup zaś zwrócił się do niej z pytaniem:

— Zali chcesz zachowywać wszelkie prawa, swobody i przywileje narodu polskiego?

— Chcę. Tak mi Boże dopomóż — brzmiała odpowiedź, a słowa te miały wagę przysięgi.

Uklękła potem Jadwiga, szata koronacyjna rozchyliła się, Bodzanta palcem wielkim, zwilżonym w oleju Świętym, dokonał obrzędu namaszczenia; wziął następnie arcybiskup koronę z ołtarza i na skronie Jadwigi włożył. Jednocześnie zabrzmiały wszystkie trąby, rogi i fletnie, a z piersi zgromadzonego ludu wyrwał się na cześć królowej okrzyk tak potężny, że świątynia wstrząsnęła się w posadach.

Po ewangelii zasiadła Jadwiga na tronie. Aby ciężka, dużymi klejnotami wysadzana korona nie uciskała długo skroni dziewiczych, unieśli ją dwaj dostojnicy koronni nieco w powietrze i trzymali tak do końca uroczystości.

W czasie Ofiarowania zstąpiła Jadwiga z tronu, złożyła w szczerozłotem naczyniu chleb i wino w ofierze na ołtarzu, a za przykładem królowej każdy z panów ofiarował, co łaska. Wróciwszy znów na tron, została tam królowa aż do Komunii kapłańskiej. Wtedy zbliżyła się raz jeszcze do ołtarza, aby przyjąć w pokorze Ciało i Krew Pańską. Po Mszy świętej wrócił orszak opisanym wyżej porządkiem na zamek, gdzie już przygotowano ucztę.

Nazajutrz dopełniła Jadwiga prastarego zwyczaju: odebrała w rynku, przed ratuszem, tym »stołecznym zamkiem mieszczaństwa«, hołd i przysięgę wierności miejskiej. Tedy w okazałym pochodzie, w stroju królewskim objechawszy rynek, zasiadła przed ratuszem na tronie; przed nią uderzyli czołem burmistrz i dwudziestu czterech konsulów apostolskich (rajców), wójt, jedenastu sędziów-ławników,

wreszcie wszystka pospólność miejska, na której czele szło czterdziestu starszych.

Długo trwały uroczystości koronacyjne, a radość narodu była wielka, wprost z serca płynąca.

30. Zaścianek.

Słynie szeroko w Litwie Dobrzyński zaścianek
Męstwem swoich szlachciców, pięknością szlachcianek,
Niegdyś możny i ludny: bo gdy król Jan Trzeci,
Obwołał pospolite ruszenie przez wici,
Chorąży województwa z samego Dobrzyna
Przywiódł mu sześćset zbrojnej szlachty. Dziś rodzina
Zmniejszona, zubożała. Dawniej w pańskich dworach,
Lub wojsku, na zajazdach, sejmikowych zborach,
Zwykli byli Dobrzyńscy żyć o łatwym chlebie.
Teraz zmuszeni sami pracować na siebie,
Jako zaciężne chłopstwo! Tylko że siermięgi
Nie noszą, lecz kapoty białe, w czarne pręgi,
A w niedzielę kontusze. Strój także szlachcianek
Najuboższych różni się od chłopskich katanek:
Zwykle chodzą w drelichach albo perkaliczkach,
Bydło pasą nie w łapciach z kory, lecz w trzewiczkach,
I żną zboże, a nawet przędą — w rękawiczkach.

Różnili się Dobrzyńscy między Litwą bracią
Językiem swoim, tudzież wzrostem i postacią.
Czysta krew lacka, wszyscy mieli czarne włosy,
Wysokie czoła, czarne oczy, orle nosy;
Z dobrzyńskiej ziemi ród swój starożytny wiedli,
A choć od lat czterystu na Litwie osiedli,
Zachowali mazurską mowę i zwyczaje.
Jeśli który z nich dziecku imię na chrzcie daje,
Zawsze zwykł za patrona brać Koroniasza:
Świętego Bartłomieja albo Matyasza;
Tak syn Macieja zawżdy zwał się Bartłomiejem,
A znowu Bartłomieja syn zwał się Maciejem.
Kobiety wszystkie chrzczono Kachny lub Maryny;
By rozeznać się w pośród takiej mieszaniny,
Brali różne przydomki od jakiej zalety,
Lub wady, tak mężczyźni jako i kobiety.
Mężczyznom czasem kilka dawano przydomków,
Na znak pogardy albo szacunku spółziomków;
Czasem jedenże szlachcic inaczej w Dobrzynie,
A pod innem nazwiskiem u sąsiadów słynie.

Dobrzyńskich naśladując, inna szlachta blizka
Brała również przydomki, zwane »imioniska«.
Teraz ich każda prawie używa rodzina,
A rzadki wie, iż mają początek z Dobrzyna;
I były tam potrzebne, kiedy w reszcie kraju
Głupiem naśladownictwem weszły do zwyczaju.

Adam Mickiewicza (Pan Tadeusz).

31. Łostaje.

(Ustęp z »Pamiętników kwestarza«).

Jużem się pod Krewo podbierał i wjechałem w leśne i pagórkowate okolice, między któremi i samo Krewo sytuowane, gdy spostrzegłem po wzgórkach i dolinach narzucone gęsto dworki, przy niektórych ogródki, przed niektórymi sadzawka, niektóre nawet z ganeczkami, a przy każdym zabudowania gospodarskie, mniejsze od pańskich, większe od okolicznej szlachty, z którą znam się od dawna. W pośrodku nad strumieniem kapliczka z kulistym dachem i jedną z boku wieżyczką cienką. Zdziwiłem się jednak: i kapliczka i wieżyczka bez krzyża!

— Już blizko Bienica — rzekł Jaś, wiozący mnie — tylko półtory mili. To Łostaje.

— A cóż to Łostaje?

— Tu na Łostai mieszkają Tatary. Oto dworek pana rotmistrza Ulana, tamten pana porucznika Baranowskiego, tamten przy meczecie, to ich mołny, a ten przy naszej drodze, to największego ich murzy, majora Amurata Bielaka. My tu często z tatulą na robocie rymarskiej bywaliśmy, nim mnie on do klasztoru nie oddał.

— Ha — pomyślałem sobie — więc niema po co do muzułmanów zajeżdżać. — Mijaj — rzekłem do Jasia.

Mijaliśmy więc dworek pana Amurata, gdy on sam powracając z pola, spotkał nas przed swojemi wrotami i — Stój! — zawołał.

— Niech będzie... — zacząłem z nałogu — upadam do nóg! — dokończyłem, postrzegłszy się.

— Na wieki wieków... kłaniam uniżenie! — odpowiedział, uśmiechając się. — A dlaczegóż to mijasz poczciwych ludzi i sąsiadów? Boś pewnie z Bienicy.

— Śpieszę — rzekłem — do klasztoru.

— Kłamiesz, księżulu! Widzę, żeś nowicyusz w tych stronach, bo cię nie znam; a nie zajeżdżasz do Tatarów, bo myślisz, że muzułman zamknie ci wrota, albo powie: fora ze dwora! A mylisz się. Twoi poprzednicy nie mijali nas, a my też nie mijamy waszego klasztoru. Na tamtym świecie rozsądzim się o wiarę, a na tym żyjemy w sąsiedztwie po przyjacielsku. Wstąp więc do mojej Witołdówki, a obaczysz, że kołdun tatarski wart bernardyńskiego brzucha.

»*Hora canonica*« zbliżała się, wzmógł się apetyt, a jak na licho, lubię kołduny. Przyszło mi wprawdzie na myśl, że to tam u nich i młoda źrebięcina uchodzi podobno; ale jednak nie bardzo temu wierząc i szczeremu zaproszeniu odmówić nie mogąc, zawróciłem we wrota.

Sam pan Amurat, lat z górą pięćdziesiąt mieć mogący, łysy jest, ale wąs ma zawiesisty i nie po dworsku zakręcony i gumowany, lecz suty i siwy i obwisły, że mu aż gębę zakrywa. *Facies* przystojna, chociaż nieco śniada i *tandem* za szeroka, wydaje jego *progeniturę*. Na nim kurtka i szarawary płócienne, szyja i łeb nagie, a w ręku harap myśliwski.

— Hej, Ajeszko! — zawołał wchodząc do sieni, a na to wybiegła w jupce tarlatanowej młoda *et quidem*, jak na Tatarkę, ładna dziewczyna. Stropiła się nieco, spostrzegłszy mnie.

— Oto moja jedynaczka — rzekł pan major. — Nie lękaj się, córko! Mamy, widzisz, gościa, więc drugą kopę kołdunów wsyp do rądla. A tymczasem napijem się wódki. Mahomet zabronił nam wina, miłościwy księżulu, ale o wódeczce w alkoranie cyt! A zatem my winu dajem kwit, a wódeczkę i luleczkę ciągniem sobie tak, troszeczkę. Proszę do izby.

Weszliśmy więc do izby pana Amurata. Pierwsza obszerna: stół dębowy na środku, zydle naokoło. Druga maleńka, tam łóżko i na ścianie wojenny rynsztunek pana majora. Między tem zdziwił mnie łuk jakiś starodawny, więc zacząłem go rozpatrywać.

— A co? kwestarzu! dziwisz się broni, którą przodkowie moi wojowali? Tak, tak, jest to najdroższa nasza pamiątka,

jest to łuk naszego przodka, Kara Mirzy, który długo wojując z Litwą, nakoniec gdy w bitwie jednej dowodził przeciw księciu Witołdowi, okryty ranami dostał się z wielką częścią swej ordy w niewolę. Poosadzał ich miłościwy ten książę, a waleczny rycerz w różnych miejscach swojego kraju: w Niemieży, w Wace, a Kara Mirza, nasz przodek, dostał tu na Łostai ziemię. I książę nazywał go Bielakiem naprzeciw imienia Kara, co znaczy w naszym języku Czarny. Służył mu potem Bielak w wielu różnych wyprawach, wszędzie mężnie i wiernie stawając, a skarbiąc sobie coraz większe łaski księcia.

Dawno temu już było, panie bracie, bo przed laty czterystu a może i więcej, plemię tatarskie rozmnożyło się na Litwie i zawsze poczciwie krajowi służyło. A po naszym walecznym przodku dochowujemy razem z ziemią jemu nadaną i ten łuk jego. Z głowy na głowę dziedzictwem to przechodzi. Ani ziemi, ani łuku żaden Bielak za miliony nie odda; a choć który zholoje, to składamy z ostatniego na zapomogę brata, byle nie wpuścić cudzego intruza między siebie. Gospodarstwo u nas nie wielkie, często na Bejram ostatnia idzie pod nóż krowa; ale za to do korda każdy gracz, do trzeciego Tatarowi nie gadaj; każdy od młodości prochu powąchał, a tchórza i piecucha z tureckim abszytem wypędzilibyśmy z Łostai.

Przy tym rozhoworze pan major dostał flaszkę z policy i — »Do wasana!« — rzekł, nalewając sobie spory kieliszek; a wychyliwszy do dna i ocierając sobie wąsy, rzekł: *Tacto pectore* upewniam cię, że wyśmienita!

— *Tacto pectore!* a to co? — rzekłem zdziwiony — skąd ta łacina?

— Z ust szlacheckich, mospanie! bo chociaż w szkole nie bywałem, rózgi nie widziałem, ale przysłowi poczciwych szlacheckich od dziadów i ojców uczymy się; a choć i z nich żaden łaciny nie umiał, ale kiedy położywszy rękę na sercu powiedział Tatar litewski: *tacto pectore!* to jakby na głowę Mahometa przysiągł. Nie chlubiąc się, krew ich i we mnie płynie. Jestem synem jenerała Bielaka, którego zna cała Litwa... Dżgnij zatem, bracie kwestarzu, bo przez ścianę słyszę, że wrą kołduny w ukropie.

Jakoż wnet weszła panna Ajesza z przyborem stołowym, a za nią służąca wniosła runtową misę kołdunów. Smakowita woń rozeszła się po izbie. Zasiedliśmy we dwóch tylko, bo ze zwyczaju tatarskiego rodzaj żeński osobno stołuje się, a służy do stołu mężczyznom, jakoby panom swoim.

Wyśmienite! *magni saporis* kołduny! Objeść się, odchwalić nie mogłem, a gospodarz prośbą i przykładem zachęcał. Jakoż misa się wypróżniła i popiliśmy dla konkocyi wódeczką.

Wstawszy od stołu, podziękowałem Bogu po swojemu, (pan major jakby tego nie widział) potem i jemu samemu, a po takim bankiecie niedługo czekając, poszliśmy obaj spać do odryny i już słońce dobrze za południe przeszło, gdyśmy się ze smacznego spoczynku obudzili.

— No, teraz księżulu, dam ci barana pięknego na pierwszą znajomość.

— A więc tu, na Łostajach, nie widzieliście maroderów francuskich, kiedy jeszcze są barany?

— Oho! jakto? tak blisko traktu żyjemy, a więc zawitali oni i do nas. Doczekałem się w Witoldówce dawnych znajomych, bo poznałem się z Francuzami na przeszłych wojnach. Ale przyjęliśmy tu ich po tatarsku i po żołniersku. Trafiła kosa na kamień, to jest trafiły karabiny i bagnety na dubeltówki, pałasze i pistolety. Wiedzieliśmy już z sąsiedztwa, co dokazują ci nieproszeni goście; codzień więc byliśmy gotowi na przyjęcie. Gdy się nakoniec pokazali, wystąpiliśmy wszyscy w mundurach naszych oficerskich. Było ich kilkudziesięciu, ale i nas było ze trzydziestu! W odwodzie zaś ukryłem w życie drugie tyle chłopków, z czem kto miał: z fuzyą, z siekierą, choćby z dobrym kijem.

Szli rabusie długim obozem. Kilkanaście fur ciągnęło wśród nich z narabowanemi rzeczami i z ich cielęcinkami. Gdy weszli w ulicę, spostrzegli nas na dziedzińcu — zastanowili się. Patrzaliśmy na siebie z daleka. Oni się naradzali, a my nie ruszaliśmy się z miejsca, czekając, aż z całym taborem wejdą w ciasną tę, co widzisz, wygrodzoną ulicę i pominą moją zasadzkę, w życie za płotem ukrytą. Po naradzie nabili broń i kupno ruszyli ku nam.

Wzajemnie zakomenderowałem: Dubeltówki z ramienia! — i maszerowałem ku nim.

— Russ? — zawołali, podnosząc karabiny.

— Tatar! — odpowiedziałem, podnosząc dubeltówkę, a pałasze gołe wisiały u nas na temblakach na rękach.

Opuścili karabiny, patrząc to na siebie, to na nas. My natenczas, nie dając czasu do opamiętania się, fuzye na plecy, pistolety z za pasa i hajże ku nim! Razem gwizną-łem przeraźliwie, rezerwa moja wypadła z krzykiem z za płotu. Nie było im czasu do karabinów, albo do nasadzania bagnetów, bo każdy prawie miał pistolet u piersi. Wrzasnąłem więc: Pardon! albo *caput* — a gdyby który palcem tylko kiwnął, kula byłaby mu w sercu... Przerażeni, w mgnieniu oka pardonowali się, i batalia wygrana. Zabraliśmy cały obóz i broń, i samych rycerzy dostawiłem do Oszmiany. Rabowane rzeczy porozbierali sąsiedzi, każdy swoje. Było i potem jeszcze kilka harców, z których zawsze zwycięsko wyszliśmy. W jednym z nich moją damascenką uciąłem dwa bagnety, jakby świeczki łojowe, co niezmiernie zadziwiło Francuzów. Nakoniec zaniechali nas, co dla obu stron szczęśliwie i dla waści, księżulu, bo ci barana dać mogę.

Jakoż i dał.

— A pokaż-no, dobrodzieju — rzekłem, wróciwszy do izby, gdy nam panna Ajesza kawę podała — owę damascenkę, którą bagnety, jak świeczki, rozcinasz.

— Skądże ta Bernardynowi sympatya do pałasza?

— Aj, bo go niegdyś, jako szlachcic, przy boku nosiłem.

— Oto go masz — rzekł, zdejmując z kółka i obnażając z pochwy. — To moja sukcesya po ojcu, generale Bielaku. Wart być obok łuku Kara Mirzy, bo był w ręku nieodrodnego odeń potomka.

— Prawda — rzekłem — klinga prawdziwa turecka, ale osada i furdyment nasz.

— Tak, bracie! — odpowiedział Amurat — takie pałasze nosim przy boku i sami takimi jesteśmy. Rozumiesz?

Patrzałem mu w oczy, które się nagle zapłomieniły i rzekł dobitnie:

— Tak! Tatarskie prawe i ogniste serce — to klinga. Szlachecka mowa i głowa — furdyment!

Wtem mołna zaryczał na meczecie; pan Amurat szedł na modlitwę — i pożegnaliśmy się *ad felix videndum!*

Ignacy Chodźko.

32. Odzyskanie Rusi przez Jadwigę.

»My, Jadwiga z Bożej łaski królowa Polski etc. oznajmujemy wszystkim, których się to tyczy, jako, zważywszy wierne i wielorakie usługi i niezmierną stałość w wierności, jaką względem przodków naszych a świeżo względem naszej królewskiej Mości nasi wierni i kochani bojarowie, szlachta, klienci, wójt, rajcy, mieszczanie i cała powszechność ziemi naszej przemyskiej okazali i w przyszłości, za Bożą pomocą, jeszcze bardziej okazać będą mogli, — to zważywszy i pragnąc tychże naszymi łaskawymi otoczyć względami, niemniej chcąc dać przykład złym, iżby widząc łaskawość naszą dobrych naśladowali, tymże wymienionym i ich przynależnym przywileje, prawa i wolności ich, oddawna posiadane nie tylko potwierdzamy i na wieki ważnemi mieć chcemy, ale jak niżej wyłuszczono, pomnażamy. Obiecujemy więc tymże wiernym naszym, że, jeśli im lub komukolwiek z ich przynależnych przyjdzie pójść z nami lub ze starostą naszym na wyprawę wojenną, natenczas my za ich szkody lub niewolę stać chcemy i pomoc im damy, w takiej wszakże mierze, jak było zwyczajem gdzieindziej u przodków i poprzedników naszych. Przyrzekamy dalej, że tejże ziemi przemyskiej od korony królestwa naszego polskiego nigdy nie odłączymy, że jej w ręce jakiego książęcia nie damy, ani też starostą księcia lub kogokolwiek z książęcego rodu tamże nie postawimy, ale tylko Polaka lub Rusina, ze szlacheckiego rodu pochodzącego. Chcemy nadto biskupów przemyskich, prałatów, kanoników i obydwie kapituły, to jest katolicką i ruską, kościoły ich, dobra i włości przy ich dawnych prawach i zwyczajach na wieki utrzymać«.

Przywilejem takim, danym przez królowę Jadwigę przy wkroczeniu na Ruś w Jarosławiu dnia 18. lutego r. 1387, rozpoczęła Polska na nowo rządy swoje na Rusi Czerwonej. Tymczasem bowiem nie tylko Polska dźwignęła się z rozprężenia, otrzymując młodszą córkę Ludwika, Jadwigę, za

królowę, ale małżeństwem tejże z Jagiełłą przyszło do skutku dzieło, w przyszłości na zawsze utrwalić się mające, dzieło, jakiego trudno znaleźć w dziejach przykład: dobrowolne połączenie się dwóch państw, litewsko-ruskiego i polskiego, w jednę nierozłączną całość. Gdy w ten sposób wszystkie części Rusi weszły w skład tej nowej całości, przywrócenie ostatniej, tej właśnie, która przed wiekami była już polską i którą Węgrzy nieprawnie byli zabrali, wynikło samo z siebie. Podczas tedy, kiedy Jagiełło wybrał się z krzyżem apostolskim na swoją Litwę, panowie polscy, postawiwszy na czele młodocianą królowę, poszli odzyskiwać od Węgrów spuściznę Bolesławów i Kazimierzów. W Węgrzech srożyła się właśnie okropna rewolucya. W miejsce pojmanej przez własnych poddanych królowej węgierskiej usiłował bróździć Polakom Władysław Opolczyk i mimo, że już przed siedmiu laty zrzekł się był Rusi Czerwonej, wystąpił ponownie jako prawdziwy właściciel tego kraju, wydał list do Rusinów, wzywając ich do oporu Jadwidze, był sam w lipcu poprzedniego roku we Lwowie i pozyskał dla siebie ówczesnego starostę Rusi z ramienia Węgier, Andrzeja, której to okoliczności szewcy przemyscy zawdzięczają swój przywilej, przez tegoż starostę Andrzeja 15. sierpnia 1386. wystawiony. Gdy wszakże teraz pojawiła się na Rusi Jadwiga, opór ze strony węgierskiej załogi był nader słaby; grododzierżca halicki, Benedykt, bez wielkich wysileń zmuszony został do kapitulacyi. Z jakiem zaś sercem przyjął sam naród tutejszy polską królowę, to widzimy z przytoczonego na wstępie przywileju dla ziemi przemyskiej.

Oto na wieść o wstąpieniu królowej polskiej na ziemię przemyską wychodzą wszyscy dygnitarze nasi naprzeciw niej do Jarosławia, pan wójt Michał i rajcy, obaj biskupi, Eryk i Wasyli, obie kapituły, bojarzy, szlachta i lud i nie tylko poddają się chętnie jej koronie, ale proszą o zapewnienie, że ich i w przyszłości od Polski nie odłączy. Dziwna zaiste zmiana! Wszak to w tym samym Przemyślu przed blizko pół wiekiem Dymitro Detko z Daniłem Ostrogskim głównie mieli swoje oparcie! Atoli dalsza prośba, do Jadwigi zaniesiona, aby im nie dawano na pana lub na starostę nikogo z rodu książęcego, ale tylko szlachcica Polaka lub Ru-

sina, poucza nas, o co tu chodziło. Dały im się we znaki rządy węgierskie, Opolczyka i starostów węgierskich, i przeciwko powrotowi podobnych stosunków chcieli uzyskać zabezpieczenie. Jadwiga też przychyla się do wszystkich próśb tych, potwierdza i rozszerza ich przywileje, daje zupełne równouprawnienie obydwu narodowościom i wyznaniom, a to wszystko ze względu na niezmierne ich zasługi i niczem niezachwianą wierność względem niej i jej przodków, które innym za wzór postawić należy. Niestety! nie umiemy bliżej określić, kiedy to przedtem ojcowie nasi mieli sposobność tyle względem polskiej zasłużyć się korony; ale tyle podobno ze słów tych, jako też z podobnych, gdzieindziej często napotykanych, wnosić nam trzeba, że przez cały czas rządów węgierskich istniało między Rusinami stronnictwo polskie, w którem ziemia przemyska jedno z najprzedniejszych miejsc zajmowała.

Ale nie sama tylko ziemia przemyska była tak względem korony polskiej usposobioną. Wiadomo powszechnie, że to samo prawie co do litery powtórzyło się przy wstępie Jadwigi na ziemię lwowską w Gródku, że nie brakło nawet takiej samej prośby, do Jagiełły przez Lwowian zaniesionej, aby ich nie oddawano jakiemu książęciu, ale na wieki przy koronie polskiej zatrzymano. Nigdzie też najmniejszego śladu o jakimkolwiek oporze ze strony narodu; nawet taki Fedor, książę Ostrogski, potomek Daniła, z domu, który tak przedtem, jak i potem, był głową malkontentów ruskich, zdobywa sobie względem korony polskiej »świetne zasługi« i śpieszy niebawem u stóp pięknej królowej złożyć czołobitność swoją. Wobec tego podobno nie można inaczej utrzymywać, jak tylko, że to ostatnie zajęcie Rusi Czerwonej przez Polskę przyjęte zostało przez Rusinów z powszechną radością.

Odtąd też Ruś Czerwona na zawsze przy Polsce pozostała, odtąd prysły wszelkie zapory, jakie za Kazimierza jeszcze asymilacyi obu narodów stały na zawadzie. Kolonizacya i idące za nią zagospodarowanie pustych obszarów, wzrost handlu przez otwarcie wolnych dróg od morza do morza, szerzenie religii, obyczajów, wyobrażeń, kultury, życia zachodu, polepszenie wogóle warunków bytu, postępo-

wały teraz z nadzwyczajnym pośpiechem. Roiła się za Jagiełły Ruś od obcych przybyszów: magnatów, szlachty, ludu, Polaków, Węgrów, Niemców, Wołochów. W ziemi naszej najszerzej rozsiadły się teraz dwa odłamy jednej wielkiej rodziny: Tarnowscy i Melsztyńscy. Jaśko z Tarnowa, wyniesiony teraz do godności jeneralnego starosty Rusi, otrzymał od Jagiełły dwa klucze: przeworski i jarosławski; brat zaś jego Spytek z Melsztyna klucz samborski. Nadto zagnieździły się już teraz w naszej ziemi rodziny Kmitów i Tarłów; Zaklice czyli Tarle ze Szczekarzewic dostał się bowiem od Jagiełły Stryj, Piotr Kmita zaś otrzymał Dubiecko. Nie wspominamy już o innych, mniej głośnych rodzinach szlacheckich. Jakiekolwiek mogły być ich zamiary, że się na Ruś przesiedlały, wszystkie one wiednie lub bezwiednie pracowały w jednym kierunku: zagospodarowania i zbliżenia Rusi ku Zachodowi. A jakim sukcesem uwieńczyła się ta ich praca, można wnosić n. p. z tej okoliczności, że w samych ziemiach przemyskiej i sanockiej można wykazać czterdzieści miejscowości, w których za samego Jagiełły powstały parafie katolickie. W jakiej progresyi wzrastał dobrobyt kraju, można mieć miarę w tem, że za Jagiełły dwanaście miast naszych otrzymało prawo niemieckie, lub z nieznacznych miejscowości do rzędu miast wyniesione zostało; a mianowicie najprzód przywilejem, danym we Lwowie dnia 1. października 1389., sam Przemyśl; następnie — wymieniam w chronologicznym porządku — Nowy Sambor, Leżajsk, Mościska, Dubiecko, Niżankowice, czyli Krasnopole zwane, Rymanów, Brzozów, Drohobycz, Stryj, Radymno i Mrzygłód.

Lecz to wszystko samo dla siebie tylko drobne, partykularne korzyści. Stańmy wyżej, najwyżej, tam gdzie te pierwotne ideały, których urzeczywistnienia na ziemi Bóg się od nas domaga, ideały dobra, piękna i prawdy! Azaliż w tej nowej epoce swoich dziejów, jaka się obecnie, z trwałem jej połączeniem z Polską rozpoczyna, w epoce wspólnego pożycia z bratnim, cywilizacyjnie wyżej od niej stojącym narodem, w epoce, w której wciągnięta w skład rzeszy państw zachodnich mogła czerpać pełną dłonią ze skarbów, przez najpłodniejsze w myśli narody zebranych, azali, mó-

wimy, Ruś w tej nowej dobie nie stanęła bliżej tego posłannictwa, jakie jej Bóg razem z innymi przeznaczył narodami?

Dr. Anatol Lewicki.

(Obrazki z najdawniejszych dziejów Przemyśla).

33. Katarynka.

Żaden śmiertelnik nie jest wolny od jakiegoś dziwactwa, a pan Tomasz miał także swoje. Oto — nienawidził kataryniarzy i katarynek.

Gdy usłyszał na ulicy katarynkę, przyśpieszał kroku i na parę godzin tracił humor. On, człowiek spokojny, zapalał się; jak był cichy, krzyczał, a jak był łagodny, wpadał w gniew na pierwszy odgłos katarynkowych dźwięków.

Pan Tomasz był mecenasem. Dom, w którym mieszkał, przechodził kilka razy z rąk do rąk. Rozumie się, że każdy nowy właściciel uważał za obowiązek podwyższać wszystkim komorne, a najpierwej panu Tomaszowi. Mecenas z rezygnacyą płacił podwyżkę, ale pod tym warunkiem, wyraźnie zapisanym w umowie, że katarynki grywać w domu nie będą.

Niezależnie od kontraktowych zastrzeżeń pan Tomasz wzywał każdego nowego stróża i przeprowadzał z nim taką mniej więcej rozmowę.

— Słuchaj-no, kochanku... A jak ci na imię?

— Kazimierz, proszę pana.

— Słuchajże, Kazimierzu! Ile razy wrócę do domu późno, a ty otworzysz mi bramę, dostaniesz dwadzieścia groszy. Rozumiesz?...

— Rozumiem, wielmożny panie.

— A oprócz tego będziesz brał odemnie dziesięć złotych na miesiąc, ale wiesz, za co?

— Nie mogę wiedzieć, jaśnie panie — odpowiedział wzruszony stróż.

— Za to, ażebyś na podwórze nigdy nie puszczał katarynek.

— Rozumiem, jaśnie wielmożny panie.

Z drugiej strony podwórza, wprost okien pana Toma-

sza, znajdował się lokal, wynajmowany osobom mniej zamożnym. Długi czas mieszkał tu stary urzędnik sądowy, który spadłszy z etatu, przeniósł się na Pragę. Po nim najął pokoiki krawiec; lecz ten, że lubił niekiedy upijać się i hałasować, więc wymówiono mu mieszkanie. Później sprowadziła się tu jakaś emerytka, wiecznie kłócąca się ze swoją sługą. Ale od św. Jana staruszkę, już bardzo zgrzybiałą i wcale zasobną, pomimo jej kłótliwego usposobienia wzięli na wieś krewni, a do lokalu sprowadziły się dwie panie, z małą, może ośmioletnią dziewczynką.

Kobiety utrzymywały się z pracy. Jedna szyła, druga wyrabiała pończochy i kaftaniki na maszynie. Młodszą z nich i przystojniejszą dziewczynka nazywała mamą, a starszej mówiła »pani«.

I u mecenasa i u nowych lokatorów okna przez cały dzień były otwarte. Kiedy więc pan Tomasz usiadł w swoim fotelu, doskonale mógł widzieć, co się dzieje u jego sąsiadek.

Były tam sprzęty ubogie. Na stołach i krzesłach, na kanapie i na komodzie leżały tkaniny, przeznaczone do szycia, i kłębki bawełny na pończochy.

Z rana kobiety same zamiatały mieszkanie, a około południa najemnica przynosiła im niezbyt obfity obiad. Zresztą każda z nich prawie nie odstępowała od swojej turkocącej maszyny.

Dziewczynka zwykle siedziała przy oknie. Było to dziecko z ciemnymi włosami i ładną twarzyczką, ale blade i jakieś nieruchawe. Czasami dziewczynka za pomocą dwu drutów wiązała pasek z bawełnianych nici. Niekiedy bawiła się lalką, którą ubierała i rozbierała powoli, jakby z trudnością. Czasami nie robiła nic, tylko siedząc w oknie, przysłuchiwała się czemuś.

Pan Tomasz nie widział nigdy, ażeby dziecię to śpiewało lub biegało po pokoju, nie widział nawet uśmiechu na bledziutkich ustach i nieruchomej twarzy.

— Dziwne dziecko! — mówił do siebie mecenas i począł przypatrywać się jej uważniej.

Spostrzegł raz (było to w niedzielę), że matka dała jej mały bukiecik. Dziewczynka ożywiła się nieco. Rozkładała i układała kwiaty, całowała je. W końcu związała napowrót

bukiecik, włożyła go w szklankę wody i usiadłszy w swojem oknie, rzekła:

— Prawda mamo, że tu jest smutno...

Mecenas zgorszył się. Jak mogło być smutno w domu, w którym on od tylu lat miał dobry humor!

Jednego dnia mecenas znalazł się w swoim gabinecie około czwartej. W tej godzinie słońce stało naprzeciw mieszkania jego sąsiadek, a świeciło i dogrzewało bardzo mocno. Pan Tomasz spojrzał na drugą stronę podwórza i widać zobaczył coś niezwykłego, gdyż z pośpiechem założył na nos binokle.

Oto, co spostrzegł.

Mizerna dziewczynka, sparłszy głowę na ręku, położyła się prawie na wznak w swojem oknie i szeroko otwartemi oczyma patrzała prosto w słońce. Na jej twarzyczce, zwykle tak nieruchomej, grały teraz jakieś uczucia: niby radość, a niby żal...

— Ona nie widzi! — szepnął mecenas, opuszczając binokle. W tej chwili doświadczył kłócia w oczach na samą myśl, że ktoś może wpatrywać się w słońce, które ziało żywym ogniem.

Zdarzyło się w tych czasach, że jeden z przyjaciół mecenasa miał proces i jak zwykle, oddał mu do przejrzenia papiery z prośbą o radę. Wprawdzie pan Tomasz nie stawał już w sądach, ale jako doświadczony praktyk, umiał wskazać najwłaściwszy kierunek akcyi i wybranemu przez siebie adwokatowi udzielał pożytecznych objaśnień.

Sprawa obecna była zawikłana. Pan Tomasz, im więcej wczytywał się w papiery, tem bardziej zapalał się. W emerycie ocknął się adwokat. Nie wychodził już z mieszkania, nie sprawdzał, czy starto kurz w salonach, tylko zamknięty w swoim gabinecie, czytał dokumenty i notował.

Na drugi dzień pan Tomasz jeszcze siedział nad aktami; około drugiej zjadł obiad i znowu siedział.

Matka ociemniałej i jej wspólniczka, robiąca pończochy na maszynie, podziwiały mecenasa i mówiły, że wygląda na czerstwego wdowca, który ma zwyczaj od rana do wieczora drzemać nad biurkiem.

Tymczasem mecenas, choć przymykał oczy, nie drzemał wcale, tylko rozmyślał nad sprawą.

Gdy tak mecenas nurzał się w powikłanych kombinacyach, zdarzył się dziwny, trudny do pojęcia wypadek.

Na podwórzu pod samem oknem pana Tomasza, odezwała się — katarynka!...

I żeby to przynajmniej była katarynka włoska, z przyjemnymi tonami fletowymi, dobrze zbudowana, grająca ładne kawałki! Gdzie tam! Jakby na większą szykanę katarynka była popsuta, grała fałszywie ordynaryjne walce i polki, a tak głośno, że szyby drżały. Na domiar złego trąba, niekiedy się w niej odzywająca, ryczała, jak wściekłe zwierzę.

Wrażenie było potężne. Mecenas osłupiał. Nie wiedział, co myśleć i co począć. Chwilami gotów był przypuścić, że przy odczytywaniu pośmiertnych rozporządzeń chorego na umyśle obywatela X., po którym miał ów przyjaciel dziedziczyć, jemu samemu pomieszało się w głowie i że uległ halucynacyom.

Ale nie, to nie były halucynacye. To była rzeczywista katarynka, z popsutemi piszczałkami i bardzo głośną trąbą!

W sercu mecenasa, tego wyrozumiałego, tego łagodnego człowieka zbudziły się dzikie instynkty. Uczuł żal do natury, że go nie stworzyła królem dahomejskim, który ma prawo zabijać swoich poddanych i pomyślał, z jaką rozkoszą położyłby w tej chwili kataryniarza trupem.

A ponieważ u ludzi tego temperamentu, co pan Tomasz, bardzo łatwo w gniewnem uniesieniu przechodzi się od zuchwałych projektów do najstraszniejszych czynów, więc mecenas skoczył, jak tygrys, do okna i postanowił — zwymyślać kataryniarza najgorszymi wyrazami.

Już wychylił się i otworzył usta, aby krzyknąć: »Ty... próżniaku jakiś!...« gdy wtem usłyszał dziecięcy głos.

Spojrzał na przeciwko.

Mała, niewidoma dziewczynka tańczyła po pokoju, klaszcząc w ręce. Blada jej twarz zarumieniła się, usta śmiały się, a pomimo to z zastygłych oczu płynęły łzy jak grad.

Ona, biedactwo, w tym domu spokojnym, dawno już nie doświadczyła tylu wrażeń! Jak pięknem zjawiskiem wydawały się jej fałszywe tony katarynki! Jak wspaniałym był ryk trąby, która mecenasa mało nie przyprawiła o apopleksyę.

Na dobitkę, kataryniarz, widząc uciechę dziecka, zaczął przytupywać wielkim obcasem w bruk i pogwizdywać, niby lokomotywa przed spotkaniem się pociągów.

Boże! jak on ślicznie gwizdał...

Do gabinetu mecenasa wpadł wierny lokaj, ciągnąc za sobą stróża i wołając:

— Ja mówiłem temu gałganowi, jaśnie panie, żeby natychmiast wygnał kataryniarza! Mówiłem, że od jaśnie pana dostanie pensyę, że my mamy kontrakt... Ale ten cham! Tydzień temu przyjechał ze wsi i nie zna naszych obyczajów. No, teraz posłuchaj — krzyczał lokaj, targając za ramię oszołomionego stróża — posłuchaj, co ci sam jaśnie pan mecenas powie!

Kataryniarz grał już trzecią sztuczkę, tak fałszywie i wrzaskliwie, jak dwie pierwsze.

Niewidoma dziewczynka była upojona.

Mecenas odwrócił się do stróża i rzekł ze zwykłą sobie flegmą, choć był trochę blady.

— Słuchaj-no, kochanku... A jak ci na imię?

— Paweł, jaśnie panie.

— Otóż, mój Pawle, będę ci płacił dziesięć złotych na miesiąc, ale wiesz, za co?

— Za to, ażebyś na podwórze nigdy nie puszczał katarynek! — wtrącił śpiesznie lokaj.

— Nie — rzekł pan Tomasz — za to, ażebyś przez jakiś czas codzień puszczał katarynki. Rozumiesz?

— Co pan mówi?... — zawołał służący, którego nagle rozzuchwalił ten niepojęty rozkaz.

— Ażeby, dopóki się z nim nie rozmówię, puszczał codzień katarynki na podwórze — powtórzył mecenas, wsadzając ręce w kieszenie.

— Nie rozumiem pana! — odezwał się służący z oznakami obrażającego zdziwienia.

— Głupiś, mój kochany! — rzekł mu dobrotliwie pan Tomasz.

— No, idźcie do roboty — dodał.

Lokaj i stróż wyszli, a mecenas spostrzegł, że jego wierny sługa coś towarzyszowi swemu szepce do ucha i pokazuje palcem na czoło...

Pan Tomasz uśmiechnął się i jakby dla stwierdzenia ponurych domysłów famulusa, wyrzucił katarynce dziesiątkę. Następnie wziął kalendarz, wyszukał w nim listę lekarzy i zapisał na kartce adresy kilku okulistów. A że kataryniarz odwrócił się teraz do jego okna i za jego dziesiątkę począł przytupywać i wygwizdywać jeszcze głośniej, co już okrutnie drażniło mecenasa, więc zabrawszy kartkę z adresami doktorów, wyszedł mrucząc:

— Biedne dziecko!... Powinienem był zająć się niem oddawna.

Bolesław Prus.

34. Wilk i owce.

Wilk, chociażto ostrożny, przecię, że żarłoczny,
Postrzegł ścierwo, chciał dostać i wpadł w dół poboczny.
Siedzi w jamie, a wzdycha; wtem owieczki słyszy:
Patrzą w dół, aż wilk w jamie siedzi, ledwo dyszy.
Odezwał się nakoniec, rzekł do nich powolnie:
Nie wpadłem, za pokutę siedzę dobrowolnie;
Trzeba czynić pokutę za boje, za groźby,
Za to, żem was pożerał... Owce zatem w prośby:
Wynijdź z dołu! — Nie wyjdę! — My będziem podnosić...
Drożyć się wilk, nakoniec dał się im uprosić.
Jęły się więc roboty i tak pracowały,
Że go ze dna samego jamy wydostały.
Wyszedł, a zawdzięczając nierozumnej kupie,
Pojadł, pogryzł, podusił wszystkie owce głupie.

Ignacy Krasicki.

35. Krzyżacy. I.

Piękny w swoim pierwotnym na Ziemi Świętej związku, rycerski i szlachetny, póki ubogi, Zakon krzyżacki, stał się odrazu potęgą niemoralną, gdy okoliczności przywiodły go do tryumfów światowych, a przez te tryumfy do ulegnięcia pokusie panowania świeckiego. Z duchownego ich charakteru pozostała im tylko większa, niż zwykle u ówczesnych mocarzy, subtelność środków, jakimi dążono do swego celu. W tym względzie występując częściej jako ludzie duchowni, niż rycerscy, wojując w późniejszych czasach raczej słowem, niż mieczem, raczej głową, niż pięścią, umieli Krzyżacy ko-

rzystać nader zręcznie ze swojej roli kapłańskiej, a jako władcy świeccy, pozostawili po sobie przykład. I tem właśnie byli oni najniebezpieczniejsi ówczesnym państwom świeckim, byli najbardziej groźni sąsiedniej Polsce.

Właściwym celem istnienia Zakonu nad Bałtykiem była Litwa; głównym czynności jego przedmiotem wojna z pogaństwem litewskiem. Czując to dobrze, cenili sobie Krzyżacy Litwę pogańską, jako podwalinę swego bytu. Jednak dla tegoż samego musieli tę podwalinę utrzymać w stanie niezmiennym, w stanie pogańskim, t. j. wojując Litwę, musieli ciągle wojować, aby nigdy nie zawojować. A ten obłudny stosunek do Litwy był tak dalece jawny, że własne Krzyżaków świadectwa niewątpliwość jego stwierdzają. Do bardzo późnych czasów nie chce Zakon zrzec się swoich uroszczeń, nie do nawrócenia nawróconego już wtedy kraju, lecz do panowania nad całą Litwą. Z takąż samą obojętnością dla religii chrześcijańskiej, która w razie ustalenia się w Litwie kończyła wszelką wojnę krzyżową, przyznają sami Krzyżacy, że im nie chodzi o sprawę chrześcijaństwa, lecz jedynie o wojnę, t. j., o ciągłe w Litwie pogaństwo.

Toczono tedy wojnę tylko o tyle, o ile tego potrzeba Zakonu wymagała. Pragnęli zaś wojny Krzyżacy głównie z dwóch przyczyn. Naprzód, aby się w oczach świata otoczyć blaskiem zasługi ciągłych z poganami zapasów; powtóre, aby tym religijnym urokiem zwabiać sobie nieustanną ze wszelkich krajów pomoc rycerską, która czy to w istotnej wojnie z Litwą, czy, jak często się działo, w jakiejkolwiek wojnie z chrześcijanami, zwłaszcza z Polską, oszczędzałaby Zakonowi kosztów zwyczajnego zaciągania rot zbrojnych. Stało się też z obydwóch względów zadość Krzyżakom. Łatwowierna Europa od lat 150, już to przez samych Krzyżaków, już przez powracających z ziemi pruskiej pielgrzymów przesadnemi wieściami o nieustannej tam walce z litewskiem »saraceństwem« straszona, nawykła w braci krzyżackiej, albo jak się powszechnie wyrażano, w »panach pruskich« szanować męczeńskich obrońców wiary, którym słusznie należy się wszelka cześć, wszelkie współczucie, wszelka jałmużna modłów i złota. Toż, czego zwyczajnie nikt wyprosić sobie nie zdołał, otrzymywali Krzy-

żacy z łatwością darem życzliwym. Okazało się to najbardziej w hojnem zewsząd obsyłaniu ich najdroższemi kosztownościami owego czasu, t. j. relikwiami świętemi, jako najskuteczniejszą ochroną od niebezpieczeństw wojennych. Dla podsycania wiary w ciągłe zagrożenie Zakonu niebezpieczeństwem tego rodzaju, upraszali Krzyżacy tak żałośnie o podobne jałmużny i tyle gotowości znachodzili wszędzie do udzielania onych w największej liczbie, iż te zaledwie zrozumiałe dziś środki do działania na opinię publiczną stały się rycerskim mnichom pruskim bardzo pomocną dźwignią ku rozszerzaniu swoich wpływów za granicą i władzy w domu.

Wszakże jeszcze skuteczniejszą pomoc niosło Zakonowi nieprzerwane napływanie pobożnego ze wszystkich krajów rycerstwa. Wprawiało ono Krzyżaków niekiedy w istny kłopot co do zatrudnienia tak wielkiej liczby gości orężnych. Krzyżacy podejmowali zwyczajnie tylko dwie kilku lub kilkunastodniowe wyprawy co roku w ziemie litewskie, obierając ku temu porę dwóch głównych podówczas świąt Matki Boskiej, t. j., Oczyszczenia w miesiącu lutym i Wniebowzięcia w połowie sierpnia. Nieco późniejszymi zaś czasy, dla coraz tłumniejszego napływu pielgrzymów i ochotników rycerskich, domagających się usilnie pochodu w ziemię pogańską, musiano czynić niekiedy siedem wypraw w jednym roku. Dostarczały Prusom tych ochotników wszystkie stany, wszystkie narody. Znany nam cesarz Karol IV., nasz król węgierski i polski, Ludwik, czeski król, Jan Luksemburczyk, król angielski Henryk IV., panujący książęta: rakuscy, Albrecht i Leopold, książęta szczecińscy, cylejscy, bawarscy, juliaccy, pfalccy, geldryjscy, śląscy, najznakomitsi panowie Francyi i Anglii, owszem, dalekiego nawet Neapolu magnaci, wszyscy poczytywali sobie za religijną zasługę i wielki zaszczyt służyć w jednej lub kilku wyprawach krzyżowych pod rozkazami Zakonu. Po każdym z takich monarszych lub książęcych gości pozostawała w Prusiech zazwyczaj jakaś wiekopomna pamiątka, nowa twierdza, miasto nowe, jak n. p. po bawarskim księciu Henryku: Bayernburg, gród Bawarski, po czeskim królu Przemyślu Ottokarze: miasto królewskie, Królewiec, Königsberg. Nadto każdy rycerski pobyt w Prusiech zawiązywał zwyczajnie nierozerwane od-

tąd związki z Zakonem. Dopomagały Krzyżakom do skojarzenia tych węzłów osobliwie dwa środki. Jednym były moralne, ni to pochrzestne powinowactwo, zachodzące między Zakonem, a wszystkimi na ziemi pogańskiej przez Krzyżaków pasowanymi lub zaszczytem tak zwanego »stołu honorowego« udostojnionymi rycerzami zagranicznymi. Za drugi środek służyło Krzyżakom przypuszczenie nader wielkiej liczby królów, książąt i panów, nawet kobiet ukoronowanych lub z innego względu wielowładnych do niższych świeckich stopni Zakonu czyli tak zwanego spółbraterstwa i spółsiostrzeństwa.

Przyodzianie pasem rycerskim, czyli wyświęcenie na rycerza należało do najpamiętniejszych chwil życia męskiego. Miejsce obrzędu nadawało mu większą albo mniejszą powagę. Podczas gdy rycerz, pasowany zwykłym sposobem przy jakiejkolwiek uroczystości dworskiej, trącił pospolitością, towarzysz jego, mogący powiedzieć o sobie, iż, jak często się działo, otrzymywał pas rycerski na pobojowisku, w obliczu szeregów nieprzyjacielskich, od razu cześć i pierwszeństwo zyskiwał. Ale za najznakomitszą widownię pasowania uchodziła ziemia pogańska, za najuroczystszą chwilę przedchwila boju z Saracenami. Przy zaniechaniu wypraw do Ziemi Świętej były tylko południowe strony Hiszpanii arabskiej i nadbałtycka Litwa tymi szczęśliwymi dla rycerza krajami, w których jeszcze kwitło pogaństwo. A ponieważ znaczna odległość utrudniała przeprawę do Hiszpanii, więc wszystko, co w średniej lub północnej Europie szukało zaszczytów rycerskich, sławy i przygód, cisnęło się tłumnie do Prus. Tam pod przewodnictwem Zakonu w zbrojną do Litwy wycieczkę wyruszywszy, badano pilnie pograniczną miejscowość leśną dla przekonania się, czy drużyny krzyżowe stanęły już istotnie w ziemi pogańskiej. Jeśli tak było, tedy w obliczu pierwszego lepszego grodziska litewskiego, na gruzach pierwszej lepszej spalonej zagrody pogańskiej, pełniono na karku mnogich przyklękujących książąt i grafów sławną ceremonię chrztu rycerskiego. Każdemu z takich nowych rycerzy zostawały Prusy na całe życie ziemią pochrzestną, Zakon niemiecki ojcem chrzestnym, a ile razy Krzyżacy z jaką prośbą, lub sprawą zgłoszą się

u jednego z tych pochrześników, każdy z nich, czy to np. który z pasowanych w Prusiech książąt rakuskich, czy pfalcgraf Ruprecht, czy angielski król Henryk powtarza słowa, wyrzeczone przez tegoż króla Henryka: »Toć ja piastunkiem Prus!« — i jak ów cesarz Karol, nie żałuje Krzyżakom największych łask.

Widząc, ile uroku wywiera udzielanie w Prusiech chrztu rycerskiego, wymyślili Krzyżacy później drugą, jeszcze świetniejszą uroczystość. Był nią tak zwany stół honorowy, zastawiany przez Krzyżaków w czasie wyprawy wojennej w ziemi pogańskiej. Jak opięcie pasem rycerskim rozpoczynało, tak honorowe zaprosiny do tegoż stołu, wieńczyły ostatnim zaszczytem zawód rycerski. Z tego względu przypominał ten czestny stół krzyżacki starodawne podanie o okrągłym stole króla Artusa. Zajęcie miejsca u tegoż stołu podnosiło umieszczonego tam przez Krzyżaków rycerza niejako do godności ucztujących przy stole Karola W. paladynów dwunastu, ideałów rycerstwa. Stąd dostąpienie miejsca u stołu honorowego poczytywali sobie starzy, głośni w świecie rycerze za najpiękniejszy dank życia. Nie uśmiechał się im zaszczyt podobny nigdzie indziej, w żadnym innym pod słońcem kraju, u żadnego innego dworu. Bo przemyślni Krzyżacy wyrobili sobie u papieżów i cesarzów »prerogatywę i przywilej« wyłącznego udzielania honoru podobnej uczty rycerskiej. Skoro tedy Krzyżacy rozesłanymi po dworach królewskich i książęcych listami oznajmili blizkie zastawienie stołu czestnego, wybierał się do Prus każdy sławny wojownik, ciągnął tam każdy stary bohater, wiedziony życzeniem ostatniej palmy rycerstwa.

Ze wszystkich stron świata napływali godni i niegodni współzawodnicy. Książęta prowadzili z sobą tłumy krajowej szlachty, aby jak najliczniejszych sławy swojej mieć świadków. Ubodzy rycerze sprzedawali ojczyste posiadłości, ostatek mienia swego, niekiedy nawet w ogromne brnęli długi, aby tylko zebrać środki do tej podróży. Stanąwszy na miejscu, musiano często przez długie tygodnie i miesiące żyć w Prusiech o własnym koszcie, wypróżniać trzos z pieniędzy, zostawiać niemałe skarby w kraju, oczekując wyprawy przeciw poganom, a z nią chwili uroczystości. Wreszcie siadło wojsko

krzyżowe na koń. Pod Królewcem, albo na pograniczu litewskiem, w pobliżu Kowna, na dolinie między lasami, u stóp jakiejś zburzonej twierdzy pogańskiej, pod kosztownym namiotem stanął stół honorowy. Mały on, bo tylko dziesięciu lub dwunastu rycerzy ma przy nim zasiąść, lecz wysokie podniesienie i bogata nadzwyczajnie zastawa dostatecznie go odznaczają. Przed ucztą sąd honorowy, złożony z najznakomitszego rycerstwa, rozstrzyga, którzy z przybyłych spółzawodników mają otrzymać miejsce. Z uroczystą powagą rozstrząsają sędziowie żywot i czyny każdego, a jakież to zasługi odnoszą nakoniec tryumf? Oto pierwsze miejsce u stołu honorowego zostaje przysądzone jakiemuś rycerzowi rakuskiemu, panu Konradowi von Richartsdorff, ponieważ, wbrew powszechnemu zwyczajowi, odbył pielgrzymkę do Ziemi Świętej konno lądem, dokoła morza Czarnego. Przyczem w towarzystwie wielu innych rycerzy zapuścił się był tenże rycerz Konrad w jaskiniową głąb jakiejś góry i przebył tam dzień cały i noc całą. »Wszyscy jego towarzysze« — opowiada kronika — »zginęli tam śmiercią tajemniczą, a on sam jeden powrócił. Ale póki życia, nie chciał nikomu powiedzieć, co tam we wnętrzu góry widział lub słyszał«.

Tego rodzaju zasługi zdobiły także resztę spółbiesiadników. Przy odgłosie trąb, wywoływani przez heroldów, zasiadali nowi paladynowie do wielkiej uczty. Trwała ona czasem od dziewiątej godziny z rana, aż pod wieczór. Najsłynniejsi urzędnicy Zakonu usługiwali. Godny obrzędu przepych świecił na stole. Wszystkie naczynia do jedzenia i picia były ze złota i srebra. W kosztownych puharach pieniły się najprzedniejsze gatunki win. Po każdem wychyleniu kubka chował rycerz wypróżnione naczynie złote, jako dar honorowy, do leżącej obok niego torby podróżnej. Stosy złotych i srebnych czar przechodziły tym sposobem z kredensu krzyżackiego do kieszeni rycerskiej. Niekiedy zamiast wina błyszczały w podanej czarze — dukaty. Schował rycerz i tę pamiątkę honorową do sakwy. Toż ogromne, milionowe niekiedy summy płynęły na takie uczty. Jakkolwiek drogie, wynagradzały się one Krzyżakom z lichwą niezmierną. Wielkość wydatków na uczty honorowe dowodzi tylko ogromu wielorakich z nich dochodów.

Takiemże samem źródłem bogactw i wpływu było Zakonowi przypuszczenie do tak zwanego spółbraterstwa. Nie zniewalając do żadnej duchownej reformy ciągłego życia świeckiego, przynosiła ta godność wiele honorowych cacek i przyjemności spółbraciom, wiele realnych korzyści Zakonowi. Spółbracia mieli wielce uszczęśliwiającą podówczas wolność przywdziewania w dnie pobożne stroju barwy duchownej i duchownego kroju; mogli jeszcze ku większemu zadowoleniu prostaczej owego czasu próżności nosić na piersiach krzyż zakonny i cieszyli się zresztą nadzieją, że im Krzyżacy po śmierci pozwolą we wszystkich kościołach zakonnych sprawić sobie swym własnym kosztem sute nabożeństwo żałobne. Za to Krzyżacy otrzymywali od nich obowiązek zapisania Zakonowi już to całego majątku, już to przynajmniej połowy. Nadto nie trudno pojąć, że tacy spółbracia, zostając zawsze w stosunku duchownej podrzędności względem Zakonu, jeźli nie sług powolnych, tedy przynajmniej usłużnych w każdym razie protektorów i obrońców pełnili obowiązek. Stanie nam zaś jasno przed oczyma wielkość uzyskanego tem wszędy wpływu, potęga wynikających stąd w każdej sprawie pomocnych stosunków i koneksyi z każdym dworem i krajem, gdy zwrócimy uwagę na wszechstronność i znakomitość tych węzłów spółbraterstwa. W tym samym czasie należeli w ten sposób do Zakonu teutońskiego: król rzymski Zygmunt, duński król Waldemar, aragoński król Alfons V., rakuski książę Albrecht, pfalcgraf Ruprecht, »najbliższy po królu« książę neapolitański Romandello Ursini. A po iluż innych nie pozostało wcale żadnego śladu! Nawet panie ukoronowane, jak np. małżonkę onego rzymskiego i niemieckiego króla, Barbarę, liczył Zakon jako spółsiostrę do swoich protektorek, które u swoich mężów, braci, poddanych, nieskończenie użytecznemi wspierały go przysługami. *Karol Szajnocha* (Jadwiga i Jagiełło).

36. Z życia Adama Mickiewicza. II.

Szlachetni współzawodnicy.

Adam Mickiewicz pojechał do uniwersytetu w r. 1815., na wezwanie krewnego swego, ks. kanonika Józefa Mi-

ckiewicza, który chciał go pomieścić na koszcie uniwersyteckim, jako kandydata do stanu nauczycielskiego. Ale że jeden tylko był wakans w tym roku, a p. Kazimierz Kontrym, bibliotekarz i sekretarz uniwersytetu, protegował nań kogo innego, egzamin więc miał dopiero rozstrzygnąć. Tym kim innym był nie kto inny, jak Tomasz Zan, świeżo ze szkół mołodeczańskich przybyły, a zalecony przez kogoś Kontrymowi.

W kancelaryi więc, przed salą egzaminacyjną zeszli się i ujrzeli obaj współzawodnicy i jak szermierze przed wejściem do szranek, powitali się wzajemnym ukłonem, ale ani słówka nie przemówili do siebie. Chwilę tę doskonale pamiętają oba i nawet strój jeden drugiego. Adam był w czarnym fraku, w kamizelce i dalszem ubraniu nankinowem, żółtem, a kołnierzyk miał tak wysoki, że mu aż uszy podrzynał. Pan Tomasz, przypominając przytem jego drobną, rumianą twarzyczkę, powiadał, że wyglądał, jak różyczka w lilii. Tymczasem egzaminatorowie się zeszli i obydwóch wezwano razem. Stali obok siebie przed stołem, przy którym profesorowie siedzieli. Egzamin obu poszedł jak najlepiej i kazano im znowu oczekiwać w kancelaryi na wyrok. Ale i podczas tego jeszcze oczekiwania żaden z nich nie przemówił, nie wskutek jakiejś niechęci, ale że żaden nie wiedział, jak i od czego zacząć. Nakoniec wyszedł z sali p. Kontrym i ogłosił, że pan Adam Mickiewicz na ten już rok został przyjęty, ale że i pan Tomasz otrzymał *accessit*, z którego na rok przyszły będzie miał prawo korzystać; tymczasem zaś pan Kontrym ofiarował mu stół i mieszkanie u siebie. Adam powiada, że go ten tryumf nie tylko nie ucieszył, ale owszem zawstydził i upokorzył wewnętrznie; przypisywał go bowiem tylko protekcyi i wpływowi ks. dziekana. Pan Tomasz sądził przeciwnie i uznając w tem najzupełniejszą słuszność, zbliżył się pierwszy do Adama i powinszował mu tak serdecznie i szczerze, że go do reszty zmieszał tem i rozrzewnił. Skończyło się na tem, że dwaj współzawodnicy po krótkiej pierwszej rozmowie rzucili się nawzajem w objęcia, a łzy i pocałowania gorące uświęciły ten pierwszy węzeł stosunku, który odtąd nie tylko ich serca,

ale nawet ich losy w najważniejszych wypadkach życia nierozdzielną wspólnością połączył.

E. Odyniec (Listy z podróży).

37. Domejko i Dowejko.

(Opowiadanie Wojskiego).

Pamiętam, za mych czasów było dwóch sąsiadów,
Oba ludzie uczciwi, szlachta z prapradziadów.
Mieszkali po dwóch stronach nad rzeką Wilejką,
Jeden zwał się Domejko, a drugi Dowejko.
Do niedźwiedzicy oba razem wystrzelili:
Kto zabił, trudno dociec; strasznie się kłócili
I przysięgli strzelać się przez niedźwiedzią skórę:
To mi to po szlachecku, prawie rura w rurę.
Pojedynek ten wiele narobił hałasu;
Pieśni o nim śpiewano za owego czasu.
Ja byłem sekundantem; jak się wszystko działo,
Opowiem od początku historyę całą.
Domejki i Dowejki wszystkie przeciwieństwa
Pochodziły, rzecz dziwna, z nazwisk podobieństwa
Bardzo niewygodnego. Bo, gdy w czas sejmików
Przyjaciele Dowejki skarbili stronników,
Szepnął ktoś do szlachcica: daj kreskę Dowejce;
A ten, nie dosłyszawszy, dał kreskę Domejce.
Gdy na uczcie wniósł zdrowie marszałek Rupejko:
»Wiwat Dowejko!«, drudzy krzyknęli: »Domejko!«
A kto siedział wpośrodku, nie trafił do ładu,
Zwłaszcza przy niewyraźnej mowie w czas obiadu.
Gorzej było. Raz w Wilnie jakiś szlachcic pjany
Bił się w szable z Domejką i dostał dwie rany;
Potem ów szlachcic, z Wilna wracając do domu,
Dziwnym trafem z Dowejką zjechał się u promu.
Gdy więc na jednym promie płynęli Wilejką,
Pyta sąsiada, kto on? — Odpowie: »Dowejko«.
Nie czekając, dobywa rapier z pod kirejki,
Czach, czach, i za Domejkę podciął wąs Dowejki.
Wreszcie, jak na dobitkę, trzeba jeszcze było,
Żeby na polowaniu tak się wydarzyło,
Że stali blizko siebie oba imiennicy
I do jednej strzelili razem niedźwiedzicy.
Prawda, że po ich strzale upadła bez duchu,
Ale już pierwej niosła z dziesiątek kul w brzuchu;
Strzelby z jednym kalibrem miało wiele osób;
Kto zabił niedźwiedzicę? dojdźże! jaki sposób?
Tu już krzyknęli: »Dosyć! trzeba raz rzecz skończyć,

Bóg nas czy dyabeł złączył, trzeba się rozłączyć;
Dwóch nas, jak dwóch słońc, pono zanadto na świecie!«
A więc do szerpentynek i stają na mecie.
Oba szanowni ludzie; co ich szlachta godzą,
To oni na się jeszcze zapalczywiej godzą.
Zmienili broń: od szabel szło na pistolety.
Stają; krzyczym, że nadto przybliżyli mety.
Oni na złość, przysięgli przez niedźwiedzią skórę
Strzelać się: śmierć niechybna! prawie rura w rurę;
Oba tęgo strzelali! — »Sekunduj, Hreczecha!« —
Zgoda, rzekłem: niech zaraz grób wykopie klecha,
Bo taki spór nie może się skończyć na niczem;
Lecz bijcie się szlacheckim trybem, nie rzeźniczym:
Dosyć już mety zbliżać, widzę, żeście zuchy,
Chcecie strzelać się, rury oparłszy o brzuchy?
Ja nie pozwolę. Zgoda, że na pistolety;
Lecz strzelać się nie z dalszej ani z bliższej mety,
Jak przez skórę niedźwiedzią. Ja rękami memi
Jako sekundant skórę rozciągnę na ziemi
I ja sam was ustawię: Waść po jednej stronie
Stanie na końcu pyska, a Waść na ogonie«. —
»Zgoda!« wrzaśli; »czas« ? — Jutro. — »Miejsce« ? — Karczma Usza.
Rozjechali się. Ja zaś do Wirgiliusza...
Bo mnie niegdyś nauczył mój przyjaciel Maro,
Że skóra zwierza nie jest ladajaką miarą.
Wszak wiecie, Waćpanowie, jak królowa Dydo
Przypłynęła do Libów i tam z wielką biedą
Wytargowała sobie taki ziemi kawał,
Któryby się wołową skórą nakryć dawał:
Na tym kawałku ziemi stanęła Kartago!
Więc ja to sobie w nocy rozbieram z uwagą.
Ledwie dniało, już z jednej strony taradejką
Jedzie Dowejko, z drugiej na koniu Domejko.
Patrzą, aż tu przez rzekę leży most kosmaty:
Pas ze skóry niedźwiedziej, porzniętej na szmaty.
Postawiłem Dowejkę na zwierza ogonie
Z jednej strony, Domejkę zaś po drugiej stronie.
»Pukajcie teraz« — rzekłem — »choć przez całe życie,
Lecz póty was nie puszczę, aż się pogodzicie...«
Oni w złość; a tu szlachta kładzie się na ziemi
Od śmiechu, a ja z księdzem słowy poważnemi
Nuż im z ewanielii, z statutów dowodzić;
Niema rady: śmiali się i musieli zgodzić.

Spór ich potem w dozgonną przyjaźń się zamienił
I Dowejko się z siostrą Domejki ożenił;
Domejko pojął siostrę szwagra, Dowejkównę.

Podzielili majątek na dwie części równe,
A w miejscu, gdzie się zdarzył tak dziwny przypadek,
Pobudowawszy karczmę, nazwali »Niedźwiadek«.

Adam Mickiewicz (Pan Tadeusz).

38. Krzyżacy. II.

Dzieliło się całe zgromadzenie na wiele stopni, pomiędzy którymi były dwa główne: t. j. braci wyświęconych, czyli rzeczywistych kapłanów w niewielkiej liczbie i tak zwanych »braci rycerskich«, czyli laików. Ci ostatni stanowili ogół rycerstwa krzyżackiego, który znowu przodkował kilku podrzędnym stopniom zakonnym, jak n. p. tak zwanym »spółbraciom«, tudzież »braciom służebnym«, mogącym wcale świeckie niekiedy prowadzić życie, a przeto tylko pośrednio należącym do zgromadzenia. Obadwa główne stopnie zachowywały ściśle strój i obyczaje zakonne. Zakonny też pozór dobroduszności, mnisza pokora, kwestarska umiejętność, ujmowanie sobie ludzi tu pochlebnem słówkiem, ówdzie niewinnym żartem, gdzieindziej klasztornym upominkiem, najwłaściwiej charakteryzowały wszystkich członków zgromadzenia.

Tak świątobliwie pokorni i spokojni Krzyżacy przybierali w razie niebezpieczeństwa wcale ewangieliczną minę baranków. »Widzimy zaprawdę — skarży się W. komtur w liście do jednego z sąsiednich wartogłowów rycerskich, roszczącego sobie jakieś pretensye do Zakonu — widzimy jawnie, że wina, jaką nam zadajecie, podobną jest winie, jaką zadawał wilk osłu; bo gdy wilk żadnej innej winy nie mógł zadać osłu, tedy zadał mu winę, że gryzie trawę przy drodze«. Gdy — bywało — w jakiej złowrogiej Krzyżakom sprawie, w jakiej kwestyi drażliwej, zażądano od nich porady, tulił się pokorny Krzyżak pod płaszczyk ubożuchności na duchu i odpisywał kompromitującemu Zakon korespondentowi, jako »mamy, niestety, zanadto mało rozumu, aby naszemu panu i łaskawcy pożyteczną w tej sprawie usłużyć radą. Bo tak my sami (t. j. mistrz W.), jakoteż wszyscy nasi, jesteśmy nikczemni i prości ludzie' i musielibyśmy mieć daleko więcej rozumu, niż go w istocie mamy,

gdybyśmy w tak górnych sprawach mieli komuś doradzać«. Z tąż samą pokorą wymawiali się Krzyżacy niekiedy od również drażliwego obowiązku polubownych sędziów między stronami, z których żadnej nie chciano narazić sobie niepomyślnym wyrokiem, a którym przeto W. mistrz odpowiada z klasztorną uniżonością: »Jesteśmy doprawdy zanadto ograniczeni do tego, gdyż od dziecięcych lat naszych wychowaliśmy się tu, w ziemi pruskiej, i nie mieliśmy do czynienia w tak ważnych rzeczach. Przeto sprawy, które tak wysokiego potrzebują rozumu, są dla nas wcale niezwykłe«. Mając bezpośrednie stosunki ze wszystkimi prawie dworami europejskiemi, z najpotężniejszymi władcami i władczyniami świata, poufalili się W. mistrzowie w mniszej pokorze również chętnie z niższemi także klasami, z urzędnikami takich nawet książąt i królów, których oni sami przewyższali potęgą, mianowicie z wojewodami polskimi, z pospolitem szlachectwem polskiem. Natenczas płaszcząc się przed tym, lub owym księciem zapewnieniami, iż wszelkie jego życzenia są dla Zakonu rozkazem, »który z ust jego milszym jest Zakonowi, niźli z ust któregokolwiek z mocarzy świata«, przypochlebiano się sługom tegoż księcia jeszcze słodszymi wyrazami przyjaźni, nazywając ich w nadpisie listów krzyżackich nie inaczej, jak tylko »kochany przyjacielu!... poszczególnie kochany przyjacielu!... poszczególnie ze wszystkich najukochańszy przyjacielu!«

Z jakąż dopiero zręcznością umieli Krzyżacy przymilać się kobietom! Podwójny urok, rycerstwa i kapłaństwa, otaczający kawalerów krzyżackich, przychylał im przemocnie serca wszystkich ówczesnych niewiast. Jakkolwiek ojcowie, mężowie, albo bracia, spory wiedli i wojowali z Zakonem, wszystkie córy, żony, siostry wiernie zawsze po stronie Zakonu stoją. Zaczem gniewowi króla opiera się zwykle łagodny wpływ łaski królowej, o wrogich Zakonowi planach książęcia ostrzega Krzyżaków współczucie księżny. Mamy nieskończenie wiele dowodów najprzyjaźniejszego porozumienia między Zakonem, a koronnemi onego czasu paniami. Głośna cesarzowa rzymska, Barbara, była nawet, jak wiemy, »spólsiostrą« Zakonu niemieckiego. Ze sławną królową duńską, Małgorzatą, wiązała Krzyżaków nieprzerwana kores-

pondencya przyjazna, darząca W. mistrzów przesyłanymi od królowej nader »ładnymi pierścioneczkami«, a królowę nawzajem częstemi od W. mistrzów przesyłkami ciekawych z różnych krajów nowinek. Podobneż związki zachodzą między Krzyżakami a księżną pomorską, Adelajdą, W. księżną litewską, Julianną, późniejszą W. księżną Anną, i mnogiemi innemi. W Polsce prawie każdą z małżonek królewskich, naszą Jadwigę, drugą żonę Jagiełły Annę, trzecią żonę Elżbietę, księżnę mazowiecką, Aleksandrę, znamy gorliwemi przyjaciółkami pobożnych zakonników krzyżackich, rycerzy Najświętszej Panny. Można z wszelką słusznością twierdzić, że to wszechstronne współczucie niewiast, nieustanne dla Zakonu w każdej stronie i sprawie, w każdem sercu królewskiem, tysiącznymi środkami sztuki niewieściej czynne, podtrzymywało Zakon potężniejszym od oręża krzyżackiego filarem.

Pojmując też całą wagę tego współczucia, skarbił je sobie Zakon różnymi fortelami. Najpowabniejszym z nich było nabożeństwo zaduszne, odprawiane solennie w kościołach zakonnych po zgonie każdej znamienitszej łaskodawczyni. Za życia zaszczycano ją niekiedy miejscem u stołu honorowego, przyznając jej w ten sposób godność najcnotliwszej ze wszystkich dam chrześcijaństwa. Zresztą służyły do ujmowania serc żeńskich rozliczne upominki. Trudno uwierzyć, jak zmyślną umiejętność urozmaicenia tych gościńców, nie tyle kosztownych, ile raczej sercu albo jakiemuś osobliwemu gustowi miłych, posiadali Krzyżacy, jak dokładnego obeznania z zamiłowaniami każdej koronnej pani dowodzą te klasztorne, niekiedy nadzwyczajnie drobiazgowe dary i upominki. Najczęściej stosując się do ówczesnego zamiłowania pań w winie, pospolitym ich trunku, posyłano im po kilka beczek dobrego wina reńskiego. Czasem nadchodził od Krzyżaków rzadki w owych dniach specyał, cukier zamorski. Przy innej sposobności darzono delikatnie w kuchni krzyżackiej usmażonemi konfiturami. Znachodzimy nawet wiadomość o jakiemś darowanem brzękadle, zwanem »klawikord«, które miało bawić księżne litewskie, zdawien dawna rozmiłowane w hucznym dźwięku instrumentów muzycznych. A w wypadkach całe sentymen-

talnego stosunku poleca testament W. mistrza, aby jego »psinę pobożną ze srebrną obrączką na szyi« przesłano na pamiątkę małżonce króla polskiego.

W pewnych stosunkach należało zachowywać pozór przyjaznych upominków; nierzadko jednak wypadło jednać sobie przychylność brzęczącą gotowizną. W pierwszym razie otrzymywali sąsiedni królowie i książęta od Zakonu podarki złocistej zbroi, kosztownych szub, rzadkich makat. Miłośnikom łowów dogadzano psami gończymi, lubownikom malowideł drogimi obrazami, łakotnisiom nadsyłką marynaty z niezwykłych ryb, a niejednego arcybiskupa ujęto pysznym rumakiem. Najpowszedniejszą przesyłkę, której cały świat domagał się od Krzyżaków, stanowiły sokoły — sława ziem pruskich, obfitujących niegdyś w nadzwyczaj liczne i cenne ptactwo tego rodzaju. Szły te, starannie w sokolarniach krzyżackich ułożone sokoły, białozory, jastrzębie, w suknem albo płótnem obitych klatkach, z obfitym zapasem drobiowego żeru na drogę corocznymi dary do wszystkich dworów europejskich. Niezwykłej dobroci ptakom, przesyłanym niekiedy królom polskim, towarzyszył list polecający z szerokiem opisaniem, »jako sokół nadesłany odznacza się dziwnie i lotem swoim i pochwytywaniem zwierzyny, celując w tem wszystkie inne sokoły. Przeto tuszy mistrz W., iż król Jegomość będzie miał wielką z niego przyjemność i rozrywkę w swoich, oby jak najweselszych, polowaniach, ile że w całej ziemi pruskiej nie możnaby w obecnej chwili znaleźć wyborniejszego sokoła«.

Taka prostaczość, taka poziomość umysłowa nadymały Krzyżaków mimo wszelkiej przybieranej czasem pokory jaskrawem zarozumieniem o swojej potędze i zasłudze. Niekiedy przywdziewało to zarozumienie wyraz buty; najczęściej przecież widzimy je w postaci onego pokornie dumnego rachunku z Bogiem, jakim w biblii faryzeusz zamożny wylicza niebu swoje dobre uczynki. I owo na zakończenie charakterystyki niniejszej usłyszymy jeszcze takąż głośną spowiedź pychy krzyżackiej, przechowaną dotąd w liście jednego z umierających mistrzów niemieckich. »Szanowaliśmy zawsze prawo i sprawiedliwość — pisze W. mistrz Konrad w imieniu Zakonu swego — czciliśmy słuszność

i równość, spokój i prawdę i według wszelkich sił naszych wykonywaliśmy je gorliwie w państwach naszych... Wszystkie nasze miasta i gminy żyją według przepisów dobrej policyi: prałaci, szlachta i lud prosty mają spokój i sprawiedliwość; my nie gnębimy nikogo, nie nakładamy zbytnich ciężarów, nie pożądamy cudzej własności; owszem, przy łasce bożej wszyscy, nawet poganie i cudzoziemcy pożywają owoce panującej u nas słuszności, równości, sprawiedliwości«... Tak prawi mistrz niemiecki. Atoli przeciw prawdzie tych słów możemy przytoczyć równie spółczesne, a nierównie świętsze świadectwo, pochodzące z ust jednej z najświątobliwszych osób XIV. stulecia, świętej Brygidy. Owszem, jeśli ów głos mistrza W. przybrał w istocie kształt skierowanej ku niebu spowiedzi faryzejskiej, tedy w słowach św. Brygidy, autorki sławnej księgi widzeń proroczych, znającej naocznie wszystkie sprawy krzyżackie, samoż niebo odpowiada Krzyżakom. W jednem z najsłynniejszych widzeń tej świętej objawia się jej Syn Boży i takiemi o Zakonie teutońskim przemawia słowy: »Zaiste, pszczołami użyteczności mieli być owi Krzyżacy, których postawiłem na straży u granic ziem chrześcijańskich. Ale oto powstali przeciwko mnie. Bo nie dbają o dusze, nie litują się ciał tego ludu pruskiego, który z błędu nawrócił się ku wierze katolickiej i ku mnie. Gnębią go pracą niewolniczą, pozbawiają swobód, nie uczą go przykazań wiary, odejmują mu sakramenta i wtrącają go w piekło ku większej jeszcze kaźni, niż gdyby pozostał był w pogaństwie. A jeśli wojnę toczą, tedy czynią to jedynie ku powiększeniu swej pychy i szerszemu rozpostarciu swojej chciwości. Dlatego przyjdzie czas, kiedy będą wyłamane im zęby i będzie ucięta im ręka prawa i prawa noga im ochromieje, aby żyli i uznali występki swoje«.

I dziwnie prędko spełniło się groźne Zakonowi proroctwo. Już we cztery lata po onej faryzejskiej spowiedzi W. Mistrza spadła na Krzyżaków przepowiedziana widzeniem kara. Tak potężne i rządne w owej spowiedzi państwo Zakonu rozchwiało się na zawsze od jednego ciosu dwóch wzgardzonych i ciężko dotąd od Krzyżactwa nękanych ludów. Bo jak w owym pysznym rachunku z Bogiem,

tak i w całej potędze Zakonu nie było rzetelności i prawdy. Nie było jej też w całym systemie rządów krzyżackich, ani w codziennych postępkach W. mistrzów. Nawet fałszerstwa niższego rzędu z wybiegami pospolitego kłamstwa zdarzają się dość często w codziennem życiu Krzyżaków. Znamy świadectwa i urzędowe pisma Zakonu, podrabiane przez W. mistrzów w razie potrzeby. Najprzychylniejsi Zakonowi pisarze widzą się czasem zmuszeni do wyznania, iż te a owe wyrazy W. mistrzów nie dadzą się pogodzić z rzeczywistością. »Jest to właściwie nieprawda — wymawia natenczas uczony ziomek swoich teutońskich rozkrzewicielów oświaty — którą mistrz W., że tak powiemy, chciał się wyratować z kłopotu«. Najjaskrawszą atoli nieprawdą była wygłoszona w onej spowiedzi szczęśliwość i pomyślność powszechna, w jakiej pod rządami Zakonu żyli wszyscy poddani. Już w cztery lata później przekonał się o tem ze zdumieniem cały świat, patrząc, jak za pierwszem hasłem do uwolnienia się od przemocy krzyżackiej wszystek ogół mieszkańców opuścił tłumnie Krzyżaków i przeszedł z radością na stronę nieprzyjaciół. »Wówczas wszystka szlachta i gmin i mieszczanie — biada najświatlejszy z kronikarzów zakonnych — powstali na panów swoich, sprzeniewierzyli się im podobnież biskupi, prałaci, zakonnice i ludzie wszelkiego stanu, którzy wszyscy przeszli na stronę króla polskiego i wzięli go sobie za pana. I stała się tak wielka zdrada w państwie zakonnem i tak nagła zmiana serc w całych Prusiech, jakiej nie było jeszcze przykładu w żadnym kraju«..

Karol Szajnocha.

39. Nagroda cnoty.

Cnota w sobie samej znajduje nagrodę i człowiek cnotliwy doznaje wewnętrznego zadowolenia, które jest największem, choć cichem szczęściem. Ale człowiek cnotliwy spełnia także użyteczne czyny; swoim przykładem poprawia ludzi i budzi w sercach nieraz zawiedzionych i zgorzkniałych wiarę w szlachetność bliźnich. Obowiązkiem więc ogółu wyrazić ludziom cnotliwym oprócz uznania i wdzięczność, a w miarę możności nagradzać!

Taki właśnie widoczny dowód wdzięczności chciał dać swoim cnotliwym ziomkom Francuz, Jan Montyon, który urodził się w Paryżu 1733. r. Przeznaczył on odsetki od znacznego bardzo kapitału na coroczne wynagrodzenie najbardziej cnotliwych. Fundacya ta istnieje dotąd. Montyon umarł w r. 1820., ale funduszem jego imienia rozporządza Akademia francuska. Nagrodę Montyona, nagrodę cnoty, dostają ludzie różnego stanu i wieku. Dostała ją raz dziesięcioletnia dziewczynka, która po śmierci rodziców na cholerę pracowała sama dla trojga młodszego rodzeństwa. Dostał dwunastoletni chłopczyk za to, że będąc sam w chacie ocalił małego braciszka od paszczy zgłodniałego wilka. Bohaterskie to dziecko wepchnęło własną pięść w gardło napastnika i — czy dacie temu wiarę? — udusiło wilka. Dostawały ją, najczęściej może, Siostry Miłosierdzia, za czyny wyjątkowego poświęcenia i zaparcia się siebie.

Francuzi ogłaszają corocznie czyny ludzi odznaczonych nagrodą Montyona; my Polacy pierwszy raz dopiero pochlubić się możemy konkursem cnoty, a zawdzięczamy go redakcyi »Gazety Polskiej«. Ona to w roku 1901. pierwsza wprowadziła ten zwyczaj. Zachęciła swych czytelników do nadsyłania opisów czynów wyjątkowo szlachetnych i przekraczających miarę zwykłego spełniania obowiązków. Opisów tych zebrało się 51. Są między nimi prawdziwie wzruszające i nacechowane zupełnem wyrzeczeniem się siebie. Nagrodę, wynoszącą rs. 200, otrzymała panna Helena Lochmanówna. Posłuchajcie, jakie było jej życie.

Miała 8 lat, kiedy skutkiem choroby straciła słuch zupełnie. Dzielna dusza dziecka nie dała się jednak złamać tem strasznem nieszczęściem. Pomyślcie: ona nigdy odtąd nie słyszała głosu matki, świegotu ptasząt, rozmów swych towarzyszek. Sądzono, że kaleka będzie ciężarem rodziny, tymczasem stała się jej karmicielką. W 14. roku straciła ojca. W domu została słabowita matka, siostra niespełna rozumu, babka staruszka, dwoje młodszego rodzeństwa i czteroletni sierota, krewny, wzięty na wychowanie. Helena nie opuściła rąk, stanęła odważnie do pracy i chociaż nie było wtedy szkół krawieckich, założyła w swojem miasteczku, Opatowie, pracownię krawiecką. Obdarzona niepospo-

litym smakiem, zyskała uznanie w całej okolicy. Utrzymując rodzinę z igły, biedne dziewczę ujmowało sobie godzin snu, aby kształcić niepospolity swój umysł. Sama nauczyła się czytać i pisać, a posiadłszy tę sztukę, tak trudną dla głuchego dziecka, czuła nienasycone pragnienie wiedzy. Życie jej całe było jedną ofiarą; najcięższą z nich pewnie ta, że dla igły zaniechać musiała nauki. Poświęciła jej jednak każdą wolną chwilę, pisała, a nawet drukowała udatne i pełne uczucia wiersze. O tem wiedzieli tylko bliżsi; dla ogółu była niezmordowaną pracownicą, której igła wystarczała na potrzeby siedmiu osób.

Pamiętam, jak z uśmiechem witała tych, co jej nową przynosili robotę. Szyła stroje dla szczęśliwych — ona, kaleka. Okna pracowni w Opatowie wychodziły na wspaniałą kolegiatę, wzrok tęskny dziewczęcia szukał pociechy w modlitwie i we wspomnieniach przeszłości, zapisanej na starych murach. Kiedy mimo kalectwa nadarzała się Helenie sposobność wyjścia za mąż, odmówiła, wskazując na swoją rodzinę. »Ja jestem ich wszystkich chlebem; odbierać im go nie mogę« — mówiła.

I dała ten chleb rodzinie, dała rodzeństwu wykształcenie, którego tak dla siebie pragnęła; krewnego wychowanka wysłała do gimnazyum, a potem do Monachium na politechnikę. Przy pracowni swojej miała zawsze jednę lub dwie sieroty. Dawała im chleb, odzienie, naukę, póki nie zdołały same na siebie zapracować; 18 sierotom zapewniła tym sposobem byt i dalsze życie.

Obecnie jest sama na świecie; śmierć lub los twardy odebrał jej wszystkich ukochanych. Zmęczona życiem, pracuje jednak odważnie, aby nie być ciężarem dla bliźnich. Z resztek mienia odarli ją w ostatnich czasach złodzieje; ale nie chciała dochodzić straty, bo złodziei tych naprowadziła osoba, którą Helena szyć uczyła.

— Przebaczam ci krzywdę, bo masz dopiero lat 17, możesz się jeszcze poprawić — mówiła ta prawdziwa chrześcijanka, a gdy ją żałowano, ubolewając, że nic jej nie pozostało mienia, odpowiedziała:

— Pozostało mi jeszcze: »Bądź wola Twoja!«

40. Puszcze litewskie.

Któż zbadał puszcz litewskich przepastne krainy
Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?
Rybak ledwie u brzegów nawiedza dno morza;
Myśliwiec krąży koło puszcz litewskich łoża,
Zna je ledwie po wierzchu, ich postać, ich lice,
Lecz obce mu ich wnętrzne serca tajemnice;
Wieść tylko albo bajka wie, co się w nich dzieje.
Bo gdybyś przeszedł bory i podszyte knieje,
Trafisz w głębi na wielki wał pniów, kłód, korzeni,
Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni
I siecią zielsk zarosłych i kopcami mrowisk,
Gniazdami os, szerszeniów, kłębami wężowisk.
Gdybyś i te zapory zmógł nadludzkiem męstwem,
Dalej spotkać się z większem masz niebezpieczeństwem:
Dalej co krok czyhają, niby wilcze doły,
Małe jeziorka, trawą zarosłe napoły,
Tak głębokie, że ludzie dna ich nie dośledzą.
(Wielkie jest podobieństwo, że dyabły tam siedzą).
Woda tych studni śklni się, plamista rdzą krwawą,
A z wnętrza ciągle dymi, zionąc woń plugawą,
Od której drzewa wkoło tracą liść i korę;
Łyse, skarłowaciałe, robaczliwe, chore,
Pochyliwszy konary mchem kołtunowate,
I pnie garbiąc brzydkimi grzybami brodate,
Siedzą wokoło wody, jak czarownic kupa,
Grzejąca się nad kotłem, w którym warzą trupa.
Za temi jeziorkami już nie tylko krokiem,
Ale daremnie nawet zapuszczać się okiem:
Bo tam już wszystko mglistym zakryte obłokiem,
Co się wiecznie ze trzęskich oparzelisk wznosi.
A za tą mgłą nakoniec (jak wieść gminna głosi)
Ciągnie się bardzo piękna, żyzna okolica,
Główna królestwa zwierząt i roślin stolica.
W niej są złożone wszystkich drzew i ziół nasiona,
Z których się rozrastają na świat ich plemiona;
W niej, jak w arce Noego, z wszelkich zwierząt rodu
Jedna przynajmniej para chowa się dla płodu.
W samym środku, (jak słychać), mają swoje dwory
Dawny tur, żubr i niedźwiedź, puszcz imperatory.
Około nich na drzewach gnieździ się ryś bystry
I żarłoczny rosomak, jak czujne ministry;
Dalej zaś, jak podwładni, szlachetni wasale,
Mieszkają dziki, wilki i łosie rogale;
Nad głowami sokoły i orłowie dzicy,

Żyjący z pańskich stołów dworscy zausznicy.
Te pary zwierząt główne i patryarchalne,
Ukryte w jądrze puszczy, światu niewidzialne,
Dzieci swe ślą dla osad za granicę lasu,
A same we stolicy używają wczasu;
Nie giną nigdy bronią sieczną ani palną,
Lecz starzy umierają śmiercią naturalną.
Mają też i swój cmentarz, kędy blizcy śmierci,
Ptaki składają pióra, czworonogi sierci.
Niedźwiedź, gdy zjadłszy zęby, strawy nie przeżuwa,
Jeleń zgrzybiały, gdy już ledwo nogi suwa,
Zając sędziwy, gdy mu już krew w żyłach krzepnie,
Kruk, gdy już posiwieje, sokół, gdy oślepnie,
Orzeł, gdy mu dziób stary tak się w kabłąk skrzywi,
Że zamknięty na wieki już gardła nie żywi —
Idą na cmentarz. Nawet mniejszy zwierz, raniony
Lub chory, bieży umrzeć w swe ojczyste strony.
Stądto w miejscach dostępnych, kędy człowiek gości,
Nie znajdują się nigdy martwych zwierząt kości.
Słychać, że tam w stolicy, między zwierzętami
Dobre są obyczaje, bo rządzą się sami;
Jeszcze cywilizacyą ludzką niepopsuci,
Nie znają praw własności, która świat nasz kłóci,
Nie znają pojedynków, ni wojennej sztuki.
Jak ojce żyli w raju, tak dziś żyją wnuki,
Dzikie i swojskie razem, w miłości i zgodzie:
Nigdy jeden drugiego nie kąsa, nie bodzie.
Nawet, gdyby tam człowiek wpadł, chociaż niezbrojny,
Toby środkiem tych bestyj przechodził spokojny;
Oneby nań patrzyły tym wzrokiem zdziwienia,
Jakim w owym ostatnim, szóstym dniu stworzenia
Ojce ich pierwsze, co się w ogrojcu gnieździły,
Patrzyły na Adama, nim się z nim skłóciły.
Szczęściem, człowiek nie zbłądzi do tego ostępu,
Bo trud i trwoga i śmierć bronią mu przystępu.
Czasem tylko w pogoni zaciekłe ogary,
Wpadłszy niebacznie między bagna, mchy i jary,
Wnętrznej ich okropności rażone widokiem,
Uciekają, skowycząc, z obłąkanym wzrokiem;
I długo potem, ręką pana już głaskane,
Drżą jeszcze u nóg jego, strachem opętane.
Te puszcz stołeczne, ludziom nieznane tajniki
W języku swoim strzelcy zowią mateczniki.

Adam Mickiewicz (Pan Tadeusz).

41. Chrzest Litwy.

Połączenie Litwy z Polską przyrównano do wypraw morskich, odkrywających światu nieznane dotąd lądy i skarby. »Otworzył król portugalski swoimi wędrownymi żaglami indyjskie i afrykańskie strefy południa — mówi polski spółcześnik lat Kolumbowych — Jagiellonowie odsłaniają nam coraz dalsze ziemie i ludy, rozpostarte ku biegunowi północy i ku wschodowi słońca«.

Z niezwyczajną też okazałością wybrał się król Władysław w pierwszą drogę tych odkryć Jagiellońskich. Przedewszystkiem wyszło świetne poselstwo do Krzyżaków, złożone z wielu książąt pod przewodnictwem Konrada Oleśnickiego, a wzywające mistrza Konrada Zolnera do wiecznej zgody i unii, za pomocą której mógłby Jagiełło tem snadniej ochrzcić Litwę. Poczem o pierwszych mrozach październikowych wyruszył nowy król polski z niezmiernie licznym dworem na wschód. Omijając Ruś Czerwoną, obrano trakt wołyński na Lublin, Włodzimierz ku Łuckowi. Towarzyszył Jagielle tamtędy nader tłumny orszak duchowieństwa, książąt, wojewodów i kasztelanów polskich.

Im głębiej zapuszczały się cugi podróżne w strony Litwy pogańskiej, tem nowszy, tem osobliwszy obraz ziemi i ludu zadziwiał polskich towarzyszy Jagiełły. Wjeżdżano w ostatni zakątek, w ostatnią leśną kryjówkę pogaństwa w Europie, równie odmienną od reszty krajów Zachodu, jak wiara i obyczaj mieszkańców od obyczajów reszty narodów europejskich.

Właśnie spoczywał lud po uroczystościach jesiennych — ostatnich uroczystościach pogańskich. Przejazd dworu apostolskiego nie wywoływał w nim żadnej niechęci; owszem, wystawność i okazałość, z jaką każda podobna wyprawa apostolska występowała zwyczajnie w kraju pogańskim, budziły ciekawość i dziecinny podziw w jego mieszkańcach, pociągały ku sobie ludność ubogą. Dlatego jednomyślnie z apostołem Słowian pomorskich, św. Ottonem, starał się każdy rozkrzewiacz ewangelii przybyć pomiędzy pogan »bogaty w pieniądz złoty i srebrny, w postawy sukna i złotogłowiu, w kosztowności wszelkiego rodzaju, nawet

w zapasy zboża, wiezione za nim czasami na pięćdziesięciu wozach.

Temuż przypisać należy niezwykłą okazałość, która uświetniała teraźniejszą podróż Jagiełły w ziemię litewską. Jakeśmy widzieli przy wyjeździe, otaczała go wspaniała rzesza biskupów, książąt litewskich, mazowieckich i śląskich, wojewodów i kasztelanów polskich. Mnogie sanie ładowne wiozły za dworem obfitość towarów polskich, mianowicie sukien wełnianych, tego powszechnego wówczas dostatku ziemi polskiej. Symbol odzyskanej chrztem niewinności, a przeto zwyczajny niegdyś podarek nowochrzczeńców: szaty białe wełniane, bywały wielką pomocą przy każdej próbie nawracania pogaństwa w Europie. Szły one więc i za Jagiełłą w znacznej ilości. Jakoż skłoniwszy ku sobie całą płócienną Litwę, przyczynił się ten podarek sakramentalny niemało do rozstrzygnięcia losów bałwochwalstwa litewskiego w myśl dawnej przepowiedni krajowej.

Albowiem oprócz wielu innych wpływów przeciwnych, podkopywała jeszcze pogaństwo Litwy wróżba o niechybnym wkrótce upadku Znicza. Przed wielu laty, w czasie budowania głównej świątyni pogańskiej we Wilnie, udał się jej książęcy założyciel do najsławniejszej wyroczni na Żmudzi z zapytaniem, jak długo będzie stała świątynia. Wyrocznia odpowiedziała: Dopóki pogaństwa w Litwie. A w domiar otrzymał książę od wyroczni dar pewnej liczby cegieł o znakach mistycznych z tem poleceniem, aby co roku wmurowywano po jednej cegle w ścianę świątyni. Przez lat stodwadzieścia i jeden działo się zadość temu zleceniu. Na obecny rok 1387. pozostała cegła ostatnia, a znakiem jej był krzyż podwójny. Zaczem wypadło jedynie ukazać się Jagielle ze swoim chrześcijańskim orszakiem w Wilnie, a znikąd nie groził opór dziełu zbawienia. Początek roku 1387. sprowadził całą wyprawę apostolską do Wilna.

Stołeczny gród Litwy, osiadły na południowem wybrzeżu Wilii, między tą rzeką, a wpadającą do niej z prawego brzegu rzeczułką Wilną, składał się z dwóch całkiem różnych połowic. Jedną połową było małe Wilno, ale warowne i zamożnie zabudowane, przez pogan zaludnione, Wilno książęce; drugą miasto rozległe, ale lichej budowy,

po największej części przez cudzoziemców zamieszkane, Wilno chrześcijańskie. — Tamto, książęce, w samo kolano Wilii i Wilny wsunięte, tworzyło jedną wielką warownię, złożoną z dwóch różnych zamków, Wyższego na Turzej górze i Niższego czyli Krzywego u jej podnóża, a oblaną dokoła obydwiema rzekami i połączonym z niemi przekopem. Tu znajdowały się mieszkania książęce i gmachy dworskie, wielki posąg Perkuna, wieża, z której kapłani pogańscy przemawiali do ludu, wreszcie na tak zwanej »świętej łące« Swentoroga naczelna świątynia pogańska, gdzie płonął wieczysty ogień Znicz, główna świętość narodu. — W kierunku południowym, w górę od nadrzecznej połowy miasta, na nierównie szerszej przestrzeni, rozlegało się raczej kilka wiosek, niż jedno wielkie miasto; kupiły się gromady ubogich, drewnianych domków, bez śladu ulic, przedmieść lub murów miejskich; kwitnęły pomiędzy nimi przestronne łąki, pola, ogrody. Była to chrześcijańska połowa Wilna, zaludniona przez cudzoziemców, w szczególności Niemców i Rusinów, pomiędzy którymi liczyło się także wielu niechrześcijan, bądźto Tatarów, bądź Żydów. Według różnicy wyznania dzieliło się to chrześcijańskie miasto znowu na dwie odrębne dzielnice, ruską i łacińską czyli niemiecką.

Dzięki takiemu zbiegowi okoliczności przyrosła Wilnu pogańskiemu cała druga połowa, chrześcijańska; i stało się, że gdy obecnie Jagiełło wjechał z swoim orszakiem na »dolny zamek«, tylko »jedna połowa Wilna« była do odrodzenia chrztem świętym. Przystąpiono tedy do aktu nawrócenia, którym ostatni kaganiec bałwochwalstwa w Europie zgasł w powszechnym blasku jednego wielkiego słońca. Zaczem przygotowawszy wszystko, co chciano postawić na zwaliskach przeszłości, przyłożono topór do jej pnia spróchniałego. Zwołano wszelkie pogaństwo okoliczne do Wilna i przedstawiono mu potrzebę zrzeczenia się dawnych baśni. Zdumiona Litwa wzdrygnęła się na to żądanie, mieniąc je niewdzięcznością i grzechem względem przodków. Niepoślednią też pobudką niechęci była obawa zemsty bogów pogańskich. Należało tedy przekonać publicznie o ich nieudolności. Gwoli temu rzucili się chrześcijanie do obalania świętości bałwochwalczych. Zalany został Znicz święty i po-

gaszone ognie wieczyste. Padły pod siekierą święte dęby na zamku i w gaju na Łukiszkach. Powybijano święte węże, jaszczurki, zarówno nieświadome przyczyn dawniejszej czci, jak teraźniejszej zagłady. Przypatrujące się tej ruinie pogaństwo zawodziło wielkim, żałobnym płaczem. Ale tylkoż tyle oporu, tylko jęki i łzy spotkał przed sobą rozkaz książęcy, »zresztą nie śmiał nikt ani pisnąć« — mówi jeden z naocznych świadków zdarzenia. A gdy taka wola książęca padła, gdy obaczono, iż bóstwa pogańskie dają się bezkarnie gasić, ścinać, zabijać, ochłonęła z trwogi zgraja pogańska i oświadczyło plemię »płoche a lekkomyślne«, jak Litwinów nazywali Krzyżacy, iż chce się ochrzcić.

Nastąpiła zatem katechizacya. Sam król pobożny pomagał w tym względzie polskim nauczycielom duchownym. Najwięcej dziwiła pogan nauka o jednym Bogu. »Tak wielu bogów« — mniemano — »okazało się bezwładnymi, a jeden miałby większą mieć władzę?« Nie było atoli pory do rozumowań. Wkrótce uznano uczniów dojrzałymi do chrztu i zaczęto chrzcić ich z osobna. Każdy nowo-chrzczeniec dostał białą szatę wełnianą. Schludny, bogaty w oczach Litwina strój uszczęśliwił nędzę pogańską. W okamgnieniu rozniosła się po kraju wiadomość o darze chrzestnym. Każdy pragnął go mieć, pragnął ochrzcić się. Zbiegały się zewsząd tłumy pogaństwa. Szczupła stosunkowo garstka duchownych polskich nie mogła podołać ochotnikom. Nie godziło się przecież nie korzystać z powszechnego natchnienia. W takiem położeniu chwytali się polscy apostołowie środka, nieznanego dotychczas w chrześcijaństwie. Zbierano pogaństwo w osobne gromady męskie i żeńskie i chrzczono je ryczałtem przez pokropienie święconą wodą. Każda gromada męska lub żeńska otrzymywała toż samo imię świętego albo świętej. Wychodziły w ten sposób z pod kropidła całe tłumy litewskich Stanulów, Janulisów i Piotrulisów, albo Katrin i Jadziuł. Możniejszych chrzczono ciągle z osobna. I ci biegli w zawody po nową wiarę. Żupany chrzestne podbiły serca bogaczów i ubogich, panów i niewolników.

Tak więc cichym i łagodnym sposobem zajaśniało obecnie światło nowej prawdy. Po ochrzczeniu swojej pogań-

skiej »połowy Wilna«, nie naruszając wolności wyznania drugiej, przeważnie ruskiej połowy, wybrał się Jagiełło około marca w podróż po kraju. Towarzyszyło mu w niej duchowieństwo łacińskie, a w każdem miejscu pobytu powtarzały się też same sceny apostolstwa, co we Wilnie. Pobożny król nie tylko kazaniami do ludu pomagał kapłanom polskim, lecz owszem jak prawdziwy zesłannik boży sam chrztu udzielał, a nawet książętom i panom polskim toż samo czynić kazał. Wszędzie burzono świątynie bałwochwalcze, stawiano krzyże i kaplice łacińskie, ogłaszano rozporządzenia na rzecz duchowieństwa nowego.

Ten objazd apostolski trwał kilka miesięcy. Nie obeszło się przedewszystkiem bez dalszych starań o wkorzenienie wiary łacińskiej. Wzniosły się dwa nowe kościoły rzymskie, jeden św. Marcina w zamku wileńskim, drugi św. Jana w mieście. Tak nowej katedrze litewskiej, jakoteż reszcie kościołów nadesłała królowa Jadwiga obfity zapas kielichów, obrazów, mszałów, ornatów i tym podobnych przyborów.

Po całym dalekim świecie rozbiegła się wiadomość o chrzcie pogaństwa litewskiego. Poselstwo królewskie zostało wyprawione do Watykanu, niosąc należną sprawę z apostolskich czynności w Litwie. Złożył ją u stóp papieża Urbana poznański biskup, Dobrogost Nałęcz z Nowego Dworu. Był to pierwszy poseł Jagiełły, który stanął przed obliczem papieskiem. Przywiezione przezeń wieści litewskie przejęły niezmierną radością serce Ojca świętego. Oprócz nawrócenia ostatniej społeczności pogańskiej w Europie, jaśniała w nich nadzieja coraz dalszego wpływu Rzymu na Wschodzie, coraz bliższej unii chrześcijaństwa wschodniego z Rzymem.

Karol Szajnocha (Jadwiga i Jagiełło).

42. Elegia na śmierć przyjaciela.

Brodziński uczęszczał do gimnazyum w Tarnowie. Od dzieciństwa prawie sierota, tęsknił w osamotnieniu swem do serca, w któreby mógł złożyć każdą myśl, wypłakać każdą łzę, któreby go zrozumiało i zdolne było wypłacić się wzajemnością zwierzeń i łez. Im więcej wchodził w młodzieńcze

lata, im więcej mu sił i wrażeń przybywało, tem mocniej czuł potrzebę takiej przyjaźni, coby trwała mimo lat, mimo przeciwności, utrzymywana, jak święty płomień oliwą, ciągiem wzajemnych poświęceń się i usług. Orestes i Pylades, ów wzór bajeczny, uchodził w przekonaniu jego za rzeczywistość. Potulny, usłużny, przywiązujący się łatwo, mógł był przecież znaleźć niejedną przyjaźń, ale jakże często się zawodził! Jedni, do których miał pociąg dla ich wykształcenia i wyższego poloru, odpychali go, powiadając, że się im narzucał; inni, przywykli do swawoli i do życia wykwintniejszego, gardzili obdartym chłopcem.

Między innymi przywiązał się był do jednego ze współuczniów, celującego lepszem wychowaniem i nauką. Chłopak z majętnego domu miał dużo książek, map, rysunków; władał kilku językami i był otarty w świecie. Taka przyjaźń ileż była korzystną i pożądaną dla Kazimierza, który jakiś rodzaj wyższego szacunku czuł dla tej wykształceńszej od siebie istoty! Wzajemności jednak nie znalazł. Panicz, aczkolwiek cenił zdolność i zapał swego kolegi, lubił żartować z jego wykrzywionych butów i łatanej kapoty, a szczególniej zawsze przedrzeźniał tkliwe jego serce. Brodziński jednak nie zważał na to. Cicha ta przyjaźń, najżywsza z jednej, najzimniejsza z drugiej strony, urwała się nakoniec, gdyż stryj bogatego panicza zabronił synowcowi obcować z Kazimierzem.

Jakoś niedługo po tym wypadku, tak przykrym dla jego tkliwego serca, gdy lato było gorące, młodzież szła kąpać się do rzeki Białej. Do grona kąpiących się, w którem był Kazimierz, przyłączył się także ów panicz; a że to był chłopak otarty w świecie i zarozumiały między niedoświadczonymi jeszcze studencikami, więc w towarzystwie kolegów rej wodził. Stąd też, chociaż jego despotycznemu tonowi ulegano, jednak go nie lubiono; Kazimierz jeden tylko, nie mogąc stłumić w sobie przywiązania do niego, zawsze mu okazywał jednakową przychylność. Najlepiej się to okazało przy kąpieli. Panicz, dufając w swoją powagę i siłę, zaczął przykrości wyrządzać chłopcom: temu suknie zarzucił na wierzbę, owego porwał i zanurzył na dno, innego błotem omazał lub z sukniami wciągnął do rzeki.

I w najpotulniejszych przebierze się nakoniec miarka cierpliwości. Jakoż jeden, któremu najgorzej dokuczył, postanowił ukarać psotnika, a podmówiwszy innych, co było łatwo, gdyż każdy miał nań zawziętość, kazał im się uzbroić to w pręty, to pokrzywy, to grudy ziemi i wyskoczyć na brzeg. Panicz, który się dość nakąpał, również chciał wyłazić i ubierać się, lecz odpędzono go od brzegu, zasypawszy gradem bryl i pogroziwszy pokrzywą i prętem. Wrąc cały od gniewu, gdy widział, że się nie tak łatwo na brzeg dostanie, krzyknął na Brodzińskiego, który stał na boku ubrany, aby mu suknie rzucił, zaklinając na świętość przyjaźni. Na to słodkie wezwanie skoczył Kazimierz ku sukniom i, nim się drudzy opatrzyli, już zrobiwszy mały węzełek, cisnął go w środek rzeki. Ów pochwycił suknie, a że był dobry pływak, więc ułożył sobie przepłynąć na drugą stronę i tam się ubrać w miejscu bezpiecznem. Puścił się więc, trzymając węzełek nad głową. Rzeka była rwąca i dość wezbrana, silne prądy i wiry utrudniały widocznie przeprawę chłopakowi i tak już zmęczonemu godzinną walką i szamotaniem się z wodą; dlatego pęd rzeki unosił go coraz dalej tak, że na zakręcie zniknął. Poskoczył Brodziński, poskoczyli inni, chcąc widzieć, jak wyląduje; ale już go nie było widać. Zrazu sądzono, że ukrył się w wiklinach; lecz gdy na żadne wołanie nie odpowiadał, dopiero strach ogarnął wszystkich. »Utopił się! utopił!« ten i ów skoczył do wody, ale darmo! Ludzie pracujący w polu na ten hałas nadbiegli; gdzieś tam i łódź się znalazła, ale mimo największych usiłowań nie można było go znaleźć. Łatwo sobie wyobrazić, jaki smutek ogarnął młodzieńców, zwłaszcza tych, co się stali przyczyną tego nieszczęścia. Brodziński, przejęty do żywego stratą przyjaciela, który acz wzajemności dlań nie miał, był zawsze przedmiotem jego adoracyi, prawie do białego dnia chodził po brzegu i lamentował...

Dopiero w kilka dni ciało topielca wydobyto i przywieziono, okropnie zeszpecone. Widok ten sprawił mocne wrażenie na Brodzińskim. Wrócił z rozdartem sercem do domu, nie kładł się spać, tylko usiadł przy otwartem oknie, w które księżyc zaglądał, i tak całą noc dumając, napisał elegię na śmierć kolegi. Nazajutrz przeczytał ją współuczniom

w klasie. Młodzież z uniesieniem i rozrzewnieniem słuchała tej skargi tkliwego serca; a nawet profesorowie, dostawszy ten wiersz, nie mogli się go nachwalić. Ale nie tu koniec tryumfu młodego poety, a raczej najcenniejszej nagrody. W parę dni jeden z kolegów przyprowadza doń matkę utopionego, która na wiadomość o śmierci syna przyjechała ze wsi. Biedna kobieta ze łzami w oczach rzuciła się na szyję Kazimierzowi i przyciskając go do łona rzekła: »Dziękuję ci, synu! Tyś odgadł wszystkie bole matki, tracącej jedyne dziecko! Tyś opłakał przyjaciela! Gdyby mi wolno było, pragnęłabym, abyś jego miejsce przy mojem sercu zajął, choć straty mego Jasia nic mi już nie zastąpi!...

»Biały piołun na twym grobie,
Wnet będzie ubraniem tobie:
Nadzieje wszystkie pospołu
Zagrzebię w garstce popiołu...«

I żałosnym głosem powtórzywszy tę zwrotkę elegii, znowu zalała się łzami. Serce Kazimierza, tknięte tak nieznanym mu widokiem, w tym pierwszym prawie uścisku matki rozpłynęło się jak wosk; ukląkł przy niej i, całując ręce, szeptał cichym głosem: »Jakież to nieporównane szczęście, znaleźć choćby przypomnienie matki!«

Lucyan Siemieński (Żywot K. Brodzińskiego).

43. Ślub rycerski.

Mieszkał za panowania Władysława Jagiełły w Bogdańcu ród zacny, rycerski, herbu Tępa Podkowa a zawołania Grady. Byli tego rodu dwaj bracia, mieszkali zaś we włości pięknej, Bogdańcem zwanej. Alić traf zdarzył, iż podczas wojny domowej Bogdaniec spalono do cna, że jeno stary dom ostał, wszelki dostatek rozgrabiono, a służebni uciekli. Została goła ziemia, bo i kmiecie poszli dalej w puszczę. Odbudowali bracia Grady, ale następnego roku woda im wszystko pobrała. Potem jeden brat umarł, a drugi ostał sam z synowcem Zbyszkiem. Myśli tedy on Maciek: »Nie usiedzę«. Jakoż zostawiwszy ziemię godnemu opatowi, krewniakowi swemu, Jankowi z Tyńca, udał się ze Zbyszkiem do Wilna, do księcia Witolda, brata Jagiełły, który

wówczas z Krzyżakami wojnę prowadził. Wojowali pod bokiem księcia lat sporo, gdy się zaś wojna uspokoiła, wracali do domu z łupem obfitym i wielką sławą rycerzy mężnych.

Trza dodać, iż młody Zbyszko był niezmiernie krewki i właśnie w onej drodze powrotnej ślub uczynił, jako to było we zwyczaju ówczesnym, że dopóty spokoju nie zazna, dopóki nie zwycięży trzech najsławniejszych rycerzy krzyżackich i dopóki z ich hełmów nie zedrze trzech pęków piór pawich. Pęki one miał ofiarować córce Juranda, znakomitego pogromcy Krzyżaków, Danusi, której rycerzem się ogłosił. Ślubował to przed ołtarzem, tak się modląc:

»Daj, Jezu, wojnę z Krzyżaki i Niemcami, którzy są nieprzyjaciółmi królestwa tego i wszystkich narodów, w naszej mowie Imię Twoje święte wyznawających. I nam błogosław, a ich zetrzyj, którzy radziej staroście piekielnemu, niźli Tobie służąc, przeciwko nam zawziętość w sercu noszą, najbardziej o to gniewni, że król nasz z królową Litwę ochrzciwszy, wzbraniają im mieczem chrześcijańskich sług Twoich ścinać. Za któren gniew ich ukarz«.

»A ja, grzeszny Zbyszko, kajam się przed Tobą i od pięciu ran Twoich wspomożenia błagam, abyś mi trzech znacznych Niemców z pawiemi czuby na hełmach jako najprędzej zesłał i w miłosierdziu swojem pobić ich do śmierci pozwolił. Ale to z takowej przyczyny, iżem ja one czuby pannie Danusi, Juranda córce, a Twojej służce obiecał i na moją rycerską cześć poprzysiągł.

»Co zasię więcej przy pobitych się znajdzie, z tego ja dziesięcinę wiernie Kościołowi Twemu świętemu oddam i abyś Ty, słodki Jezu, pożytek i chwałę ze mnie odniósł i abyś poznał, żem Ci szczerem sercem, nie po próżnicy obiecował. A jako to jest prawda, tak mi dopomóż. Amen«.

Traf zdarzył, że właśnie w owej drodze powrotnej pod Krakowem ujrzał Zbyszko jakiegoś olbrzyma. Myślał z początku, że to duch Walgierza Wdałego, rycerza nad rycerze, który jednak krwawą zemstą się zmazał i wedle wierzeń ówczesnych po śmierci w mogile spokoju nie zaznając, błąkał się po drogach i ludziom rozmaicie psocił. Olbrzym ów stał konno na wzgórzu, głowę miał wzniesioną i modlił się. Zbyszko zbliżył się do niego na ćwierć stai i spostrzegł na-

gle nieopodal kilkunastu konnych żołnierzy, na których czele jechał rycerz przybrany cały w świecącą zbroję: w biały sukienny płaszcz z czarnym krzyżem i w stalowy hełm z przepysznym pawim czubem na grzebieniu.

Poznał Zbyszko Krzyżaka; pomyślał, że modlitwy jego wysłuchane zostały i nie rozważając więcej, pochylił się w kulbace, złożył kopię w pół końskiego ucha i wydawszy rodowy okrzyk: »Grady, Grady!« ruszył, co koń wyskoczy, na Krzyżaka.

A tamten zdumiał się także, gdyż wstrzymał konia i nie pochylając kopii, sterczącej w górę od strzemienia, patrzył przed siebie, jakby niepewny, czy w niego godzą. Wreszcie widząc, że napad wymierzony ku niemu, ściągnął konia, nadstawił broń i już kopia Zbyszkowa miała się roztrzaskać o jego piersi, gdy naraz jakaś potężna dłoń przyłamała ją Zbyszkowi przy samym ręku, jak zeschłą trzcinę; potem taż sama dłoń ściągnęła cugle jego konia z tak straszliwą siłą, że rumak zarył się wszystkiemi czterema nogami w ziemię i stanął jak wkopany.

— Szalony człecze, co czynisz? — ozwał się głęboki groźny głos. — W posła godzisz, króla znieważasz!

Zbyszko spojrzał i poznał tego samego ogromnego męża, którego poczytał za Walgierza.

Był to Powała z Taczewa, jeden z najznamienitszych rycerzy polskich i ulubieńców króla, któremu Jagiełło polecił czuwać nad bezpieczeństwem okolicy.

Zbyszko i stryj jego, który wkrótce na miejsce przypadku przypędził, dowiedzieli się z przerażeniem, że ów Krzyżak, komtur von Lichtenstein, był istotnie posłem od Wielkiego Mistrza do króla. Pan z Taczewa ocalił go, ale chociaż krew się nie polała, już sam zamach na posła był zbrodnią, pociągającą za sobą karę śmierci. Zbyszko mógł ujść tej kary tylko w takim razie, gdyby mu Lichtenstein przebaczył i skargi przed króla nie zaniósł. Ale Lichtenstein nie żywił w sercu swojem uczuć ludzkich, zaniósł skargę i z zaciekłością tygrysią żądał zadośćuczynienia. Zamknięto Zbyszka do lochu, trzymano go tam długo, bo chciano go koniecznie ocalić. Lichtenstein jednak wciąż na jego życie nastawał, musiano przeto skazać go na śmierć.

Cudem niemal ocalał, bo już go prowadzono pod miecz katowski, gdy oto Danusia Jurandówna zbliżyła się do niego, zarzuciła mu na głowę zasłonę swoją, wołając:

— Mój-ci jest: nie macie do niego prawa.

Zwyczaj to był narodowy i święcie przestrzegany, że jeżeli na głowę prowadzonego na śmierć skazańca panna lub wdowa zasłonę swoją rzuciła, oświadczając tym sposobem, że za małżonka go bierze, skazańca ułaskawiano. Zwyczaju tego nic naruszyć nie mogło, więc i krwiożerczość krzyżacka okazała się bezsilną.

Ocalał tedy Zbyszko, lecz zarówno on, jak stryj jego poprzysięgli, iż nie darują Lichtensteinowi zawziętości i staną z nim walkę na śmierć i życie. Jakoż tak się stało. Mściwy Kuno Lichtenstein poległ z ręki starego Maćka, ale w walce szlachetnej, prowadzonej otwarcie.

Według powieści Henryka Sienkiewicza „Krzyżacy".

44. Z opłatkiem.

Z opłatkiem do was idę, bracia moi,
Po wszystkie krańce i po wszystkie brzegi:
I tam, gdzie słońce złotem ziemię stroi,
I gdzie noc ciemną białe plamią śniegi,
Z opłatkiem do was idę, bracia moi!...

Pod dymną strzechę nizko schylam głowę,
Gdzie życie pracy szarą snuje przędzę,
Idę pomiędzy opłotki wioskowe —
Szukać cię, starszy mój bracie w siermiędze!
Niech Bóg ci serce i ręce da zdrowe!...

Pod cichy dworek, co jak gołąb biały
Tuli się w puchu zimowej osłony —
Niosę kolendę, pełną Bożej chwały,
Na starą nutę, na serdeczne tony:
Niech Bóg wam ojców dom zachowa cały!...

Do ciebie idę, spracowany bracie,
Coś uznojone ledwie otarł skronie —
Z opłatkiem w twoim dzielić się warsztacie,
I szorstkie z trudu uścisnąć ci dłonie:
Pokój wam, którzy tylko troskę znacie!

Pokój wam wszystkim, ubodzy i mali,
Co się o chleba suchy kęs trudzicie;
Anioł, co Bożą dziś gwiazdę rozpali,
Niech smugę światła rzuci w wasze życie
I żmudnej drogi kres ukaże w dali!...

Z opłatkiem do was idę bracia moi,
Po wszystkie krańce i po wszystkie brzegi:
I tam, gdzie słońce złotem ziemię stroi,
I gdzie noc ciemną białe plamią śniegi,
Z opłatkiem do was idę, bracia moi!...

Maryan Gawalewicz.

45. Dwa przykłady poświęcenia.

We wsi Lewkowie, w Ciechanowskiem, zmarła biedna kobieta, ale tak biedna, że nie było za co oddać ją matce-ziemi. Majątek cały spadkobierców nędzarki wynosił jedną, jedyną złotówczynę, a grabarz za wykopanie ostatniego przytułku dla wszelkiej nędzy żądał aż rubla. Nie pomogły prośby jedynej krewnej zmarłej, schorowanej i bezsilnej staruszki, a nawet na nalegania miejscowego wikaryusza chciwy grabarz odpowiedział odmową.

Wtedy czcigodny kapłan ujął rydel i sam począł grób kopać. Grabarz przyglądał się tej pracy z uśmiechem niedowierzania; lecz gdy spostrzegł, że grób w połowie wykopany, ozwało się w nim sumienie i oświadczył gotowość do skończenia roboty. Ani przecież to oświadczenie grabarza, ani nawet jego prośby gorące nie pomogły nic, i zacny kapłan sam wykopał grób cały.

We Francyi, w czasie ostatniej wojny z Niemcami, pod jedną z wiosek znaleziono zabitego żołnierza pruskiego. Dowódzca korpusu, jeden z książąt krwi królewskiej, nakazał surowe śledztwo dla wykrycia mordercy z oświadczeniem zarazem, iż, jeżeli winny się nie znajdzie, jeden z mieszkańców wsi, losem wybrany, ulegnie karze śmierci, gdyż zamach, spełniony na żołnierzu armii niemieckiej, dla przykładu wszystkich bezkarnie ujść nie może.

Śledztwo nie wykryło winowajcy; wybrano więc losem jednego z miejscowych rolników, ojca kilkorga dzieci i czło-

wieka wielce przez wszystkich mieszkańców szanowanego, który po upływie doby, choć zupełnie niewinny, miał być rozstrzelany. Rozpacz ogarnęła wszystkich; skazanego zamknięto oddzielnie, otoczono go ścisłą strażą i kazano się na śmierć przygotować; we wsi całej ozwał się płacz rozpaczy i jęk boleści dzieci i żony skazanego.

Wówczas miejscowy proboszcz, przez swych parafian wielce ukochany, nic nie mówiąc nikomu, poszedł do kwatery dowodzącego księcia i pochylony kornie, prosił go, aby w miejsce wybranego losem jego rozstrzelano.

— To ojciec rodziny — rzekł — ojciec drobnej dziatwy, która bez niego zmarnieje i wyjdzie na nędzarzy, ja zaś sam jestem, przeznaczony kapłaństwem do poświęcenia się dla dobra drugich. Przyjm więc, książę, mnie za niego; wyrok wydany, nic na tem nie ucierpi i kara dla przykładu zostanie wykonaną. Błagam cię, książę, nie odmów mojej prośbie...

Zastępstwo kapłana przyjęto, osadzono go w więzieniu, a rolnika wypuszczono, który żadnym sposobem ofiary zrobionej dla siebie przyjąć nie chciał; ale książę stanowczo oświadczył, że musi tak się stać, jak postanowił, i na proboszczu wyrok wykonany zostanie.

Na drugi dzień wszystko już przygotowano do egzekucyi: słup wkopano, pluton wojska wyznaczono... rozpacz mieszkańców nie miała granic... Wreszcie wyprowadzono zacnego kapłana na plac kaźni, zgromadzono wszystkich mieszkańców i odczytano — ułaskawienie.

Radość mieszkańców była niezwykła: płakano, ale ze szczęścia, że Bóg zmiłował się nad nimi i dał im za przewodnika kapłana, co dla dobra ich nawet życia nie waha się poświęcić.

46. Pojedynek rycerski.

Bitka miała się odbyć na podwórzu zamkowym, które wkoło otaczał krużganek.

Gdy dzień uczynił się zupełny, przybyli książę i księżna razem z dziećmi i zasiedli w środku między słupami, skąd najlepiej widać było cały podwórzec. Obok nich zajęli

miejsca co przedniejsi dworzanie, szlachetne niewiasty i rycerstwo. Zapełniły się wszystkie kąty krużganku, czeladź usadowiła się za wałem, który utworzon był z wymiecionego śniegu, niektórzy poprzyczepiali się na wykuszach, a nawet na dachu. Tam prostactwo gwarzyło między sobą: »Daj Bóg, aby się nasz nie dał!«

Oni zaś weszli z przeciwnych stron szranków i zatrzymali się na krańcach. Każdy z patrzących utaił wówczas dech w piersiach, a każdy pomyślał, że oto niezadługo dwie dusze ulecą ku sądowym progom Boskim, a dwa trupy zostaną na śniegu; i usta, oraz jagody niewiast pobladły i posiniały na tę myśl, oczy zaś mężów wpatrzone były, jak w tęczę, w przeciwników, każdy bowiem pragnął z samej postawy i z uzbrojenia ich wywróżyć sobie, na czyją stronę padnie zwycięstwo.

Krzyżak przybrany był w szmelcowany, błękitny pancerz, w takież nabiodrza i w takiż hełm z podniesioną przyłbicą i ze wspaniałym pawim pióropuszem na grzebieniu. Zbyszkowi piersi, boki i grzbiet opinała pyszna medyolańska zbroja, którą był swego czasu zdobył na Fryzach. Na głowie miał hełm z okapem, niezamknięty i bez piór, na nogach bycze skórznie. Na lewych ramionach dźwigali tarcze z herbami; na krzyżackiej była u góry szachownica, u dołu trzy lwy, stojące na zadnich łapach, na Zbyszkowej »Tępa Podkowa«. W prawicach dźwigali szerokie, straszne topory, osadzone na dębowych, poczerniałych toporzyskach, dłuższych, niż ramię rosłego męża. Towarzyszyli im giermkowie: Hlawa, zwany przez Zbyszka Głowaczem, i van Krist, obaj przybrani w ciemne żelazne blachy, obaj również z toporami i tarczami; van Krist miał w herbie krzak jałowca, herb Czecha podobny był do Pomiana z tą różnicą, że zamiast topora tkwił w byczej głowie krótki miecz, do połowy w oku pogrążon.

Trąba ozwała się po raz drugi, a za trzecim mieli przeciwnicy wedle umowy na się nastąpić. Dzieliła ich już teraz tylko niewielka, posypana szarym popiołem przestrzeń, nad tą zaś przestrzenią unosiła się, jako złowrogi ptak — śmierć. Zanim jednak dano trzeci znak, Rotgier zbliżył się ku słupom, między którymi siedzieli księstwo, podniósł swą zakutą

w stal głowę i ozwał się głosem tak donośnym, że usłyszano go we wszystkich zakątkach krużganku:

— Biorę na świadka Boga, Ciebie, dostojny Panie, i całe rycerstwo tej ziemi, jakom nie winien tej krwi, która będzie przelana.

Na te słowa ścisnęły się znów serca, że Krzyżak tak był pewien siebie i swego zwycięstwa. Lecz Zbyszko, mając duszę prostą, zwrócił się do swego Czecha i rzekł:

— Śmierdzi mi ta krzyżacka chwalba, gdyż byłaby do rzeczy po mojej śmierci, nie zaś, pókim żyw. Ma też ów samochwał pawi czub na hełmie, a ja nasamprzód takich trzy ślubował, a potem, ile paliców u rąk. Bóg zdarzył!

— Panie... — zapytał Hlawa, pochylając się i nabierając w ręce nieco popiołu ze śniegiem, aby toporzysko nie ślizgało mu się w dłoniach — może da Chrystus, że prędko uwinę się z tym pruskim chmyzem; zali mi wolno będzie wówczas, jeśli nie sięgnąć Krzyżaka, to przynajmniej wsadzić mu toporzysko między kolana i zwalić go na ziemię?

— Boże cię uchowaj! — zawołał żywo Zbyszko — hańbąbyś okrył mnie i siebie!

A wtem zabrzmiał po raz trzeci głos trąby. Usłyszawszy to giermkowie, skoczyli jeden ku drugiemu żywo i zapalczywie, rycerze zaś posunęli się ku sobie wolniej i rozważniej, jako aż do pierwszego starcia nakazywała ich dostojność i powaga.

Mało kto zważał na giermków, ale ci z doświadczonych mężów i czeladzi, którzy na nich patrzyli, zrozumieli odrazu, jak okrutna przewaga jest po stronie Hlawy. Topór chodził ciężej w ręku Niemca, a również i ruchy jego tarczy były wolniejsze. Z pod puklerza widać było jego nogi dłuższe, ale wątłe i mniej sprężyste od potężnych, pokrytych obcisłem ubraniem nóg Czecha. Hlawa natarł też tak zapalczywie, że van Krist prawie od pierwszej chwili musiał się cofać. Zrozumiano odrazu, że jeden z tych przeciwników zwalił się na drugiego, jak burza, że prze, naciska, razi jak piorun; drugi zaś w poczuciu, że śmierć nad nim, broni się tylko, aby jak najbardziej opóźnić okropną chwilę. Jakoż tak było istotnie. Ów samochwał, który wogóle stawał do bitki tylko wówczas, gdy inaczej nie mógł uczynić, poznał,

że zuchwałe a niebaczne słowa przywiodły go do walki ze strasznym osiłkiem, którego powinien był, jak zguby, unikać; więc gdy poczuł teraz, że każde z tych uderzeń mogłoby zwalić wołu, upadło w nim zupełnie serce. Zapomniał prawie, że nie dość chwytać ciosy tarczą, ale że trzeba je także zadawać. Widział nad sobą błyski toporu i myślał, że każdy z nich jest ostatni. Nadstawiając puklerz, mrużył mimowoli oczy z poczuciem trwogi i zwątpienia, czy je jeszcze otworzy. Zrzadka sam zadał cios bez nadziei, że przeciwnika dosięże, puklerz tylko podnosił coraz wyżej na głowę, aby ją jeszcze i jeszcze uchronić.

Wreszcie począł się męczyć, a Czech bił w niego coraz potężniej. Równie jak z rosłego chojara odszczepiają się pod toporem chłopa wióry ogromne, tak i pod razami Czecha poczęły kruszyć się i odpadać blachy ze zbroi niemieckiego giermka. Górny brzeg tarczy wygiął się i spękał, naramiennik z prawego barku stoczył się wraz z przeciętym i pokrwawionym już rzemieniem na ziemię. Van Kristowi włosy stanęły dębem na głowie i chwyciła go trwoga śmiertelna. Uderzył jeszcze raz i drugi całą siłą ramienia w puklerz Czecha, wreszcie widząc, że wobec okrutnej siły przeciwnika niema dla niego ratunku i że ocalić go tylko może jakiś nadzwyczajny wysiłek, rzucił się nagle całym ciężarem zbroi i ciała pod nogi Hlawy.

Padli obaj na ziemię i zmagali się wzajem, tocząc i przewracając się po śniegu. Lecz Czech wnet wydostał się na wierzch, przez chwilę tłumił jeszcze rozpaczliwe ruchy przeciwnika, wreszcie przycisnął kolanem żelazną siatkę, pokrywającą jego brzuch i wydobył z za pasa krótką trójgranną mizerykordyę.

— Oszczędź! — wyszeptał cicho van Krist, wznosząc oczy ku oczom Czecha.

Lecz ów, zamiast odpowiedzieć, rozciągnął się na nim, by łatwiej rękoma dostać jego szyi, i przeciąwszy rzemienną zapinkę hełmu pod brodą, pchnął nieszczęśnika dwukrotnie w gardło, kierując ostrze w dół ku środkowi piersi.

Wówczas źrenice van Krista uciekły w głąb czaszki, ręce i nogi poczęły trzepać śnieg, jakby chciały go oczyścić z popiołu; po chwili jednak wyprężył się i pozostał nieru-

chomy, wydymając tylko jeszcze pokryte czerwoną pianą wargi i krwawiąc nadzwyczaj obficie.

A Czech wstał, obtarł o suknię Niemca mizerykordyę, następnie podniósł topór i wsparłszy się na nim, począł spoglądać na cięższą i upartszą bitkę swego rycerza z bratem Rotgierem.

Rycerze zachodni przywykli już byli do wygód i zbytków, podczas gdy dziedzice w Małopolsce i Wielkopolsce oraz na Mazowszu wiedli jeszcze życie surowe i twarde, wskutek czego nawet w obcych i niechętnych budzili podziw krzepkością ciała i wytrzymałością na wszelki trud, bądź ciągły, bądź doraźny. Pokazało się też i teraz, że Zbyszko góruje nad Krzyżakiem siłą rąk i nóg, nie mniej, niż jego giermek górował nad van Kristem; ale pokazało się także, że jako młody ustępuje mu w ćwiczeniu rycerskiem.

Było to dla Zbyszka rzeczą poniekąd pomyślną, iż wybrał walkę na topory, albowiem fechtunek tego rodzaju bronią był niemożliwy. Na krótkie lub długie miecze, przy których trzeba było znać cięcia, sztychy i umieć ciosy odbijać, miałby Niemiec znaczną przewagę. Lecz i tak zarówno sam Zbyszko, jak i widzowie, po ruchach i władaniu tarczą poznali, iż mają przed sobą męża doświadczonego i groźnego, który widocznie nie pierwszy raz staje do tego rodzaju walki. Za każdym ciosem Zbyszka Rotgier podstawiał tarczę i w chwili uderzenia cofał ją nieco, przez co rozmach choćby największy tracił na sile i nie mógł przeciąć ani też pokruszyć gładkiej powierzchni. Chwilami cofał się, chwilami nacierał, czyniąc to spokojnie, lubo tak szybko, że ledwie można było pochwycić oczyma jego ruchy. Zląkł się książę o Zbyszka, a twarze mężów zasępiły się; wydało im się bowiem, że Niemiec igra jakby umyślnie z przeciwnikiem. Nieraz nie podstawiał nawet tarczy: ale w chwili, gdy Zbyszko uderzał, czynił pół obrotu w bok w ten sposób, że ostrze topora przecinało puste powietrze. Było to najstraszniejsze, gdyż Zbyszko mógł przytem stracić równowagę i upaść, a wówczas zguba jego stałaby się nieuchronną.

Zbyszko jednak nie padał, gdyż mając w nogach siłę ogromną i rozstawiając je szeroko, mógł utrzymać na każdej cały ciężar ciała i rozmachu.

Okrutna walka przeciągała się dłużej nad zwykłą miarę. Na krużgankach zaległa cisza śmiertelna. Słychać było tylko czasem dźwiękliwe, a czasem głuche uderzenia ostrzy i obuchów o tarcze. I księstwu i rycerzom i dworkom nie obce były podobne widowiska, a jednakże jakieś uczucie, podobne do przerażenia, ścisnęło jakby kleszczami serca wszystkich. Rozumiano, że tu nie chodzi o wykazanie siły, sprawności, męstwa i że większa jest w tej walce zaciekłość, większa rozpacz, większa i bardziej nieubłagana zawziętość, głębsza zemsta. Z jednej strony straszne krzywdy, miłość i żal bez dna, z drugiej cześć całego Zakonu i głęboka nienawiść szły na tem pobojowisku na sąd Boży.

Tymczasem pojaśniał jeszcze zimowy blady ranek, przetarła się szara opona mgły i promień słońca rozświecił błękitny pancerz Krzyżaka i srebrnawą medyolańską zbroję Zbyszka. W kaplicy zadzwoniono na tercyę, a razem z odgłosem dzwonów znów stada kawek zerwały się z dachów zamkowych, łopocąc skrzydłami i krocząc zgiełkliwie, jakby z radości na widok krwi i tego trupa, który leżał już nieruchomo na śniegu. Rotgier rzucił na niego w czasie walki raz i drugi oczyma i nagle uczuł się ogromnie samotnym. Wszystkie oczy, które na niego patrzyły, były to oczy wrogów. Wszystkie modły, życzenia i ciche wota, które czyniły niewiasty, były po stronie Zbyszka. Prócz tego, jakkolwiek Krzyżak był zupełnie pewien, że giermek Zbyszków nie rzuci się na niego z tyłu i nie sięgnie go zdradliwie, jednakże obecność i blizkość tej groźnej postaci przejmowała go takim mimowolnym niepokojem, jakim przejmuje ludzi widok wilka, niedźwiedzia, lub bawołu, od którego nie przedziela ich krata. I nie mógł się temu uczuciu obronić, tem bardziej, że Czech poruszał się i zmieniał miejsce, zachodząc walczącym to z boku, to z tyłu, to od czoła, pochylając przytem głowę i przypatrując się mu złowrogo przez szpary w żelaznej przyłbicy hełmu, a czasem podnosząc nieco, jakby mimowoli, zakrwawione ostrze.

Zmęczenie poczęło wreszcie Krzyżaka ogarniać. Raz po razu zadał dwa ciosy krótkie, ale straszne, kierując je na prawe ramię Zbyszka; ten jednakże odepchnął je tarczą z taką siłą, że toporzysko zachwiało się w dłoni Rotgiera,

sam zaś musiał się cofnąć nagle, aby nie upaść. I od tej pory cofał się ciągle. Wyczerpały się zresztą nietylko jego siły, ale zimna krew i cierpliwość. Z piersi widzów na widok jego cofania się wyrwało się kilka okrzyków, jakby tryumfu, które wzbudziły w nim złość i rozpacz. Uderzenia toporów stały się coraz gęstsze. Pot zlewał czoła obu walczących, a przez zwarte zęby dobywał im się z piersi chrapliwy oddech. Patrzący przestali zachowywać się spokojnie, i co chwila teraz odzywały się wołania to męskie, to niewieście: »Bij! W niego!... Sąd Boży! Kara Boża! Bóg ci pomagaj!« Książę skinął kilka razy dłonią, by je uciszyć, ale nie mógł ich powstrzymać. Czyniło się coraz głośniej, gdyż dzieci poczęły tu i ówdzie płakać na krużgankach, a wreszcie przy samym boku księżny jakiś młody łkający głos niewieści zawołał:

— Za Danuśkę, Zbyszku, za Danuśkę!

Zbyszko wiedział przecie, że idzie o Danusię. Był pewny, że ten Krzyżak przyłożył ręki do jej porwania i walcząc z nim, walczył za jej krzywdy. Ale jako młody i chciwy bitew w chwili walki, myślał o samej walce. Nagle ów krzyk uprzytomnił mu jej stratę i jej niedolę. Miłość, żal i zemsta nalały mu ognia do żył. Serce zaskowyczało w nim z rozbudzonego bólu i chwycił go po prostu szał bojowy. Strasznych, podobnych do uderzeń burzy jego ciosów nie mógł już Krzyżak pochwycić, ni im wydążyć. Zbyszko uderzył tarczą w jego tarczę z tak nadludzką siłą, że ramię Niemca zdrętwiało nagle i opadło bezwładnie. Ów zaś cofnął się w trwodze i przerażeniu i przechylił się w tył, a wtem w oczach mignął mu błysk topora i ostrze spadło mu jak piorun na prawy bark.

Do uszu widzów doszedł tylko rozdzierający krzyk: »Jezus!...« poczem Rotgier odstąpił jeszcze krok i runął na wznak na ziemię.

Wnet zagrzmiało i zaroiło się na krużgankach, jak w pasiece, w której pszczoły przygrzane słońcem poczynają ruszać się i szumieć. Rycerze zbiegali całymi tłumami po schodach, czeladź przeskakiwała wał śnieżny, by się trupom przypatrzyć. Wszędy rozlegały się okrzyki: »Ot, sąd Boży!... Chwała mu i podzięka! To ci chłop do topora!« Inni zaś

wołali: »Patrzcie a dziwujcie się!« Jakoż utworzyła się cała gromada ciekawych naokół trupa Rotgiera, a on leżał na grzbiecie, z twarzą białą, jak śnieg, z szeroko otwartemi ustami i z krwawem ramieniem, odwalonem tak strasznie od szyi aż do pachy, że ledwie się na kilku włóknach trzymało. Więc mówili znów niektórzy: »Ot, żyw był, i w hardości po ziemi chodził, a teraz ci i palcem nie ruszy!« A tak mówiąc, jedni podziwiali jego wzrost, gdyż wielką przestrzeń na pobojowisku zajmował i po śmierci wydawał się jeszcze ogromniejszy, drudzy zaś pawi pióropusz, mieniący się cudnie na śniegu, a trzeci zbroję, którą na dobrą wieś oceniano. Lecz Czech Hlawa zbliżył się właśnie z dwoma Zbyszkowymi pachołkami, by ją zdjąć z nieboszczyka; więc ciekawi otoczyli Zbyszka, wychwalając go i wynosząc pod niebiosa, bo im się słusznie zdawało, że sława jego spadnie na całe mazowieckie i polskie rycerstwo. Tymczasem odjęto mu tarczę i topór, by mu ulżyć, a Mrokota z Mocarzewa odpiął mu i hełm, spotniałe zaś włosy przykrył czapką ze szkarłatnego sukna. Zbyszko stał, jakby w osłupieniu, oddychając ciężko, z ogniem jeszcze niezgasłym w oczach, z twarzą pobladłą z wysiłku i zawziętą, drżąc nieco ze wzruszenia i trudu. Ale chwycono go pod ręce i poprowadzono do księstwa, którzy czekali nań w ogrzanej komnacie przy kominie. Tam Zbyszko klęknął przed nimi, a gdy ojciec Wyszoniek przeżegnał go i odmówił wieczny odpoczynek za dusze zmarłych, książę uścisnął młodego rycerzyka i rzekł:

— Bóg najwyższy rozsądził między wami i prowadził rękę twoją, za co niech będzie błogosławione Imię Jego — Amen!

Poczem zwróciwszy się do rycerza de Lorche i do innych, dodał:

— Ciebie, obcy rycerzu, i was wszystkich obecnych, biorę na świadków tego, o czem i sam świadczę, jako się potykali wedle prawa i obyczaju, a jako sądy Boże wszędy odprawują, tak się też i ten odprawił po rycersku i po Bożemu.

Okrzyknęli się na to zgodnym chórem miejscowi wojownicy, gdy zaś panu de Lorche przetłomaczono słowa książęce, wstał i oznajmił, że nietylko świadczy, jako wszystko odbyło się po rycersku i po Bożemu, ale gdyby nawet ktokolwiek w Malborgu lub na innym dworze książęcym śmiał

o tem wątpić, on, de Lorche, pozwie go natychmiast w szranki na walkę pieszą lub konną, choćby to był nie tylko zwyczajny rycerz, ale olbrzym i czarnoksiężnik, samego Merlina magiczną siłą przewyższający. *Henryk Sienkiewicz* („Krzyżacy").

47. Chłop i Jowisz.

Chłop stojący zazdrościł siedzącemu panu
Lepszego stanu
I łżył niebiosy
Za takie losy
Myślą zuchwałą,
Iż jednym nadto dają, drugim nadto mało.
Rzekł wtem Jowisz: On chory, a ty jesteś zdrowy,
Lecz masz wybór gotowy:
Chcesz bogactw? będziesz je miał, lecz pedogrę razem.
Uszczęśliwion wyrazem,
Przyjął chłop złoto, ale legł kulawy.
Wesół był zrazu, lecz gdy ból żwawy
Coraz bardziej dokuczał,
Chłop narzekał i mruczał;
A winując się o to,
Rzekł: Jowiszu! wróć zdrowie, a weź sobie złoto.
Z uskutecznieniem Jowisz się nie bawił:
Odjął bogactwa, pedogrę zostawił.

Ignacy Krasicki.

48. Bitwa pod Grunwaldem.

We wtorek, w dzień Rozesłania Apostołów, piętnastego lipca, król Władysław postanowił przed świtem wysłuchać mszy św.; ale dla silnego i gwałtownie wiejącego wiatru nie można było tak śpiesznie, jak nakazano, zatknąć i rozwinąć namiotu, w którym zwykle odprawiano nabożeństwo, bo co rozwinięto płótna, to je wiatr zrywał. Już wreszcie i dzień nastał, a wiatr począł się wzmagać gwałtowny. Gdy więc dla ciągłej zawiei niepodobna było kaplicy królewskiej mocno ustawić, za radą wielkiego książęcia Aleksandra ruszył król obozem, a uszedłszy przestrzeń dwumilową, w której widzieć było płonące do koła włości nieprzyjaciół, stanął na polach wsi Rudy i Grunwaldu, mających się wsławić przyszłą w dniu tym bitwą, i pomiędzy gajami i gąszczami,

które zewsząd to miejsce zakrywały, kazał rozbić namioty, a kaplicę obozową ponad jeziorem Lubnem na wzniosłym ustawić pagórku, aby przez ten czas, gdy wojsko rozmieszczać się miało na swoich stanowiskach, mógł wysłuchać nabożeństwa. Już mistrz pruski Ulryk Jungingen ściągnął do wsi Grunwaldu, którą miał swoją upamiętnić klęską i zblizka stanął ze swojem wojskiem, a czaty królewskie jeszcze go nie dostrzegły. Po rozwinięciu więc kaplicy obozowej, kiedy król śpieszył do niej na nabożeństwo, przybiegł Hanek, szlachcic ziemi chełmskiej, herbu Ostoja, z oznajmieniem, że nieprzyjaciela widział już o kilkanaście kroków od obozu. A gdy król zapytał, jak liczne było jego wojsko, Hanek odpowiedział, że jedną tylko ujrzał chorągiew i natychmiast z doniesieniem o niej pośpieszył. Ledwo te słowa domawiał, kiedy przybył Dersław Włostowski, szlachcic herbu Oksza, i oznajmił, że dwie widział nadchodzące chorągwie nieprzyjaciół. Jeszcze i ten mówić nie skończył, a już nadbiegł trzeci, po nim czwarty, piąty i szósty, którzy zgodnie powtarzali, że nieprzyjaciel tuż pod obozem stał w gotowości do boju. Król Władysław tak nagłem i niespodziewanem nadejściem nieprzyjaciela nie zmieszany, za najważniejszą rzecz osądził, aby wprzódy oddać powinność Bogu, nimby do wojny przystąpił. Zarazem udawszy się do kaplicy obozowej, wysłuchał z wielkiem nabożeństwem dwóch mszy, a prosząc Boga o pomoc, z większą, niż zwykle, modlił się gorącością ducha i żadne prośby i zaklęcia nie zdołały oderwać króla od nabożeństwa, póki go do ostatka nie skończył...

Wreszcie król skończył swoje modlitwy, a przywdziawszy zbroję, świetnym od głowy aż do nóg okrył się rynsztunkiem. A chociaż rycerstwo, uszykowane w porządne hufce, wystąpiło już do boju i nieprzyjaciel z przeciwnej strony stał w gotowości i z orężem w ręku tak, iż oba wojska zaledwo na rzut strzały były od siebie oddalone i już nawet pojedyncze między niemi zagrały harce, uważano przecież za rzecz przyzwoitą, aby czekać, aż król sam wyda hasło do spotkania. Zaczem król Władysław w pełnej zbroi, siadłszy na konia, a wszystkie oznaki królewskie zostawiwszy na boku, dla obaczenia nieprzyjaciela podjechał na wyniosłe wzgórze i stanął na pagórku, między dwoma gajami szeroko

rozłożonym, skąd łatwy i dokładny podawał się widok na nieprzyjacielskie wojska. Napatrzywszy się do woli zastępom nieprzyjaciół, zjechał na równinę i wielu z towarzyszów pasem rycerskim ozdobił; dla dodania zaś swoim serca, krótką, ale silną zagrzał ich przemową, a sam z konia tak, jak na nim ubrany siedział, ponowił jeszcze spowiedź. Gdy wytrąbiono hasło bojowe, wszystko wojsko królewskie zaśpiewało pieśń ojczystą »Bogurodzica«, a potem z podniesionemi kopiami ruszyło do bitwy. W tej samej chwili obadwa wojska z głośnym, jak zwykle przed walką, okrzykiem zwarły się z sobą w nizinie, która je przedzielała. Krzyżacy dwakroć uderzywszy z dział, silnem natarciem napróżno usiłowali przełamać i zmieszać swych przeciwników szyki, lubo wojsko pruskie z głośniejszym okrzykiem i z wyższego pagórka ruszyło do walki. Było w miejscu spotkania sześć wysokich dębów, na które powyłaziło wiele ludzi, czy królewskich czy krzyżackich, dla przypatrzenia się z góry pierwszemu na siebie nieprzyjaciół natarciu i obu wojsk powodzeniu. Tak straszny zaś za ich spotkaniem z wzajemnego uderzenia kopii, chrzęstu ścierających się zbroi i szczęku mieczów powstał huk i łomot, że go na kilka mil w okolicy słychać było. Mąż na męża napierał, kruszyły się z trzaskiem oręże, godziły w twarz wymierzone wzajem groty. W tem zamieszaniu i zgiełku trudno rozróżnić było dzielniejszych od niewieściuchów; wszyscy bowiem jakby w jednym zawiśli tłumie. I nie cofali się wcale z miejsca, ani jeden drugiemu ustępował pola, aż gdy nieprzyjaciel, zwalony z konia albo zabity, rum otwierał zwycięzcy. Gdy nakoniec połamano kopie, zwarły się ze sobą tak silnie obu stron szyki i oręże, że już tylko topory i groty, na drzewcach ponasadzane, tłukąc o siebie, przeraźliwy wydawały łoskot, jakby bijące w kuźniach młoty. Jeźdźcy, ściśnieni w natłoku, szablą tylko nacierali na siebie i sama już wtedy siła, sama dzielność osobista przeważała...

W czasie toczącej się z zaciętością z obu stron bitwy stał Władysław, król polski, zblizka i przypatrywał się dzielnym czynom swoich rycerzy, a położywszy zupełną ufność w Bogu, oczekiwał spokojnie ostatecznego pogromu i ucieczki nieprzyjaciół, których widział na wielu miejscach

złamanych i pierzchających. Tymczasem wystąpiło do boju szesnaście pod tyluż znakami hufców nieprzyjacielskich, świeżych i nietkniętych, które jeszcze nie doświadczyły oręża; a część ich zwróciwszy się ku tej stronie, gdzie król polski stał z przyboczną tylko strażą, pędziły z wymierzonemi włóczniami jakby prosto ku niemu. Król w mniemaniu, że nieprzyjaciel, widząc przy nim tak małą garstkę rycerzy, godził nań z umysłu, strwożony grożącem niebezpieczeństwem, pchnął czemprędzej Zbigniewa z Oleśnicy, swego pisarza nadwornego, do stojącej w pobliżu chorągwi dworzan królewskich z rozkazem, aby jak najśpieszniej przybywali i zasłonili króla od grożących ciosów; jeżeli bowiem rychło nie nadbiegną, czeka go wielkie niebezpieczeństwo.

Była właśnie ta chorągiew w pogotowiu do stoczenia walki z nieprzyjacielem. Rycerz królewski, Mikołaj Kiełbasa, herbu Nałęcz, jeden z przedniej straży, zamierzywszy się szablą na gońca królewskiego Zbigniewa, wołać nań począł i łajać, aby ustąpił: »Czy nie widzisz — rzecze — szalony, że nieprzyjaciel na nas uderza? I ty chcesz, abyśmy, porzuciwszy walkę, biegli na obronę króla? Byłoby to jedno, co uciec z boju i tył podać nieprzyjacielowi, a dawszy się pobić, i króla i siebie na oczywiste narazić niebezpieczeństwo«. Temi słowy Zbigniew z Oleśnicy wypchnięty z chorągwi nadwornej, do których był wpadł wpośrodek, powrócił z niczem; w tej chwili wojsko królewskie stoczyło bój z Krzyżakami i mężnie walcząc, najdzielniejsze nawet wywracało szyki... Wrzał gorącą chęcią boju król Władysław i spinając konia ostrogami, chciał rzucić się na najgęstsze szyki nieprzyjacielskie, ledwo drużyna przybocznej straży zdołała go wstrzymać w zapędzie. Jakoż jeden z drużyny, Zoława, Czech, chwycił sam konia królewskiego za wędzidło, aby nie mógł dalej postąpić, aż król zniecierpliwiony uderzył go zlekka końcem swej rohatyny, wołając, aby go puścił, a nie bronił mu wyruszyć do walki. Dopieroż, gdy wszyscy rycerze straży królewskiej oświadczyli, że wolą raczej na wszystko się odważyć, niźli tego dopuścić, zezwolił na ich prośbę i dał się powstrzymać. A wtem podbiega rycerz z obozu Prusaków, Niemiec, nazwiskiem Dypold Kikierzyc v. Dieber, z Luzacyi, złotym pasem opięty, w białej podbitej kiecce niemieckiego kroju,

którą u nas jupką albo kaftanem zowią, i cały okryty zbroją, towarzysz ze znaku większej chorągwi pruskiej, do owych szesnastu należącej, i rozpędzony na koniu bułanym dociera aż do miejsca, kędy król stał, a wywijając włócznią, godzi prosto na króla wobec całego wojska nieprzyjacielskiego. Gdy więc król Władysław, podniósłszy także włócznię, czekał jego spotkania, Zbigniew z Oleśnicy, pisarz królewski, prawie bezbronny, bo w ręku miał jedno drzewce wpół złamane, uprzedził cios królewski, a ugodziwszy w bok owego Niemca, zwalił go z konia na ziemię. Padł struchlały, a drżącego z bojaźni król Władysław uderzywszy włócznią w czoło, które z opadnięciem przyłbicy odsłoniło się rycerzowi, zostawił go wreszcie nietkniętym. Ale rycerze, trzymający straż przy królu, ubili go na miejscu, a piesze żołdaki zdarły z zabitego odzież i zbroję.

Wojsko krzyżackie, szesnaście owych chorągwi składające, spostrzegłszy, że pomieniony rycerz trupem poległ, zaraz zaczęło się cofać na hasło jednego z Krzyżaków, dowódcy chorągwi, który siedząc na białym koniu, kopią dawał znak do odwrotu i wołał po niemiecku: *herum, herum!* Zwróciwszy się potem, ruszył na prawo, kędy stała wielka chorągiew królewska, już po zadanej klęsce nieprzyjaciołom, wraz z innemi chorągwiami polskiemi. Rycerze królewscy, ujrzawszy te szesnaście chorągwi i jedni poznawszy w nich nieprzyjaciół, jak rzeczywiście było, drudzy wziąwszy je za litewskie wojsko, a to z przyczyny lekkich i rzutnych włóczni, zwanych sulica, których w wojsku krzyżackiem wielka była liczba, nie zaraz uderzyli na Krzyżaków; spierali się między sobą i długo byli w niepewności, wreszcie wyprowadzeni z błędu, nie wątpiąc już o nieprzyjacielu, w kilkanaście chorągwi rzucili się na owe szesnaście znaków, do których i inne przyłączyły się, i krwawą z nimi stoczyli bitwę. A lubo Krzyżacy przez jakiś czas wytrzymali natarcie, wkońcu jednak przeważną liczbą wojsk królewskich zewsząd otoczeni, pobici zostali na głowę. Prawie wszystko rycerstwo, walczące pod owymi szesnastu znakami, legło na placu lub dostało się w niewolę. Po zniesieniu zatem i rozbiciu całej potęgi nieprzyjacielskiej, przyczem także Wielki mistrz pruski Ulryk, marszałkowie, komturowie, rycerze

wszyscy i najznakomitsi w wojsku pruskiem panowie poginęli, reszta nieprzyjaciół poszła w rozsypkę, a raz tył podawszy, pierzchała ciągle w popłochu.

Władysław, król polski, nierychło wprawdzie i ciężkim okupione trudem, zupełne jednak nad mistrzem i Krzyżakami otrzymał zwycięstwo. Obozy nieprzyjacielskie, zasobne w wielkie bogactwa i zapasy, wozy i wszystek sprzęt wojenny mistrza i rycerstwa pruskiego polski żołnierz opanował i złupił. Znaleziono zaś w obozie krzyżackim kilka wozów, naładowanych samemi dybami i okowami, które Krzyżacy, pewne rokując sobie zwycięstwo, więcej przyszłym tryumfem, niżeli bitwą zajęci, do pętania Polaków przygotowali. Były i inne wozy pełne łuczywa smolnego, a oblanego łojem i smołą, kiścieni także, smołą i tłustością wysmarowanych, którymi Polaków pobitych i uciekających gnać mieli przed sobą. Zawcześnie cieszyli się zwycięstwem, z pychą zaufani w siebie i niepomni, że zwycięstwo było w ręku samego Boga.

Po złupieniu wozów i taborów krzyżackich wojsko królewskie postąpiło na wzgórze, kędy był wprzódy obóz i stanowisko Prusaków, a skąd ujrzano tłumy i mnogie pułki pierzchające nieprzyjaciół, na których do słońca błyszczały zbroje; niemal wszyscy bowiem Prusacy byli niemi okryci. Puściwszy się potem za uciekającymi w pogoń, dotarli królewscy do jakiegoś bagna i trzęsawiska i wpadli Prusakom na karki. Niewielu śmiało stawić opór, łatwo ich zatem pokonano. Resztę niedobitków, z rozkazu króla oszczędzonych, popędzono w niewolę...

Legło w tej bitwie pięćdziesiąt tysięcy nieprzyjaciół, a czterdzieści tysięcy pojmano jeńcem.

Z Jana Długosza »Historyi polskiej« (przekładał K. Mecherzyński).

49. Dla idei.

(Epizod z wojny północno-amerykańskiej o niepodległość r. 1775–83).

— Ach nie! — zawołał jenerał Marion, gdy odwiedzający go oficer angielski objawił chęć wrócenia do siebie — teraz jest pora obiadu: spodziewam się, że mi Pan zrobi tę przyjemność i zostanie z nami na obiedzie.

Gość spojrzał na niego ze zdziwieniem, gdyż nie mógł dostrzedz ani śladu garnka, rondla lub jakiego innego kuchennego sprzętu; lecz to nie była pierwsza niespodzianka, jakiej tego dnia doznał. Przyprowadzono go do obozu z chorągwią parlamentarza z zawiązanemi oczami. Spodziewał się ujrzeć jenerała o nakazującej postawie i armię olbrzymów, gdyż oddział sławnego »Lisa« był wtedy postrachem »czerwonych mundurów« w Karolinie. Gdy mu zdjęto przepaskę z oczu, podprowadzono go do ogorzałego, wyschłego, małego człowieka, ledwie odzianego w samodział, a zamiast żołnierzy wyższej rangi, w mundury odzianych, ujrzał garść opalonych od słońca milicyantów.

— Tomaszu! — rzekł Marion do jednego ze swych ludzi, gdy gość przyjął jego zaproszenie — podaj nam obiad.

Żołnierz pałką rozgrzebał stos ziemniaków, które się upiekły pod gorącym popiołem.

— Lękam się — mówił dalej jenerał — że nasz obiad nie wyda się Panu tak wspaniałym, jakbyś sobie tego życzył; lecz to jest wszystko, co mamy.

Oficer zaczął jeść ziemniaki przez grzeczność, lecz wkrótce roześmiał się serdecznie z oryginalnej uczty.

— Wybacz mi, jenerale — rzekł — lecz nie zawsze można nad sobą zapanować. Przypuszczam, iż ten obiad różni się od zwykłego trybu życia; zapewne jadasz Pan lepiej?

— Chyba gorzej — odpowiedział jenerał — gdyż często nawet ziemniaków nie możemy dostać w dostatecznej ilości.

— Boże! — zawołał oficer — lecz prawdopodobnie, gdy wam dają skąpą żywność, otrzymujesz piękną pensyę?

— Ani centa! — rzecze Marion — ani centa!

— O nieba! musisz być w złem położeniu. Nie pojmuję, jenerale, jak możesz to znosić!

— Dlaczego nie? — odpowiada Marion — te rzeczy zależą od uczucia. Serce jest wszystkiem, a gdy to jest w grze, człowiek nie może nic poradzić. Ja ukochałem ideję i jestem rzeczywiście szczęśliwy. Prędzejbym walczył za ojczyznę, żywiąc się korzonkami, niż trzymał się zdala, opływając we wszystkie dostatki Salomona. Teraz stąpając po ziemi, którą mi dało urodzenie, cieszę się myślą, iż nie jestem jej niegodnym. Patrzę w około siebie na te szanowne wiekiem drzewa

i czuję, że im nie przynoszę hańby. Dzieci przyszłych pokoleń mogą nigdy nie słyszeć mego imienia, lecz głaszcze to me serce, gdy pomyślę, że się przyczyniam do ich wolności i szczęścia.

Gdy oficer angielski wrócił, zapytał go pułkownik:

— Czemuś taki poważny?

— Mam powody do tego.

— Jakto, czyżby jenerał Marion odmówił traktowania o zawieszenie broni?

— Nie.

— Cóż więc? Czy stary Waszyngton pobił Henryka Clintona i złamał naszą armię?

— Nie, nie to, lecz coś jeszcze gorszego.

— A cóż może być gorszego?

— Widziałem jenerała amerykańskiego i jego oficerów, bez zapłaty, źle odzianych, żywiących się korzeniami i pijących wodę, a wszystko to dla idei. Jakież widoki powodzenia mamy w walce przeciwko takim ludziom?

Przy pierwszej sposobności młody oficer wycofał się ze służby wojskowej, gdyż wierzył, że zapał, który może pokonać takie trudności, jest niezwyciężony.

50. Fragment.

A choćbyście wrośli w ziemi
Siłami wszystkiemi,
Choćby wszystkich dżdżów obłoki
Poszły wam na soki,
— Nie wzniesiecie w górę czoła,
Gdy wiosna zawoła,
Nie wydacie duchem kwiatu,
Ni sobie, ni światu —
Bez miłości, bez zapału,
Bez czci ideału!

A choćbyście przeszli morza
Błękitne przestworza,
Choćby góry całej ziemi
Z skarbami wszystkiemi,
— Powrócicie, jak żebracy,
Z waszych dróg i pracy,
Załamiecie próżne ręce
W strasznej głodu męce —
Bez miłości, bez zapału,
Bez czci ideału!

I choćbyście wyszli w pole
Z piorunem na czole,
Choćby z stali były męże
A z gromów oręże,
— Pójdą w jeństwo wasze roty
Popod cudze płoty,
Wasze boje będą klęską,
Wasza śmierć niemęską —
Bez miłości, bez zapału,
Bez czci ideału!

I choćby wam trąby grały
Nowych dni hejnały,

Choćby cały świat z mogiły
Wstawał pełen siły,
— Wy się z trupich waszych pleśni
Nie dźwigniecie w pieśni,
I w zmartwychwstań wielkiej dobie
Zostaniecie w grobie —
Bez miłości, bez zapału,
Bez czci ideału!

M. Konopnicka.

51. Wycieczka do Wietrzna.

W Iwoniczu dochodzi nas z sąsiedniego Rymanowa zaproszenie, gorąco wzywające do zwiedzenia tamtejszego zakładu. Ale mnie bardziej pociąga Wietrzno ze swojem »czarnem złotem«, olejem skalnym, tryskającym w postaci fontan do nadzwyczajnej wysokości.

Siadam więc do powozu i jazda! Mijamy wieś iwonicką i jedziemy drogą bitą, równą, jak stół, wysadzaną drzewami, o jakiej w Królestwie, a tembardziej na Litwie, nikt nie ma nawet przybliżonego wyobrażenia. Dodajmy zaraz, że nie wiem, czy jest gdzie w Polsce droga, na którejby, na niewielkiej przestrzeni kilku kilometrów, tyle wspomnień nasunęły oglądane widoki. Oto z oddali widać ruiny zamku Odrzykońskiego: przerobiony podobno kiedyś ze słowiańskiego przeddziejowego grodu, już w trzynastym wieku zaczyna historyę swoją prawdziwą. Groźne najazdy odpierał skutecznie, tułaczym królom dawał gościnę, imię jego związało się z dziejami Kamienieckich i Firlejów. — Niedaleko Krosno, niegdyś bogate miasto handlowe, *parva Cracovia*, jak je nazywano, kolebka słynnego w początkach XVI wieku Pawła z Krosna, poety i profesora Akademii Jagiellońskiej, a grób Stanisława i Anny Oświęcimów, których legendowe postaci otacza taki dziwny urok poezyi. Z przeciwległej strony masz Duklę, kiedyś znaną Polsce, jako miejsce uświęcone jednego z jej patronów. Niedaleko od Dukli — Cergowa, gdzie urodził się Skrzynecki, i Żmigród, udzielna prawie rezydencya złej pamięci Dyabła-Stadnickiego.

Oderwijmy się jednak od tych wspomnień, tak drogich i przemocą narzucających się myślom. Przeszłość była wielka, tragiczna, lub wzniosła, ale i przyszłość porywa ducha nie mniej silnie, a jesteśmy w okolicy, w której narodziny pewnego kierunku pracy przemysłowej w kraju naszym tu właśnie dokonane przed laty niewielu, w której dalszy roz-

wój tej pracy, pomimo trudnych okoliczności, coraz to pomyślniejszy, w której nakoniec do tej pracy bogaty, nieprzebrany materyał surowy zajmuje naszą uwagę, podnosi do najwyższego stopnia ciekawość i wyobraźni daje wątek do najbardziej pociągających przewidywań i wniosków.

Od niepamiętnych już czasów było rzeczą wiadomą, że w głębi lasów karpackich znajdują się tu i owdzie źródła jakieś »zaczarowane«, których woda, choć zimna, kłębi się i pieni, jak woda Bełkotki, dokoła których czuć w powietrzu woń silną i nieznaną, a ziemia ich w sąsiedztwie wskróś przesiąkła jakąś smołą czarną, lepką i cuchnącą. Wiedział też lud góralski, że wykopany w tej okolicy dołek prędko napełnia się wodą, na której pływa »tłustość ziemna«, przydatna do wyprawy skór, do smarowania osi i pomocna w przeróżnych cierpieniach człowiekowi i zwierzęciu. Coby to jednak być mogło, nikt nie wiedział, i jeszcze w r. 1850. Zejszner, chociaż geolog i uczony przyrodnik, chociaż tłustość ziemną nieraz widział w wycieczkach swoich po Karpatach i dopytywał o nią okolicznych mieszkańców, nie posunął jej znajomości ani o krok dalej. Chwała prawdziwego odkrywcy nafty galicyjskiej przypada w udziale Ignacemu Łukasiewiczowi. W jego skromnej pracowni przy aptece w Gorlicach zajaśniała pierwsza na świecie lampa naftowa. Rok 1854. stanowi prawdziwą erę przemysłu galicyjskiego; w tym bowiem roku została zawiązana spółka pomiędzy Łukasiewiczem, Tytusem Trzecieskim i Karolem Klobassą, właścicielami Polanki i Bóbrki, i rozpoczęto systematyczne poszukiwania oleju skalnego, uwieńczone od razu powodzeniem.

Początkowe próby wydobywania oleju skalnego miały charakter niezmiernie pierwotny. Kopano studnię niezbyt głęboką i oczekiwano, aż się napełni wodą, na której powierzchni zbiera się surowy olej, tak zwana ropa. Dopiero z biegiem czasu pozyskano doświadczenie, że właściwe zbiorowiska nafty znajdują się w daleko znaczniejszych głębokościach, na 150 do 200 metrów i głębiej pod powierzchnią ziemi. Wypadało tedy kopać głębokie szyby, a że warstwy ziemne, wśród których znajduje się nafta, częstokroć posiadają twardość bardzo znaczną, praca ta pochłaniała niezmier-

nie dużo czasu i pieniędzy. Niewiele pomogło wprowadzenie systemu wiercenia ręcznego — i tak otwór świdrowy mógł być zakładany dopiero na dnie dość głębokiego szybu kopanego, a wybicie studni nieraz ciągnęło się lat kilka. Dopiero tak zwany świder kanadyjski, wprowadzony w Galicyi przez Mac-Garweya i Bergheima, skrócił do ostatecznych granic czas wiercenia i zmniejszył koszta poszukiwania. Dzisiaj wyrobiła się już spora garstka specyalistów naftowych, istnieje oddzielne Towarzystwo, popierające ten przemysł praktycznie, rząd krajowy stara się o jego rozwój wedle sił swoich, geologowie przeprowadzili obszerne i wielostronne badania nad miejscowościami naftowemi, a jednak i dzisiaj każdy nowo zakładany otwór świdrowy jest losem na loteryę.

Z bitej cesarskiej drogi powóz nasz zeszedł teraz na boczny gościniec, tylko szerokością ustępujący tamtemu. Po chwili mijamy niewielką wioskę Wietrzno, wbród przebywamy strumyk o kryształowych wodach i dnie kamienistem i już jesteśmy w samej kopalni.

Pole kopalniane w Wietrznie leży w dolinie pomiędzy niewielkiemi wyniosłościami, przedniemi strażami Karpat. Na przestrzeni kilkudziesięciu morgów znajduje się tutaj około trzydziestu czynnych studzien. Jedne z nich kończą swój zawód, inne znajdują się w pełnym rozkwicie działalności, inne wreszcie są niewywiercone. Kierujemy się naprzód do jednej z ostatnich, a los nam sprzyja, bo właśnie za chwilę skończy się praca dłóta, a zacznie działać łyżka, dobywająca z otworu pokruszoną skałę.

Otoczenie nowo powstającej studni składa się z lekkiego rusztowania, wysokiego na jakie 16 metrów i okrytego cienkiemi deskami. Wszystko razem stanowi rodzaj smukłej wieżyczki, do której przytyka również lekko zbudowane pomieszczenie dla maszyny parowej. Ta zapomocą transmisyi i prostego urządzenia pomocniczego podnosi i opuszcza ogromne i ciężkie dłóto stalowe, którego ostrze ma może stopę szerokości. Dłóto jest przyśrubowane do końca żerdzi drewnianej, długiej na 11 metrów, której górny koniec łączy się z oprawą, nadającą ruch w górę i na dół zapomocą liny. Kiedy żerdź zagłębi się cała w otworze, do jej

górnego końca śrubują drugą takiejże samej długości. Otwór, nad którym stoimy, zaczęto wiercić przed trzema miesiącami — w tej chwili ma on 98 metrów głębokości. Dwaj ludzie kierują pracą świdra na dole i w miarę potrzeby łączą lub rozłączają żerdzi, jeden jest zajęty takąż samą robotą na szczycie rusztowania, mechanik i palacz dopełniają obsady wiertniczej. We Wietrznie pomiędzy wiertnikami niema ani jednego cudzoziemca. W miarę pogłębiania otworu wsuwa się weń jedną za drugą rury żelazne, stanowiące cembrowinę — rury te spaja się jedną z drugą. Czasem dłóto ustępuje miejsca łyżce, to jest, pustemu cylindrowi żelaznemu, otwartemu z góry, a z dołu zaopatrzonemu w dno ruchome. Miał skalny, powstający skutkiem uderzenia dłóta, z wodą, która sama napływa do otworu z warstw przebitych, albo w razie potrzeby jest przylewana, tworzy szlam rzadki, nawpół płynny. Kiedy łyżka upada ku dołowi, szlam dostaje się nad jej dno, do wnętrza; przeciwnie, przy wyciąganiu łyżki ciśnienie szlamu zamyka dno i łyżkę wydostaje się pełną. Zawartość jej przeglądają starannie i zapisują rodzaje skał, znalezione w szlamie, ażeby w każdej chwili wiedzieć, do jakich warstw świder się dostał, a stąd w przybliżeniu przewidzieć chwilę natrafienia na ropę.

Niema wspanialszego i groźniejszego zarazem widoku, jak pierwsze wydobycie się ropy w chwili, kiedy świder dosięgnął jej żyły. Z hukiem i szumem niewypowiedzianym czarna ciecz wydobywa się z ziemi. W okamgnieniu budynek nad otworem zostaje zniesiony. Słup ropy podnosi się do wysokości, którą nieraz cenią na 120 metrów, i rzecz prosta, zapala się od paleniska maszyny parowej. Jeżeli silnego wiatru niema, jest on pionowy i dopiero u szczytu rozszerza się na wzór olbrzymiego parasola. Jeżeli zdarzenie takie następuje w nocy, pracownicy i okoliczni mieszkańcy mają widowisko, dające się porównać chyba tylko z wybuchem wulkanu.

Dawniej wytryski takie były powodem strat wielkich i należały do zjawisk bardzo niebezpiecznych dla fabryk i ludzi. Teraz jednak, kiedy budynki ponad wierconym otworem stawiają jak najlżejsze, groza ich pożaru i zburzenia zmniejszyły się znacznie, a oprócz tego dziś łatwiej umieją

opanować bijące źródlisko. Zresztą pierwotna gwałtowność fontanny szybko się zmniejsza: zwykle po kilku godzinach już uspokaja się ona o tyle, że można otwór zabić odpowiednim szpuntem i założyć kran, który pozwala dobywać ropę w miarę potrzeby i kierować jej strumieniem. Widocznie gazy węglowodorowe, gromadzące się w podziemnych szczelinach albo pieczarach i stanowiące powód wytrysków, muszą się wydzielać z ropy zwolna, stopniowo, bo kiedy zamknięcie otworu zostaje usunięte, wytrysk ponawia się i to powtarza się wiele, wiele razy w tym samym otworze.

Po opanowaniu wodotrysku studnia przechodzi we fazę spokojnej produkcyi. Do takiej właśnie studni kierujemy swe kroki po obejrzeniu robót wiertniczych. Na paszczę otworu założono tu potężny munsztuk metalowy, od którego idzie rura miedziana, prowadząca ropę wprost do zbiornika. Zbiornik jest jak gdyby olbrzymią kadzią drewnianą, wysoką na jakie 6—8 metrów. Nad jego otwór dostajemy się po kilkunastu schodach. Tu widać wylot wspomnianej rury, z którego tryska ropa, a właściwie tylko rodzaj gęstej mgły, która ze szczególnym szumem gwałtownie bije, rozpryskując się na boki. Dłuższe pozostawanie ponad zbiornikiem nie całkiem jest bezpieczne, unosi się tu bowiem gęsta atmosfera gazów naftowych, które nie podtrzymują oddychania i duszą po pewnym czasie.

Teraz mamy doznać największego wrażenia dnia dzisiejszego. Właściciele jednej ze studzien świeżo wywierconych postanowili zadziwić nas widokiem fontanny naftowej. Prowadzą nas o kilkaset kroków, w stronę wzgórz, otaczających pole kopalniane, ustawiają w przyzwoitem od studni oddaleniu i każą patrzyć na szpunt, wyglądający, jak pieniek, na którym rąbią drzewo. Sześciu czy ośmiu robotników bierze drągi lub raczej długie i dość grube belki, które z dwu stron wpierają w szpunt, usiłując go wyruszyć. Dość długą chwilę trwają te usiłowania, aż nagle przeraźliwy huk i świst przeszywa powietrze i ogromny kloc unosi się w górę na jakie pięćdziesiąt metrów, a za nim równie wysoko podąża słup czarnej cieczy, prosty, jak świeca, gruby, jak człowiek w pasie, obrzeżony brunatną powłoką piany i pary. Po minucie wysokość fontanny zmniejsza się dość szybko, a po

drugiej zbliżamy się i widzimy, że już tylko ropa przelewa się przez brzegi otworu.

Już jednak ściemnia się na dobre — czas wracać do Iwonicza. W powrocie oglądamy jeszcze »naftociąg«, który z Wietrzna prowadzi ropę do dystylarni w Krośnie, o 14 kilometrów odległej. Pompy, których kilkanaście obsługuje jedna maszyna parowa, ssą ropę ze zbiorników albo ze studzien, które już bić przestały, i tłoczą je do rury o dwucalowej średnicy, ułożonej w najznaczniejszej części pod ziemią. Pompy mają dużo roboty, gdyż studnia daje średnio tysiąc baryłek na dobę.

Tymczasem z za gór wzbił się na niebo majestatyczny księżyc. Jego światło dodaje krajobrazowi nowych jeszcze uroków, jak gdyby chciało w pamięci widzów utrwalić na zawsze ten cudowny zakątek naszej ziemi.

52. Uniwersytet krakowski.

Z przyjęciem chrześcijaństwa w r. 965. Polska weszła na drogę cywilizacyi europejskiej i wraz ze światłem wiary otrzymała szkoły takie same, jakie istniały na zachodzie od czasów Karola Wielkiego. Było to tak zwane *trivium* i *quadrivium*, w których wykładano siedm nauk czyli sztuk wyzwolonych. Należały do nich *a)* gramatyka, dyalektyka (sztuka rozumowania i dowodzenia) i retoryka (nauka wymowy) *b)* arytmetyka, geometrya, muzyka (śpiew kościelny) i astronomia, podająca zasady (według świąt ruchomych) układu kalendarza. Szkoły te służyły potrzebom czysto duchownym i były zakładane przez biskupów przy katedrach, kolegiatach i w parafiach większych, zwłaszcza po miastach. Taką szkołą zarządzał duchowny, zwany scholastykiem (od *schola*, szkoła). Był to szczupły zakres wiedzy, sądząc według miary dzisiejszej; odpowiadał jednak nieodzownej potrzebie kształcenia niższych stopni duchownych. Kto chciał zdobyć wyższą naukę, szukał jej na dalekim zachodzie w słynnych naówczas wiedzy ogniskach jak, Paryż, Bononia, a od XIII. stulecia Padwa. Taki stan oświaty u nas przetrwał do czasów Kazimierza W., który pierwszy na niwę swojską rzuca posiew wyższej nauki.

Odziedziczył on po ojcu Polskę zjednoczoną po dobie dwuwiekowych blizko podziałów, ale rozdzieloną społecznie odmiennemi prawami. Szczególnie dwie prowincye: Wielka i Mała Polska, stanowiły pod tym względem różnice, na pozór nie dające się pogodzić. Król mądry zamierzył je usunąć i przez wspólne prawo prowincye te zjednoczyć. Nie odrazu jednak przystąpił do wykonania tej myśli. Przedewszystkiem kazał spisać w języku łacińskim dotychczasowe prawa zwyczajowe: wielkopolskie w Piotrkowie, małopolskie w Wiślicy, i oba w temże mieście w r. 1347. zatwierdził, dozwalając prawującym się stronom za wspólną ugodą zachodzące pomiędzy niemi spory rozstrzygać w sądach według jednego lub drugiego prawa. Tym sposobem oba prawa w ciągu kilkodziesięcioletniej praktyki wytworzyły jednolity statut, zwany statutem Kazimierza Wielkiego.

Ale spisanie praw w języku łacińskim i według form, zapożyczonych z prawa kanonicznego czyli kościelnego, wymagało umiejętnego stósowania ich w sądach. To właśnie zrodziło potrzebę przygotowania uczonych sędziów-prawników. W tym celu król wysyłał ludzi młodych na naukę prawa do istniejącego od r. 1347. uniwersytetu w Pradze. W ten sposób wykształciło się do 70 kilku prawników. Ale ta droga była nader kosztowna. W r. 1364. zakłada więc Kazimierz W. akademię prawa i uposaża jej profesorów dochodami z salin wielickich. Było ich ośmiu. Wykładali prawo krajowe, kanoniczne i rzymskie. Że jednak nauki te wymagały pewnego przygotowania naukowego, przeto ustanowił przy tej akademii wydział, tak zwany *artium* czyli sztuk wyzwolonych, w którym wykładano nauki, szkołom trywialnym właściwe; później dodano do niej ze względów praktycznych jeszcze wydział medyczny, w którym wykładało dwóch profesorów. Tym sposobem obok jednego cywilizacyjnego ogniska, jakiem dotąd był kościół z katedralnemi i parafialnemi szkołami, kraj pozyskał drugie, które szerzyć miało w nim wiedzę wyższą.

Lecz akademia ta ze śmiercią założyciela upadła. Utrzymanie swe bowiem czerpała z dochodów króla. Dopiero Jadwiga postanowiła wskrzesić dzieło swego wielkiego dziada. Ale piękną, świątobliwą królową inne już kierowały

pobudki. Nie tyle szło jej o naukę prawa, ile o przysporzenie uczonych kapłanów, którzyby nie tylko w Polsce, lecz i w nowonawróconej Litwie mogli z korzyścią w winnicy Pańskiej pracować. W tym celu wyrobiła *breve* czyli pozwolenie papieża Bonifacego IX. na założenie całego uniwersytetu, któryby obok trzech wydziałów dawnej akademii posiadał czwarty, teologiczny, obejmujący nauki, ściągające się do Boga. Tej myśli szlachetnej sama jednak urzeczywistnić nie mogła, umarła bowiem w r. 1399., osieracając kraj i męża swego, Władysława Jagiełłę. Ale ostatnia jej myśl była o tem wielkiem ognisku nauki, które pragnęła w kraju rozniecić. Oddała też wszystkie swoje klejnoty na uposażenie tej instytucyi i założenie jej poruczyła Jagielle. Szlachetny król uważał wykonanie powierzonej mu przez nią myśli za najpierwszy swój obowiązek; w rok po jej zgonie zakupił domy przy ulicy św. Anny i w nich uroczyście przy napływie dostojników duchownych i świeckich i udziale całego ludu stolicy otworzył uniwersytet w r. 1400. i nadał mu przywileje, które go postawiły na równi ze wszystkimi uniwersytetami zachodu.

Jak akademia Kazimierza W. wzorowała się na akademii bonońskiej we Włoszech, tak uniwersytet Jagielloński przejął wszystkie urządzenia od uniwersytetu paryskiego i w prawach swych został z nim porównany. Tworzył on osobną rzeczpospolitą nauk, niepodległą prawu krajowemu. Nad całością jego uposażeń, jako kanclerz, czuwał biskup krakowski, na czele zaś wewnętrznego zarządu stał rektor z tytułem *magnificus*, wybierany z grona profesorów w każdem półroczu. Na uroczystościach uniwersyteckich występował on i dotąd występuje w todze aksamitnej, purpurowej, z gronostajowym kołnierzem i złotym łańcuchem na szyi, oznaką zaś jego władzy były dwa berła złote, noszone przed nim przez *pedelów* na aksamitnych, purpurowych poduszkach. Berła te i na herbie uniwersytetu się znajdują. By wyglądał jak król, brak mu było tylko korony; zamiast niej nosił na głowie czarny biret doktorski.

Na czele znów każdego z wydziałów stał dziekan, wybierany również z grona profesorów, do których składu należał. Wydziałów zaś takich było cztery: teologiczny,

prawny, medyczny i filozoficzny. Obejmowały one nauki, odnoszące się do Boga, człowieka i natury czyli wszech całość ich (universitas) i stąd nazwa *uniwersytet*. Wstępujący nań musiał naprzód ukończyć *trivium*. To dawało prawo do słuchania wykładów na wydziale filozoficznym, który lubo obejmował nauki w sobie zamknięte, był tylko przygotowaniem do trzech innych wydziałów. Profesorowie, jako duchowni, mieszkali wspólnie w gmachach zwanych *kolegiami*. Te nosiły nazwę większego *(collegium maius)* i mniejszego *(collegium minus.)* Scholarowie znów czyli studenci mieścili się w gmachach, zwanych bursami, których było kilka, jak bogatych, biednych, jerozolimska, kanonistów (słuchaczów prawa kościelnego), niemiecka, węgierska i inne.

W tej rzeczypospolitej nauk każdą godność zdobywało się pracą usilną, każdy wyższy stopień otrzymywało się przez egzamina i dysputy. Takich stopni było cztery 1) bakałarza, który dawał prawo do uczenia w *trivium* 2) licencyata (znaczy: *wyzwolony*) 3) magistra czyli mistrza, który dawał już prawo do wykładów w uniwersytecie, lecz tylko na wydziale filozoficznym, wreszcie 4) doktora, otwierający drogę do wszystkich godności naukowych.

Przez cały wiek XV. uniwersytet krakowski pod względem nauki stał na równi ze wszystkimi uniwersytetami zachodnimi i w piśmiennych z nimi pozostawał stosunkach. Nawet sobór bazylejski w sprawach religijnych do jego odwołuje się zdania. Wydaje też mężów europejskiego rozgłosu. Należą do nich teologowie i mistrze prawa kanonicznego: Mikołaj z Błonia, Mikołaj z Kozłowa, Jan ze Lgoty (Elgot), Benedykt Hesse, Jan z Kent (Kanty), zaliczony w poczet świętych, i inni; z prawników: Paweł Włodkowic z Brudzewa i Mikołaj Czepiel; z matematyków: Michał z Wrocławia, Wojciech z Brudzewa, Jakób z Kobylina, Mateusz z Szamotuł, Marcin z Olkusza, wreszcie największa chluba narodu, Mikołaj Kopernik, który budowę świata wyjaśnił i nietylko przyczynił się do rozwoju nauk matematycznych, lecz i całą wiedzę ludzką na nowe tory wprowadził. Również w tym wieku uniwersytet krakowski wydał jednego z najznakomitszych naszych historyków, Jana Długosza, a z filozofów, Jana z Głogowa.

53. Dwaj weterani.

...Wkrótce ujrzeliśmy się w pierwszym czyli służbowym salonie jenerała, gdzieśmy zastali starych dwóch wąsali, po cywilnemu ubranych i oczekujących na niego. Jeden z nich był stary żołnierz, kaleka, drugi zdawał się być wyższej niegdyś rangi wojskowym.

Jenerał zwrócił się ku pierwszemu i taka między nimi powstała rozmowa:

— Kto ty jesteś?

— A ja z panem jenerałem różne kraje deptał...

— Gdzieś był?

— Najprzód, jak mnie od cesarskich zagarnęli, byłem u Francuza i zaraz biliśmy się tam... gdzie to... ale to człowiek już tych italskich przezwisk spamiętać nie może... hm... tam, gdzie to żubra zabito.

— Jak to? Żubra? W batalii żubra?

— Tak jest, JW. Jenerale, żubra.

— Ale zwaryowałeś, kochanku: gdzie żubry we Włoszech i któżby je w czasie bitwy gonił? — Wreszcie, uderzywszy się w czoło i głośno zaśmiawszy, dodał: — Zapewne, gdzie jenerał Joubert zginął.

— Tak jest, żubr, JW. Jenerale.

— No i cóż dalej, mój Żubrze?

— Potem do legionów nas transportowali i służyłem za naszych.

— W czyjej kompanii?

— Poplewskiego, JW. Jenerale.

— Poplewskiego?

— Tak jest, tego, co go pod Trebią zagarnęli, jak Francuz zbankrutował.

— I czegóż ty chcesz, mój kochanku? Zapewne pensyi?

— Jużci, żeby dali, toby człowiek przyjął, aleć mogę się i obejść jeszcze bez niej. Mam przy zięciu przytułek, a na tabakę toć jakoś się zarobi. Ja tylko chciałem pana Jenerała zobaczyć i, Bogu dzięki, jeszcze nam dobrze wygląda. (Tu obejrzał się ku drzwiom, czy kto nie podsłuchuje). Może też, panie Jenerale, będzie kiedyś jaka *zrywka, ruchawka,* to stary Wawrzyn zawsze gotów do wojaczki.

— Jużci, że będzie, to będzie kiedyś; ale naprzód cicho o tem, a potem już my podobno tego obaj nie doczekamy, mój Wawrzynie. Bóg ci zapłać, mój stary, żeś mię odwiedził; masz tu talarka, idź do domu, a jak będziesz w prawdziwej biedzie, to przyjdź do mnie.

Pocałował go żołnierz w kolano i wyszedł szczęśliwy.

— A Waćpan czego chcesz? — zapytał Dąbrowski drugiego.

Ten zamiast odpowiedzi, cało-arkuszową podał suplikę. Rzucił Dąbrowski wzrok na podpis i papier.

— Waćpan — rzecze — chcesz pensyi?

— Tak jest, panie Jenerale, ojcze nas biedaków!

— Otóż z tego nic nie będzie. Byłeś złym kapitanem, złym ubiorczym, złym komendantem placu, złym dozorcą lazaretu. Bądź kontent, że się na dymisyi skończyło. Ani słowa za tobą nie powiem — nic nie dostaniesz.

— Jakto, panie Jenerale! Ja, co 30 lat ojczyźnie służyłem?

— Właśnie dlatego, że jej 30 lat służyłeś! Cóż ci ta ojczyzna zrobiła, abyś przez tyle lat ją krzywdził, brał płacę, a tak niepoczciwie się jej odwdzięczał. Bądź zdrów i proszę mię więcej nie nachodzić! *Franciszek Morawski.*

54. Mysza narada.

Gdzieś tam w norach, wśród zaciszy
Wielką naradę odbywały myszy,
Jak się ustrzedz kota, który
Postrachem był okolicy.
Wszystkie myszy, wszystkie szczury
Musiały głodne siedzieć w swej ciemnicy:
Ani wyjść na świat — wnet każda złapana!
Co tu robić? — Narady. Różne miano mowy;
Wreszcie mysz jedna, z mądrości znana,
Temi ozwała się słowy:
»Najlepszy sposób, bracia moi mili,
»Kiedy kot drzemie, dopatrzyć tej chwili
»I dzwonek do ogona przywiązać szpagatem;
»To już spokojnie, czy zimą, czy latem,
»Jak się tylko kot ruszy, znajdziem zawsze porę,
»Usłyszawszy dzwonienie, wnet schować się w norę«.
— »Brawo! wybornie«! — wszystkie zakrzyczały —
»To mądra rada!« Ot — i rzecz skończona!
W tem tylko sęk został cały,

Kto też przywiąże dzwonek do ogona?
Jeden szczur mówił: »Czy mnie dyabeł każe
»Leźć samemu w łapy kota?«
Drugi powiada: »O, ja się odważę,
»Lecz nie potrafię, nie moja robota!«
Ten, mówi, starą matkę, ten — ma dziatwę małą,
Tamten prawi rzeczy inne:
Słowem, że każdy znalazł przyczynę
I na projekcie wszystko się zostało.

Zwykle, gdzie dobro powszechne na celu,
Wszystkie narady idą taką drogą:
Projekt podawać — to znajdzie się wielu,
A wykonywać, to niema nikogo.

Antoni Gorecki.

55. Wynalazek druku.

Coby to było, gdyby przed 450 z górą laty Jan Gutenberg nie był wynalazł druku? Umiejętność czytania byłaby równie rzadka, jak w średnich wiekach, nie byłoby milionów książek do nabożeństwa, dzieł naukowych, powieści i t. p., słowem nauka i oświata byłaby znana tylko w małem kółku osób. Brak zaś gazet stworzyłby tysiące niedogodności, o których teraz nie możemy nawet mieć pojęcia.

Nic więc dziwnego, że w roku 1900., w którym przypadła 500. rocznica urodzin wynalazcy druku, Jana Gutenberga, rodzinne jego miasto, Moguncya nad Renem, święciło uroczyście tę rocznicę, a cały świat łączył się z tem miastem i z wdzięcznością wspominał sobie dzieje wynalazcy, który za życia nie otrzymał należytego za swój pomysł i trudy wynagrodzenia.

Drukarstwo, to jest sztuka rozmnażania szybkiego i taniego tej samej książki, a zatem ułatwiająca nabywanie skarbów myśli i wiedzy, wynalezione zostało w środku XV. wieku. Początku tego nieśmiertelnego wynalazku nie można odnosić do epok dawniejszych, albowiem Chińczycy i niektóre narody europejskie, którym go przypisać usiłowano, znały jedynie to, co dzisiaj nazywamy drzeworytnictwem (ksylografią), to jest, sztukę otrzymywania odbitek z tablic drewnianych, rytowanych wypukło lub wklęśle. Ruchome czcionki

i odlewanie ich z metalu są podstawą drukarstwa, a jedno i drugie wynaleziono dopiero około r. 1450., to jest, mniej więcej na czterdzieści lat przed odkryciem Ameryki (1492).

Przed wiekiem XV. nie znano druku, posługiwano się jedynie rękopisami, które w bardzo niewielkiej liczbie przechowywano w bibliotekach klasztornych i zamkowych; sporządzanie ich wymagało niemało zachodów i kosztów.

Najprzód tak zwany »księgarz« *librarius*, który był człowiekiem »biegłym we wszystkich umiejętnościach«, powierzał kopiście rękopis, przeznaczony do przepisania.

»Pergaminiarz« przysposabiał skóry miękkie, świecące gładkie, na których »pisarz« kopiował poruczone sobie dzieło.

Następnie »artysta« upiększał stronice rękopisu malowidłami i złoceniami.

Wreszcie oprawiacz czyli introligator spajał pojedyncze kartki w jedną książkę i oddawał ją do biblioteki.

Łatwo zrozumieć, że książki, w ten sposób powstające były bardzo kosztowne, a więc rzadkie. Przechowywano je w bogato rzeźbionych szkatułkach, lub też przytwierdzano do pulpitu zapomocą łańcucha. A jednak drogie te książki niewielkie oddawały usługi ogółowi, przepisywacze bowiem tyle i takich używali skróceń, że nawet ludzie uczeni nieraz w czytaniu ich niemałej doświadczali trudności.

W pierwszych latach w. XV., gdy żądza nauki wzrastać poczęła, a drogość rękopisów stawiała nieprzełamane w tej mierze przeszkody, powzięto myśl rytowania na deskach drewnianych kart geograficznych, obrazków nabożnych i t. p., do których dołączano krótkie legendy objaśniające. Pociągano te deski czernidłem tłustem, kładziono na nie pergamin lub papier i odbijano na nich przez naciskanie rysunek, wyrytowany na drzewie. Zwolna długość legendy, wyrytej na desce, zwiększała się coraz bardziej tak, iż w końcu zaczęto w ten sposób odbijać całe stronice pism. »Biblia ubogich« *(B. pauperum)*, w ten sposób wydrukowana, ukazała się na początku w. XV.

Ten pierwszy sposób drukowania, jak utrzymują, miał być znany Chińczykom już w w. XIII. naszej ery; nie można go jednak uważać za początek drukarstwa, którego gło-

wną podstawą i cechą są wynalezione przez Gutenberga czcionki ruchome.

Jan Gutenberg urodził się w Moguncyi około r. 1400., z patrycyuszowskiej rodziny tamecznej. Dziecinne lata spędził w domu ojcowskim. Dom ten ozdobiony był rzeźbami i ozdobami allegorycznemi. Ponad główną bramą wyrzeźbiona była głowa olbrzymiego byka z napisem: »Nic mi się oprzeć nie zdoła«. Napis ten na domu pod »Czarnym Bykiem« w Moguncyi stał się godłem Gutenberga, a po dziś dzień jest godłem sztuki drukarskiej.

Dwudziestoletnim młodzieńcem opuścił Gutenberg Moguncyę, jak się zdaje, wskutek zamieszek politycznych i osiadł w Strassburgu, gdzie nad udoskonaleniem swego wynalazku przez dziesięć lat bezustannie pracował. Osiągnąwszy już znakomite wyniki, ujrzał fundusze swoje wyczerpane tak, że musiał wejść w spółkę z trzema mieszczanami, którzy mieli dostarczyć pieniędzy na dalsze prowadzenie rozpoczętego dzieła.

Gutenberg przez owe dziesięć lat udoskonalił sposób rytowania metalowych czcionek ruchomych; chodziło tylko jeszcze o uzyskanie jakiegoś kruszcu lub kruszcowej mieszaniny odpowiedniej celom, do których czcionki były przeznaczone. Żelazo było za twarde: krajało papier; ołów był za miękki i rozgniatał się pod ciśnieniem prasy. Drzewo nie przedstawiało też twardości ani wytrzymałości pożądanej.

Wynalazca blizki był celu, gdy znaczne wydatki zrujnowały odważnych jego wspólników. Aby doprowadzić do skutku chlubne dzieło, które przedsięwzięli, ludzie ci nie wahali się sprzedać swoich sprzętów, klejnotów, a nawet swojej ojcowizny. Najmniejsza skarga nie wyszła nigdy z ich ust: tak silnem przejęci byli przekonaniem o wielkości dzieła i geniuszu tego, który niem kierował.

Nazwiska tych trzech ludzi, którzy mieniem swojem i głową tak dzielnie pomagali Gutenbergowi do udoskonalenia wielkiego kunsztu, były: Heilman, Andrzej Dryzehn i Riff. Żaden z nich nie doczekał upragnionej chwili tryumfów wspólnych usiłowań. Do żywego dotknięty śmiercią swych wspólników, zniechęcony, ścigany przez wierzycieli, Gutenberg zaprzestał prac swoich i opuścił Strassburg.

Wróciwszy do rodzinnego swego miasta, Moguncyi, wziął się znowu do pracy. Rysował i rytował, odlewał, próbował rozmaitych mieszanin na czcionki i rozmaitych sposobów odbicia. Niezadowolony z wyników, zaczął pracować w innym kierunku; ale ponieważ brakowało mu środków, wszedł więc w nową spółkę z Janem Faustem i Piotrem Schoefferem.

Jan Faust był to bogaty bankier moguncki. Przebiegły a przewrotny, pożyczył pieniędzy Gutenbergowi, zapewniwszy sobie jednak z góry wszystkie korzyści z przyszłego wynalazku. Schoeffer był to młody, bardzo zręczny kopista, zięć Fausta.

Utrzymują, że Gutenberg, wynalazłszy czcionki ruchome z kruszcu, nie zdołał jednak wynaleźć odpowiedniej na nie mieszaniny kruszcowej, co dopiero miało się udać Piotrowi Schoefferowi, który połączywszy w pewnym stosunku ołów z antymonem, otrzymał mieszaninę miększą, niż żelazo, ale dość twardą, żeby ciśnienie prasy wytrzymała. Ale od tej chwili postać rzeczy zmieniła się zupełnie. Po dokonaniu wynalazku wynalazca stał się niepotrzebnym, a chytry Faust zmusił Gutenberga do zrzeczenia się na korzyść swoją wszelkich praw do jakichkolwiek z wynalazku pożytków. Przywiedziony do nędzy ojciec drukarstwa opuścił Moguncyę.

Po usunięciu się Gutenberga, Faust, przyjąwszy do spółki zięcia swego, począł ciągnąć korzyści z nowego kunsztu, sprzedając bez skrupułu drukowane książki za rękopisy. Robotnikom swoim kazał przysiądz na biblię, że dochowają tajemnicy. Dla tem lepszego zaś zapewnienia się o ich milczeniu stary lichwiarz kazał im wystawiać sobie rewersy na pewne sumy, które miał im wytrącać z płacy, gdyby nie umieli trzymać języka za zębami. Wreszcie urządził drukarnię w głębi ponurej piwnicy i robotników trzymał w niej pod kluczem. Dzięki tym ostrożnościom Faust sprzedał mnóstwo książek, które brano powszechnie za rękopisy. Ale wśród największego powodzenia umarł, dotknięty zarazą.

Gutenberg o dwa lata tylko przeżył niewdzięcznego swego spólnika. Opuściwszy Moguncyę, wrócił do Strassburga, gdzie przy pomocy kilku przyjaciół założył drukar-

nię. Pod koniec życia przygarnął go do siebie arcybiskup mogunckí, zaliczywszy w poczet swoich dworzan i wyznaczywszy mu pensyę. Dzięki tej wspaniałomyślnej protekcyi Gutenberg mógł ostatnie chwile życia poświęcić rozmaitym w drukarstwie ulepszeniom. Umarł 15. lutego r. 1468.

Po śmierci twórcy drukarstwa »dzieci Gutenberga«, jak nazywano towarzyszów sztuki drukarskiej, rozprószyły się po rozmaitych stronach Europy, niby nowi apostołowie wiedzy i postępu. Powstały drukarnie w Kolonii, Augsburgu, Norymberdze, Bazylei i t. d. W Niemczech, Szwajcaryi i Francyi ujrzano niebawem otwierające się mniejsze lub większe drukarnie.

Między znakomitymi drukarzami zasłynęła między r. 1488—1580. rodzina znana pod nazwą Alde. Polem jej działania była Wenecya, w której pierwszy Alde Manucyusz, zwany Starym, założył drukarnię i zajmował się głównie wydawnictwem arcydzieł literatury starożytnej. Wydania jego mają powagę rękopisów; godłem jego drukarni był delfin okręcony około kotwicy. Po nim kierowali drukarnią Paweł Manucyusz i syn jego Alde Manucyusz, zwany Młodszym, ciesząc się niepomierną wziętością powszechną i opieką papieży.

W wieku XVII. stało się głośnem nazwisko Elzewirów, drukarzy holenderskich. Dwaj bracia: Bonawentura i Abraham Elzewirowie mieli drukarnię w Leydzie (1618—1658), z której puszczali w świat do dziś dnia wysoko cenione arcydzieła sztuki typograficznej.

Najstarszym ze znanych druków wykonanych w Polsce jest dzieło łacińskie kard. Jana de Turrecremata *Explanatio in Psalterium*, drukowane w Krakowie między r. 1474—1476. u drukarza niewiadomego nazwiska. W tym czasie wyszły też w Krakowie *Omnes libri* św. Augustyna. Polski druk po raz pierwszy pojawił się w łacińskiem dziele *Statuta synodalia* wyd. w Krakowie 1475. Odtąd drukarstwo nietylko rozkwita w Polsce samej, ale i obcym krajom dostarczało biegłych w tym kunszcie mistrzów.

W r. 1478. miał drukarnię w Neapolu Jan Adam z Polski; w latach 1492—1495. Stanisław z Polski (Lanzolao de Polonia) w Sewilli, gdzie też istniała w tymże czasie i druga

drukarnia, Stefana Polaka. W kraju Kraków, ówczesna stolica, zasłynął przed innymi szerokim rozwojem sztuki drukarskiej. Pierwszą stałą drukarnię otworzył tu na końcu XV. i początku XVI. w. Jan Haller; tuż po niej powstały drukarnie Wietora i Unglera, tak zwane architypografie Łazarzów i Piotrkowczyków, Wierzbięty, Siebeneychera, Garwolczyka, Scharfenbergera Mikołaja i Stanisława, wszystkie w w. XVI. W wieku XVII. słynęła w Krakowie oficyna Cezarych oraz drukarnia akademii Zamojskiej w Zamościu, jak niemniej drukarnia dyssydencka w Rakowie.

56. Elżbieta Rakuszanka, matka Jagiellonów.

Ostatnie lata piętnastego i pierwsze szesnastego stulecia widziały całą szeroką przestrzeń Europy między Adryatykiem, Bałtykiem i morzem Czarnem pod bratniem berłem kilku Jagiellończyków, synów tejże samej matki: Władysława, króla czeskiego i węgierskiego; Olbrachta, Aleksandra i Zygmunta Starego — polskich. Z tak niezwykłą potęgą ziemską łączyli bracia Jagiellońscy również niezwyczajną wartość moralną. Najpośledniejszemu z braci, Władysławowi czeskiemu, wadziła tylko zbyteczna dobrotliwość, nie mogąca przecież wydrzeć mu chwały króla światłego i sprawiedliwego. Drugi brat, Zygmunt Stary, sprawił swoją mądrością, iż naród, który mu poruczył swoje losy, nazywa jego czasy »złotym wiekiem« swojej historyi. Trzeciemu z braci, Kazimierzowi, dane było zasłużyć sobie cnotami swemi na wnijście w poczet świętych, w liczbę niebieskich patronów kraju. Błoga zaprawdę matka, która takich synów wydała! Lecz matce królewskich Jagiellonów należy się od nas jeszcze wdzięczne uznanie, iż znaczna część wymienionych tu osobistych zalet i zasług potomków Jagiellońskich, uzyskanej przez nich tymiż zaletami wziętości u narodów sąsiednich i wynikłego stąd rozrostu potęgi i sławy dynastyi Jagiellońskiej — była dziełem jej ręki.

Urodzoną z najdostojniejszych rodziców — córkę cesarza Albrechta II., króla czeskiego i węgierskiego, księcia austryackiego, jednego z najszlachetniejszych monarchów swojego czasu, i królowej Elżbiety, jedynaczki słynnego ce-

sarza Zygmunta, dziedziczki Czech i Węgier — wypiastowały młodocianą królewnę sieroctwo, niedostatek, łzy opuszczenia. Już w trzecim roku życia odumarł ją ojciec, cesarz Albrecht, nie mając jeszcze czasu ustalić się na świeżo objętych tronach, pozostawionych przy jego śmierci bez męskiego następcy. Dopiero w blizko cztery miesiące po zgonie męża powiła wdowa królewska syna Władysława, Pogrobowcem stąd nazwanego, poczem we dwa lata sama umarła. Drobne jej dzieci pozostały pod opieką stryja, z młodszej styryjskiej linii książąt rakuskich, cesarza Fryderyka III. Pod jego ramieniem, bądź w Neustadzie, bądź w Wiedniu, rosły odtąd obie sierotki, dwuletni Władysław Pogrobowiec, oczekujący pełnoletności, a z nią objęcia Czech, Węgier i swego dziedzicznego księstwa austryackiego, i sześcioletnia Elżbieta, nieświadoma losu przyszłego. Opiekun naszych dzieci królewskich znany jest ze swej łagodności. Nie było też w nim złej woli względem piastunków. Wszakże ustawiczne roztargnienie ówczesnym bezładem Rzeszy, ciągłe zamieszki domowe sprawiały, że sierotom Albrechtowym, oddanym nadzorowi cudzemu, nie zawsze dobrze się działo.

Nie zbywało im jednakże z drugiej strony na środkach wykształcenia. Pracowali nad nimi zacni i światli ludzie. Jeszcze za życia matki wypiastowała Elżbietę kobieta uczona, niejaka Helena Kottauer, autorka pamiętników o swoich czasach, a w tym względzie jedna z najpamiętniejszych niewiast stulecia. Później, gdy sieroty Albrechtowe dostały się pod opiekę cesarza Fryderyka, niejaki mistrz Hinterbach, mąż uczony, ułożył umyślnie przepisy, według których miano wychowywać dzieci królewskie. Nie przestał na tem dawny kanclerz i przyjaciel ich ojca, głośny w dziejach ówczesnych Kasper Schlick, piastujący i teraz, już pod trzecim cesarzem, tęż samą godność kanclerską i bodaj zdala na wychowanie Albrechtowych potomków baczny. Na jego prośbę ten sam Eneasz Sylwiusz, który z naocznego świadectwa opowiadał dzieje cesarza Fryderyka, napisał teraz osobną księgę: »O wychowaniu dzieci«, poświęconą młodocianemu Władysławowi Pogrobowcowi, królowi Węgier i Czech. Ona to niewątpliwie stała się wzorem pisma podobnej treści, które siostra i współwychowanka Pogrobowca, Elżbieta, poświęciła swemu synowi.

Jeszcze od czasu wydania jednej z córek Kazimierza Wielkiego przez Ludwika, króla Polski i Węgier, w dom rakuskich hrabiów Cylejskich, starali się książęta polscy o koligackie z książęty rakuskimi stosunki. Nie dziw więc, iż zgodnie ze zwyczajem czasu i kilkudziesięcioletnim kierunkiem związków familijnych wcześnie nasunęła się Kazimierzowi Jagiellończykowi myśl poślubienia Elżbiety.

Już zanosiło się na spełnienie życzeń Kazimierzowskich, gdy wtem życzliwa matka umarła. W czasie kilkuletniej opieki cesarza Fryderyka ustały na jakiś czas dziewosłęby królewicza polskiego, wyniesionego teraz po śmierci brata Władysława pod Warną na tron ojczysty.

Skoro atoli opieka nad sierotami Albrechtowymi przeszła od cesarza Fryderyka do spokrewnionego z dziećmi hrabiego Ulryka Cylejskiego, natychmiast ponowił król Kazimierz w r. 1452. swe prośby o Elżbietę, przesłane obecnie do jej brata Władysława i nowego opiekuna, Ulryka. Władysław Pogrobowiec i hrabia Ulryk przyjęli uprzejmie poselstwo polskie. Powracającym z życzliwą odpowiedzią dziewosłębom królewskim przydani zostali posłowie z Wiednia, mający zbadać bliżej wolę, osobę i obyczaje Kazimierza. Pomyślna ich relacya pociągnęła za sobą solenny w następnym roku zjazd poselski w Wrocławiu, gdzie stanęła ostateczna ugoda ślubna. Kazimierz otrzymał przyrzeczenie stu tysięcy węgierskich złotych posagu, przyrzekł nawzajem trzy miasta królewskie: Koło, Opoczno i Przedecz na oprawę królowej. Radzono nad tem przez długich dziesięć dni, w kilkudziesięciu z obojej strony posłów, pomiędzy którymi byli książęta, biskupi, kanclerze, wojewodowie i kasztelanowie. Ukończonym obradom pobłogosławił głośny z cudów wymowy Jan z Kapistranu kazaniem pod gołem niebem, którego kilkadziesiąt tysięcy ludu słuchało. Za kilka miesięcy, na początku roku 1454., miała młodociana oblubienica osobiście stanąć w Krakowie.

Uroczystości przy wjeździe królewny do Krakowa i zaślubinach z królem Kazimierzem liczą się do najwystawniejszych XV. wieku obrzędów dworskich w Polsce. Świetne grono najprzedniejszych panów i pań, mające w orszaku swoim przynajmniej dwa tysiące koni, powitało oblubienicę

przed granicami państwa, w Cieszynie. Przed stolicą krakowską spotkał ją z całym dworem sam król Kazimierz, młody, ledwie 26-letni mężczyzna, przyjemnej twarzy, wesołego wejrzenia, błyszczący od złota i klejnotów. Obok niego w bogato przyozdobionej kolebce jechała matka Kazimierzowa, stara królowa Zofia. Za nimi ciągnęli dostojnym rzędem arcybiskupi, biskupi, książęta śląscy, dygnitarze koronni. U bram miasta przyjęły wjeżdżających procesye wszystkich kościołów, zakonów, cechów i bractw. Całemu pochodowi towarzyszył grzmiący odgłos dzwonów i trąb. Tak król, jak i panowie wystąpili z nadzwyczajnym przepychem strojów i rzędów końskich. Rząd samego rumaka królewskiego szacowano na 40.000 złotych. Podobnież i na otaczających króla magnatach świeciły perły, aksamity i złotogłowy. Młoda królowa mogła mniemać, iż wjeżdża do kraju złotych gór, a to tylko chęć uczczenia jej przybycia ustroiła tak bogato króla i panów dworskich.

Przez cały tydzień trwały gody weselne, odprawowano uczty, tańce, turnieje. Po ośmiu dniach liczny orszak węgierskich i czeskich panów i pań, który przybył z Elżbietą, pożegnał ją uroczyście i, hojnie od króla polskiego obdarzony, powrócił nad Dunaj.

Pozostawiona w Polsce córka cesarska znalazła przy boku króla Kazimierza godne swoich cnót i przymiotów pożycie.

Własny żywot Elżbiety upływał wśród ciągłych trosk macierzyńskich i czynów bogobojności. Najpoważniejsze głosy współczesne nazywają królowę »dziwnie pobożną, świętą«. Przywiązana osobliwie do najsłynniejszego podówczas zakonu św. Franciszka, miała nawet dozwolony świeckim osobom stopień tercyarki w nim przyjąć. Tejże czci ku św. Franciszkowi przeszło dwadzieścia klasztorów franciszkańskich i bernardyńskich, jużto przez samą królowę, jużto za jej staraniem przez króla zbudowanych, zawdzięczało Elżbiecie swój początek. Oprócz tego pozostały po niej inne zakłady bogobojne. Jest n. p. takim kaplica św. Krzyża po prawej ręce przy wstępie do katedry krakowskiej, uposażona funduszem na dziewięciu duchownych; jest nim podobnaż fundacya ośmiu mansyonarzów w kościele św.

Michała Archanioła w Krakowie; jest niejeden szpital dla ubóstwa okolicznego. A chcąc nawet w każdej powszedniego żywota chwili codziennem zajęciem ręki służyć Bogu i Kościołowi, wypracowała królowa mnogie przybory kościelne, szyła komże, tkała ornaty bogate.

To też wynagrodził ją Pan Bóg hojnem zato błogosławieństwem domowem. Dozwoliło jej niebo dochować sześciu synów i pięć córek, oprócz dwojga za młodu ze świata wziętych. Naraz dwanaścioro dzieci — chwała Elżbiecie u ówczesnych wierszopisów i kronikarzy — spoczywało razem dokoła matki. Najmilszym jej sercu, jak naoczni upewniają świadkowie, był średni z synów, Olbracht, młodzieniec wesół, śmiały, rycerski, pełen wyniosłych zamysłów i przedsięwzięć. Starszy odeń dwoma laty Kazimierz i najstarszy Władysław ujmowali skromnością i potulnością. Młodsi, Aleksander, Zygmunt i Fryderyk, dziwili przyjemnie swoją dziecinną powagą i wczesnym statkiem. Te ich osobiste zalety rozwijało od pieluch bardzo troskliwe prowadzenie. Synowie matki, która tak wysoce pokładała skuteczność edukacyi, iż osobne o niej pismo zostawiła, otrzymali wszyscy rozumne, pracowite wychowanie.

Już między szóstym a siódmym rokiem życia wychodziły dzieci Kazimierzowe z pod pieczy niewieściej w ręce wychowawców męskich. Głównym nauczycielem królewiczów był Jan Długosz, kanonik krakowski, człowiek uczony i pobożny, bezwzględny prawdomowca, ojciec dziejopisarstwa naszego. Obok niego wymieniają jeszcze pedagogiem chłopiąt królewskich niejakiego Jana Welsa, mistrza z Poznania. Trzecim wychowawcą został później słynny Filip Kallimach Buonacorsi, uczony przybysz włoski, autor kilku szacownych pism o Polsce i Polakach, dla swego bystrego sądu w przedmiotach polityki nadzwyczajnie ceniony u dworu, a zarazem od królowej.

Z tymi nauczycielami przejeżdżali się wychowańcy koronni co kilka lub kilkanaście miesięcy z jednej strony królestwa w drugą, z jednego zamku na drugi. Widzimy ich pod wyłącznym nadzorem wychowawców, z daleka od rodziców królewskich, jużto w Tyńcu, jako najbezpieczniejszem miejscu schronienia się od grasującego naówczas po-

wietrza morowego, jużto w Krakowie, pod bokiem szkoły uczonej, jużto w Starym Sączu, w pośrodku zdrowej natury górskiej, jużto wreszcie w zamku lubelskim. Wszędzie owa męska surowość, jaką przed dwudziestu laty w swoich przepisach edukacyjnych Eneasz Sylwiusz zalecał rodzonemu bratu naszej królowej Elżbiety, służyła za główną podstawę wychowania.

Przyodziani latem w grubą odzież sukienną, zimą zaś w proste kożuszki koźle, jadając poślednią zazwyczaj strawę, dalecy od wszelkich wygód i pieszczot, oswajali się oni z wszelkiemi dolegliwościami żywota, uczyli się wchodzić w niedolę każdego z najniższych poddanych swoich.

Wszakże ta szorstkość wychowania fizycznego nie wyłączała wytworności umysłu. Młodzieńcy królewscy przykładali się nawet do takich umiejętności, które podówczas miano jeszcze powszechnie za wcale nowe i niezwyczajne. Mianowicie język i literatura klasyczna stanowiły ważną gałąź nauki. Po dziś dzień widzieć można pomiędzy rękopisami Zakładu Ossolińskich grubą, starożytną księgę, zawierającą wyciągi z najlepszych autorów klasycznych, zebrane przez Długosza dla królewiczów. W ważniejszych okolicznościach, bądźto przy powrocie rodziców królewskich po dłuższej niebytności do stolicy i do bawiących tam właśnie synów, bądźto przy uroczystem podejmowaniu u dworu dostojnych gości zagranicznych, występowali uczniowie Długoszowi z przemową, ułożoną w niezwykłym dla świeckich uszu języku łacińskim, budzącą nim powszechny podziw dla młodocianych mowców. Wtedy i powierzchowność królewiczów nabierała świetności. Zamiast kożuszków kozich świeciły na nich adamaszki i złotogłowy, zamiast szarych sukni jaśniał karmazyn; a gdy owi goście zagraniczni usłyszeli oracyę synów królewskich, gdy się przypatrywali ich ujmującym, strojnym teraz postaciom, ich nadobnemu zachowaniu się przy boku ojca: trudno im było później zapomnieć miłego widoku królewiąt polskich i, opisując swoje po północnych i południowych stronach wędrówki, barwili radzi ten opis obrazem synów Kazimierzowych, nim jeszcze jeden z nich został świętym, a drugi wiekopomnym ojcem swego narodu.

Synom królewskim wychowanie wzorowe daleką cześć

jednało. Przez usta podróżników rozchodziły się za granicą, a zwłaszcza po przyległych krajach, Węgrzech i Czechach, najpomyślniejsze o młodych Jagiellonach powieści. Stąd, gdy w zaburzeniach ówczesnych trony tych ludów niejednokrotnie się opróżniały, szły od nich prośby o królów do Polski. Skutkiem takiej odezwy Czechów został najstarszy z wnuków Jagiełły i cesarza Albrechta, dobrotliwy Władysław, jeszcze za życia i za przyzwoleniem czeskiego króla, Jerzego z Podjebradu, obrany królem czeskim. Mało co później znaczna część Węgrów powołała drugiego, świątobliwego Kazimierza, na tron węgierski. Własna Jagiellonów ojczyzna, Polska, zniewolona patrzeć, jak narody sąsiednie, wydzierają sobie jej królewiczów, musiała na młodszych przestawać braciach.

Zaprosiny królewiczów Jagiellońskich na trony sąsiednie świadczyły na wszelki wypadek o dobrej ich sławie za granicą; lecz dalsze ubezpieczenie napływających koron przechodziło niekiedy w rzeczywistości dotychczasową materyalną potęgę domu Jagiellońskiego. Koronę węgierską osiągnął później Jagiellończyk Władysław, łącząc ją z berłem czeskiem. Teraźniejsze powołanie do niej królewicza Kazimierza pozostało tylko bezskutecznem świadectwem czci, jaką synowie Elżbiety posiadali w domu i za granicą.

Zamiast węgierskiej, uśmiechała się Kazimierzowi inna korona. Gorące ćwiczenia duchowe przy wątłem ciele i owa żarliwość religijna, którą spostrzegamy zarówno w uczniu jak i w kronice Długosza, zwracały nań wcześnie oczy pobożnego podziwu. Po zgonie w kwiecie młodości zaczęły krążyć pogłoski o cudach u grobu królewicza. Myśl wydania na świat świętego, jakąż błogą rozkoszą musiała macierzyńskie przenikać serce! Ułatwił spełnienie się tej myśli przez kanonizacyę św. Kazimierza przedostatni z synów Elżbiety, mądry Zygmunt. Tysiące dusz zasmuconych, cierpiących, znajdowały odtąd rokrocznie nadziemską ulgę u trumny nowego orędownika w niebiesiech.

Oprócz tego błogosławieństwa niosło wychowanie Jagiellońskie jeszcze mnogie inne, pomyślne krajowi skutki. Uszanowanie dla nauk, głoszone jawnie tak pilnem przykładaniem się do nich synów królewskich, wpajało się coraz

głębiej w wyobrażenia i obyczaje całego społeczeństwa. Wzbudzona tem wychowaniem potrzeba światłych nauczycieli, nakazująca otwartemi ramiony przyjmować wszystkich uczonych mężów ze stron obcych, przeszczepiona z dworu królewskiego na dwory pańskie, napełniła u schyłku XV. i w pierwszej połowie XVI. stulecia kraj cały znakomitymi cudzoziemcami, którzy z wielu względów wpłynęli dobroczynnie na dziwnie szybki postęp narodu w oświacie i obyczajeniu. Mikołaj Kopernik przysposabiał się do swoich odkryć astronomicznych, a Wit Stwosz pracami dłóta swego ozdabiał Kraków. Zacząwszy od Kallimacha, dziejopisa Warneńskiego, aż do Justusa Decyusza, opisywacza dziejów i rodziny Zygmunta, iluż innych jeszcze gości uczonych powiększało umysłowy ruch tego czasu! Iluż wreszcie przybyszów i ruchu naukowego w uczonej szkole krakowskiej! Jakoż najlepszym dowodem zbawiennego wpływu wychowania dzieci królewskich na oświatę powszechną jest ówczesna liczba uczniów tej szkoły. Zgromadzało się ich niekiedy przy uroczystych obchodach, jak n. p. na pogrzebie Filipa Kallimacha, do piętnastu tysięcy. Donosi o tem przyjaciel Kallimachów, naoczny świadek pogrzebu, w liście z Krakowa do Włoch. Za niedawnym przykładem starannego wychowania synów królewskich jął teraz kraj cały tłumnie wychowywać się i oświecać.

Patrzyła na to królowa Elżbieta z powagą uznanej przez wszystkich matki wychowawczyni pokolenia młodego.

W takiem też uczuciu rzeczywistej wyższości umyśliła królowa Elżbieta udzielić synowi Władysławowi, już królowi czeskiemu, w lat 10 po owdowieniu, jako matrona 70-letnia, swoich wyobrażeń i doświadczeń edukacyjnych.

Wypiastowana na ręku piśmiennej wychowawczyni autorki, owej Heleny Kottauer, sławiona przez współczesnych jako główna uczestniczka w staraniach około wzorowego wychowania synów Kazimierzowych, surowa karcicielka wychowania zaniedbanego i obyczajów prostaczych, osobliwie zaś mając przed sobą wzór rozprawy edukacyjnej, przez sławnego autora dla rodzonego jej brata napisanej, była Elżbieta ze wszech miar usposobioną do przesłania synowi listu podobnej treści.

Jak samo dziełko daje oczywisty dowód staranności królowej około wzorowego wychowania rodziny, tak też wszystkie okoliczności zgadzają się na przyznanie jej daleko istotniejszego w niem uczestnictwa, niżby to na pierwszy rzut oka zdawać się mogło. Nasza matka królów, córka i wnuka cesarzów, pozostanie na wszelki wypadek główną wychowania Jagiellonów mistrzynią.

Pamiętano też przez długie wieki to wychowanie. W sto lat po przyjściu Elżbiety do Polski, w mowie na cześć Zygmunta Starego, wychwala je szerokiemi słowy głośny w narodzie Orzechowski. W blizko dwieście lat przypomina je z uwielbieniem żywociarz Władysława IV. Wazy, Kobierzycki.

Karol Szajnocha (Szkice historyczne).

57. Wspomnienie z Maripozy.

...Po drodze do Big Trees [1]), czyli olbrzymich drzew kalifornijskich, zajechałem do Maripozy. Miasto to liczyło przed niedawnemi jeszcze laty do 15 tysięcy mieszkańców, obecnie jest ich dziesięć razy mniej. Wiadomo, że w Nowym Świecie miasta rodzą się, jak grzyby, ale też często mają żywot motyli. Tak było i z Maripozą. Póki rzeczka Maripoza przeświecała złocistem dnem, a na brzegach osadzała zielonawe grudki drogiego metalu, roili się tu górnicy amerykańscy, »gambusinos« [2]) z Meksyku i kupcy z całego świata. Potem wszystko to wywędrowało. »Złote« miasta są nietrwałe, bo złoto prędzej, czy później musi się wyczerpać. Dziś miasto Maripoza ma z tysiąc mieszkańców, a brzegi rzeki Maripozy pokryły się już na nowo gęstwiną wierzb płaczących, drzewa bawełnianego i innych pomniejszych krzewów. Tam, gdzie dawniej górnicy śpiewali wieczorami: »I crossed Missisipi« [3]), obecnie śpiewają kujoty. Miasto składa się z jednej ulicy, na której najpiękniejszym budynkiem jest szkoła; drugie po niej miejsce trzyma »kapitol«, trzecie hotel pana Bilinga, obejmujący zarazem grocernię, »saloon« [4]), to jest szynk, i »bakery« [5]) czyli piekarnię. Kilka innych

[1]) Czytaj: Big Tris. [2]) gambuzinos. [3]) Aj krost Missisipi.
[4]) salun. [5]) bekri.

sklepów świeci wystawami wzdłuż ulicy. Ruch jednak handlowy jest tu bardzo niewielki. Sklepy zaopatrują potrzeby samego tylko miasta, bo w okolicy mało jest farmerów. Całe hrabstwo ma jeszcze nader nieliczną ludność, po większej zaś części szumi olbrzymimi lasami, w których zrzadka siedzą skwaterowie.

Gdy dyliżans nasz wjeżdżał do miasta, było w niem niezwykle ludno; przybyliśmy bowiem w piątek, a to jest dzień targowy. Skwaterowie przywożą w ten dzień miód do grocerni, w której w zamian zaopatrują się w rozmaite artykuły żywności. Inni przypędzają trzodę, farmerowie dostawiają zboże. Lubo emigracya napływa do Maripozy bardzo pomału, znajdowało się wszelako i kilka wozów emigranckich, które łatwo poznać po białych, wysokich dachach i po tem, że między kołami zwykle upięty jest pies, szop, albo niedźwiedź. Ruch przed hotelem panował niemały, gospodarz zaś hotelu, pan Biling, kręcił się na wszystkie strony, roznosząc dżin, whisky i brandy [1]). Na pierwsze wejrzenie poznał on we mnie cudzoziemca, jadącego do Big Trees; ponieważ zaś tacy turyści stanowią najpożądańszą dla niego klientelę, dlatego zajął się mną ze szczególną troskliwością.

Był to niemłody już człowiek, ale ruchliwy i żywy, jak iskra.

Z wielkiem ugrzecznieniem wskazał mi mój pokój. Objaśnił, że już jest po brekfeście, ale jeżeli sobie życzę, podadzą mi natychmiast jeść w »dining room« [2]).

— Gentelman zapewne z San Franczisko?

— O nie. Z dalszych stron, z Polski.

— Jest tu pański rodak.

— W Maripozie?

— Nie, on mieszka w lesie. Ale w piątek przyjeżdża na targ z miodem i zostaje na noc. Stary człowiek. Bardzo dobry, bardzo dobry! On tu już jest ze dwadzieścia lat. Jeszcze tu nikogo nie było, jak on przyszedł. Jutro go panu przyprowadzę.

— Jakże się nazywa?

---

[1]) wiski i brendi. [2]) dajning rum.

Niemiec staje i poczyna się w głowę drapać, jak pierwszy lepszy polski Bartek.

— O! I don't know![1]). Nie wiem — mówi. Coś bardzo trudnego.

Nazajutrz, ledwiem wstał, już mój Niemiec jeszcze przed brekfestem przyprowadził mi rodaka.

Był to człowiek wysoki, bardzo nawet wysoki, ale pochylony mocno. Miał białą głowę, białą brodę i niebieskie oczy, które utkwił we mnie odrazu z jakąś dziwną uporczywością.

— Zostawiam panów samych — rzekł Niemiec.

Zostaliśmy tedy sami i patrzyli na siebie przez długi czas w milczeniu. Po prawdzie byłem jakiś zmieszany widokiem tego starca podobniejszego do Wernyhory, niż do przeciętnego rodaka.

— Zwę się Putrament — ozwał się starzec. — Aza nazwisko moje obce jest uszom twoim?

— Nazwisko moje M. — odparłem. — Pańskie obiło mi się o uszy. Zdaje się z Litwy?

Coś istotnie przypominało mi się z »Pana Tadeusza«, coś »Putrament z Pikturną« w opowiadaniu Protazego o procesach.

Starzec przyłożył rękę do ucha.

— Hę? — rzekł.

— Zdaje mi się z Litwy?

— Podnieś głos twój, albowiem wiek zepsował mi uszy moje i głuchą jest starość moja — odrzekł pan Putrament.

— Czy on kpi sobie ze mnie, czy ja głupi jestem? — pomyślałem — ale coś ten staruszek mówi językiem proroków. Cóż za oryginały spotykam w tej Maripozie?

— Pan dawno z kraju? — spytałem.

— Dwadzieścia dwa lat tu mieszkam i zaprawdę pierwszym jesteś, którego oglądam ze stron ojczystych, gwoli czemu wzruszone jest serce moje i uradowana dusza we mnie.

Rzeczywiście starzec mówił głosem drżącym i wydawał się bardzo wzruszony. Co do mnie byłem tylko zdziwiony. Nie siedziałem dwadzieścia lat w lesie, Polaków widziałem

[1]) Aj dont nou.

niedawno w San Franczisko i nie miałem powodu się rozczulać. Miałem natomiast trochę ochoty wykrzyknąć: Co za styl! Żeby tak kto do mnie mówił przez dobę, tobym chyba zaczął wyć. Brr! Tymczasem starzec wpatrywał się we mnie uporczywie i myśl jego zdawała się silnie pracować. Kilka razy jakby pragnął mówić i uciął. Widocznem było, iż sam czuł, że nie wyraża się, jak każdy inny człowiek. Mówił zresztą bardzo poprawnie, ale z trudnością.

— W ziemi dalekiej stężał język mój i związały się wargi moje...

— Co prawda, to nie grzech — pomyślałem.

Ale wesołość opuszczała mnie. Robiło mi się jakoś przykro i uczułem pewien wyrzut sumienia. Jak sobie tam mówi, tak mówi ten starzec — myślałem — ale mówi ze wzruszeniem, z głębokim smutkiem i szczerze, a ja oto jakbym podrwiwał sobie z niego.

I mimowolnie wyciągnąłem ku niemu obie ręce. Wziął je i przycisnął silnie do swych piersi powtarzając:

— Rodak! rodak!

Takie uczucie drgało w jego głosie, że chwyciło mnie wprost za serce.

W każdym razie miałem przed sobą dziwną zagadkę, a może bardzo smutną. Począłem tedy patrzeć na niego, jakbym patrzył na starego ojca. Posadziłem go z uszanowaniem na krześle i sam usiadłem koło niego, on wciąż patrzył na mnie.

— Co słychać w ziemi naszej? — spytał.

Rozpuściłem język, jak kołowrot, starając się tylko mówić głośno i jasno. W ten sposób gadałem z pół godziny, a w miarę słów moich szanowna jego głowa kiwała się smutno, lub uśmiech występował mu na usta. Powtórzył raz zdanie Galileusza i częstokroć zadawał mi pytanie, zawsze tymże samym poważnym, dziwnym i niewytłómaczonym dla mnie stylem.

Wszystko, com mu powiedział, zajmowało go nad wszelki wyraz. Cała jego dusza zbiegała się do oczu i ust. Żyjąc samotnie wśród lasu, może on dnie całe myślał tylko o tem, co płynęło teraz z ust moich.

Dziwny starcze, dziwna raso ludzka, która na najodle-

glejsze krańce świata niesiesz jedną myśl i jedno uczucie. Tem żyjesz w lasach, w pustyniach i nad morzem; — unosisz ciało swoje, a duszy oderwać nie umiesz — i chodzisz, jak błędna, między innymi ludźmi. Ale rasa ta umiera zwolna. Ja wam opowiadam o jednym z ostatnich.

Opowiadanie zda się wymysłem — a jest rzeczywistością. — Putrament może żyje jeszcze w swoim lesie w bliskości Maripozy. Z opowiadań jego dowiedziałem się, co następuje. Był pasiecznikiem, jak większość skwaterów. Nie jest zbyt biedny. Pszczoły zarabiały na jego życie. Zestarzawszy się, wziął pomocnika, małego indyanina, który dogląda pasieki. Mówił, że sam dotychczas jeszcze codzień poluje. Zwierzyny w pobliżu Maripozy jest mnóstwo: jeleni, antylop i ptastwa wszelakiego moc nieprzebrana.

Niedźwiedzie przerzedziły się znacznie. Jego »kenion« jest jednym z najpiękniejszych w okolicy. Przy domu jest cudny strumień, tworzący mnóstwo kaskad — zresztą skały i góry, a na nich las i las nieprzebyty. Cisza, spokój... Zapraszał mnie mocno, bym go odwiedził; ale musiałbym z powrotem czekać aż do następnego piątku, więc z żalem nie mogłem przyjąć zaproszenia. Mówił ciągle, jak jaki Abraham, lub Jakób... Słowa: *Aza, azali, zaprawdę, lepak, przecz* i *wżdy* — powtarzały się w jego ustach co chwila. Czasami zdawało mi się, że mam przed sobą jakiegoś człowieka z czasów Górnickiego lub Skargi, który pod ziemią przewędrował do Maripozy i zmartwychwstał tu lub żył od owych czasów, jak owe Big Trees poblizkie.

Ale prócz tego starego języka była w mowie jego jeszcze i jakaś dziwna uroczystość, polegająca na toku zdań, na mnóstwie pleonazmów, na szczególnych określeniach. Postanowiłem wreszcie rozwiązać zagadkę.

— Powiedz mi, szanowny panie, skąd ci się wziął ten język? Język to nie dzisiejszy, ale stary, którym już nie mówią w Polsce.

Uśmiechnął się.

— Jedną książkę mam w domu: biblię Wujka, którą czytuję codzień, abym nie zapomniał mowy mojej i nie stał się niemym w języku ojców moich.

Teraz rozumiem. Przez kilkadziesiąt lat w zapadłej Ma-

ripozie nie widział ani jednego Polaka, nie mówił z nikim. Czytywał więc Wujka i nic dziwnego, że nie tylko jego słowa, ale i myśli ułożyły się do miary biblii. Inaczej już po polsku nie umiał i nie mógł umieć; oddawał to, co czerpał. Nie chciał tylko za nic w świecie zapomnieć. Miał zwyczaj czytywać głośno swoją biblię każdego ranka. Zresztą nic więcej nie dochodziło go ze stron ojczystych, nic, znikąd — chyba tylko szum lasu kalifornijskiego przypominał mu szumy litewskie...

Gdyśmy się żegnali, rzekłem:

— Za miesiąc wracam do kraju. Czy nie masz pan jakich krewnych: brata, swata, kogokolwiek, komubyś mógł dać znać o sobie?

Zamyślił się, jakby szukał w pamięci jakich najdalszych krewnych — potem począł potrząsać głową.

— Nikogo... nikogo... nikogo...

A jednak ten starzec czytywał Wujka i nie chciał... zapomnieć.

Pożegnaliśmy się.

— Niech cię prowadzi Pan! — rzekł mi na drogę.

Nazajutrz rankiem myślałem sobie: w tej chwili stary Putrament czyta głośno w kenionie swoją biblię...

Henryk Sienkiewicz.

58. Na obczyźnie.

Taką mi wioskę wymaluj w dolinie,
Od zbóż wesołą, a od jodeł smutną;
Niechaj się cała chowa w jarzębinie,
Niech na jej łąkach siwe leży płótno,
Niech przez staw ciche rzucają się tęcze,
Rozbite skrzelką, co tryska z wód głębi,
Niech nad nią chmurka trzpioce się gołębi
I puchy kwietne i nitki pajęcze...
I w takież skiby głębokie puść rolę,
I daj po brózdach te maczki jaskrawe,
I w sznur wyciągnij nad drogą topole
I mgłę rzuć srebrną na łąki, na trawę...
I niech tak idą rozgłośno po łanie
Dzwonki jałowic i z biczów klaskanie;
Niechaj tak wierzby dumają u strugi,
Cień przedzachodni rzucając i długi;

I taką cichą błękitność daj wkoło,
I pełne gwarów powietrze zrób ptaszych,
I taki tuman na gór połóż czoło,
A tylko ludzi zrób — naszych!

Marya Konopnicka.

59. Lwów przy końcu XV w.

Lwów liczy daleko więcej wieków istnienia, niżeli mu ich zazwyczaj przyznają jego kronikarze. Istniał on bez wątpienia już jako miasto w owych wiekach, dziś całkiem zamierzchłych, kiedy właściwa Ruś, rozciągająca się od Sanu wzdłuż Dniestru po brzegi morza, zwanego wówczas Gościnnem, a teraz Czarnem, liczyła się do najżyźniejszych i najbogatszych krajów całej Europy. W owych wiekach skutkiem bądź wojen bratnich pomiędzy ruskimi książęty, bądź powstań bojarów, zrywających się czasem do wybicia się z pod władzy swych panów, przechodził on kolejno rozmaite epoki upadku i wzrostu, aż wreszcie od chwili rozpoczynających się w wieku XIII. zagonów tatarskich wystawiony na ich ustawiczne napady trzema szlakami: Czarnym, Kuczmańskim i Wołoskim, żyjący wtedy, jak gdyby pod trzema strzałami, wymierzonemi w jego serce, popadł na dłuższe czasy w nieznane dotąd ubóstwo. Ów mniemany jego założyciel, książe Lew, syn króla Daniela, był tylko jego odnowicielem, podniósłszy go z gruzów, w które go trzynaście lat przedtem napad tatarski był rzucił. Odnowiciel jednak i jego następcy nie potrafili mu zapewnić spokojnego istnienia i powrotu do dawnej świetności; dopiero Kazimierz Wielki zagarnąwszy go wraz z przyległymi krajami pod swe panowanie, przyniósł mu stałą opiekę i możność spokojnego rozwoju. Obwarowano go wtenczas nowymi murami i opatrzono we wszelkie środki obrony, a miasto to stało się, jak było dawniej, jednym z najgłówniejszych i najbogatszych targów kupieckich, pośredniczących pomiędzy Wschodem a Europą środkową. W wieku XV. Lwów był miastem, rządzonem nadzwyczaj porządnie i regularnie, w swojej kupieckiej skrzętności był nadzwyczajnie ruchliwy, obejmował niezmiernie bogate składy towarów, utrzymywał stosunki handlowe ze wszystkimi zagranicznymi targami od Carogrodu

do Gdańska, od Kaffy aż do Wenecyi, a przeto obfitował we wszystkie potrzebne, a nawet i zbytkowe dostatki w swych murach.

Rynek i niemal wszystkie ulice były te same, co dzisiaj, lecz samo miasto, obwiedzione murami i opatrzone basztami, było o wiele ciaśniejsze; rozlegało się bowiem w kształcie podłużnym a wązkim tylko od szkarp dzisiejszych po Pełtew. W murach ówczesnych znajdowały się tylko dwie bramy, Krakowska u północnego zachodu i Halicka na południowym wschodzie, których na czele miejskich halabardników pilnował *proconsul nocturnus*. Baszty i mury były opatrzone armatą, a miejski arsenał był zawsze dobrze wyładowany wszelkiego rodzaju bronią i amunicyą. Miasto miało swą ludwisarnię, swoich płatnerzy i rusznikarzy. Ulice były wybrukowane, chodniki kamienne, kamienice po największej części murowane, z krużgankami u piąter, niektóre nawet obronnne. W środku rynku stał ratusz murowany z wieżami i był otoczony z trzech stron kramami, które miasto wynajmowało na wieczne czasy swoim własnym rodzinom mieszczańskim, a które przeto ciż mieszczanie nazywali swoją własnością. Na ratuszu mieściła się *lonherya* miasta, wszystkie urzędy i sądy, tam się odbywały wybory rajców i ławników, tam także miasto przyjmowało znamienitszych gości i wyprawiało dla nich festyny i widowiska publiczne. W mieście, w rogu zachodnio północnym stał częścią z kamienia, a częścią z drzewa wybudowany, tak zwany Nizki Zamek, mieszczący w sobie obszerne komnaty mieszkalne i także mocno obwarowany. W tym zamku mieszkiwali królowie, kiedy zjeżdżali do Lwowa.

Poza murami miasta rozciągały się obszerne przedmieścia na gruntach miejskich, które otaczały miasto na całą milę dokoła, a na których widać było porozsiewane wsi i folwarki. Na przedmieściach stały rozmaite kościoły i cerkwie, pomiędzy któremi wznosiła się na wzgórzu wspaniała i swemi bizantyńskiemi kopułami znaczna cerkiew św. Jura. Nad tem zaś wszystkiem panował z wyniosłej, piaskowej góry zamek, zwany Wysokim, silny sam w sobie i srogimi otoczony murami a, jak wieść niosła, nigdy jeszcze nie wzięty.

Na Nizkim Zamku siedział kasztelan, który był zarazem starostą, lecz w tym urzędzie wyręczał się zwykle podstarościm, mianowanym także przez króla. Dawnymi czasy, kiedy potężni Odrowążowie i panowie z Chodcza, których ród prędko wyginął, zrazu jako wojewodowie przemyscy a potem ruscy, wodzili rej po tych krajach, kasztelani lwowscy byli im całkiem podlegli i nie mieli prawie żadnego znaczenia. W tych czasach widzimy kasztelanami potomków familii ruskich. Lecz później potrafili się usamowolnić i władzę swoją a zarazem i swe znaczenie dokładniej określić. Jednak i wtedy przedstawiali tylko osobę króla, mieli obronę obydwóch zamków na pieczy, stawali na czele chorągwi pospolitego ruszenia, przewodniczyli przez swoich starostów wyborom miejskim, mianowali jednego burmistrza, w niektórych wypadkach powstrzymywali wykonywanie wyroków — i na tem kończyła się ich cała powaga nad miastem.

Miasto rządziło się samo przez dwunastu rajców, którzy rozstrzygali zarazem spory cywilne, a sądziło swe sprawy kryminalne przez dwunastu ławników, i jednych i drugich własnego wyboru. Rządowi miasta przewodniczyło trzech burmistrzów, jeden potwierdzony w imieniu króla i noszący tytuł *proconsul regius*, dwaj zaś drudzy nazywali się *proconsul communitatis* i *proconsul dominorum consulum*, sprawowali zaś swój urząd, zmieniając się kolejno co miesiąc. Nad ławnikami stał wójt. Urzędy rajców i ławników były dożywotnie, lecz wolno było zrzec się urzędu. Rajców nazywano powszechnie »panami« i byli to rzeczywiście ludzie bardzo bogaci, posiadający nieruchome własności a wyciągający nieprzeliczone dochody ze swoich kramów, szynkowni, miodosytni i woskobojni, ze stęp, blichów i łaźni i z rozmaitych opłat od wyroków w procesach; miewali częstokroć majątki ziemskie, folwarki, wypasy i własne statki na Dniestrze; ale też za to dbali starannie o dobro wszystkich mieszkańców i utrzymywali w mieście wzorowy porządek.

Lwów był w wiekach dawniejszych zamieszkały zapewne przez samych Rusinów, chociaż tak tutaj, jak i po innych miastach ruskich, widzimy już w bardzo dawnych czasach osiadłych Niemców, a mamy także i akta publiczne książąt

ruskich, pisane w języku niemieckim. Jakoż niemasz wątpienia, że nie dopiero Kazimierz Wielki sprowadził za sobą Niemców do Lwowa, tylko równie pewną jest rzeczą, że wówczas napłynęli oni tutaj gromadniej i odtąd, kiedy miasto uczuło nad sobą potężną opiekę, zaczęli przypływać Ormianie, później Tatarzy, a wreszcie Żydzi, Serbowie, Wołosi i Grecy. Z Kazimierzem Wielkim przybyli także Polacy; z początku mało ich było, za Ludwika Węgierskiego i Władysława Opolczyka liczba ich się nie pomnożyła, lecz zato gęstą ściągnęli nawałą za królową Jadwigą. Od tego też czasu, choć w samem mieście niewiele ich było, prędko zyskali przewagę, a z czasem swoją energią, wyższą oświatą i towarzyskim polorem tak wzięli górę nad wszystkiemi innemi narodowościami, że język ich we wszystkich warstwach się upowszechnił, a kto chciał uchodzić za grzecznego człowieka, ten mówił a przynajmniej usiłował mówić po polsku. Pod koniec wieku XV. język ten był panującym we Lwowie, jednak obok niego utrzymywał się także język niemiecki, dawniej górujący; toż cały świat kupiecki umiał po niemiecku. Obok tych dwóch języków mówiono po rusku, co wszakże nie było już w modzie, po ormiańsku, po wołosku, po tatarsku i po serbsku, a nawet po grecku, w czasie zaś jarmarków można było słyszeć na rynku kilkanaście języków obcych, do których miasto dla ułatwienia handlu utrzymywało stałych tłómaczów.

Pomimo takiej mieszaniny ras, języków i wyznań Polacy i Niemcy wyznawali katolicką religię, Rusini i Ormianie byli prawosławni, a obok nich mieszkali jeszcze muzułmańscy Tatarzy i Żydzi. Pomiędzy mieszkańcami panowała zgoda wzorowa. Sporów religijnych nie było, bo fanatycznej propagandy nie było; każdy się modlił swojemu Bogu, jak chciał, a nikt drugi się w sprawy jego sumienia nie mieszał. I sporów politycznych także nie było, bo wszyscy się czuli członkami jednej gminy, a gmina rządząc się sama i troszcząc się tylko o swoje własne dobro, moralne i materyalne, zawiadywanie publicznemi sprawami pozostawiała królowi i jego pełnomocnikom. Nawet zbrodni wówczas nie było; kary, wymierzane za występki przeciwko własności i publicznemu spokojowi, są bardzo rzadkie, wyroków za wykro-

czenia przeciwko wierze wcale nie znajdujemy; krwawe sądy w sprawach sumienia zaczynają się dopiero w wieku szesnastym. Natomiast widzimy niepoliczoną ilość bractw, stowarzyszeń i innych zakładów publicznych w celu niesienia pomocy ubogim chorym albo potrzebującym zarobku; nad stosunkami panów do sług, czeladników do majstrów, a nawet nad zapłatą, należącą się robotnikowi, czuwają bardzo sumiennie i pilnie władze miejskie; urząd publiczny może sprawować ten tylko, kto ma w mieście posiadłości, od wydatków zbytkowych strzeże *lex sumptuaria*, utrzymaniu stosunków rodzinnych pomaga ciężki podatek, nałożony na bezżennych, nad moralnością publiczną czuwa powaga starszyzny i kierowana przez nią opinia publiczna — co wszystko wydaje miłosierdziu ludzkości i rozumowi, jakie podówczas panowały w tem mieście, bardzo wymowne i piękne świadectwo.

W mieście wodzili rej mieszczanie osiedli, a mieli oni podówczas poważne znaczenie nie tylko w obrębie swej gminy, ale także i w kraju, albowiem posiadali niemało majątków wiejskich i byli panami całego przemysłu, handlu i pieniężnego obrotu. Bił na nich jeszcze, lubo już blednie jącymi promieniami, blask owej wielkiej i świetnej potęgi, jaką przez tyle wieków błyszczały rzeczypospolite włoskie i północne miasta hanzeatyckie, chociaż dawne prawa miast polskich znacznie już wówczas podkopała wciąż wzrastająca przewaga szlachty, chociaż przywileje nieszawskie już bardzo silny cios zadały mieszczanom, ścieląc ich nizko pod stopy rycerstwa i zabraniając im nawet przystępu do wyższych dygnitarstw kościelnych. Statutów piotrkowskich, rozszerzających przywileje nieszawskie, jeszcze wtedy nie było; zaczem mieszczanie czuli się jeszcze w swojem dawnem znaczeniu i używali go z roztropnością i miarą, ale zarazem ze świadomością praw, które im przysługiwały. Znaczenie mieszczan było wtedy tak wielkie, że nawet zamożna szlachta garnęła się chętnie do Lwowa; ale szlachcic musiał przyjąć prawo miejskie i poddać się magdeburgii, ażeby mu pozwolono własność miejską zakupić.

Zygmunt Kaczkowski (Olbrachtowi rycerze).

60. Na wakacyach.

Wieczorem, jak zwykle, przyszedł do mnie mój szkolny kolega. Mieszkaliśmy obaj na wsi, o kilka klm. od siebie i widywaliśmy się prawie codzień.

Tego dnia spostrzegłem, że mu coś dolega; patrzał w ziemię i gorączkowo uderzał się po nogach szpicrutą. Nie uważałem za stosowne pytać go o powód widocznego zakłopotania, ale on sam zaczął.

— Wiesz — odezwał się — miałem dziś głupi wypadek.

Zdziwiłem się; było rzeczą prawie niepodobną, ażeby »głupi wypadek« mógł sią zdarzyć tak panującemu nad sobą człowiekowi.

— Mieliśmy — mówił dalej — z rana we wsi pożar. Spaliła się chałupa...

— A tyś może skoczył w ogień?... — przerwałem mu trochę drwiącym tonem.

Wzruszył ramionami i zdawało mi się, że się lekko zarumienił; zresztą może mu padł na twarz blask zachodzącego słońca.

— Zapaliły się — ciągnął po przerwie — konopie na strychu u chłopa, a w kilka minut później strzecha. Czytałem w tej chwili coś zajmującego, ale na widok kłębów czarnego dymu i płomyków, wydobywających się ze szczelin przy kominie, opanowała mię ciekawość i powlokłem się na miejsce. Ludzie byli przy robocie, więc zastałem zaledwie kilka osób: dwie baby, lamentujące nad nieszczęściem, organiścinę, która obrazem św. Floryana zażegnywała pożar, i chłopa, który medytował, trzymając w obu rękach pustą konewkę. Od nich usłyszałem, że chałupa zamknięta, bo gospodarz z kobietą wyszli w pole.

— Oto masz system budowania!... - pomyślałem. — Dom płonie, jakby go prochem nabito...

Istotnie, w ciągu kilku minut cały dach stał w płomieniu: dym gryzł w oczy, a ogień tak mocno przypiekał, że z obawy o żakiet musiałem się cofnąć o parę kroków.

Nagle ktoś krzyknął: »Tam jest dziecko, ten mały Stasiek!...« —

— Gdzie?... — spytano.

— W chałupie, śpi w nieckach pod oknem... Ino który wybij szybę, a jeszcze wyciągniesz żywego...

Nikt się jednak nie ruszył. Słoma na dachu już spłonęła, a krokwie żarzyły się, jak rozpalone druty.

Wyznaję, że, gdym to usłyszał, serce drgnęło mi w niezwykły sposób.

— Jeżeli nikt nie idzie — pomyślałem — więc ja pójdę... Na uratowanie chłopca wystarczy pół minuty. Czasu aż nadto, ale — jakież piekielne gorąco!...

— No, rusz-że się który! — wołały baby. — O wy, psie dusze, nie warciśta nazywać się chłopami!...

— To leź sama w ogień, kiedyś taka mądra! — ofuknął ktoś z tłumu. — Tam pewna śmierć, a dziecko słabe, jak kurczę, i tak już nie żyje...

— Ładnie! — pomyślałem — nikt nie idzie, a ja jeszcze się waham. Chociaż szepnęła mi rozwaga — jakie licho ciągnie mię do bezcelowej awantury?... Czy ja wiem, gdzie leży dzieciak?... Może wypadł z niecek?...

Belki już były zwęglone i z głuchym trzaskiem zaczęły się wyginać.

Ale trzeba w końcu wedrzeć się tam — myślałem. — Każda sekunda jest droga. Dzieciak przecie nie może spalić się, jak robak — Lecz jeżeli już nie żyje?... — odpowiedziało zastanowienie — w takim razie szkoda nawet surduta...

Zdaleka odezwał się straszny krzyk kobiecy: »Ratujcie dziecko!«...

— Trzymajcie ją!... zawołano w odpowiedzi. — Skoczy w ogień i zginie...

Usłyszałem za sobą jakieś szamotanie i ten sam krzyk:

— Puszczajcie!... to moje dziecko!...

— Ciągnij ją w pół!... odpowiedziano.

Nie mogłem wytrzymać i rzuciłem się naprzód. Owionął mię żar, dym, dach zatrzeszczał, jakby go rozdarto i z komina posypały się cegły. Poczułem, że mi się tlą włosy i — cofnąłem się rozgniewany. »Co za głupi sentymentalizm! — pomyślałem — dla garstki ludzkich popiołów robić z siebie straszydło?... Jeszcze powiedzą, że tanim kosztem chciałem zostać bohaterem!...

Wtem potrąciła mnie jakaś młoda dziewczyna, biegnąca do chaty. Usłyszałem brzęk wybitych szyb, a gdy nagły wiatr odgarnął tuman dymu, zobaczyłem ją w oknie, silnie pochyloną do wnętrza izby.

— Co ty robisz, waryatko? — krzyknąłem — tam już jest trup, nie dziecko...

— Jagna! chodzi tu!... — zawołano z tłumu.

Pułap zapadł się, aż iskry sypnęły do nieba. Dziewczyna znikła w dymie, a mnie pociemniało w oczach.

— Ja-gna!... — powtórzył lamentujący głos.

— Zara!... zara!... — odpowiedziała dziewczyna, przebiegając koło mnie z powrotem.

Z wysiłkiem dźwigała w ręku chłopca, który, obudziwszy się, wrzeszczał w niebogłosy.

— Więc dziecko żyje? — spytałem.

— Jak najzdrowsze.

— A dziewczyna... czy to jego siostra?

— Gdzież tam! — odparł — zupełnie obca; nawet służy u innego gospodarza i ma najwyżej piętnaście lat.

— I nic się jej nie stało?

— Opaliła sobie chustkę i trochę włosów.

Idąc tu, widziałem ją; skrobała przed sienią ziemniaki i coś sobie nuciła fałszywym głosem. Chciałem jej wyrazić moje uznanie; nagle jednak przyszły mi na myśl jej dziki zapał i mój rozsądny takt wobec cudzego nieszczęścia, i... taki mnie wstyd ogarnął, że nie śmiałem do niej przemówić ani wyrazu... My już tacy!... dodał i począł szpicrutą ścinać rosnące przy drodze badyle.

Na niebie zaczęły się pokazywać gwiazdy i chłodny wiatr przyniósł od stawów rechotanie żab i kwilenie zbierających się do snu ptaków wodnych. Zwykle o tej porze obaj układaliśmy projekty na przyszłość, lecz dziś żaden ust nie otworzył. Za to zdawało mi się, że dokoła nas szepcą krzaki:

— Wy już tacy!...

Bolesław Prus (Aleksander Głowacki).

61. Żaki szkolne.

Starodawna jest nazwa »żak szkolny«. Według historyka Jerzego Samuela Bandtkiego była ta nazwa znana już

w XIII. stuleciu. Rzeczony historyk pisze w tym przedmiocie, co następuje: »U nas bywały żebrzące żaki, a to nie tylko słowami, lecz przez modlitwy i śpiewy. Że dla jałmużny nawet ze szkół wędrowali, o tem wątpić nie należy, bo wszędzie, gdzie wiarę katolicką wyznawano, tam przy kościołach istniały szkoły, w których nauczali bądź proboszczowie, bądź tak zwani rektorzy szkolni, to jest, najemni nauczyciele. O żakach nadmienia już legenda o św. Jadwidze, z XIII. stulecia pochodząca«.

Żaki szkolne chodziły wówczas po całej Europie; śpiewając pieśni pobożne i światowe, zjednywali miłosierdzie ludzi, którzy ich za to strawą i mieszkaniem wynagradzali. Byli to uczniowie szkół miejskich i wiejskich, przeważnie biedota, synowie ubogiej szlachty, mieszczan i kmieci. Do szkoły zapędził ich zapał dla wiedzy, pragnienie służenia ogółowi. Los ich nie był wesoły. Dzwonowski, pisarz XVI. stulecia, powiada o nich: »Żak chudzina nic nie ma: blady, chudy, nagi, w szkole nic nie ma, jeno łatane biesagi«.

Żyli, jak nadmieniliśmy, miłosierdziem dobrych ludzi, ale też doznawali krzywd od zuchwałych dworzan i czeladzi domowej panów. W poemacie z czasów Zygmunta III. tak się skarżą żacy na swoją dolę:

Na ulicy nas żaków drabowie szarpają,
Czyś ty student, czy szewczyk, namniej nie pytają;
Bez wszego miłosierdzia biją obuszkami,
Choć im też pan nie każe, domyślą się sami;
Nawet w łańcuch, w kajdany ubiorą drugiego,
Który od kogo nie ma wspomożenia swego.

Skargi te zapewne były słuszne, bo żacy często dopuszczali się swawoli i byli przyczyną burd ulicznych.

Ogólnie przez wyraz żak rozumiano uczniów szkół lub ludzi uczonych. Górnicki, słynny pisarz, powiada, chcąc pochwalić uczonego: »Był żakiem uczonym, umiejącym czytać i dworzaninem dobrym«, historyk Stryjkowski zaś wyraża się:

Nie umiesz nic — to będziesz u ludzi prostakiem;
A nad księgami siedzisz — nazową cię żakiem.

W XVI. i XVII. stuleciu wiele o żakach krążyło przysłów. Oto niektóre: »Ani żak, ani dworak«, »Nie z każdego żaka bywa ksiądz«, »Chłopi na wsi a żacy w szkole odmia-

nie przełożonych bardzo radzi», »Kto żakiem nieposłusznym w szkole, potem będzie nieposłusznym, złym obywatelem kraju», »Żak bez księgi, żołnierz bez rynsztunku, rzemieślnik bez warsztatu nic nie wskórają», »Żak szkolny, jak wilk głodny», »Cichy, jak żak, kiedy bakałarza czuje», »Gorzej, niż raka, obawiaj się żaka», »Papieru do wody, pióra do ognia, żaka do domu nie przytykaj».

Żaka, który dopiero co wstąpił do szkoły, nazywano gregoryankiem, a to dlatego, że dawni Polacy mieli zwyczaj oddawać dzieci do szkoły w dzień świętego Grzegorza, (w listopadzie) chwalebnego nauczyciela młodzieży. Historyk Bielski tak ten zwyczaj tłómaczy: »Święty Grzegórz dziatki, które w niewolę przedawano, odkupywał i do szkoły dawał; stąd w jego dzień oddają dzieci do szkoły i gregoryankami zową».

Zwyczaj staro-słowiański chciał, aby w dni pewne urządzać ofiary dla uczczenia pamięci zmarłych. Więc w dniu 1. marca w Polsce i w Czechach zgromadzano się przed samym świtem na cmentarzu z pochodniami i tam odprawiano modły, a nawet widowiska. Aktorami i śpiewakami byli wynajęci żacy. Żacy również mieli wyłączny przywilej do odprawiania wielu innych zwyczajów i obrzędów. Więc we środę Wstępną urządzali mięsopustne maszkary, sądzili mięsopust, to jest, karnawał w postaci odpowiednio przystrojonego bałwana w kajdanach. Owego bałwana oprowadzali po wsi albo po mieście, potem go ścinali, śpiewając ucieszne pieśni. W Wielki tydzień chodzili z krzyżem i chorągwiami po polach, zawodzili pieśni wielkanocne, za co im śmigusy (placki i mięsiwo) dawano, wodą przytem zlewając. W niedzielę Kwietnią naśladowali wjazd Chrystusa Pana do Jerozolimy. Jeden siadał na osła lub na krowę bez rogów; prowadzono go potem przed drzwi kościoła i tam palmami, oraz śpiewem witano. Odbywał się ten obrząd bardzo poważnie, z wielką uroczystością, a zawsze uczestniczyły w nim tłumy.

W dzień 1. stycznia żacy świętowali, chodzili po domach, gdzie ich dostatnio ugaszczano. Przyszedłszy, prawili następującą oracyą: »Ja, mały żaczek, wylazłem na krzaczek; z krzaczka wpadłem w wodę, zbiłem o kamień brodę. Zobaczył Pan Jezus z nieba, dał mi kawałek chleba i obwarzan-

ków kupę i białego sera łupę. Ja, żaczek maluty, pogubiłem buty; chodziłem do nieba za kawałkiem chleba, chciałem wrócić, nie chcieli mnie puścić. Przyjmijcie mnie, państwo, za ciurę; będę łapał sąsiadową kurę. Stoi ciura w płocie, będzie kij w robocie; jak weźmie malutę po za ucha, zaraz bieda zostanie głucha. Wylazłem na banię, powiadałem kazanie; powiadałbym jeszcze, ale mi się jeść chce. Zleciał anioł z nieba, dał mi kromkę chleba, a ja jemu za to trzewiczki na lato.

Oracye te malują dosadnie ubóstwo żaków.

W dzień Wniebowstąpienia Pańskiego po nabożeństwie żaki dyabła, ze słomy sfabrykowanego, obszytego w chusty, po ulicach włóczyli, kijami tłukli, a następnie w rzece lub stawie topili.

W Warszawie jeszcze w roku 1800. był zwyczaj, że żaki stroili Judasza, kładli mu do kieszeni worek ze szkłem potłuczonem, mającem wyobrażać 30 srebrników, za które apostoł zdradziecki sprzedał Pana Jezusa, oprowadzali taką figurę po ulicach, potem wciągali na wieżę kościoła Panny Maryi na Nowem Mieście, zrzucali ją na ziemię, bili, kopali, a naznęcawszy się, w Wiśle topili.

W grudniu, w dzień Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny, podczas mszy św. wchodziło do kościoła siedmiu żaków w komeżkach — każdy niósł gałązkę brzozową, a na niej zapaloną świeczkę — stawali przed ołtarzem i śpiewali dawną pieśń o Matce Boskiej, poczynającą się od słów »Jako róża między kolącym głogiem«. W dzień Bożego Narodzenia, podczas mszy Pasterskiej, gdy kapłan zaśpiewał »Chwała Panu na wysokości«, żacy na chórze ukryci udawali przy pomocy piszczałek głosy rozmaitego ptactwa, chcąc tym sposobem wyrazić radość wszelkiego stworzenia z przyjścia na świat Zbawiciela. Oni też podczas świąt Bożego Narodzenia odgrywali dyalogi, obnosili i pokazywali jasełka, które do naszych czasów przetrwały.

Żacy prócz tego towarzyszyli proboszczom, chodzącym po kolędzie, a w zapusty znów odgrywali dyalogi ucieszne, których treścią było na przykład budowanie wieży Babel, pożar Troi, podróż Tobiasza i t. p. Ale najwięcej bawiły niewybrednych Warszawiaków tak zwane *intermedya*, to jest,

krótkie, śmieszne sceny, pomiędzy akty poważniejszych komedyi wtrącane. Śmiano się do rozpuku, gdy widziano leżącego wznak drągala, po którego brzuchu dwie lub trzy pary chłopiąt skakały.

Żaków ubogich zwano też pauprami. Za Jana Kazimierza taka ich chłostała bieda, że całemi gromadami snuli się po ulicach Krakowa, głośno się na swoją nędzę uskarżając. Ale i wówczas miłosierdzie o nich nie zapomniało; były nawet zakłady dobroczynne, zwłaszcza klasztory, które im codziennie wydzielały po garnuszku zupy pożywnej i krajance chleba.

Żacy często starzeli się w szkole, znajdując tam kawałek chleba w zamian za rozmaite posługi.

Nadmienić także wypada, że żakom zawdzięczamy przechowanie obrzędów, zwyczajów, zabaw i pieśni. »Była to« mówi Wójcicki »biedna drużyna młodej latorośli narodu, tak użyteczna, jak dawnych śpiewaków, co od zagłady uchowali stare pieśni. Młodzież ta, lubiąca zabawy i sercem do nich przywiązana, rok rocznie stare odżywiała obrzędy. Czas nie mógł zniszczyć tych pamiątek przy ich dzielnej pomocy. Dopiero z upadkiem szkół wiejskich i po mniejszych miastach zniknęli żacy; ale ja pamiętam jeszcze, jak chodzili po domach. Wszędzie przyjmowano ich chętnie i obdarzano. Pomnę, jak w zapusty przebrani za tury, kozy, niedźwiedzie, bawili starych, a straszyli dzieci w Warszawie i po wsiach. Znikło to wszystko w naszych oczach w niedługim lat ciągu«.

62. Pani Twardowska.

Jedzą, piją, lulki palą,
Tańce, hulanka, swawola;
Ledwie karczmy nie rozwalą,
Cha, cha, chi, chi, hejże, hola!

Twardowski siadł w końcu stoła,
Podparł się w boki, jak basza:
»Hulaj dusza! hulaj!« — woła,
Śmieszy, tumani, przestrasza.

Żołnierzowi, co grał zucha,
Wszystkich łaje i potrąca,
Świsnął szablą koło ucha:
Już z żołnierza masz zająca.

Na patrona z trybunału,
Co milczkiem wypróżniał rondel,
Zadzwonił kieską pomału:
Z patrona zrobił się kondel.

Szewcu w nos wyciął trzy szczutki,
Do łba przymknął trzy rureczki,
Cmoknął »cmok!« i gdańskiej wódki
Wytoczył ze łba pół beczki.

Wtem, gdy wódkę pił z kielicha.
Kielich zaświstał, zazgrzytał;
Patrzy na dno — »Co u licha,
»Po coś tu, kumie, zawitał?«

Dyablik to był w wódce na dnie:
Istny Niemiec, sztuczka kusa,
Skłonił się gościom układnie,
Zdjął kapelusz i dał susa.

Z kielicha aż na podłogę
Pada, rośnie na dwa łokcie,
Nos jak haczyk, kurzą nogę,
I krogulcze ma paznokcie.

»A, Twardowski... witam bracie!«
To mówiąc bieży obcesem:
»Cóż to, czyliż mnie nie znacie?
Jestem Mefistofelesem.

»Wszak ze mną na Łysej Górze
Robił o duszę zapisy;
Cyrograf na byczej skórze
Podpisałeś ty i bisy

»Miały słuchać twego rymu;
Ty, jak dwa lata przebiegą
Miałeś pojechać do Rzymu,
By cię tam porwać jak swego.

»Już i siedm lat uciekło,
Cyrograf nadal nie służy:
Ty czarami dręcząc piekło,
Ani myślisz o podróży.

»Ale zemsta, choć leniwa,
Nagnała cię w nasze sieci:
Ta karczma Rzym się nazywa...
Kładę areszt na waszeci«.

Twardowski ku drzwiom się kwapił
Na takie *dictum acerbum;*
Dyabeł za kontusz ułapił,
»A gdzie jest *nobile verbum?*«

Co tu począć, kusa rada,
Przyjdzie już nałożyć głową...
Twardowski na koncept wpada
I zadaje trudność nową.

»Patrz w kontrakt, Mefistofilu,
Tam warunki takie stoją:
Po latach tylu a tylu,
Gdy przyjdziesz brać duszę moją,

»Będę miał prawo trzy razy
Zaprządz ciebie do roboty,
A ty najtwardsze rozkazy,
Musisz spełnić co do joty.

»Patrz, oto jest karczmy godło,
Koń malowany na płótnie;
Ja chcę mu skoczyć na siodło,
A koń niech w kopyta utnie.

»Skręć mi przytem biczyk z piasku,
Żebym miał czem konia chłostać;
I wymuruj gmach w tym lasku,
Bym miał gdzie na popas zostać!

»Gmach będzie z ziarnek orzecha,
Wysoki po szczyt Krępaku,
Z bród żydowskich ma być strzecha,
Pobita nasieniem z maku.

»Patrz, oto na miarę ćwieczek,
Cal gruby, długi trzy cale:
W każde z makowych ziareczek
Wbij mi trzy takie bretnale«.

Mefistofil duchem skoczy,
Konia czyści, karmi, poi;
Potem bicz z piasku utoczy,
I już w gotowości stoi.

Twardowski dosiadł biegusa,
Próbuje podskoków, zwrotów,
Stępa, galopuje, kłusa —
Patrzy, aż i gmach już gotów.

»No! wygrałeś, panie bisie;
Lecz druga rzecz nie skończona:
Trzeba skąpać się w tej misie —
A to jest woda święcona«.

Dyabeł kurczy się i krztusi,
Aż zimny pot na nim bije;
Lecz pan każe, sługa musi:
Skąpał się biedak po szyję,

Wyleciał potem, jak z procy,
Otrząsł się, dbrum! parsknął raźnie:
»Teraz jużeś w naszej mocy,
Najgorętsząm odbył łaźnię«.

— »Jeszcze jedno, będzie kwita,
— Zaraz pęknie moc czartowska! —
Patrzaj, oto jest kobieta,
Moja żoneczka, Twardowska.

»Ja na rok u Belzebuba
Przyjmę za ciebie mieszkanie:
Niech przez ten rok moja luba
Z tobą, jak z mężem, zostanie.

Przysiąż jej miłość, szacunek
I posłuszeństwo bez granic;
Złamiesz choć jeden warunek,
Już cała ugoda za nic«.

Dyabeł do niego pół ucha,
Pół oka zwrócił do samki:
Niby patrzy, niby słucha —
Tymczasem już blizko klamki.

Gdy mu Twardowski dokucza,
Od drzwi, od okien odpycha,
Czmychnąwszy dziurką od klucza,
Dotąd, jak czmycha, tak czmycha.

Adam Mickiewicz.

63. Otrzęsiny.

Tłum składał się z samych żaków, po większej części czarno, obdarto, dosyć licho ubranych, zbrojnych w miotły, kije, motyki, grabie, siekiery drewniane, sznury i rozmaity oręż. Na czele tłumu z wielkimi wąsami czarnymi, podparty w boki, stał ogromny, barczysty, kuso ubrany żak, w czapce na bakier, spoglądając w stronę gospody. — Był to magister ceremonii, którego zwano depozytorem; wiódł on za sobą na sznurku za szyję pobranych trzech beanów, to jest, nowozaciężnych żaków, a w ręku niósł białą chorągiew z napisem:

COHORS BEANORUM.

Minę miał poważną aż do śmieszności, chód wymuszony. Za beanami postępowali w milczeniu chwilowem wszyscy przytomni temu obrzędowi żacy po dwóch, formując długi sznur czarny, wlokący się we dwoje i troje ulicą. Z pięcio- czy sześcio-tysięcznej ludności akademickiej znajdowała się tu część bardzo wielka. Kierowano się ku gospodzie, nad której drzwiami wywieszono w tej chwili napis na czarnej tablicy:

BALNEUM BEANORUM.

Skoro spostrzeżono gospodę, której drzwi zamknięte zostały, ozwał się ogromnym krzykiem tłum cały. Jedni wrzeszczeli bebe, drudzy nieforemne podnosili głosy, cienkie, piszczące, dziwaczne, naśladujące głosy ptaków i zwierząt.

A na czele idący śpiewali pieśń, pół łacińską, pół polską, której ułamki niekiedy dochodziły do uszu biednych trzech żaczków.

— Gospodo, gospodo, prowadzim ci gości. — Otwórz drzwi twoje, oto dzieci twoje wiodą tobie baranki, wiodą tobie ptaszęta, niosąc ci koźląt kilkoro na ofiarę.

— Gospodo, gospodo, otwórz nam drzwi swoje, prowadzim ci podróżnych, daj się im umyć w łaźni, daj otrząsnąć z brudu i pyłu i odpocząć chwilę.

A drzwi stały zamknięte — poczęto w nie bić coraz silniej.

— Gospodo, otwórz się, albo cię będziemy prosić, jak prosiły trąby murów Jerycho, jak prosił Samson, aby mu ustąpili Filistyni. Mamy w ręku, mamy nie oślą szczękę, ale całych trzech osłów.

Na te słowa otwarły się drzwi z hukiem, ogromny krzyk powitał wejście do żaczej gospody. Stary żak depozytor postąpił na schodki i pociągnął za sobą beanów.

— O! musicie być wielkimi osłami, kiedy was się ulękły okute drzwi dębowe. — Chodźcie za mną, a otrzyjcie się z beanii waszej. — Chodźcie.

Ale na widok czarnego, ciemnego korytarza, w którym nic widać nie było, jeden z nowych żaków począł się silnie w tył opierać, krzyczeć, cofać, płakać, a nareszcie łajać; poskoczyli dwaj starsi, za nim idący, podsadzili go i cały tłum za pierwszymi sypać się zaczął do gospody. Na lewo otworzyły się wielkie drzwi i ukazała się długa, ciemna, z przysłonionemi oknami, które nie wiele przez szpary okienne światła dopuszczały, sklepiona sala. Ściany nagie, ława tylko ciężka obiegała do koła. W pośrodku, gdzie wiedziono beanów, stało rusztowanie, wzniesione na łokieć od ziemi, a na niem widać było jakieś dziwne przygotowania.

Tu w porządku pewnym leżały: piła ogromna, piła ogrodnicza, topór, widły, pałki, osełki, grzebienie niezwykłej wielkości, jakich do czyszczenia konopi używają, świder, dłuto, młotek, kowadło, kilka wolich rogów, nożyce, kleszcze i obcęgi, sznury pozwijane w kręgi i t. d. Przyrząd ten cały, widziany o zmroku, jaki tu panował, wydał się jakiemś katowskiem przygotowaniem przestraszającem. Ale gdy dwaj

młodzi żacy targali się nazad, płacząc, Maćkowi szepnął do ucha przechodzący Pawełek Soroka:

— Niczego się nie obawiaj; odpowiadaj śmiało i staw się ostro!

Maciek przyglądał się wszystkiemu, ale niczego nie zdawał się lękać. Wprowadzono ich na rusztowanie.

Wąsaty żak podniósł głos wśród powszechnego milczenia i spytał kolejno:

— Kto jesteś?

— Jam Jacek z Wieliczki.

— Jam Jasiek z Proszowic.

I głośny śmiech rozległ się po sali, a tysiąc głosów zawołało.

— Biedny Jacek!

— Biedny Jasiek!

— Kto jesteś? — spytał żak depozytor Maćka. A blizko stojący Pawełek podszepnął mu.

— Odpowiedz: *Beanus sum.*

I podnosząc niebieskie oczy Skowronek, śmiało powtórzył: *Beanus sum.*

— Be — be — be — beanus! — krzyczeli uczniowie wszyscy — *vivat beanus, vivat asinus!*

— *Quid est beanus?* — spytał starszy.

A Pawełek odpowiedział:

— Spojrz na ścianę naprzeciw, co na niej napisano.

I Maciek odezwał się:

— *Beanus Est Animal, Nesciens Vitam Studiosorum.*

— *Vivat beanus!* — powtórzył tłum na różne głosy.

— *Quid est beania?* — spytał starszy depozytor.

Ale na to wszyscy milczeli i on sam z towarzyszeniem chóru, naśladującego głosem beczenie owiec, wyrzekł:

— *Beania est examen vel proba patientiae.* Ponieważeście beany, przystąpim tedy do otrząśnienia was z beanii waszej: *opportet enim beaniam in hirco deponere.*

To mówiąc, podniósł z rusztowania trzy pary wołowych rogów, do których przywiązane były rzemienne listewki, i począł je przyczepiać do głów beanom. Dwóch pomocników, krzycząc i miotając się, wskoczyło na rusztowanie i umocowywać poczęli je na najeżonych łbach żaków. Maciek nie

bronił się wcale i sam sobie uwiązał ogromne rogi — i na widok tego dziwnego stroju znów ucichły na chwilę tłum piszczeć, śpiewać i krzyczeć zaczął:

— Przytrzyjcie im rogi, koźlętom: niech im nie rosną wysoko, przytrzyjcie! Rogami biją kozy, żakom rogi nie przystały...

I rzuceni zostali silnie, aż padli na kolana, a mistrz depozytor przystąpił z kolei do każdego i skrobał, piłował, za włosy pociągając, za uszy szczypiąc, aż przywiązane rogi spadły.

Ale na tem nie był koniec jeszcze, bo spytał głośno:

— Powiedzcie mi, proszę, czy na tem ma być dosyć?

— A! mistrzu! toć to gbury: trzeba ich opiłować, ociosać, obrąbać, przekuć, przerobić i umyć, bo do ludzi niepodobni, a co dopiero do żaków!

— Patrzajcie — wołali, posuwając się do rusztowania i szczypiąc, targając, szturchając, kuksając nowicyuszów — Co to za jedni? Czy to ptaszęta małe? czy to baranki nowonarodzone? czy to koźlątka? czy to oślątka? czy to kłody drzewa nieociosane? — Beany! Arcybeany!

— Kładźcie się! — zawołał depozytor — na ziemię o, tak — i nie ruszajcie się!

— Po jakiemużeście się pokładli? — zakrzyczał drugi — twarzą do nas, jak w trumnie, oczyma na wierzch!

I chłopcy odwrócili się znowu i pokładli inaczej — a depozytor ze swymi przystąpiwszy, podniósł głos, biorąc w ręce sznur:

— Co będziemy robić z tymi niezdarnymi klocami? To do niczego! Weźcie je i ociosajcie, opiłujcie, oheblujcie, oskrobcie! Może przynajmniej tak będą do czegoś podobni.

Tu się rozpoczęła prawdziwa męka trzech żaków.

Rzucili się ku nim wszyscy, targając, bijąc, szturchając, szarpiąc. Jedni sznurami znaczyli ich, jak kłody drzewa, drudzy niby ociosywali nie bez mnogich istotnych i bolesnych razów. Im srożej krzyczeli i wyrywali się żacy, tem zapalczywiej, rycząc ze śmiechu, rzucała się na nich młodzież cała. Maciek, który z pokorą i w milczeniu znosił wszystko, najmniej ucierpiał.

Po obciosaniu, oskrobaniu i opiłowaniu, o których dopełnieniu świadczyły liczne guzy i sińce a poszarpane suknie, wzięto się do golenia. Osadzono trzech beanów na trzech pieńkach, poczęto im głowy i brody mydlić, wycierając grubą płachtą, potem golić grzebieniem ostrym. Dwom upartszym żakom obmyto w dodatku twarz smrodliwemi pomyjami, po które sami pod strażą dwóch starszych chodzić musieli; a młode chłopaki w czasie operacyi, szczypiąc brodę i podbródek, szyję i ramiona, uczyli przybylców — *participiów*.

Teraz depozytor rozgarnął tłum, na podniesieniu ściśnięty, i postąpił ku żakom.

— Dosyć tego — rzekł, udając powagę — precz — precz! Niechaj przecie pokażą, z czem do szkoły przyszli, co umieją? Niechaj co napiszą. — Dajcie kałamarza, pióra, papieru!

Wnet jeden podsunął ogromny kałamarz czarny, wielkim korkiem zatknięty, drugi potężne pióro nie zatemperowane, trzeci list papieru żółtego i pomiętego. Któryś z żaków jął się co żywo kałamarz odtykać. Ale pomimo, że użył do tego wszystkiej pozostałej z poprzedzających wycierpianych prób siły, nic nie dokazał. Korek bowiem, wyciosany razem z kałamarzem, zrobiony był umyślnie dla beanów. Patrząc na te usiłowania żaka, tłum począł śmiać się i wrzeszczeć: — Patrzcie, wszak ci to cielę, nie umie kałamarza nawet odetkać! O beanus! O!!

Drugi żak, chcąc się lepiej popisać, chwycił korek zębami; nowe śmiechy, nowa radość i wrzawa.

W tem depozytor przystąpił do Maćka.

— O! o! o! to ten pewnie pisać umie, bo mu jakiś papier z kieszeni nawet sterczy.

I przechylił się do chłopięcia, które się niespokojnie oglądało, udając, że mu wyciągnął z kieszeni papier, przysposobiony wprzódy.

— Toć to list od matuni!

Żacy rozśmiali się na całe gardło.

— Posłuchajmy, co pisze! — Depozytor czytał poważnie, co następuje:

— Miły synu! — Od wyjścia twojego z domu, biedna matuś twoja oka jeszcze nie zamknęła, tak jej pusto i tęskno

za tobą. Co za dziw! tak piękne i miłe postradawszy chłopię! Łzy mi z oczów płyną, gdyby ze źródła, aż mi na twarzy wyryły dwa głębokie rowy i głębszą jeszcze na brodzie sadzawkę. — A ty tam kędyś wesoło w świat puściwszy się, biednej macierzy swojej ani wspomnisz? Dyć nie pamiętasz, ile boleści, ile bezsenności, ile choroby, ile głodu i tęsknicy i wszelkiego złego, przecierpianego dla cię, kosztujesz od czasu, jakeś na świat przyszedł. A tociem ja cię obwijała, chuchała, papką karmiła, mleczkiem poiła, zielonem trawki bawiła, białą płachtą okrywała, krasną czapeczką stroiła, na rękach po nocach całych nosiła, nogami kołysała, huśtała, niańczyła, piersią własną żywiła, ażem sama z niewczasu wyschła i na pół przymarła. A ty, tego wszystkiego zapomniawszy, poszedłeś w świat, nie powiedziawszy »Bóg zapłać«. Mnie się zaś jeszcze gorzej serce kraje, dusza ściska, gdy wspomnę, co tam bezemnie na świecie robić będziesz? A kto ci tam papki zgotuje, powijaki wygrzeje, mleczka przyprawi, piersi da i utuli, gdy zapłaczesz? Jeszcze w taki niepoczciwy idziesz świat, gdzie cię ludzie nie pożałują, nie pogłaszczą, owszem szturchańcami i łajaniem karmić i napawać będą. Boć to i na otrzęsinach najesz się dobrze wszystkiego, biedny chłopcze, aż mi na wspomnienie serce schnie i łzy się cisną na oczy. Oj! czemuś ty lepiej nie w ciepłej izbie za piecem, nie u pani matki pod fartuchem!

Gdy tych słów domawiał depozytor, który list cały z udaną a pełną śmieszności powagą i dziwacznemi intonacyami czytał, rzucił w oczy kartkę Maćkowi.

Śmiechy i oklaski wstrząsnęły stare, okopcone sklepienie gospody żakowskiej; gdy się nieco uciszyło na sali, zabrał głos depozytor i rzekł tonem uroczystym:

— Stało się i skończyło! Podziękujcie, beanowie, za skończone otrzęsiny. — Cóż to, stoicie? nie myślicie podziękować?

— Za co? — spytał Jasiek.

— Za co? — rzekł depozytor. — O puste głowy! o beanowie prawdziwi! Alboż jeszcze nie wiecie, co to wszystko znaczyło? Jak wielka nauka i *symbolum* w tem się wszystkiem ukrywa? O beanowie prawdziwi! Będziecie żyć i będzie was życie, będą was ludzie otrząsać sto lat, a nie otrząsną z beanii. —

Tak, jako my was dziś chwilę, tak lata długie potem bezduszny świat szarpać was będzie, najgrawać się, bić, przerabiać po swojemu, rogi przywiązywać, rogi obcinać — mydlić i golić. I każą wam pisać bez atramentu i czytać, gdzie nie napisano. — A wszystko światu będzie źle, póki się nie pokłonicie i nie zrzucicie woli swej, poczciwości swej i dumy! Na progu życia ta maleńka próba, zwiastunka niektórych i cięższych, to jedno nic w miarę tego, co was czeka. — Walka z nędzą, walka z nauką, walka z dumą ludzką, z zawiścią człowieczą, z losem, z namiętnościami, z przykłady — walka ze wszystkiem, walka wszędzie, walka zawsze! A to tylko chwilka próby.

A kto ze wszystkiej walki wyjdzie zwycięzcą, temu wieniec na skronie, łańcuch złoty na szyję i sława i cześć.

Podziękujcież za próbę i pojmijcie ją — idźcie w świat a pamiętajcie, żebyście do walki wszelkiej stawali odważnie gotowi, bez łez i strachu, i stokroć pobici, stokroć podnosili się odważniejsi.

I jeszcze słowo. Stajecie się bracią naszą: wcielcież się w ciało nasze, nie jako wrzody paskudne, ale jako żywa krew, jako zdrowe ciało. Sprawa jednego niech będzie sprawą wszystkich. Żeby cię warzono i smażono w smole, nie powiadaj, co się dzieje w szkole! Za jednego wszyscy, jeden za wszystkich niech będzie gotów cierpieć, a choćby ginąć. Ostatnim chleba kąskiem się podzielić, ostatnią dla brata rozedrzeć opończę. Kochajmy się, jak bracia, wspomagajmy, jak bracia, bądźmy jednem ciałem i jedną masą, bośmy biedni i inaczej zginiemy. A walcząc z biedą, nędzą i nauką, dobijać się przyszłości, lżej iść razem wszystkim, niż każdemu pojedynczo. Zdrajca nie powstanie między nami i wyjmiemy go z pomiędzy siebie, jako wrzód wyjmują z ciała, jako kąkol z pszenicy.

A teraz piwa i za zdrowie żaków zanućcie pieśń powitania!

Ciemna sala zabrzmiała razem ogromną pieśnią powitania i tłum wesoło w kupki rozmaite zwijać się, odpływać, po ulicy i w gospodzie rozmieszczać się począł.

J. I. Kraszewski.

64. Mały zbawca.

Andrzej Poturski był dróżnikiem. Mieszkał z żoną i sześciorgiem dzieci w małym domku wśród pola, zdala od ludzi, gdyż najbliższa wieś leżała o dwa klm., a do miasteczka było ich aż pięć. Obowiązkiem Andrzeja było przejść codziennie dużą przestrzeń po torze kolei żelaznej, obejrzeć szyny, po których chodziły pociągi i zapewnić się, że nie leży na torze żadna przeszkoda, stanowiąca niebezpieczeństwo dla pociągów. Musiał też zamiatać i oczyszczać szyny, gdzie tego było potrzeba. I codzień przez cały rok było w kółko to samo. Żadna niedziela ani święto nie uwalniały Andrzeja od pracy i raz nawet, w pierwszym dniu Bożego Narodzenia, po wielkiej zadymce śnieżnej Andrzej musiał ciężko cały dzień pracować z łopatą w ręku, oczyszczając drogę z śnieżnych nasypów. Ale był to człowiek pracowity i rozumny, nie skarżył się więc na swoją dolę, chociaż mu się nigdy, jak to mówią, nie przelewało i z ciężkiej swej pracy zaledwie mógł utrzymać liczną rodzinę. Był to sam drobiazg, gdyż najstarszy Antoś liczył dopiero lat jedenaście. Był to chłopiec niedużego wzrostu, ale krępy, tęgi i rumiany, jak jabłko. Miał czarne oczy, z których tryskało zdrowie i spryt, i taką zgrabność w ruchach, jaką miewają dzieci, wychowane wśród pól i lasów, a nauczone od najmłodszego wieku radzić sobie same. Antoś miał pięć lat, kiedy już pasał w lesie krowę i wtedy poznał się dobrze z lasem i jego skarbami. Umiał zrobić z kory korbionkę i w niej do domu przynosił jagody, umiał z wiosną robić fujarki, na których potem, siedząc wieczorem przed domkiem, wygrywał różne żałosne i wesołe piosenki; umiał z naciętej gałęzi grabu zrobić dziadka do tłuczenia orzechów, których w jesieni miewał pełne kieszenie; umiał doskonale piec w lesie ziemniaki, które mu matka dawała surowe, a on sobie z nich urządzał wyborny podwieczorek. Nieraz znowu uplótł duży wieniec z liści i kwiatów leśnych i stroił nim krowę, a Krasula wracała wieczorem do domku, poważnie stąpając i głowę z wielkiemi, łagodnemi oczami podnosząc, cała ustrojona, jak druchna, i pachnąca macierzanką i miętą leśną. A już gdy się pokazały grzyby, to Antoś nie wracał do domu z pustemi

rękami. Znał wszystkie gatunki grzybów doskonale, odrzucał więc jadowite, a te, które jeść było można, niósł na wieczerzę dla rodziców, gdyż ojciec szczególnie lubił je bardzo.

W zimie, gdy Krasula żyła kupnem sianem, nie wychodząc z obórki, Antoś w wolnych chwilach urządzał sobie ślizgawkę. Nosił wodę na pole, gdzie było wklęśnięcie, a gdy zamarzła, ślizgał się, czekając, aż matka zawoła: »Antoś!« Wtedy biegł śpiesznie ku domowi i rozkazy matki spełniał z wesołą miną i ze zwykłą żywością. Pomagał też i ojcu; w zimie zwłaszcza, gdy burza zasypała tor śniegiem, wychodzili obadwaj, ojciec i syn, i w miejscach, gdzie szyny były grubiej zaspami pokryte, odrzucali śnieg łopatami i szuflami, a potem zmiatali miotłami. Najgorsza jednak robota czekała ich zawsze w lesie. Tam było znacznie ciszej i wiatr nie niósł śniegu takimi tumanami, ale za to szyny były pokryte większemi i mniejszemi gałęziami, a miejscami tak grubymi konarami, że Andrzej z Antosiem we dwóch dźwigać je musieli. Raz nawet zalegał szyny nie konar, ale gruby wierzchołek sosny, który padając przełamał się na nasypie i sterczał na szynach, tworząc prawdziwą przeszkodę. Andrzej musiał wyjąć siekierę z za pasa i rąbał sosnę śpiesznie, gdyż pociąg miał przechodzić niebawem.

— Jak mi Bóg miły, tak na tej sośnie pociągby się wykoleił! — zrobił uwagę ojciec.

— Czy tatuś widział kiedy, jak się pociąg wykoleił? — zapytał Antoś.

Andrzej aż się zatrząsł i siekiera zadrżała mu w rękach.

— Daj Boże nie widzieć raz drugi — zawołał — O, to straszne, straszne nieszczęście. Wiedz, moje dziecko, że ja jeszcze w godzinę śmierci słyszeć będę te jęki i widzieć będę tych ludzi pogrzebanych, pomiażdżonych, poranionych okrutnie. Była jedna pani, która ujrzawszy swoje dwie córki zabite, zmysły nagle straciła. Ach, nie będę ci nawet opowiadał, bo żadne słowa nie zdołają wyrazić, co się dzieje w sercu człowieka, gdy patrzy na tyle cierpienia ludzkiego! I takie wielkie nieszczęście może się stać z winy dróżnika! Na takim mizernym człowieku, jak ja, leży jednak ogromna odpowiedzialność, leży bezpieczeństwo życia mnóstwa ludzi!

Jabym chyba sam umarł, gdyby na torze, którego czyszczenie do mnie należy, zdarzyło się nieszczęście!

— I tatuś mówi, że na tym wierzchołku sosny pociąg mógłby się wykoleić?

— Jużci w dzień toby pociąg na tę sosnę nie najechał, ale w nocy wykoleiłby się z pewnością!

— Ja tego nie rozumiem, jak się to pociąg wykoleja.

— A przecie to tak łatwo zrozumieć. Koła lokomotywy znajdują przeszkodę na szynach, więc z nich zeskakują i lokomotywa albo spada z nasypu, albo się w ziemię zaryje. Za lokomotywą biegną w rozpędzie wagony i wstrzymane nagle, przewracają się, piętrzą jeden na drugim, druzgocą się, zabijając ludzi, którzy w nich zamknięci siedzą.

— Ach, tatusiu — zawołał Antoś — już teraz rozumiem: to okropna rzecz wykolejenie pociągu!

Jakoś niedługo potem, w lutym, gdy na dworze po chwilowej odwilży zrobiło się znów zimno i mroźno, wyprawiła matka Antosia z koszykiem do wsi, gdzie był sklep wiejski, ażeby kupił cukru i nafty, a nadto dwie paczki tytoniu dla ojca, pudełko zapałek i dwa funty mydła. Chłopiec poszedł po obiedzie z ochotą i załatwił sprawunki; ale że do wsi było dość daleko i panna sklepowa zatrzymała go czas jakiś dla ogrzania, więc była już godzina czwarta, kiedy Antoś wychodził ze sklepu z koszykiem. Szedł ku domowi, ale był jakiś zmęczony. Choć niby wstał zdrów, wyspawszy się po ciężkiej pracy — dzień przedtem pomagał znowu ojcu w pracy na torze — to jednak jeszcze w członkach czuł, że dokonał wysiłku, przechodzącego jego wiek i jego siły. Nie bardzo mu więc drogi ubywało i ciężki koszyk z jednej ręki do drugiej przekładał. Wreszcie, gdy doszedł do lasu, leżącego o kilometr od domu, był już zmierzch prawie zupełny. Szedł ścieżką polną prowadzącą obok nasypu kolejowego, gdy spostrzegł na torze coś, czego sobie wcale wytłomaczyć nie umiał. Wzrok jego po szynach nie mógł się ślizgać, jak zwykle, w nieskończoność: brakowało ich w jednem miejscu cały kawałek. Co to być mogło? Antoś zapomniał o zmęczeniu, zapomniał o wszystkiem, co dotąd po głowie mu się snuło i jednym susem skoczył na nasyp. Schylił się ku ziemi, począł się przyglą-

dać, macać rękami i nagle z powodu wielkiego wzruszenia zęby głośno szczękać mu poczęły. Szyny były przepiłowane, powykrzywiane, a kawałka sporego brakowało zupełnie. Nieszczęście, to straszne nieszczęście, o którem opowiadał ojciec, było nieuniknione! Antoś załamał ręce, chciał biedz, chciał krzyczeć, chciał wołać o ratunek, lecz rozumiał, że wśród lasu, o zapadającej nocy, wołanie byłoby daremne.

— Boże wielki, co tu robić? — zawołał — Boże, zmiłuj się!

Potem stał przez chwilę zamyślony nad rozerwanemi szynami. W uszach słyszał szum, w oczach skakały mu jakieś światełka, myślał, że zemdleje lub umrze na miejscu z okropnego przestrachu. Nagle zimniejszy wiatr powionął i ochłodził Antosia, który się opamiętał, drżeć przestał i począł rozmyślać. Nie wiedział dobrze, która godzina, ale musiało już być dobrze po piątej, a na kilka minut przed szóstą koło domku dróżnika przebiegał pociąg pośpieszny. Był zapewne jeszcze czas na dobiegnięcie do domu, ale go już nie było na powrót z ojcem na miejsce, w którem szyny były rozerwane, pociąg zaś przybywał z tej właśnie strony. Więc co tu zrobić? Jakim sposobem oznajmić maszyniście zbliżającego się pociągu, że istnieje niebezpieczeństwo! Antoś rozpaczliwie szukał w swej dziecięcej głowie środka ratunku.

Nagle przypomniał sobie, że ojciec jego, ile razy szedł w zimie nocą na tor, biegnący przez las, tyle razy brał z sobą dużą latarnię z ogromnym płomieniem, oświetlającym wszystko wokoło.

— Ja mam naftę w koszyku — pomyślał Antoś i nagle przyszła mu myśl, którą powitał wielkim wybuchem wewnętrznej radości.

Koszyk z wielką ostrożnością postawił obok nasypu, a sam skoczył w las. Zbierał suche gałęzie, zbierał liście, znosił je i kładł obok koszyka. Zrobiła się z tego spora kupka. Następnie począł rozmyślać znowu, jak dalej postąpić. Po chwili liście i gałązki położył na torze w miejscu, gdzie szyny były przerwane, przycisnął to wszystko gałęziami grubszemi i oblał trochą nafty. Potem z koszyka wyjął cukier, wyjął mydło, koszyk napełnił liśćmi i gałązkami, w środku zaś położył własną barankową czapkę, w którą nalał nafty. Obok czapki położył papier, w który mydło było

owinięte, a także tytoń, który był suchy, a zatem łatwo móg się zapalić. Zapałki schował skrzętnie do kieszeni, a potem co chwilka chwytał za kieszeń, by się upewnić, że zapałki z niej nie wypadły. Potem stanął, zwrócony twarzą ku stronie, w której miał się ukazać pociąg. Czekał, a serce biło mu tak silnie, że każde jego uderzenie słyszał wyraźnie. Wtem nagle po lesie rozległo się przeciągłe, żałosne a przykre wycie wilka. Antoś przypadł do ziemi i po ślizkiej powierzchni zsunął się na drugą stronę nasypu. Teraz już myślał, że bicie serca na pewne rozsadzi mu piersi. Wzruszenie i strach dławiły go za gardło, a tętna w skroniach uderzały, jak młoty kowalskie. Nogi uginały się pod nim, jakaś bezwładność ogarnęła go, nie wiedział, gdzie jest i co się z nim dzieje. Po paru minutach przypomniał sobie, że na nim leżała odpowiedzialność wielka, przypomniał sobie słowa ojca: »Umarłbym chyba, gdyby na torze mi powierzonym zdarzyło się wykolejenie«. Na tę myśl, uderzającą jak grom, Antoś zawołał na samego siebie:

— Tu nie chodzi o ciebie, ale o to, byś ratował życie wielu ludzi, może życie ojca! Jesteś podły tchórz: drżysz, gdy wilk niedaleko ciebie zawyje i tracisz przytomność, gdy chodzi o ratowanie całego pociągu, napełnionego ludźmi!

Antoś podniósł się, wstąpiła weń wielka odwaga; nie myślał już wcale o sobie, tylko czuł, że musi ratować jadących spokojnie ludzi. Wytężył wzrok i ujrzał bardzo jeszcze daleko, wśród zupełnej ciemności, gorejące dwoje wielkich czerwonych oczu, o których wiedział, że to były latarnie lokomotywy. Skoczył na nasyp i wyjąwszy z kieszeni zapałki, jednę z nich potarł śpiesznie o pudełko. Zabłysło na chwilę, lecz wiatr zgasił ją natychmiast. Antoś zdjął śpiesznie kożuszek, który miał na sobie, zrobił z niego rodzaj budki chroniącej od wiatru i w tej budzie, wziąwszy naraz kilka zapałek, potarł je o pudełko. Paliły się nakoniec! Chłopiec przybliżył do nich koszyk, w którym obok nafty był papier i tytoń. Czapka barankowa widocznie była dziurawa, gdyż z koszyka ciekła nafta, czego chłopiec w ciemności nie widział. Nagle buchnął ogromny płomień. Zlane naftą gałęzie i liście, cały kosz z czapką, tytoniem i przesiąkłemi gałązkami, wszystko zapaliło się w jednej chwili. Ale zapalił się

i Antoś. Ubranie jego pokapane było naftą i zaczęło się palić. Chłopiec poczuł ból, poparzył sobie ręce, chcąc odzienie ugasić, wreszcie jak strzała zsunął się w rów i zakopał się w śniegu.

Tymczasem sapiąc, dysząc, turkocąc kołami, hucząc z powodu prucia powietrza, nadbiegł pociąg. Antoś pomimo, iż był mocno poparzony, wyskoczył z zaspy śniegu i patrzał, a serce znów biło mu w piersi, jak dzwon. Pociąg był już blizko i Antoś ujrzał, jak zwalniać począł i nagle stanął, jak wryty, o jakie trzy kroki od ogniska, buchającego płomieniem. W pociągu powstał ruch wielki. Maszynista i jego pomocnik zeskoczyli z lokomotywy i przybiegli do ogniska. Z początku myśleli, że to jaki głupi żart zuchwałego oberwańca; gdy im jednak Antoś, dygocąc cały od zimna, całą rzecz wytłómaczył, nie mogli się wydziwić rozumowi i bohaterstwu malca. Wzięto go zaraz do opalonego wagonu, przebrano w świeżą odzież, którą ofiarował jeden z podróżnych, i odesłano nazajutrz do domu; pociąg bowiem musiał wrócić na stacyę, z której wyszedł i tam Antosia w obawie o jego zdrowie zatrzymano na noc.

Tak się zdarzyło, że Andrzej był w domu w chwili, gdy powóz, wiozący Antosia, zatrzymał się przed drzwiami. Dróżnik sam wniósł do izby swego biednego, cierpiącego chłopca, który obejmując poparzonemi rękami szyję ojca, szepnął:

— Wie tatuś... ja już myślałem, że tu żywy nie powrócę... myślałem, że was już nie obaczę...

A dróżnik nagle zapłakał i przyciskając swego syna do piersi, mówił:

— Antoś... Antoś... Bóg łaskaw... Bóg jest dobry...

— Dobry — szepnął chłopiec — bardzo dobry!... A ja jestem taki szczęśliwy!

Zofia Kowerska.

65. Z życia Adama Mickiewicza III.

Majówka.

Podczas pobytu w Kownie Adam Mickiewicz często odwiedzał Wilno, gdzie przyjazd jego radośnie zawsze był oczekiwany i gdzie go miłe grono koleżeńskie przyjmowało

sercem szczerem. Zwykle odwiedziny te przypadały w dniu imienin którego ze starszych i ogólnie szanowanych kolegów, jak na przykład, Czeczota, Zana, Malewskiego. Jedne z nich opisuje we »Wspomnieniach« swoich Antoni Edward Odyniec, poeta, serdeczny druh autora »Grażyny« i wielki miłośnik jego talentu. Podówczas był on młodzieniaszkiem, który czuł wielką ochotę do składania wierszy i zapoznania się z Adamem Mickiewiczem, jako dotychczas nieznanym sobie, a w gronie koleżeńskiem wysoce cenionym poetą.

Było to w maju w roku 1821., kiedy wiosna darzyła świat wszystkimi czarami i urokami, pieśnią słowików, wonią kwiatów, błogosławieństwem i nadziejami plonów. Na drugi dzień Zielonych Świątek naznaczony był przyjazd Adama Mickiewicza, nauczyciela szkoły kowieńskiej; miał on przybyć mniej więcej o godz. 4. po południu, na cześć zaś jego urządzono majówkę koleżeńską w górach za Markuciami, dokąd wprost miano go zaprosić. »Podłużny, prostokątny, śliczny gaik brzozowy śród pola — pisze Odyniec — stanowił salon zebrania. Nieopodal niższe zarośla służyły mu za bufet i miały podobieństwo do koczowiska cyganów. W okrąg wielkiego ogniska, gdzie się nastawiły samowary, stały konie przywiązane do wozów, które przywiozły z miasta naczynia i wiktuały. Obok dzbanów blaszanych z mlekiem słodkiem i czarnych, wysokich garnków z kwaśnem, piętrzyły się stosy mis glinianych i łyżek drewnianych, dostarczonych również, jak mleko, z poblizkich wsi okolicznych. Wyznaczeni gospodarze z tytułem stolników zajmowali się wyłącznie materyalną stroną biesiady, atoli część jej duchowa była główna dla wszystkich. O czwartej, jak było zalecono, wszyscy już byli na miejscu i tylko na Mickiewicza czekano. Wiedziano, że wyjechawszy z Kowna najraniej, nie mógł przyjechać pierwej, jak o czwartej. Malewski oczekiwał na poczcie, aby go prosto stamtąd przywieźć na miejsce zebrania. Starsi wyszli na jego spotkanie i mnie Czeczot kazał iść ze sobą. Ujrzeliśmy wnet drążki, pędzące cwałem, i Malewski powiewał białą chustką w powietrzu na znak, że wiezie pożądanego gościa. Płaskowzgórze od strony miasta kończyło się stromą pochyłością; droga okrążała ją kołem. Drążki zatrzymały się u stóp pochyłości

i obaj przybyli wspinali się prosto pod górę, gdzieśmy stali, czekając na nich. Pamiętam tę chwilę tak żywo, jakbym dziś ją miał przed oczyma. Mickiewicz machał czapką w powietrzu na znak powitania; ale choć już był blizko i chociaż wzrok wytężałem, twarzy jego z góry dojrzeć nie mogłem. Czeczot przyjął go pierwszy w objęcia i długo ściskali się nawzajem. Z kolei dawni znajomi witali go niemniej serdecznie. Ja, najmłodszy i nieznajomy, stałem na stronie i byłem ostatni, którego mu Czeczot przedstawił«.

Od tej pamiętnej dla Odyńca chwili Adam Mickiewicz obdarzał go zawsze uczuciem serdecznem, jakie brat starszy żywi dla młodszego. Odyniec w pięknym wierszu opisuje wrażenie, którego doznał, spojrzawszy po raz pierwszy w oczy wieszcza:

Przemówił: słowa nie rzekłem wzajemnie,
Gwar wszystkich myśli nagle umilkł we mnie,
Jak głos skowronków przypadłych do ziemi,
Kiedy cień orła przelata nad niemi.

66. Pieśń Filarecka.

Hej, radością oczy błysną
I wieniec czoło okrasi,
I wszyscy się mile ścisną,
Bo to wszystko bracia nasi.

Braterstwa ogniwem spięci,
Zdejmijmy z serca zasłonę,
Otwórzmy myśli i chęci:
Święte, co tu objawione!

Pochlebstwo, chytrość i zbytek
Niech każdy przed progiem miota,
Bo tu święty ma przybytek
Ojczyzna, nauka, cnota!

Ale kto jest w naszem gronie,
Pomnij na przysięgę swoją
I w każdej chwili żywota,
Czy przy pługu, czy w koronie,
Niechaj ci w umyśle stoją:
Ojczyzna, nauka, cnota! *Adam Mickiewicz.*

67. Quo vadis?

O brzasku dnia dwie ciemne postacie posuwały się drogą Appijską ku równinom Kampanii. Jedną z nich był Nazaryusz, drugą Piotr, apostoł, który opuszczał Rzym i męczonych w nim współwyznawców.

Niebo na wschodzie przybierało już leciuchny odcień zielony, który zwolna coraz wyraźniej bramował się u dołu

barwą szafranową. Drzewa o srebrnych liściach, białe marmury willi i łuki wodociągów, biegnące przez równinę ku miastu, wychylały się z cienia. Rozjaśniała się stopniowo zieloność nieba, nasycając się złotem. Zaczem wschód zaczął różowieć i rozświecił góry Albańskie, które ukazały się cudne, liliowe, jakby z samych tylko blasków złożone.

Świt odbijał się w drżących na liściach drzew kroplach rosy. Mgła rzedła, odkrywając coraz szerszy widok na równinę, na leżące na niej domy, cmentarze, miasteczka i kępy drzew, między któremi bielały kolumny świątyń.

Droga była pusta. Wieśniacy, którzy zwozili jarzyny do miasta, nie zdążyli jeszcze widocznie pozaprzęgać do wózków. Od płyt kamiennych, któremi aż do gór wyłożony był gościniec, szedł w ciszy odgłos drewnianych postołów, jakie podróżni mieli na nogach.

Potem słońce wychyliło się przez przełęcz gór, ale zarazem dziwny widok uderzył oczy Apostoła. Oto wydało mu się, iż złocisty krąg zamiast wznosić się wyżej i wyżej na niebie, zsunął się ze wzgórz i toczy się po drodze.

Wówczas Piotr zatrzymał się i rzekł:

— Widzisz tę jasność, która zbliża się ku nam?

— Nie widzę nic — odpowiedział Nazaryusz.

Lecz Piotr po chwili ozwał się, przysłoniwszy oczy dłonią:

— Jakowaś postać idzie ku nam w blasku słonecznym.

Do uszu ich nie dochodził jednak najmniejszy odgłos kroków. Naokół było cicho zupełnie. Nazaryusz widział tylko, że w dali drżą drzewa, jakby je ktoś potrząsał, a blask rozlewa się coraz szerzej na równinie.

I począł patrzeć ze zdziwieniem na Apostoła.

— Rabbi! co ci jest? — zawołał z niepokojem.

A z rąk Piotra kostur podróżny wysunął się na ziemię, oczy patrzały nieruchomie przed siebie, usta były otwarte, w twarzy malowało się zdumienie, radość, zachwyt.

Nagle rzucił się na kolana z wyciągniętemi przed się ramionami, a z ust jego wyrwał się okrzyk:

— Chryste! Chryste!...

I przypadł głową do ziemi, jakby całował czyjeś stopy.

Długo trwało milczenie, poczem w ciszy ozwały się przerywane łkaniem słowa starca:

— *Quo vadis, Domine?*

I nie słyszał odpowiedzi Nazaryusz, lecz do uszu Piotrowych doszedł głos smutny i słodki, który rzekł:

— Gdy ty opuszczasz lud mój, do Rzymu idę, by mnie ukrzyżowano raz wtóry.

Apostoł leżał na ziemi z twarzą w prochu, bez ruchu i słowa. Nazaryuszowi wydało się już, że omdlał lub umarł; ale on powstał wreszcie, drżącemi rękoma podniósł kij pielgrzymi i nic nie mówiąc, zawrócił ku siedmiu wzgórzom miasta.

Pacholę zaś widząc to, powtórzyło, jak echo:

— *Quo vadis, domine?...*

— Do Rzymu — odrzekł cicho Apostoł.

I wrócił.

* * *

Paweł, Jan, Linnus i wszyscy wierni przyjęli go ze zdumieniem i z trwogą tem większą, że właśnie o brzasku, zaraz po jego wyjściu, pretoryanie otoczyli mieszkanie Miriamy i szukali w niem Apostoła. Lecz on na wszystkie pytania odpowiadał im tylko z radością i spokojem:

— Panam widział!

I tegoż jeszcze wieczoru udał się na cmentarz Ostryański, aby nauczać i chrzcić tych, którzy chcieli się skąpać w wodzie życia.

I odtąd przychodził tam codziennie, a za nim ciągnęły codzień liczniejsze tłumy. Zdawało się, że z każdej łzy męczeńskiej rodzą się nowi wyznawcy i że każdy jęk na arenie odbija się echem w tysiącznych piersiach. Cezar pławił się we krwi, Rzym i cały świat pogański szalał. A ci, którym dość było zbrodni i szału, ci, których deptano, ci, których życie było życiem niedoli i ucisku, wszyscy pognębieni, wszyscy smutni, wszyscy nieszczęśliwi przychodzili słuchać dziwnej powieści o Bogu, który z miłości dla ludzi dał się ukrzyżować, by odkupić ich winy.

Odnajdując zaś Boga, którego mogli kochać, odnajdowali to, czego nie mógł dać dotychczas nikomu świat ówczesny — szczęście z miłości.

A Piotr zrozumiał, że ni Cezar, ni wszystkie jego legie nie zmogą prawdy żywej, że nie zaleją jej ni łzy, ni krew i że teraz dopiero zaczyna się jej zwycięstwo. Zrozumiał również, dlaczego Pan zawrócił go z drogi: oto to miasto pychy, zbrodni, rozpusty i potęgi poczynało być jego miastem i podwójną stolicą, z której płynął na świat rząd ciał i dusz.

Henryk Sienkiewicz (Quo vadis).

68. Torf i torfowiska.

Komuż z nas nieznane są obszerne mszary i trzęsawiska, pokryte tysiącami kęp, po których uganiający się za dubeltem myśliwy skakać musi, z trudnością utrzymując równowagę na tej chwiejnej podstawie? Wykopawszy dół mniej lub więcej głęboki w podobnem bagnie kępiastem, napotkamy w niem zrazu żółtawą i gąbczastą, później coraz ciemniejszą i bardziej zbitą masę szczątków roślinnych, przeważnie mchów, nawskróś przesiąkłych wodą, nawpół zwęglonych. Na dnie wreszcie znajdziemy pokładowe warstwy piasku, żwiru, kredy lub innych skał.

Owa substancya roślinna — to torf, bogactwo ubogich gospodarstw na piaszczystych wydmach; służy bowiem za wyborny nawóz, a w potrzebie dobrym jest opałem. Pokłady torfu tworzą się wszędzie, zarówno w dolinach rzecznych, jak na płaskich równinach, zarówno w lejkowatych wądołach, jak i na stromych zboczach gór; warunkiem koniecznym dla nich jest tylko wilgoć atmosfery, umiarkowany klimat, oraz grunt odpowiedni.

Mchy torfowe posiadają własność rozwijania się swobodnego do nieskończoności na jednym końcu, w górę, kiedy drugi, od korzenia, stopniowo zamiera. Dodajmy do tego niezwykłą żywotność mchów w ogólności, które nawet pod zimową powłoką nie tracą życia, a zrozumiemy łatwo tworzenie się i wzrost torfowisk. Mchy torfowe, jakkolwiek pochłaniają znaczną ilość wody z powietrza, nie mogą się rozwijać, zanurzone w wodzie; to też, w miarę nagromadzenia się wody w porach gąbczastego torfu, mchy zamierają od korzenia, rozwijając się u góry, stąd też torfowiska, rosnąc bardzo często na zupełnej równinie, wznoszą się nieraz znacz-

nie ponad poziom okolicy; w niektórych równinnych torfowiskach litewskich różnica ta dochodzi 15—20 metrów. Pod osłoną przesiąkniętej wodą zwierzchniej warstwy torfowiska szczątki roślinne, zabezpieczone od przystępu powietrza, zmarłe, ulegają częściowemu zwęgleniu, przetwarzając się w torf gąbczasty, żółtej lub brunatnej barwy. W miarę nagromadzenia się wielkiej ilości torfu dolne warstwy pod ciśnieniem górnych prasują się, tworząc t. zw. torf liściasty barwy ciemnej, dający się łupać z łatwością na cienkie listki, w których powoli zanika organiczna budowa mchów, w górnych warstwach jeszcze pięknie zachowana.

Mchy torfowe potrzebują oprócz wilgoci także swobodnego dostępu powietrza i słońca; dlatego też, jeżeli w środku torfowiska wznosi się jakieś drzewo cieniste, np. świerk lub jodła, znajdziemy wokoło niego płaskie zagłębienie, po którem suchą nogą się stąpa, chociaż piętrzące się wokoło moczary są wodą do szczytu przesiąkłe.

W naszym kraju torfowiska dzielą się na trzy rodzaje: torfowiska, występujące w kotlinach i dolinach rzecznych czyli dolinne; torfowiska na zabagnionych równinach czyli nizinne; torfowiska, wytworzone na zboczach gór czyli górskie.

Warunki tworzenia się wszystkich trzech odmian torfowisk są te same, gdyż kształt powierzchni dla warstw torfowych jest warunkiem podrzędnym; byle była woda czysta — wszystko jedno, bieżąca czy deszczowa — byleby grunt nie był przesycony solami, ani nawozem: torf utworzyć się może zarówno w głębi parowu, jak i na pochyłości, 30° spadku mającej.

Pierwszy typ — dolinnych torfowisk — najbardziej jest u nas rozpowszechniony. Niema prawie wilgotnej kotliny na naszych piaszczystych gruntach, gdzieby się łąka torfowa nie utworzyła, wypełniając ją z czasem po brzegi. Środkiem takiej łąki sączy się zwykle strumyk, niekiedy znajduje się w środku małe jezioro. Bardzo często, jeżeli warstwa torfu, jako lżejsza od wody, pływa na niej, tworzą się niebezpieczne trzęsawiska.

Najbardziej typowemi są jednakże nie te drobne łąki, w dolinach rzecznych i pomniejszych kotlinach rozrzucone, lecz owe torfowiska nizinne, pokrywające częstokroć nie-

przerwanem pasmem olbrzymie niziny, wśród których gdzieniegdzie tylko, drobnym lasem i mchem porosłe, sterczą nizkie wzgórza. Typ ten u nas w niezwykłej okazałości przedstawiają bagna litewskie, które ciągną się od południowych granic gubernii wileńskiej do obszernych nizin litewskiego i wołyńskiego Polesia, do osławionych błot pińskich, a za Bugiem i Styrem jeszcze w północną część Galicyi wkraczają. Do tego też typu należą najsłynniejsze torfowiska Irlandyi, Danii, Stanów Zjednoczonych i tundry północno-europejskie.

Tak samo jak w torfowiskach pierwszego typu, i tutaj spotykamy często na ich powierzchni spore, okrągłe jeziorka, po same brzegi wypełnione wodą, których poziom prawie zawsze o kilka metrów wyższy bywa od poziomu wód okolicznych. Brzegi tych jezior, wyglądających jakby wycięte w torfie okienka, wystają zaledwie parę cali nad wodę; woda w nich ciemna, żadna roślinność wodna ich nie zdobi, ryb w nich niema wcale, głębokość ich bywa znaczna, a odpływu nie mają żadnego; lecz zato często łączą się ze sobą podziemnymi kanałami.

Trzecim wreszcie typem są torfowiska górskie, należące u nas do zjawisk nierzadkich i przedstawiające bardzo niezwykłą florę. Tworzą się one zarówno na stokach gór gliniastych, pokrytych cienką warstwą piasku, który — dzięki nieprzepuszczalnej warstwie pokładowej — przesiąknięty jest wodą, spływającą z góry, jak i na wiszarach spękanego granitu, po których sączą się czyste, jak kryształ, górskie strumyki, a pochyłość ich może dochodzić przeszło do 30°. Bardzo to niezwykły widok — bagno, zawieszone na skale, kiedy poniżej grunt jest zupełnie twardy i nigdzie w okolicy nie można dostrzedz bagien w nizinach.

Ponieważ, jak wiemy, tworzenie się torfu znacznej wymaga w atmosferze wilgoci, którąby mchy torfowe pochłaniać mogły, ponieważ z drugiej strony zbyt silne upały wywołałyby parowanie, któreby to pochłanianie uniemożliwiało, przeto bagna torfowe tworzyć się mogą wyłącznie w klimacie umiarkowanym. Poniżej 46° szerokości północnej ani powyżej 41° szer. południowej torfowisk niema zupełnie — z wyjątkiem chyba najwyższych szczytów górskich. Najbar-

dziej sprzyja warunkom tworzenia się torfu klimat wilgotny, jak n. p. klimat Litwy lub Irlandyi, której jedna dziesiąta część pokryta jest torfem. Największe obszary torfowisk w Europie przedstawia Irlandya, Holsztyn, północne Niemcy i Litwa.

Roślinność naszych torfowisk dość jest rozmaita i oryginalna. Na piaszczystych równinach bagien litewskich przeważają mchy, oprócz których posiadają bagna torfowe jeszcze szczupłą roślinność jawnokwiatową; na szczególną wzmiankę zasługują: trzcina i rozmaite turzyce, karłowate wierzbki i brzózki, olcha, bagno, żórawina i t. d.; rzadziej trafiają się karłowate sosenki. Mniej więcej podobnie wyglądają wszystkie torfowiska stref umiarkowanych Europy i Ameryki północnej; jedyną różnicę stanowią odmienne gatunki mchów, oraz szczątki zwierząt, znajdowane w torfie, jakoto: kości mamuta, nosorożca, tura i niedźwiedzia jaskiniowego. Szczątki te dowodzą, że pierwsze pokłady torfu musiały się utworzyć wkrótce po ustąpieniu skorupy lodów śródlądowych, których ostatnim wyrazem są obecne torfowiska nizinne.

Józef Siemiradzki.

69. Podlasie.

Województwo podlaskie, siedziba niegdyś Jadźwingów (później zupełnie wytępionych), graniczyło na północ z Litwą (województwem trockiem) i Prusami książęcemi, na zachód z Mazowszem, na południe z ziemią łukowską i Litwą (województwem brzeskiem), na wschód również z Litwą (woj. brzeskiem i trockiem). W skład województwa wchodziły trzy ziemie: drohicka, mielnicka i bielska; zbrojne okazowania opisy szlachty odbywały się pod Drohiczynem, który też uważano za stolicę województwa. Dziś większa część Podlasia wchodzi w skład Królestwa Polskiego (gub. siedlecka i część łomżyńskiej), mniejsza przyłączona od ostatniego podziału do Litwy. Kraina to w ogólności płaska, pokryta lasami, przerznięta rzekami Biebrzą, Narwią, Nurem i Bugiem, posiada liczne bagna i jeziora i grunt w znacznej części piaszczysty; trafnie też o niej mówiło przysłowie: »Laski, piaski, karaski posiada szlachcic podlaski«. Na Podlasiu nie

brak jednak i pól urodzajnych i okolic wdzięcznych i miłych, zwłaszcza nad Bugiem, największą rzeką Podlasia; płynie on tu w głębokiem a krętem korycie pośród lasków olszowych i sosnowych, pośród łoziny lub też rozległych i pięknych błoni, które corocznie wybornego dostarczają siana mieszkańcom nadbrzeżnym.

Ponad rzeką rozciągają się zwykle wzgórza, na których rozsiadłe sioła pośród drzew zieleni tulą się, skupione szaremi swemi chatami, a w każdem siole krzyżów siła i na polach przyległych i przy każdem rozdrożu, a wszystkie prawie białemi przewiązane chustami i całe lato polnymi przystrojone kwiaty.

Liczne po siołach cerkiewki malowniczy nieraz swą prostotą przedstawiają obrazek. Cerkiewka taka, kryta dranicami lub słomą, z drzewa zbudowana, ocieniona najczęściej staremi lipami lub brzozami, wewnątrz z wielką prostotą przystrojona, jest miejscem święcenia uroczystych epok w życiu wieśniaka i węzłem, łączącym go ze Stwórcą. Opodal cerkwi, pośród łanów zboża, widnieją zwykle jej towarzyszki, mogiłki z mnóstwem krzyżów i krzyżyków, tych jedynych pomników na grobach wieśniaczych.

Nie można powiedzieć, ażeby okolice nadbużne szczególną tchnęły wesołością, ażeby posiadały rozległe, gubiące oko równiny i krajobrazy, ale to pewna, że posiadają urok niezmiernie miły i pociągający. Jakiś odcień tęsknoty zdaje się być rozlany w tych prostych i drobnych widoczkach, w tych szarych chatach, skleconych niedbale, w tych licznych krzyżach i cerkiewkach starych, omszonych, podobnie jak jest go wiele w piosenkach, śpiewanych przez tamtejsze dziewczęta po polach, w piosenkach o nucie smętnej, przeciągłej, jęczącej, lub też w tonach fujarki pastuszej, co z rana po rosie albo wieczorem w gajach się rozlega.

Chaty siół nadbużnych, sklecone zwykle pośpiesznie i nie bardzo estetycznie, jednak nie rażą już teraz, jak dawniej, zbytniem zaniedbaniem, a tak zwanych »kurnych« już nie napotkać.

Strój wieśniaków podlaskich stanowi sukmana bura lub szara, z czerwonymi, wązkimi wyłogami, pod nią koszula, pasem rzemiennym przepasana, i takież niższe ubranie; na nogach buty lub postoły czyli łapcie z łyka, łozy lub

lipiny. Gospodarz lub parobczak, w dzień powszedni ubrany w białą koszulę, boso lub w postołach, w kapeluszu słomianym, pasem przepasany, z kaletką, nabijaną guzami, od święta bierze czapkę z baranka czarnego, koszulę spina *szponką* u szyi, przepasuje się pasem czarnym z klamrą, stroi się w *czoboty* (buty) i przywdziewa sukmanę. Oprócz kapeluszy słomianych i czapek baranich często używają czapek czworograniastych z takiegoż sukna, co sukmana.

Wieśniacy podlascy wcale nie odznaczają się pięknością i kształtnością postaci. Cera ich zwykle blada i śniada, postać zgarbiona i dość zaniedbana. Wieśniak nadbużny, od młodocianych lat do ciężkiej wzwyczajony pracy, często przez całe swe życie nie wydala się po za kilkomilowy obręb swego rodzinnego sioła. Prażniki w cerkwi, święta, chrzciny, wesela w tem szczupłem kółku — to główne życia jego epoki. Czasem jednak, lecz rzadko, odstawa zboża, gdy się najmie na flisa do Gdańska, staje się dlań środkiem do poznania więcej świata i ludzi. A gdy mu starość włosy pobieli, zgarbi ciało i siły odbierze, wówczas zdaje na dzieci swe gospodarstwo, a sam, nie chcąc być dla nich ciężarem, zapuściwszy brodę, bierze torbę przez plecy, kij w rękę i dobrowolnie na dziady wychodząc, żebrze przy cerkwi swego sioła i włóczy się po wsiach okolicznych, dopóki nie ułoży się na mogiłkach, co szumią choiną na wydmie piaszczystej poza wsią, najeżone krzyżami...

Przez wieki żyły tak cicho i sielsko i zbożnie, i kładły się spokojnie na mogiłkach mnogie pokolenia tego pracowitego i łagodnego ludu. Wreszcie przyszedł i na Podlasian czas strasznej próby. Przyczyną cierpień, całą winą podlaskiego ludu była jego głęboka wiara i serdeczne przywiązanie do religii ojców. Lud małoruski na całem Podlasiu należał wprawdzie do obrządku wschodniego, ale zjednoczonego z Kościołem rzymsko-katolickim, uznając zarówno z całym światem katolickim papieża rzymskiego za widomą głowę Kościoła. Rząd rosyjski jednak postanowił po roku 1863. znieść resztki unii, jakie się jeszcze na Podlasiu zachowały i mimo oporu, stawianego przez unitów podlaskich, zaliczył ich urzędowo do prawosławia i poddał prawosławnemu duchowieństwu.

70. Grzybobranie.

Był gaj zrzadka zarosły, wysłany murawą;
Po jej kobiercach, nawskróś białych pniów brzozowych,
Pod namiotem obwisłych gałęzi majowych,
Snuło się mnóstwo kształtów, których dziwne ruchy,
Niby tańce, i dziwny ubiór: istne duchy,
Błądzące po księżycu. — Tamci w czarnych, ciasnych,
Ci w długich, rozpuszczonych szatach, jak śnieg jasnych;
Tamten pod kapeluszem, jak obręcz, szerokim,
Ten z gołą głową; inni, jak gdyby obłokiem
Obwiani, idąc na wiatr puszczają zasłony,
Ciągnące się za głową, jak komet ogony.
Każdy w innej postawie: ten przyrósł do ziemi,
Tylko oczyma kręci na dół spuszczonemi;
Ów, patrząc wprost przed siebie, niby senny kroczy,
Jak po linie, ni w prawo ni w lewo nie zboczy.
Wszyscy zaś ciągle w różne schylają się strony
Aż do ziemi, jak gdyby wybijać pokłony;
Jeżeli się przybliżą albo się spotkają,
Ani mówią do siebie, ani się witają.
Któżby zgadnął, że owi tak mało ruchomi,
Owi milczący ludzie są nasi znajomi,
Sędziowscy towarzysze? — Z hucznego śniadania
Wyszli na uroczysty obrzęd grzybobrania.
Jako ludzie rozsądni umieją miarkować
Mowy i ruchy swoje, aby je stosować
W każdej okoliczności i miejsca i czasu;
Dlatego, nim ruszyli za Sędzią do lasu,
Wzięli postawy, tudzież ubiory odmienne,
Służące do przechadzki ubiory płócienne,
Którymi osłaniają po wierzchu kontusze,
A na głowy słomiane wdziali kapelusze:
Stąd biali wyglądają, jak czyścowe dusze.
Grzybów było wbród; — jedni biorą krasnolice,
Tyle w pieśniach litewskich sławione lisice...
Inni znów za wysmukłym gonią borowikiem,
Którego pieśń nazywa grzybów pułkownikiem.
Wszyscy dybią na rydza: ten wzrostem skromniejszy
I mniej sławny w piosenkach, za to najsmaczniejszy,
Czy świeży, czy solony, czy jesiennej pory,
Czy zimą. Ale Wojski zbierał muchomory.
Inne pospólstwo grzybów pogardzone w braku
Dla szkodliwości albo niedobrego smaku;
Lecz nie są bez użytku: one zwierza pasą
I gniazdem są owadów i gajów okrasą.
Na zielonym obrusie łąk, jako szeregi

Naczyń stołowych, sterczą: tu z krągłymi brzegi
Surojadki srebrzyste, żółte i czerwone,
Niby czareczki, różnem winem napełnione!
Koźlak, jak przewrócone kubka dno wypukłe;
Lejki, jako szampańskie kieliszki wysmukłe;
Bielaki krągłe, białe, szerokie i płaskie,
Jakby mlekiem nalane filiżanki saskie;
I kulista czarniawym pyłkiem napełniona —
Purchawka, jak pieprzniczka. — Zaś innych imiona
Znane tylko w zajęczym lub wilczym języku,
Od ludzi nie ochrzczone, a jest ich bez liku.
Ni wilczych, ni zajęczych nikt dotknąć nie raczy,
A kto schyli się ku nim, gdy błąd swój zobaczy,
Zagniewany, grzyb złamie albo nogą kopnie; —
Tak szpecąc trawę, czyni bardzo nieroztropnie.

Adam Mickiewicz (Pan Tadeusz).

71. Ogień ze słońca.

Gdy dawni przodkowie nasi palili drzewa swych lasów, wierzyli święcie, że zwracają słońcu ogień, który od niego otrzymali.

Był czas, gdy człowiek pierwotny nie umiał jeszcze ognia krzesać, gdy nie znał go wcale. Trudno dziś wyobrazić sobie, jak nędzny wiódł żywot. Nagi, narażony na chłody nocy i zimy, zgłodniały, żywił się jedynie korzonkami roślin dzikich i ich owocami cierpkimi; bezbronny, stawał się pastwą zwierząt drapieżnych, od niego silniejszych i bardziej rączych.

Piorun, może inny przypadek wzniecił pożar lasu. Wobec tak nowego a groźnego zjawiska człowiek uciekł, strwożony. Ogień taki wybuchał nieraz; człowiek zwolna z nim się oswoił, poznał, że niszczący ten żywioł może stać się dobroczynnym, odważył się ująć głownię rozpaloną, przeniósł ją do swych siedlisk, umieścił obok swych jaskiń i lepianek, w których przebywał. Rozpalać ognia zapewne długo jeszcze nie umiał; strzegł więc ogniska i baczył pilnie, by nie wygasło. Stawszy się panem ognia, człowiek wzmógł swą potęgę i warunki bytu swego poprawił. Mógł się rozgrzać i strawę zgotować, zapory ognistej zwierz dziki przekroczyć nie zdołał; za tą osłoną płomienną człowiek czuł się już bezpiecznym od napaści tygrysa lub wilka. Potem nauczył się

w ogniu wypalać naczynia gliniane, a narzędziami z rud, dobywanych z ziemi, pokonał zwierzęta dzikie, oswoił je, uczynił z nich sprzymierzeńców swoich, pomocników w swych pracach: życie stało się dogodniejsze i spokojniejsze, zwolna rozwijała się cywilizacya.

Ogień dobroczynny wydawał mu się pochodzenia boskiego. Według mitologii greckiej pierwsze zarzewie ognia wykradł bogom i na ziemię sprowadził z Olimpu Prometeusz, za co przykuty został przez mściwego Jowisza do skał Kaukazu, gdzie sęp olbrzymi bezustannie serce mu szarpie.

Łatwo rzeczywiście wzbudzić się mogła wiara, że ogień z nieba pochodzi. Codziennie przecież po sklepieniu niebieskiem przesuwa się od wschodu ku zachodowi ognista bryła słoneczna, darząca nas światłem i ciepłem; ogień ziemski wydał się człowiekowi odblaskiem tej promienistej gwiazdy dziennej, iskrą od niej oderwaną, jakby ze słońca był rodem. Naiwnem i dziwnem jest dla nas dziś takie pojęcie ludów pierwotnych. Jakżeż może płomień, na ziemi wzniecony, pochodzić od słońca, które przecież mieści się w olbrzymiej od nas odległości dwudziestu milionów mil geograficznych, w jakiż sposób mogłaby przestrzeń tę przebiedz iskra, uroniona przez słońce?

Nauka jednak dzisiejsza nie potępia tej baśni ludowej; przyznaje owszem, że kryje się w niej jądro rzetelne, a owe narody dawne miały jakby przeczucie prawdy, gdy ogień ze słońca wyprowadzały, choć sobie z tego sprawy nie zdawały jeszcze. Czego wówczas nie pojmowano, umiemy sobie teraz jasno wytłómaczyć.

Odłamek drewna, który w piecu naszym płonie, jest szczątkiem drzewa, które niegdyś żyło i które wyrosło z drobnego nasienia. W nasieniu tem, jak to widzimy w ziarnku grochu lub żyta, mieścił się drobny zasób pokarmu na pierwsze potrzeby młodej, kiełkującej rośliny, gdy jeszcze samodzielnie utrzymać swego bytu nie mogła. Skoro jednak kiełek swój wynurzyła nad powierzchnię ziemi i na świat wyjrzała, zabrakło już zasobów odżywczych w nasieniu, sama zdobywać sobie musiała pokarm, czerpać go z łona ziemi i otaczającego powietrza.

Drzewo z różnych składa się materyałów; ale nie trzeba

być nawet chemikiem, by poznać, że przedewszystkiem zbudowane jest z węgla. Gdy się drzewo wyżarzy, gdy niezupełnie spłonie, zostaje po niem bryła węgla; węgiel ten zawierać się musiał przeto w drzewie, choć w połączeniu z innymi jego pierwiastkami ukrywał czarną swą barwę i inne swe właściwości, a ukazał je dopiero, gdy się z tych związków oswobodził.

Główną więc częścią składową drzewa i każdej w ogólności rośliny, choć tak pięknie i rozmaicie zabarwionej, jest węgiel. Skądżeż zdobywało go drzewo za życia, skąd brało ten materyał, tak do budowy swych tkanek niezbędny?

Znaleźć go mogło jedynie w powietrzu. Powietrze nie jest wprawdzie obładowane sadzą i czarnym pyłem węglowym, ale unosi się w niem kwas węglowy, jako ciało lotne, jako gaz, przez nas niedostrzegany, nie wyróżnia się bowiem zgoła od reszty powietrza, od innych składających je gazów. Jest to ten sam gaz, który z szumem wyrywa się z wody sodowej, z wina szampańskiego, z kredy polanej octem lub innym kwasem. Nazywamy go kwasem węglowym, bo rzeczywiście zawiera w sobie węgiel, jest związkiem węgla z tlenem, z gazem, który obficie znajduje się w powietrzu. Kwas węglowy w drobnej tylko ilości znajduje się w atmosferze; gdyby go bowiem było więcej, nie mogliby żyć ani ludzie, ani zwierzęta, gdyż jest on dla nich zabójczy. Służy on jednak roślinom, które go w atmosferze wyszukać umieją i z niego to zdobywają węgiel, by go sobie przyswajać i na swą korzyść obracać. Węgiel ten wszakże w powietrzu, jak powiedzieliśmy, nie jest bynajmniej swobodny, lecz związany, złączony z tlenem; aby go posiąść, musi roślina każdą najdrobniejszą cząsteczkę kwasu węglowego rozdzielić, rozerwać — pokonać musi ścisły związek węgla z tlenem. Wymaga to przecież wysilenia i pracy; któż więc moc taką daje roślinom, kto jej daje tę dzielność, tę energię do wykonywania pracy tak wielkiej?

Roślina żyć może tylko w blasku światła dziennego. Gdy jej tego blasku poskąpimy, gdy ją umieścimy w ciemnicy, dokąd promienie słoneczne przedrzeć się nie mogą, roślina więdnie, liście jej żółkną, tkanki stają się wiotkie i słabe, a cała roślina rychło obumiera. Promienie słońca niezbędne

są do życia rośliny, w cieple tylko słonecznem rozwija się i wzrasta; ono to daje jej zdolność do pracy, ono to raczej pracuje w roślinie i z kwasu węglowego oddziela węgiel, z którego roślina tworzy włókna swe i komórki, rozwija się i wzrasta.

Gdy tu mówimy, że ciepło pracuje, nie wyda się to zapewne dziwactwem temu, kto jeździł koleją lub zwiedzał jakąkolwiek fabrykę. Para wodna ciągnie wprawdzie wozy żelazne i obraca olbrzymie koła, ale przecież, by parę otrzymać, potrzeba ognia i ciepła. Machiny parowe pracują kosztem ciepła, albo raczej ciepło wykonywa prace, do jakich je człowiek zaprzęga.

W roślinach podobnież pracuje ciepło słoneczne. Roślina żywi się i byt swój utrzymuje kosztem ciepła słonecznego, rozwija się i wzrasta nakładem promieni słońca. Ta praca słońca nie niszczy się wszakże, nie zużywa bezpowrotnie, ale pozostaje, jakby utajona, przechowana i zaoszczędzona, w drzewie, w tkankach rośliny. Odradza się znowu jako ciepło, gdy drzewo palimy.

Palenie bowiem drzewa jestto działanie, wręcz przeciwne temu, które było potrzebne do wzrostu i rozwoju rośliny. Wtedy kwas węglowy rozdzielał się na składowe swe części, na tlen i węgiel: teraz zaś, gdy drzewo płonie, węgiel jego łączy się z tlenem i powstaje znowu kwas węglowy, który z dymem uchodzi w powietrze i nowym pokoleniom roślin pożywienie dawać będzie. Ile się ciepła słonecznego zużyło na wytworzenie węgla w roślinie, tyleż teraz wzbudza się ciepła, gdy węgiel ten płonie, gdy łączy się z tlenem powietrza. Ilość zatem ciepła słonecznego pochłonięta przez roślinę nie zginęła bynajmniej, gdyż odradza się w zupełności, odnajdujemy je w naszych ogniskach. Ciepło, które nas w zimie ogrzewa, zawdzięczamy więc słońcu; ogień, na kominku naszym płonący, rzeczywiście ze słońca się zrodził. Legenda ludów pierwotnych nie mija się z prawdą.

Gdy zamiast drzewa piece nasze opalamy węglem kamiennym, korzystamy i w tym razie z ciepła słonecznego. Węgiel kamienny bowiem, w łonie ziemi złożony, powstał ze szczątków drzew, które niegdyś żyły na ziemi w czasach bardzo dawnych, gdy jeszcze człowieka na ziemi nie było,

gdy nie żyły nawet jeszcze zwierzęta ssące i ptaki i zaledwie gady snuły się na lądzie, a w morzach pływały ryby, od dzisiejszych różne. Drzewa także były odmienne: paprocie i skrzypy wielkości drzewa, drzewa iglaste, jakie dziś już nie istnieją. Drzewa te żyły, rosły i zamierały; liście ich, gałęzie i łodygi butwiały zwolna, tworzyły torfowiska, jak to i teraz jeszcze dzieje się na gruntach bagnistych. Ciągnęło się to przez długie okresy czasu; nieraz morze zalewało odwieczne te lasy, gdy grunt się obniżał, a gdy ląd znów się wznosił, morze ustępowało, ale lasy i torfowiska, które dawniej powierzchnię ziemi zalegały, znajdowały się już teraz pod przytłaczającemi ją osadami, które z wód morskich opadały. Pod tym naciskiem torfowiska ulegały dalszym zmianom, torf przeobrażał się zwolna w węgiel brunatny, a ten w dalszym ciągu po długich wiekach zamieniał się w bryły węgla kamiennego. Gdy dziś czarne te bryły z głębi ziemi dobywamy i w piecach naszych palimy, odzyskujemy ciepło, które słońce przesyłało ziemi w epoce niesłychanie dawnej, przed setkami tysięcy lat zapewne, odradza się ciepło, które tak długi ciąg wieków przetrwało, utajone w głębi ziemi.

Wszelki więc ogień, jaki na ziemi rozpalić umiemy, ze słońca swój początek bierze.

Człowiek pierwotny przeczuwał, czego jeszcze nie pojmował dokładnie.

Jak w tej, tak w wielu innych baśniach ludowych mieści się często ukryte jądro prawdy, które nauka po długiem dopiero badaniu odsłania i wyjaśnia.

72. Śmierć Apostołów.

...Aż wreszcie spełnił się czas dla obu apostołów. Ale jakby na zakończenie służby danem było Bożemu rybakowi ułowić dwie dusze nawet i w więzieniu. Żołnierze Processus i Martinianus, którzy go pilnowali w więzieniu Mamertyńskiem, przyjęli chrzest. Poczem nadeszła godzina męki. Nerona nie było wówczas w Rzymie. Wyrok wydali Helius i Polithetes, obaj wyzwoleńcy, którym Cezar powierzył na czas swej niebytności rządy nad Rzymem. Wiekowego Apo-

stoła poddano naprzód przepisanej przez prawo chłoście, a następnego dnia wywiedziono za mury miasta ku wzgórzom Watykańskim, gdzie miał ponieść przeznaczoną mu karę krzyża. Żołnierzy dziwił tłum, który zebrał się przed więzieniem, gdyż w pojęciu ich śmierć prostego człowieka i w dodatku cudzoziemca nie powinna była budzić tyle zajęcia; nie rozumieli zaś, że korowód ów nie składał się z ciekawych, ale z wyznawców, pragnących odprowadzić na miejsce kaźni wielkiego Apostoła. Po południu otworzyły się wreszcie bramy więzienia i Piotr ukazał się wśród oddziału pretoryanów. Słońce zniżyło się już nieco ku Ostyi, dzień był cichy i pogodny. Piotrowi ze względu na jego sędziwe lata nie kazano nieść krzyża; sądzono bowiem, że go udźwignąć nie zdoła, ani też nie założono mu wideł na szyję, by mu nie utrudniać pochodu. Szedł wolny i wierni mogli go widzieć doskonale. W chwili, gdy wśród żelaznych hełmów żołnierskich ukazała się jego biała głowa, płacz rozległ się w tłumie, lecz natychmiast prawie ustał, albowiem twarz starca miała w sobie tyle pogody i taką jaśniała radością, iż wszyscy pojęli, że to nie ofiara idzie ku straceniu, ale zwycięzca odbywa pochód tryumfalny.

Jakoż tak było. Rybak, zwykle pokorny i pochylony, szedł teraz wyprostowany, wyższy wzrostem od żołnierzy, pełen powagi. Nigdy nie widziano w postawie jego tyle majestatu. Zdawaćby się mogło, iż to monarcha posuwa się, otoczony przez lud i żołnierzy. Ze wszystkich stron podniosły się głosy: »Oto Piotr odchodzi do Pana«. Wszyscy jakby zapomnieli, że czeka go męka i śmierć. Szli w uroczystem skupieniu, ale w spokoju, czując, że od śmierci na Golgocie nie stało się dotychczas nic równie wielkiego i że jako tamta odkupiła świat cały, tak ta ma odkupić to miasto.

Po drodze ludzie zatrzymywali się ze zdziwieniem na widok tego starca, wyznawcy zaś, kładąc im ręce na ramiona, mówili spokojnymi głosami: »Patrzcie, jako umiera sprawiedliwy, który znał Chrystusa i opowiadał miłość na świecie«. A owi wpadali w zadumę, poczem odchodzili, mówiąc sobie: »Zaprawdę, ten nie mógł być niesprawiedliwy!«

Po drodze milkły wrzaski i wołania uliczne. Orszak posuwał się wśród domów, świeżo wzniesionych, wśród białych

kolumn świątyń, nad których naczołkami wisiało niebo głębokie, ukojone i błękitne. Szli w ciszy; czasem tylko zabrzękły zbroje żołnierzy lub podniósł się szmer modlitw. Piotr słuchał ich i twarz jaśniała mu coraz większą radością, albowiem wzrok jego zaledwie mógł ogarnąć owe tysiące wyznawców. Czuł, że dzieła dokonał, i wiedział już, że ta prawda, którą całe życie opowiadał, zaleje wszystko, jak fala, i że nic już powstrzymać jej nie zdoła. A tak myśląc, podnosił oczy ku górze i mówił: »Panie, kazałeś mi podbić ten gród, który panuje światu, więcem go podbił. Kazałeś mi założyć w niem stolicę swoją, więcem ją założył. Twoje miasto teraz, Panie, a ja idę do Ciebie, bom się spracował bardzo«.

Przechodząc więc koło świątyń, mówił im: »Chrystusowemi świątyniami będziecie«. Patrząc na roje ludzi, przesuwających się przed jego oczyma, mówił im: »Chrystusowymi będą wasze dzieci sługami« — i szedł w poczuciu spełnionego podboju, świadom swej zasługi, świadom mocy, ukojony, wielki. Żołnierze poprowadzili go przez most tryumfalny, jakby mimowoli dając jego tryumfowi świadectwo, i wiedli dalej ku naumachii i cyrkowi. Wierni z Zatybrza przyłączyli się do pochodu i uczyniła się gęstwa ludu tak wielka, iż centuryon, przywodzący pretoryanom, domyśliwszy się wreszcie, iż prowadzi jakowegoś arcykapłana, którego otaczają wierni, zaniepokoił się zbyt małą liczbą żołnierzy. Lecz ani jeden okrzyk oburzenia lub wściekłości nie ozwał się w tłumie. Twarze były przejęte wielkością chwili, uroczyste i zarazem pełne oczekiwania; niektórzy bowiem wyznawcy, przypominając sobie, iż przy śmierci Pana ziemia rozstępowała się z przerażenia, a umarli podnosili się z grobów, myśleli, że i teraz może nastąpią jakieś znaki widome, po których nie zatrze się przez wieki śmierć Apostoła. Inni mówili sobie nawet: »A nuż Pan wybierze godzinę Piotrową, aby zstąpić z nieba, jako był przyobiecał, i uczynić sąd nad światem?« W tej zaś myśli polecali się miłosierdziu Zbawiciela.

Ale naokół było spokojnie. Wzgórza zdawały się wygrzewać i odpoczywać w słońcu. Pochód zatrzymał się wreszcie między cyrkiem a wzgórzem Watykańskiem. Żołnierze

wzięli się teraz do kopania dołu, inni położyli na ziemi krzyż, młoty i gwoździe, czekając, póki przygotowania nie zostaną ukończone; tłum zaś, cichy zawsze i skupiony, klęknął naokół.

Apostoł, z głową w promieniach i złotych blaskach, zwrócił się po raz ostatni ku miastu. Zdala, nieco w dole, widać było Tyber świecący; po drugim brzegu pole Marsowe, wyżej mauzoleum Augusta, niżej olbrzymie termy, które Nero właśnie był wznosić począł; jeszcze niżej teatr Pompejusza, a za niemi, miejscami widne, miejscami zakryte przez inne budowy *Septa Julia*, mnóstwo portyków, świątyń, kolumn, spiętrzonych gmachów i wreszcie hen, w dali, wzgórza oblepione domami, olbrzymie rojowisko ludzkie, którego krańce niknęły w mgle błękitnej, gniazdo zbrodni, ale i siły, szaleństwa, ale i ładu, które stało się głową świata, jego ciemięzcą, ale zarazem jego prawem i pokojem, wszechpotężne, nieprzemożone, wieczyste.

Piotr zaś, otoczony żołnierzami, spoglądał na nie tak, jakby spoglądał władca i król na swe dziedzictwo. I mówił mu: »Odkupioneś jest i moje«. A nikt, nietylko między żołnierstwem, kopiącem dół, w który miano wstawić krzyż, ale nawet między wyznawcami, nie umiał odgadnąć, że istotnie stoi między nimi prawdziwy władca tego grodu i że miną cezarowie, przepłyną fale barbarzyńców, miną wieki, a ów starzec będzie tu panował nieprzerwanie...

Słońce chyliło się jeszcze bardziej ku Ostyi i stało się wielkie i czerwone. Cała zachodnia strona nieba poczęła płonąć blaskiem niezmiernym. Żołnierze zbliżyli się do Piotra, by go rozebrać.

Lecz on, modląc się, wyprostował się nagle i wyciągnął wysoko prawicę. Oprawcy zatrzymali się, jakby onieśmieleni jego postawą, wierni zatrzymali również oddech w piersiach, sądząc, że chce przemówić, i nastała cisza niezmącona.

On zaś, stojąc na wyniesieniu, począł wyciągniętą prawicą czynić znak krzyża, błogosławiąc w godzinę śmierci:

— *Urbi et orbi*...

* * *

W ten sam cudny wieczór inny oddział żołnierzy prowadził drogą Ostyjską Pawła z Tarsu ku miejscowości zwanej *Aquae Salviae*. I za nim również postępowała gromada

wiernych, których nawrócił, a on poznawał bliższych znajomych, zatrzymywał się i rozmawiał z nimi, gdyż jako obywatelowi rzymskiemu straż okazywała mu większe względy. Za bramą, zwaną *Tergemina*, spotkał Plautillę, córkę prefekta Flawiusa Sabinusa, i widząc jej młodą twarz, zalaną łzami, rzekł: »Plautillo, córko Zbawienia wiecznego, odejdź w pokoju. Pożycz mi tylko zasłony, którą zawiążą mi oczy w chwili, gdy będę odchodził do Pana«. I wziąwszy zasłonę, szedł dalej z twarzą tak pełną radości, z jaką robotnik, który przepracował dobrze dzień cały, wraca do domu. Myśli jego podobnie do Piotrowych były spokojne i pogodne, jak owo niebo wieczorne. Oczy patrzały w zamyśleniu na równinę, która ciągnęła się przed nim, i na góry Albańskie, zanurzone w świetle. Rozpamiętywał o swoich podróżach, o trudach i pracy, o walkach, w których zwyciężał, i kościołach, które po wszystkich ziemiach i za wszystkiemi morzami założył, i myślał, że dobrze zarobił na spoczynek. I on także dzieła dokonał. Czuł, że siejby jego nie rozwieje już wiatr złości. Odchodził z tą pewnością, że w walce, którą jego prawda wypowiedziała światu, ona zwycięży, i niezmierna pogoda zstępowała mu do duszy.

Droga na miejsce stracenia była daleka i wieczór począł zapadać. Góry stały się purpurowe, a podnóża ich zapadały zwolna w cień. Trzody wracały do domów. Gdzieniegdzie szły gromadki niewolników z narzędziami pracy na ramionach. Przed domami na drodze bawiły się dzieci, spoglądając z ciekawością na przechodzący oddział żołnierzy. W tym zaś wieczorze, w tem przeźroczem, złotem powietrzu, był nietylko spokój i ukojenie, ale jakowaś harmonia, która z ziemi zdawała się podnosić ku niebu. A Paweł słyszał ją — i serce przepełniało mu się radością na myśl, że do owej muzyki świata dodał dźwięk jeden, którego nie było dotąd, a bez którego ziemia cała była »jako miedź brząkająca i jako cymbał brzmiący«.

I przypomniał sobie, jako uczył ludzi miłości, jako im mówił, iż choćby rozdali majętność na ubogich i choćby posiedli wszystkie języki i wszystkie tajemnice i wszystkie nauki, niczem nie będą bez miłości, która jest łaskawa, cierpliwa, która złego nie wyrządza, nie pragnie czci, wszystko

znosi, wszystkiemu wierzy, wszystkiego się nadziewa, wszystko wytrwa.

Oto mu wiek życia spłynął na nauczaniu ludzi takiej prawdy. A teraz mówił sobie w duszy: Jakaż siła jej sprosta i cóż ją zwycięży? Jakoż przytłumić ją zdoła cezar, choćby dwakroć miał tyle legionów, dwakroć tyle miast i mórz, i ziem i narodów?

I szedł po zapłatę jako zwycięzca.

Orszak porzucił wreszcie wielką drogę i skręcił na wschód wązką ścieżką ku Salwijskim Wodom. Na wrzosach leżało słońce czerwone. Przy źródle centuryon zatrzymał żołnierzy, albowiem chwila nadeszła.

Lecz Paweł, zarzuciwszy na ramię zasłonę Plautilli, aby zawiązać sobie nią oczy, wzniósł po raz ostatni źrenice, pełne niezmiernego spokoju, ku odwiecznym blaskom wieczornym i modlił się. Tak, chwila nadeszła, ale on widział przed sobą wielki gościniec z zórz, wiodący ku niebu, i w duszy mówił sobie te same słowa, które poprzednio w poczuciu swej spełnionej służby i blizkiego końca napisał: »Potykaniem dobrem potykałem się, wiarę zachował, zawodum dokonał, naostatek przeznaczon mi jest wieniec sprawiedliwości«.

Henryk Sienkiewicz (Quo vadis).

73. Zaranie.

Już wschodził uroczysty dzień Najświętszej Panny
Kwietniej; pogoda była prześliczna, czas ranny,
Niebo czyste, wokoło ziemi obciągnięte,
Jako morze wiszące, ciche, wklęsło-wgięte;
Kilka gwiazd świeci z głębi, jako perły ze dna
Przez fale; z boku chmurka biała, sama jedna
Podlatuje i skrzydła w błękicie zanurza,
Podobna do niknących piór Anioła Stróża,
Który nocną modlitwą ludzi przytrzymany,
Spóźnił się, śpieszy wracać między spółniebiany.

Już ostatnie gwiazd perły zamierzchły i na dnie
Niebios zgasły i niebo środkiem czoła bladnie,
Prawą skronią złożone na wezgłowiu cieni,
Jeszcze smagławe, lewą coraz się rumieni;
A dalej okrąg, jakby powieka szeroka,
Rozsuwa się i w środku widać białek oka,

Widać tęczę, źrenicę: — już promień wytrysnął,
Po okrągłych niebiosach wygięty przebłysnął
I w białej chmurce jako złoty grot zawisnął.
Na ten strzał, na dnia hasło, pęk ogniów wylata,
Tysiąc rac krzyżuje się po okręgu świata,
A oko słońca weszło — jeszcze nieco senne,
Przymruża się, drżąc wstrząsa swe rzęsy promienne
Siedmią barw błyszczy razem: szafirowe razem,
Razem krwawi się w rubin i żółknie topazem;
Aż rozlśniło się, jako kryształ, przeźroczyste,
Potem, jak brylant, światłe, nakoniec ogniste,
Jak księżyc, wielkie, jako gwiazda, migające:
Tak po niezmiernem niebie szło samotne słońce.

Już pospólstwo litewskie z całej okolicy
Zebrało się przed wschodem wokoło kaplicy...
Wyszła msza. Nie obejmie świątynia maleńka
Całego zgromadzenia; lud na trawie klęka;
Patrząc we drzwi kaplicy, odkrywają głowy.
Włos litewskiego ludu, biały albo płowy,
Pozłacał się, jako łan dojrzałego żyta;
Gdzieniegdzie krasna główka dziewicza wykwita,
Ubrana w świeże kwiaty albo w pawie oczy
I wstęgi rozplecione, ozdoby warkoczy,
Śród głów męskich, jak w zbożu bławat i kąkole.
Klęczący różnobarwny tłum okrywa pole,
A na głos dzwonka, niby na wiatru powianie,
Chylą się wszystkie głowy, jak kłosy na łanie.

Wieśniaczki dziś na ołtarz Matki Zbawiciela
Niosą pierwszy dar wiosny — świeże snopki ziela;
Wszystko wkoło ubrane w bukiety i w wianki:
Ołtarz, obraz, a nawet dzwonnica i ganki.
Czasem poranny wietrzyk, gdy ze wschodu wionie,
Zrywa wianki i rzuca na klęczących skronie
I rozlewa, jak z mszalnej kadzielnicy, wonie.

Adam Mickiewicz, (Pan Tadeusz).

74. Ząb czasu.

Jeżeli jaki gmach, zbudowany z kamienia albo cegły, ma kilka wieków istnienia, to zwykle zewnętrzne jego ściany nie przedstawiają już tej gładkości, jaką im nadała ręka murarza. W kamieniach lub cegłach wyżłobiły się jamki i brózdy, a rzeźby nad oknami i drzwiami są do tego stopnia zniszczone, że częstokroć trudno rozpoznać, co pierwo-

tnie miały przedstawiać. Te cechy zniszczenia są tak dalece pospolite na starych murach, że oglądając jakiś starożytny budynek, zawsze ich szukamy, a nie znajdując, zaczynamy powątpiewać o jego starości.

Podobnie oglądając pomniki grobowe na cmentarzu przy jakimś odwiecznym kościele, spostrzegamy, że są one tem bardziej zniszczone, im są dawniejsze. Napisy na tablicach marmurowych, wystawionych na otwarte powietrze, po upływie dwóch albo trzech pokoleń ludzkich bywają zwykle tak bardzo zrujnowane, że nie można ich już odczytać i dowiedzieć się, czyje miały one głosić nazwisko i cnoty.

Rozkruszanie się z biegiem czasu twardych kamieni jest rzeczą powszechnie wiadomą, ale czy pomyśleliśmy kiedy, jaka jest tego przyczyna i jakie ten fakt sprowadza skutki w przyrodzie?

Oto woda deszczowa, zawierająca w sobie kwas węglowy i inne kwasy, zaczerpnięte z powietrza i z roli, może nadgryzać pewne części skał, po których przepływa lub na których stoi. Rozpuszcza ona zwolna i stopniowo część skały i unosi ją z sobą. Jeżeli taką skałą jest wapień, to może się on całkowicie albo prawie całkowicie w takiej wodzie rozpuścić. Przy innych skałach woda deszczowa rozpuszcza tę ich część, która stanowiła rodzaj cementu, to jest, spajała ze sobą i łączyła w jedną całość szczątki tej masy. Kiedy ta część się rozpuści, skała traci spójność i rozsypuje się na piasek lub na proszek innej natury, który następnie deszcz łatwo spłókuje i unosi. Tak więc działanie kwasów, pochłoniętych przez wodę deszczową, stanowi jedną z przyczyn rozkruszania się skał.

Drugą przyczyną ich zniszczenia jest tlen, stanowiący część składową powietrza, znajdującego się w wodzie deszczowej. Wiadomo, że kawałek żelaza w wilgotnem powietrzu po niejakim czasie rdzewieje. Szyny kolejowe pokrywają się z biegiem czasu brudno-żółtą albo brunatną, proszkowatą powłoką, która, jak mówią, przegryza je aż do wnętrza, dopóki ich zupełnie nie zniszczy. Ten żółty proszek czyli rdza jest ciałem, złożonem z żelaza i tlenu. Tworzy się ona na powierzchni szyn tam, gdzie żelazo styka się z powietrzem, potem deszcz spłókuje i unosi utworzoną powłokę

i odsłania czyste żelazo, które znowu w zetknięciu z powietrzem łączy się z tlenem, czyli rdzewieje i tym sposobem działanie to posuwa się coraz dalej, dopóki wszystko żelazo nie zamieni się na rdzę. Otóż to samo, co się dzieje w powietrzu z szyną żelazną, z gwoździem albo z wyrzuconym gdzieś na dwór starym nożem, dzieje się także, lubo nie tak prędko, z wieloma rodzajami skał. I one także utleniają się na swojej powierzchni, to jest, łączą się z tlenem powietrza i skutkiem tego okrywają się proszkowatą powłoką, która pod wpływem wiatrów, deszczów i mrozów odłącza się od masy skalnej i zostaje uniesiona dalej, przez co obnaża się nowa warstwa skalna, aby z kolei utlenić się i rozpaść na proszek.

Trzecim czynnikiem, sprawiającym kruszenie się skał, leżących w wielu miejscach na powierzchni ziemi, jest zimno. Mieszkańcy umiarkowanego i zimnego klimatu, gdzie temperatura spada pod punkt marznięcia wody, znają dobrze skutki zimna. Przy silnym mrozie beczki, napełnione wodą, bywają przez nią rozsadzane, a dzbany, pełne wody, pękają od wierzchu do dna. Powodem tego zjawiska jest to, że woda zamarzając, rozszerza się, to jest, powiększa swoją objętość. Lód zajmuje więcej miejsca, niż woda, z której się utworzył; kiedy więc woda marznie w naczyniu zamkniętem, musi wywierać mocne ciśnienie na jego ściany. Jeśli ściany nie są dość mocne, aby mogły wytrzymać to ciśnienie, ustępują pod niem i roztwierają się, czyli pękają.

Grunt jest zwykle tak dziurkowaty, że woda deszczowa łatwo w niego wsiąka, ale i skały są także mniej albo więcej przepuszczalne dla deszczu. Nawet najgęstsze i najtwardsze z nich zawsze przyjmują w siebie trochę wody. Dlatego w ziemi znajduje się zawsze pewna ilość wody i to nietylko w roli, w pulchnym gruncie, ale i w skałach. Za nadejściem zimy ta woda zamarza. Otóż przy marznięciu każda cząsteczka wody wywiera takie samo działanie na skałę, w której jest zamknięta, jak woda marznąca w beczce, albo w dzbanie na ściany tych naczyń. Mniejsza o to, czy ta woda zgromadzona jest w jakiem wydrążeniu lub rozpadlinie, czy tylko rozprószona pomiędzy cząsteczkami skały albo roli.

Zamarzając, musi się rozszerzać i skutkiem tego rozpychać i rozsadzać otaczajace ją ściany.

Powstają stąd w gruncie podczas mrozów bardzo ciekawe zjawiska. Po mroźnej nocy można często zauważyć, że drobne kamyki, tkwiące na drogach i ścieżkach, są nieco wysunięte do góry ze swoich jamek.

Kiedy ziemia taje, powierzchnia jej pokrywa się warstewką delikatnego mułu. Podczas mrozu woda, marznąca w ziemi, rozpycha i rozłącza ziarna piasku i gliny; skoro się więc potem utworzone cząstki lodu roztopią, ziarna te nie przylegają już tak szczelnie do siebie i grunt wygląda tak, jakby wierzchnia jego warstewka była sproszkowana w moździerzu. Z tego powodu marznięcie wody wyrządza wielką przysługę rolnikom, bo proszkuje i spulchnia rolę, roztwierając ją dla korzeni roślinnych i wychodzących z nich włókienek. To samo dzieje się i w skałach, przemoczonych działaniem deszczu; gdy przyjdzie mróz, ziarna ich ulegają rozpychaniu przez ciśnienie wody, marznącej w maleńkich szparkach i szczelinach. Ponieważ jednak cząstki skały nie są tak rozłączone i tak słabo ze sobą spojone, jak cząstki roli, przeto lepiej wytrzymują działanie mrozu. Dlatego najbardziej ulegają wpływowi zimna skały dziurkowate, zawierające w sobie najwięcej wody; niektóre z nich, jak naprzykład pewne rodzaje piaskowców, rozpadają się bardzo szybko pod wpływem marznącej w nich wody. Na powierzchni takich skał tworzą się kolejno jedna po drugiej sproszkowane powłoki, to jest, ziarna ich rozłączają się i deszcz je z łatwością spłókuje i unosi.

Ale woda zamarza nietylko pomiędzy cząsteczkami skały, lecz także w szczelinach i rozpadlinach, o których mówiliśmy wyżej. Jak dalece takie szczeliny dopomagają działaniu mrozu, można to widzieć na urwiskach skalnych albo w łomach kamieni. Szczeliny takie ukazują się tam jako linie prawie pionowe, wskazujące kierunek rozłamu skały, i dzielą ją na prosto stojące słupy albo filary. Pomagają one robotnikom do rozłamywania skał na wielkie bryły, które następnie wydobywają na powierzchnię ziemi, a natura korzysta z tych szczelin do swoich celów, mianowicie do rozbijania i rozkruszania mas skalnych. Szczeliny te służą

do przebiegu wody, spływającej z powierzchni ziemi; podczas mrozów woda w nich zamarza i rozpycha oba ich boki. Po upływie wielu zim szczelina, z początku wązka, skutkiem tego rozpychania rozszerza się nieco; wtedy więcej już wody w nią wchodzi i marznąc, wywiera większe ciśnienie na na boki, dopóki nareszcie masa skalna, przecięta taką szczeliną, nie zostanie całkowicie rozłupana. Jeśli szczelina biegła wzdłuż jednej ze ścian zewnętrznych skalnego urwiska, wtedy po rozłupaniu jedna z rozdzielonych części może spaść na dół na dno przepaści.

Oprócz kwasu węglowego, tlenu i zamarzania wody, inne jeszcze wpływy pracują nad rozkruszaniem powierzchni lądu. Tak naprzykład, kiedy przez ciąg gorącego dnia skały się mocno rozgrzeją od słońca, a potem w nocy szybko się oziębią przez promieniowanie, to jest, wysyłanie ze siebie ciepła na wszystkie strony, to skutkiem rozszerzenia się, a następnie skurczenia ich masy przy wielkiej zmianie temperatury spójność między ich cząstkami rozluźnia się i skała się rozkrusza, albo nawet odpadają od jej powierzchni bryły kamienne kolejno jedna po drugiej. W krajach gorących i zarazem bardzo suchych, gdzie promieniowanie jest bardzo silne, ta przyczyna zniszczenia działa potężnie. Wiatr zmiatając ze skał rozkruszone ich cząstki, obnaża coraz świeższą powierzchnię, uderza w nią twardemi cząstkami piasku i tym sposobem rysuje i kruszy wierzchnie warstwy skał nawet bardzo twardych. Piaski, zalegające w wielu miejscach wielkie pustynie stałego lądu, powstały prawdopodobnie ze stopniowego rozkruszania się i rozsypywania skał w suchym klimacie skutkiem krańcowych zmian temperatury w ciągu doby, a następnie roznoszenia i nagromadzania tych rozkruszonych cząsteczek przez wiatry.

Nie wszystkie jednak kamienie rozkruszają się z jednakową szybkością. Badając pilniej mury starożytnej budowli, możemy na niej zobaczyć prawie wszystkie stopnie rozpadu. Niektóre kamienie są zaledwie nadgryzione zębem czasu, kiedy inne są prawie zupełnie zniszczone. Jeżeli tak jest w budowli, to możemy być pewni, że tak samo dzieje się i w przyrodzie, że i w niej jedne urwiska i strome wierz-

chołki skał albo pewne ich części rozpadają się prędzej, niż inne i nie w jednakowy sposób ulegają zniszczeniu.

Na pierwszy rzut oka to powszechne spustoszenie powierzchni lądu może się nam wydawać dziwnem, może nawet nasunąć pytanie, czemu się tak dzieje na świecie, który na pozór wydaje się tak dobrze urządzonym i tak pięknym; możemy nawet pomyśleć, że jest to trudne do wytłómaczenia nieszczęście. Tak wszakże nie jest. I owszem kruszenie i rozsypywanie się powierzchni lądu nietylko nie jest szkodliwe, ale jest w gruncie rzeczy konieczne, aby ziemia mogła się stać mieszkaniem roślin i zwierząt. Zjawiskom tym zawdzięczamy wyżłabianie wąwozów i dolin, malownicze zarysy urwisk i gór. Cała nasza rola składa się z rozkruszonych na proch kamieni, a od powstawania i odnawiania tej roli zależy nasze pożywienie codzienne, a zatem utrzymanie naszego życia.

75. Wielkanocne zabawy ludowe w Galicyi Wschodniej.

Gdy po zimie mroźnej i chmurnej powieją wiatry cieplejsze, słońce zajaśnieje wysoko, w gaju zaśpiewają ptaszęta i zazielenieją pączki i trawki, do serca ludzkiego wstępuje dziwna jakaś, młodzieńcza radość, nadzieja się budzi, że oto znowu kilka miesięcy miłych przed nami się roztoczy, że człowiek znowu zbliży się do otaczającej go natury, będzie z nią śpiewał, w noc ciepłą marzył, w dzień z nią obcował, czy to w ogródku swoim, czy w polu, czy w lesie lub na wodach. Nie dziw, że od wieków koniec zimy i pierwsze uśmiechy wiosny pobudzały ludzkość do jakiegoś uroczystego obchodu, do skupienia się i tłumnego witania nowego lata, do wyznaczania sobie jednego jakiegoś dnia ku uczczeniu »święta wiosny«. U wszystkich ludów, nietylko w plemieniu naszem, aryjskiem, istniały lub jeszcze nawet istnieją uroczystości tego rodzaju, takie »ver sacrum«, rozbrzmiewające pieśniami, »wiośniankami«, sławiące tryumf dnia nad nocą, »przesilenie« czyli zwalczenie ciemności mocą słońca i światła. W okresie przedchrześcijańskim rachowano nowy

rok od wiosny, a początek jego przypadał właśnie na porę zrównania dnia z nocą.

Nie było ściślejszych obliczeń astronomicznych, więc data przenosiła się czasem nieco wstecz, czasami naprzód, stosownie do klimatu. U Słowian, gdzie prawdziwa wiosna dopiero z pierwszymi uśmiechami maja się rozpoczyna, lud święcił uroczystości wiosenne zaledwie w końcu kwietnia albo na początku maja, jak o tem świadczy nasz »gaik«, »maik«, gdzieniegdzie zwany »nowem latkiem«, na Śląsku do dziś dnia połączony z topieniem zimy, »marzaneczki«, »marzanny«. Od wieków Kościół usiłował zatrzeć ślady obrzędów i obchodów pogańskich, a nie mogąc wyplenić ich doszczętnie, starał się połączyć je, stopić, że tak powiem, z obrzędami i uroczystościami kościelnemi. Tak n. p. dyngus i śmigus, zwyczaje, oczywiście związane z myślą o ciepłych ulewach wiosennych, przeniesiono na ruchomy wprawdzie, ale kościelny już poniedziałek wielkanocny, i tak powstał »oblewany poniedziałek«, gdzieniegdzie »świętym lejem« zwany.

To samo zaszło i w Galicyi wschodniej: i pieśni, zwane tam »wiośniankami«, i tłumne zabawy, nazywane »haiwkami« (wyraz ten brzmiałby po polsku »gajówki«), ściśle z pieśniami połączone, przeniosły się z gajów na cmentarze kościelne i z późniejszej zapewne daty na dni wielkanocne. Jakoż, gdy święta te nadejdą, wieśniak jakby się budził z długiego snu zimowego; gospodyni czyści i myje domostwo, krząta się koło święconego i dopomaga córkom do strojnego wystąpienia na zabawach pod kościółkiem. Główną jej troską jest, aby babka zwana »paską«, pięknie się upiekła, w górę wyrosła, nie rozpadła się, bo toby złą wróżbą groziło. Dziewczęta farbują »pysanki«, a trzeba do tego dużo wprawy i cierpliwości, bo sekretów na różne barwy, rysunki i wzory jest mnóstwo: należy wiedzieć, które części jaja pokryć woskiem, aby te miejsca skorupy się nie zabarwiły, jaka roślina, jaka kora lub jagoda jaką daje barwę, co i jak na skorupie wyobrażać, jak nazwać i wykonać rysunek »w młynki«, »w gołąbki«, »w jodełkę« i t. d.; która dziewoja potrafi upstrzyć jaje »w czterdzieści klinków«, ta już za mistrzynię w tym fachu uchodzi. Wszystko, co żyje, śpieszy z »paską«, »pysan-

kami« i innymi wiktuałami bardzo rano pod kościół; na obejściu rozkładają się »paskary«, koszyki z pieczywem, ksiądz je poświęca, a po nabożeństwie cała gromada podąża do domów, gdzie poczynając od jaj na twardo ugotowanych, spożywa się wśród wzajemnych powinszowań i pocałowań święcone.

Ale dla młodzieży prawdziwa uciecha rozpoczyna się dopiero po południu. Chłopcy biegną pod kościół i każdy choć trochę dzwoni w dzwony, a kto się pierwszy do sznura dociśnie, ten się najpierw ożeni; dzwonienie to trzy dni nie ustaje. Dziewczęta stroją się, jak tylko mogą i umieją najpiękniej. Nietrudno im o to, zwłaszcza, że typ podkarpacki z natury jest wcale wdzięczny, o twarzy pociągłej, ładniejszy niż mazurski; często tu można widzieć czarnobrewe i czarnookie, wysmukłe i zwinne. Zabawy popołudniowe na cmentarzu pod kościołem trojakiego bywają rodzaju: dziewczęce z udziałem tylko podrostków męskich, męskie i mieszane. Wszystkie łączą się prawie zawsze ze śpiewami i odznaczają się charakterem mniej więcej dramatycznym; są to niby zarodkowe widowiska, niby starogreckie igrzyska, ożywione akcyą, gimnastyką i śpiewami.

Rozmaitość »gajówek« czyli gier tych, jest bardzo wielka; ludoznawcy nasi, n. p. Kolberg, umieją ich kilkadziesiąt nazwać i opisać. Figuruje tam i znany nietylko w Galicyi wschodniej, lecz i w zachodniej i u Morawian »Zelman«, co to jedzie ze »wszystką Zelmanową rodziną« po pannę, a tej nie oddają ani na żydowski, ani na cygański, ani na dziadowski grunt, tylko na szlachecki lub na królewski. Jest tam i »przepióreczka« nasza, co to w proso uciekła, są i »swaty«, co to żądają panny dla cygana, kowala, dla pańskiego syna i t. d., ale dostają wtedy, gdy wymienią »syna gospodarskiego«. Zwraca uwagę prastare jakieś igrzysko, w którem występuje Pan Bóg i szatan. Około dwudziestu chłopców wybiera z pośród siebie Pana Boga i »dydka« (dziadka t. j. dyabła); zasiadając, usuwają »złego« na stronę; Pan Bóg bierze pierścionek i nieznacznie wsuwa go w złożone, jak do modlitwy, dłonie jednego z malców, a przywoławszy dyabła, każe mu zgadywać, kto ma pierścionek, mówiąc: »Wyjdź, dydko, z za góry, będziesz jadł pierogi«. Dyabeł szuka, a chło-

piec, u którego nie znalazł, staje się »bożym«, a u którego znajdzie, nazywa się »dydkowym«. Po pewnym czasie cała gromadka podzieli się na »bożych« i »dydkowych«, a wtedy i Pan Bóg i dyabeł biorą w ręce kij gruby, zwany »buławą«, i stanąwszy na czele szeregów, rozpoczynają bitwę pozorną, wykrzykując: »Nasza buława!« Kto komu wyrwie to godło władzy, ten uważa się za zwycięzcę, a wszyscy krzyczą: »Pan Bóg silniejszy!« albo »dydko silniejszy!« Inna znowu gra, znana i w polskich dziedzinach, czynem i słowem opowiada historyę, jak to »sieją mak«. Inna znowu uczy remiza, żeby nie wił gniazda ani na lodzie, ani na leszczynie, ani na jaworze, ani na sosence, tylko u »grzecznej panny w świetlicy«.

Dziewczęta pokazują, jak mąż szuka żony na jarmarku, wabi ją różnemi potrawami, ale ona póty odmawia powrotu do domu, aż się dowie, że kura wywiodła kurczęta i że im trzeba dać pszenicy. I tak dalej i dalej w grach tych poglądowo, słowami i akcyą obrazują się różne sceny z życia codziennego wieśniaka: zajścia małżeńskie, swaty, roboty gospodarskie, kramarstwo i inne rozmaite choroby i bolenia, a wszystko ze śpiewami i okrzykami. Przed niektóremi grami dziewczęta tańczą, czy też raczej biegają sznurem, trzymając się za chustki, wywijając różne zygzaki i zakręty, omijając stojące drobnemi kupkami towarzyszki, śpiewając jedną z »gajówek«; wężowe te zakręty nazywają »kurtyj rid« — kręty rząd, albo »krzywy taniec«.

Podrostki znowu chodzą jako tak zwana »wieża«, zmocowana dla wszelkiego bezpieczeństwa silnie trzymanym na dolnem i górnem piętrze drążkiem. A gdy «wieża« ta urośnie, gdy na ziemi stanie pięciu mołojców, a na ich ramionach trzech albo i więcej, wówczas »wieża« nazywa się »monastyrem«, klasztorem; najwięcej podziwu budzi ten »monastyr«, kiedy nie tylko stoi na miejscu, lecz się porusza i idzie, jak zaczarowany pałac w baśni. Najulubieńszą zabawą dziewcząt jest tak zwany »żuk«, albo »deska wierzbowa«. Odbywa się ona tak: dziewczęta stają naprzeciw siebie dwoma długimi szeregami i podają sobie ręce tak, iż z nich tworzy się niby pomost żywy, niby owa »deska wierzbowa«; na ten most stawiają dziewczynkę, zwaną wtedy »żuk« albo »żuczek«, i ta po nim chodzi; gdy przejdzie przez ręce jednej

pary, ta rozdziela się i zabiega naprzód, znowu ręce sobie podając, tak, iż żywa »deska« długo się nie kończy i czasami »żuk« trzy razy kościół obejdzie, nim się wyczerpie cała pieśń, należąca do tej zabawy. Uciechę chłopców stanowi zabawa, zwana »łozy«, a to dlatego, że skakanie odbywa się w widłach rosochatej wierzby, czy łozy. Dwóch parobków obraca się do siebie plecami, bierze się pod ręce i pochyla głowami naprzód, tak, iż z ciał ich tworzy się niby kąt rozwarty dwóch zrosłych konarów drzewa. Chłopcy odbiegają z którejkolwiek strony na kilkanaście kroków i rozpędziwszy się, kolejno podbiegają, kładą głowę na podstawie rąk, opierają się na ramiona stojących i przewracają kozła, podrzuceni rękami dwóch, tworzących bramkę; sztuka polega na tem, aby po owem skoku stanąć na równe nogi.

Można sobie wyobrazić ruch, gwar, głosy śpiewów i okrzyków wesołej czeredy młodzieńczej na tych idyliczno-atletycznych igrzyskach krewkiej, zdrowej, śpiewnej i rozweselonej młodzieży, owianej tchnieniem wiosny, budzącej się ze snu zimowego do nowego zbratania się z matką przyrodą, która każe im ciężką pracą w polu i lesie walczyć ze sobą, ale też hojnie wynagrodzi cudnym blaskiem słońca i ciepłemi gwiaździstemi nocami.

Jan Karłowicz.

76. Chrześcijańska pokora.

(Opowiadanie ks. kustosza).

Nigdy nie zapomnę śmierci i czynu przedśmiertnego kapłana a pamiętnego w naszym kościele biskupa, ks. Jana Cywińskiego.

Mieszkałem natenczas w klasztorze naszym wileńskim; pasterz ten względnym był dla mnie i dozwalał mi częstego do siebie wstępu; więc gdy zachorował i gdy poznano, że już nie wstanie z łóżka, pośpieszyłem doń, abym choć nieudolną posługą moją około niego okazał mu wdzięczność moją i błogosławieństwo jego otrzymał. Chwile jego były policzone; on sam czuł to i poznał, ale go przytomność i spokojność umysłu nie odstępowały. Modliliśmy się przy łóżku jego! Och! jakże gorliwie i szczerze modliliśmy się!

On, póki mu siły pozwalały, modlił się razem z nami; a gdy choroba zmogła w nim głos i piersi, natenczas w milczeniu, złożywszy ręce do pacierza, słuchał nas i wznosząc oczy na obraz Zbawiciela, naprzeciw umieszczony, tonął, że tak śmiało powiedzieć mogę, w Bogu i w wieczności.

Nakoniec, czując się coraz słabszym, kazał się przenieść na szerokie poręczowe krzesło i zawołać wszystkich swych służących. Przyszło ich kilkunastu; spojrzawszy na swego dogorywającego już ojca, bo takim był on dla nich rzeczywiście, padli na kolana. Łzy potoczyły się po wybladłem licu pasterza.

— Dziatki moje — rzekł on — umieram. Dziej się wola Boska! Ale nim umrę, chciałem was wszystkich pożegnać, pobłogosławić, podziękować wam za wasze wierne usługi i prosić was, abyście mi odpuścili i darowali, jeżelim którego z was obraził lub skrzywdził... nie z namysłu lub ze złości, świadczę się Bogiem, przed którym zaraz stanę; ale jeżelim zgrzeszył jako człowiek ułomny, darujcie mi, dziatki moje, proszę was, błagam was, darujcie dla miłości Pana Boga!

Natenczas płacz rzewny rozległ się wokoło; starsi i rówieśni z panem słudzy jego, przez całe życie będąc przy nim, więc przywykli do niego i poufali, pełzli na klęczkach i całowali mu ręce.

— Wstań — rzekł do stangreta swego — wstań, Adamie, i chodź ku mnie. Rok temu czy więcej, gdym cię ukarał, zasadzając na trzy dni na chleb i wodę...

— Bo wart tego byłem, Jaśnie Wielmożny Panie — przerwał chlipający Adam — bo wart tego byłem! Cały tydzień piłem w zapor: to jakieś dopuszczenie Boże było dla mnie; nie było nawet komu zawieźć jegomościa do katedry!

— To prawda, wszystko to prawda — mówił biskup — chciałem ci obrzydzić twój nałóg, a jednak nie umrę spokojnie, nim cię, mój stary sługo, nie przeproszę. Więc przebacz mi, poczciwy Adamie, daruj!...

— A daruję, dalibóg, daruję, choć niema czego.

— Dajże mi rękę na zgodę.

Adam podał rękę... i nim się opamiętał, biskup podniósł ją do ust swoich i kilkakrotnie ucałował.

Stangret oderwał rękę, jakby z żaru, i rycząc z płaczu, padł, jak snop, u nóg biskupa.

Wszyscy zdumieni i rozrzewnieni do głębi tym czynem pokory chrześcijańskiej, a właściwiej powiem, Chrystusowej, poczuliśmy się, jakby ogarnieni świętością jakąś, promieniejącą od oblicza tego prawdziwego namiestnika Chrystusa.

Ignacy Chodźko.

77. Astronomia Wojskiego.

Mrok gęstniał. Tylko w gaju i około rzeczki
W łozach błyskały wilcze oczy, jako świeczki,
A dalej, u ścieśnionych widnokręgu brzegów,
Tu i owdzie ogniska pastuszych noclegów.
Nareszcie księżyc srebrną pochodnię zaświecił,
Wyszedł z boru i ziemię i niebo oświecił.

Już naprzeciw księżyca gwiazda jedna, druga
Błysnęła; już ich tysiąc, już milion mruga.
Kastor z bratem Polluxem jaśnieli na czele,
Zwani niegdyś u Słowian: Lele i Polele,
Teraz ich w zodyaku gminnym znów przechrzczono:
Jeden zowie się Litwą, a drugi Koroną.

Dalej niebieskiej Wagi dwie szable błyskają:
Na nich Bóg w dniu stworzenia (starzy powiadają)
Ważył z kolei wszystkie planety i ziemię,
Nim w przepaściach powietrza osadził ich brzemię,
Potem wagi złociste zawiesił na niebie:
Z nich to ludzie wag i szal wzór wzięli dla siebie.

Na północ świeci okrąg gwiaździstego Sita,
Przez które Bóg (jak mówią) przesiał ziarnka żyta,
Kiedy je z nieba zrzucał dla Adama ojca,
Wygnanego za grzechy z rozkoszy ogrojca.
Nieco wyżej, Dawida wóz, gotów do jazdy,
Długi dyszel kieruje do polarnej gwiazdy.

Starzy Litwini wiedzą o rydwanie owym,
Że niesłusznie pospólstwo zwie go dawidowym,
Gdyż to jest wóz anielski. Na nim to przed czasy
Jechał lucyper, Boga gdy wzywał w zapasy,
Mlecznym gościńcem pędząc w cwał w niebieskie progi,
Aż go Michał zbił z wozu, a wóz zrzucił z drogi.
Teraz, popsuty, między gwiazdami się wala,
Naprawiać go Archanioł Michał nie pozwala.

I to wiadomo także u starych Litwinów
(A wiadomość tę pono wzięli od rabinów),
Że ów zodyakowy Smok długi i gruby,
Który gwiaździste wije po niebie przeguby,
Którego mylnie Wężem chrzczą astronomowie,
Jest nie wężem, lecz rybą: Lewiatan się zowie.
Przed czasy mieszkał w morzach, ale po potopie
Zdechł z niedostatku wody; więc na niebios stropie,
Tak dla osobliwości, jako dla pamiątki,
Anieli zawiesili jego martwe szczątki.
Podobnie pleban mirski zawiesił w kościele
Wykopane olbrzymów żebra i piszczele.

Adam Mickiewicz, (Pan Tadeusz).

78. Jak się tworzy rola?

Weź w rękę garść ziemi z ogrodu lub z pola i rozpatrz ją uważnie. Rozróżnisz w niej cząsteczki piasku i gliny wraz z kawałeczkami skruszonego kamienia, a zapewne także i trochę włókien roślinnych. Zobaczmy, jak te różne materyały nagromadziły się i pomieszały ze sobą. Wiemy już, że skały ulegają spustoszeniu, zniszczeniu; w samej jednak rzeczy, choć się one istotnie rozkruszają i przez to ich wielkość z roku na rok się zmniejsza, to przecież materyał, składający powierzchnię lądu, żadnej przytem nie doznaje straty. Materya skał nie ginie, zmienia tylko swoją postać i przenosi się na inne miejsca. Cóż się więc dzieje z tym materyałem, odrywanym ustawicznie od powierzchni lądu?

Wiadomo każdemu o chemicznem działaniu deszczu, skutkiem którego rozpuszcza on częściowo skały. Przy ciągłem powtarzaniu się tego działania przez cały szereg lat skały zostają nadzwyczajnie spustoszone i zgryzione. Ale oprócz tego działania chemicznego deszcz sprowadza inne jeszcze, mechaniczne skutki.

Patrz, co się dzieje, kiedy pierwsze krople grubego deszczu zaczynają padać na gładką powierzchnię piasku, naprzykład na piaszczyste wybrzeże rzeki. Każda spadająca kropla wyciska na tym piasku małe piętno, zostawia na nim lekko wklęsły ślad. To jeden przykład mechanicznego działania. Na gruncie pochyłym krople deszczowe staczają się, łączą się z sobą i razem zbiegają na dół, popychając przed

sobą lub unosząc cząstki piasku lub gliny. To także jest działanie mechaniczne, różne od chemicznego, którego przykład widzimy w rozpuszczaniu przez wodę cząstek cukru, soli albo jakiej skały. Każda kropla deszczu może wywierać albo którekolwiek z tych działań, albo oba razem. Nie dziwmy się, że deszcz może sprawiać tak wielkie zniszczenie na powierzchni skał. Rozpuszczając niektóre cząstki powierzchni, rozkrusza on przez to zewnętrzną warstwę, a następnie spłókuje i unosi jej cząstki i przez to wystawia na rozkruszenie warstwę, pod nią leżącą. Tą drogą sproszkowana część skały, popychana przez spływającą wodę deszczową, zsuwa się coraz niżej po powierzchni lądu. Część tego spłókanego materyału gromadzi się w spotkanych na drodze zagłębieniach gruntu, jak również na jego pochyłościach i na poziomych równinach, druga część zostaje uniesiona do rzek i jezior, a znaczna część dostaje się do morza albo wprost z wybrzeży albo wraz z wodą rzeczną.

Ten to właśnie rozkruszony kamień, zmieszany ze szczątkami roślin i zwierząt, tworzy to, co nazywamy gruntem roślinnym albo rolą. Muszą więc grunty różnych okolic różnić się pomiędzy sobą stosownie do rodzaju skał, z których powstały. Tak naprzykład z piaskowca wytwarza się grunt piaszczysty, wapień daje początek roli wapnistej, skały gliniaste — gliniastej.

Bez rozkruszania się skał i ich zamiany na rolę nie mógłby ląd być okrytym tak, jak jest obecnie, zielonym kobiercem roślinnym, bo rośliny czerpią z roli część swojego pożywienia. Gołe pokłady nieskruszonej skały nie mogłyby służyć za podłoże dla korzeni roślin. Materyał, z którego złożone są skały, musi zostać mniej albo więcej rozłożonym i pokruszonym, zanim rośliny będą mogły czerpać z niego potrzebne dla siebie części pożywne. Przy rozsypywaniu się skał powierzchnia ich zwykle pokrywa się warstwą żyznej roli tak w dolinach, jak i na równinach; tam tylko, gdzie skały wznoszą się nazbyt stromo i gdzie z tego powodu skruszone ich szczątki nie mogą się utrzymać i nagromadzić na ich powierzchni, pozostają one zawsze gołe i pozbawione roślinności.

Ponieważ rozkruszanie się powierzchni lądu trwa nie-

ustannie, przeto i tworzenie się gruntu roślinnego odbywa się ciągle. Gdyby było inaczej, gdyby raz utworzona na powierzchni lądu warstwa roli pozostała na zawsze na swojem miejscu nieporuszona i nieodnawiana, to rośliny wyczerpałyby z niej stopniowo wszystkie materyały ziemiste, potrzebne do ich życia. Z czasem ta wyczerpana warstwa roli nie mogłaby już wyżywić takiej roślinności, jaka dawniej na niej istniała. Ale grunt roślinny odnawia się ustawicznie, już to dostając nowy materyał, pochodzący z rozsypywania się sąsiednich skał, już to skutkiem rozkruszania się tak zwanego podłoża, to jest, tej warstwy skalnej, która leży bezpośrednio pod warstwą roli. Jakoż w miarę, jak deszcz i wiatry unoszą cząstki gruntu, leżące na jego powierzchni, rozkład i rozkruszanie się sięgają coraz głębiej i ogarniają nierozłożony jeszcze, czyli jak mówią, niezwietrzały pokład, leżący pod gruntem roślinnym; tym sposobem rola ciągle się odnawia od spodu. Nawet i kamienie, rozrzucone wśród roli, ciągle wietrzeją, to jest, rozsypują się stopniowo w proch i wytwarzają nowy grunt. Tym sposobem grunt roślinny odnawia się powolnie z dnia na dzień i zachowuje się w nim równowaga, konieczna dla utrzymania życia roślin.

Rośliny także przyczyniają się do wytwarzania i odnawiania roli. Korzenie ich rozchodzą się pomiędzy cząstkami skał, zapuszczają w ich szczeliny i rozluźniają ich masę. Gnijące włókna roślinne dostarczają kwasu węglowego i innych kwasów, przez co się kruszenie skały przyśpiesza, a oprócz tego wzbogacają one ziemię największą ilością znajdującej się w niej materyi organicznej. Zwyczajne dżdżownice, czyli tak zwane glisty ziemne, wyświadczają także wielką przysługę, bo mieszają ze sobą rozmaite cząstki gruntu, zagrzebują w nim liście i gałązki, przez co przyśpiesza się ich rozkład i zamiana na próchnicę, a nadto wydobywają na powierzchnię ziemi cząstki, leżące pod nią i potrzebujące zetknięcia z powietrzem, aby mogły użyźnić sobą rolę.

Zastanawiając się nad tem ciągłem niszczeniem i odnawianiem się gruntu, spostrzegamy, że w istocie rzeczy cała powierzchnia lądu odbywa nieustanną podróż do morza. Cząstki, odłączone od boków i grzbietów wysokich gór,

na odbycie tej podróży mogą potrzebować wiele setek albo nawet tysięcy lat. Mogą one najprzód przez długi czas leżeć na stokach gór, następnie uniesione przez deszcze i wiatry na dół w niziny, tworzą część ich roli, mogą być potem spłókane stamtąd, zabrane przez wodę i osadzone na dnie jakiej rzeki; zawsze jednak w końcu po wielu przystankach na swojej drodze dostają się do morza i rozpościerając się na jego dnie, tworzą na niem warstwy piasku lub mułu.

79. Anna Rakuszanka.

Anna, pierwsza małżonka Zygmunta III., króla polskiego i szwedzkiego, a matka Władysława IV., była córką arcyksięcia Karola styryjskiego. Urodzona w r. 1573., w 19. roku życia zaślubiła Zygmunta III. (r. 1592). Była dobrą żoną i matką, cichą, pracowitą, pobożną, prawdziwą opiekunką ubogich i nieszczęśliwych. Wszystkim czynić dobrze, pocieszać nieszczęśliwych bez różnicy stanu i wieku, a dopełniać tego z największą delikatnością, było zadaniem królowej Anny. Następujące zdarzenie może być dowodem prawdziwej miłości bliźnich w tej monarchini.

Pewnej niedzieli królowa udała się na sumę do św. Krzyża, na Krakowskiem Przedmieściu. Świątynia ta nie była wtedy tak okazałą, jak jest dzisiaj, owszem, był to niewielki drewniany kościół, na którego miejscu w pierwszej połowie XVII. wieku wystawiono teraźniejszy wspaniały przybytek Boży. Otóż u św. Krzyża z powodu parafialnego święta był wtedy odpust, a kazanie miał mieć nadworny kaznodzieja i ulubiony spowiednik królowej, słynny ze swej wymowy Piotr Skarga. Gdy po skończonem nabożeństwie królowa siadła do karety, żeby wracać do zamku, stangret, znudzony długiem czekaniem, zaciął konie, a te szybko poniosły powóz. Wtem dał się słyszeć okropny krzyk, następnie jęk; powóz przejechał jakiegoś człowieka, skutkiem czego ten złamał nogę. Królowa natychmiast wysiadła z powozu, kazała zawezwać nadwornego swego lekarza i opatrzyć nieszczęśliwego. Był to biedny wyrobnik, ojciec licznej rodziny, bo pięciorga drobnych dzieci, i właśnie wracał do domu, do wsi Ujazdowa pod Warszawą. Lekarz chciał prze-

nieść chorego do poblizkiego szpitala, ale ten błagał, aby go odniesiono do domu, do jego rodziny. Królowa chciała, ażeby go umieszczono w jej karecie, i sama chciała udać się z nim do jego mieszkania, by go pielęgnować w chorobie; zaledwie zdołali ją dworzanie nakłonić do powrotu do zamku, a lekarz upewnił, że najgorliwiej zajmie się chorym, oraz, że temu choremu nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Wróciwszy do zamku, królowa była bardzo smutna, podczas obiadu prawie nie jadła, po południu wezwała swego lekarza i najtroskliwiej go wypytywała o stan chorego. Lekarz upewnił królowę, że za kilka tygodni chory będzie zupełnie zdrów. Bardzo ją to martwiło, że przez kilka tygodni biedak ów chory oprócz cierpienia będzie wystawiony wraz ze swoją rodziną na dotkliwą nędzę, nie mogąc nic zapracować. Postanowiła zatem dopomódz mu, pocieszyć go i uspokoić. Przed wieczorem wezwała do siebie przełożoną jednego z klasztorów, przy którym znajdował się szpital. Gdy ta przybyła, królowa zaczęła z nią rozmawiać o przygodzie z owym wyrobnikiem, następnie prosiła zakonnicy, żeby się dowiedziała, gdzie on mieszka, i udała się nazajutrz do niego doglądać go w chorobie, przekonać się o jego potrzebach, oraz zapewnić, że w czasie jego choroby tak jemu, jak i jego rodzinie na niczem zbywać nie będzie. W końcu królowa zapytała się przełożonej:

— Zapewne, wielebna matko, gdy wychodzisz z klasztoru, towarzyszy wam zwykle jedna z sióstr zakonnych?

— Tak jest, najjaśniejsza pani.

— Czy niema w waszym klasztorze zakonnicy mego wzrostu i postawy?

— Jest jedna zupełnie podobna.

— Otóż, wielebna matko, raczcie jutro rano przed 9. przyjść do mnie do zamku i przynieść ze sobą habit owej zakonnicy.

— Czy Wasza Królewska Mość myśli przebrać się weń i udać się ze mną do tego chorego?

— Tak, wielebna matko, muszę to uczynić, sumienie nie daje mi spokoju. Ten biedny ojciec licznej rodziny dotknięty jest ciężkiem i długiem cierpieniem, on i jego rodzina są w niepokoju o swe wyżywienie; tylko u łoża jego boleści mogę mu wynagrodzić wyrządzoną mimowoli krzywdę.

— Lecz po co Wasza Królewska Mość ma się aż sama trudzić do tego biednego człowieka: to może kto inny za nią wykonać.

— Nie, wielebna matko, ja powinnam sama udać się do do niego. W obliczu Boga niema różnicy stanów. Proszę cię zatem, nie wspominaj nikomu o naszej rozmowie i przyjdź jutro o 9-tej z rana.

Nazajutrz o umówionej godzinie królowa Anna, przebrana w habit zakonny, wraz z przełożoną udała się pieszo Krakowskiem Przedmieściem do Ujazdowa. W ręku niosły zawiniątka, w których znajdowały się różne rzeczy, przeznaczone dla chorego i jego rodziny. Droga ich nie była bardzo przyjemna, albowiem Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat wtedy bardzo nędznie były zabudowane małymi, drewnianymi dworkami, nie posiadały owych wygodnych chodników, nawet wcale nie były brukowane; a że w nocy padał deszcz ulewny, zatem pełno było kałuż i błota. W drodze spotkał je jakiś powóz i o mało co nie przejechał zakonnicy i jej towarzyszki, przyczem obryzgał je od stóp do głowy błotem. Oburzona tem zakonnica, już chciała zgromić nieuwagę jadących, gdy jej towarzyszka, pociągnąwszy ją za rękaw, szepnęła do ucha:

— Na miłość Boską, daj pokój, wielebna matko; to jedna z naszych dam dworskich: mogłaby nas poznać.

Wkrótce stanęły przed mieszkaniem chorego. Była to biedna chata, nawpół zapadła w ziemię. W niewielkiej izbie, na tapczanie, pokrytym słomą, leżał wyrobnik; obok niego siedziała jego żona, dzieci i kilku sąsiadów. Wszyscy ubolewali nad nieszczęściem wyrobnika i litowali się nad losem biednej jego rodziny.

Nagle rozmowa została przerwana wejściem do izby dwóch zakonnic; wszyscy spojrzeli na nie z zadziwieniem, lecz starsza z nich, postąpiwszy naprzód, rzekła:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków! — odpowiedzieli obecni.

— Jak się macie, bracie? — zapytała starsza zakonnica, przybliżając się do łoża chorego. — Dowiedziawszy się o waszem nieszczęściu, przyszłam z moją towarzyszką od-

wiedzić was, a jeśli pozwolicie, to i doglądać, gdyż to jest jednym z naszych obowiązków.

— Królowa — rzekła młodsza zakonnica, dotąd nieśmiało stojąca u drzwi i starająca się opanować przejmujące ją wzruszenie — niezmiernie jest zmartwiona waszem nieszczęściem, którego niechcący stała się powodem. Przysłała nas, abyśmy się przekonały, czego wam i waszej rodzinie potrzeba; kazała też upewnić was, że starać się będzie, ażeby wam przez cały czas choroby na niczem nie zbywało, żebyście się z tego powodu bynajmniej nie frasowali, tylko słuchali lekarza, który ma codziennie dwa razy was odwiedzać. Czy już był dzisiaj?

— Nie jeszcze — odpowiedziała gospodyni — ma przybyć przed południem.

— Trzeba nam się śpieszyć, żeby nas tutaj nie zastał — szepnęła młodsza zakonnica do ucha swej towarzyszki.

— Bogu niech będą dzięki i chwała! — zawołał chory. — Kamień spadł mi z serca, gdy jestem spokojniejszy o los mojej kobiety i dzieci! Niech Bóg błogosławi naszej dobrej królowej! Prawdę o niej mówią ludzie, że to bardzo dobra i miłosierna pani!

Mocny rumieniec wystąpił na twarz młodszej zakonnicy, spuściła oczy w ziemię i zadrżała, ale tłumiąc wzruszenie, rzekła:

— Musimy was na teraz opuścić, ale moja towarzyszka wkrótce powróci i będzie was doglądała, a tymczasem, weźcie to, matko — dodała, zwracając się do gospodyni i podając jej różne przedmioty, znajdujące się w zawiniątkach.

Wtedy dały się słyszeć przyśpieszone kroki, otworzyły się drzwi izby i wszedł stangret dworski, ów sprawca wszystkiego złego. Z płaczem postąpił ku choremu i wyciągając ku niemu błagalne dłonie, rzekł:

— Bartłomieju! wybaczcie mi, że wam tyle złego narobiłem. Sumienie nie dało mi ani chwilki spokoju... przybiegłem was przeprosić. Bóg świadkiem, żem to uczynił niechcący, przez pośpiech i nieuwagę. Ale cóż to! czy mię oczy mylą? — zawołał wpatrując się w młodszą zakonnicę. — Nie... tak... to ona! to nasza królowa i najmiłościwsza pani — dodał, padając na kolana przed młodszą zakonnicą.

Wszyscy poszli za jego przykładem. Nastąpiła rozrzewniająca scena, nawet chory chciał się podnieść ze swego posłania; lecz królowa Anna szybko postąpiła ku niemu, wstrzymała go i poleciła, by leżał spokojnie, a zwracając się do obecnych, rzekła łagodnie:

— I cóż was tak zadziwia? To tylko obowiązek chrześcijański. Chociaż jestem królową, ale Bóg każe mi widzieć nawet w najbiedniejszym człowieku mego brata i mieć współczucie nad jego niedolą. Potrzebujecie lepszego posłania, ubrania, sprzętów, pożywienia; jutro najdalej będziecie je mieli. Nadto kupię dla was poblizki ładny dworek z ogrodem, gruntem i wszelkiemi potrzebami, żeby wam choć w części wynagrodzić wyrządzoną krzywdę. A teraz bądźcie zdrowi, niech Bóg was zachowa w swej świętej opiece.

Po tych słowach szybko wyszła królowa i powróciła z zakonnicą do zamku. Dzięki pomocy królowej, pielęgnowaniu zakonnicy, troskliwości lekarza i pomocy Boskiej, chory za dwa miesiące był zdrów zupełnie i przeniósł się do swej nowej własności. Cała jego rodzina błogosławiła królowę i codziennie modliła się za nią do Boga. Lecz już w następnym roku (1598) Anna z niewysłowionym żalem króla i narodu przeniosła się do wieczności.

80. Poranek mglisty.

Nieznacznie z wilgotnego wykradał się mroku
Świt bez rumieńca, wiodąc dzień bez światła w oku.
Dawno wszedł dzień, a jeszcze ledwie jest widomy:
Mgła wisiała nad ziemią, jak strzecha ze słomy
Nad ubogą Litwina chatką. W stronie wschodu
Widać z bielszego nieco na niebie obwodu,
Że słońce wstało, tędy ma wstąpić na ziemię;
Lecz idzie niewesoło i po drodze drzemie.
Za przykładem niebieskim wszystko się spóźniło
Na ziemi. Bydło późno na paszę ruszyło
I zdybało zające przy późnem śniadaniu.
One zwykły do gaju wracać o świtaniu;
Dziś, okryte tumanem, te mokrzyce chrupią,
Te, jamki roli kopiąc, parami się kupią
I na wolnem powietrzu myślą użyć wczasu,
Ale przed bydłem muszą powracać do lasu.
I w lasach cisza. Ptaszek zbudzony nie śpiewa;

Otrząsnął pierze z rosy, tuli się do drzewa,
Głowę wciska w ramiona, oczy znowu mruży
I czeka słońca. Kędyś, u brzegów kałuży,
Klekce bocian; na kopcach siedzą wrony zmokłe,
Rozdziawiwszy się, ciągną gawędy rozwlokłe,
Obrzydłe gospodarzom jako wróżby słoty.
Gospodarze już dawno wyszli do roboty.
Już zaczęły żniwiarki swą piosnkę zwyczajną,
Jak dzień słotny, ponurą, tęskną, jednostajną,
Tem smutniejszą, że dźwięk jej w mgłę bez echa wsiąka.
Chrząsnęły sierpy w zbożu, ozwała się łąka.
Rząd kosiarzy otawę siekących wciąż brząka,
Pogwizdując piosenkę; z końcem każdej zwrotki
Stają, ostrzą żeleźca i w takt kują w młotki.
Ludzi we mgle nie widać; tylko sierpy, kosy
I pieśni brzmią, jak muzyk niewidzialnych głosy.

Adam Mickiewicz. (Pan Tadeusz).

81. Bielany pod Krakowem.

O milę od Krakowa w kierunku zachodnim wznosi się nad Wisłą góra urwista, 326 metrów wysoka, borem gęstym porosła, z której wierzchołka roztaczają się przed okiem wędrowca niezwykle piękne i rozległe krajobrazy. Zwano ją ongi Bielniszą, lecz w pierwszym dziesiątku XVII. stulecia nazwa ta znika, natomiast góra otrzymuje nazwę Srebrnej. Zmianę tę sprowadziły okoliczności następujące:

Żył za króla Zygmunta III. Mikołaj Wolski, magnat w całem znaczeniu, senator, człowiek niezwykle wykształcony, o którym jeden z dawnych pisarzy taki sąd wyraża: »Wszystkie prawie w Europie królestwa zwiedził, jako podczaszy lat 16 na dworze cesarza niemieckiego Rudolfa spędził, od króla Zygmunta do papieża, do cesarza, do księcia florentyńskiego w poselstwie jeździł, skąd i sławę imienia swego i znaczne wyniósł królewskich łask dowody. Zgoła był pan cnót wielkich, na mądrych ludzi łaskaw, na ubogich i szpitale miłosierny«.

Ów tedy zacny mąż posłując razu pewnego od króla Zygmunta III. do papieża Klemensa VIII., upodobał sobie zakon św. Romualda, inaczej zakonem Kamedułów zwany, osiadły w pustyni *Montis coronae* pod Perugią, a upodobawszy, zobowiązał przełożonego zakonu, że mu kilku do

Polski zakonników przyśle, gdyż w Polsce jeszcze tego zgromadzenia świątobliwego nie znano. Sam natomiast przyrzekł, iż dla zakonników klasztor wybuduje i hojnie ich uposaży. Jakoż wróciwszy do kraju, długo upatrywał właściwego miejsca na budowę klasztoru. Najdogodniejszą wydała mu się góra Bielnisza pod Krakowem, będąca podówczas własnością Sebastyana Lubomirskiego, kasztelana wojnickiego. Lubomirski z początku ustąpić góry nie chciał, lecz Wolski dopóty nalegał, aż też swego dopiął. Razu pewnego przy wieczerzy, kiedy Wolski nalegania ponowił, Lubomirski rzekł:

— Ano, mój marszałku, masz w herbie »Półkozica«, a jesteś uparty, jak cała koza. Niech cię nie znam. Wiedz, że za żadne pieniądze nie sprzedałbym tego ustronia; ale kiedy ma się to przyczynić ku chwale Bożej, bierz górę ze wsią przyległą, jeno pod warunkiem.

— Jakim? — zapytał skwapliwie Wolski.

— Bez pieniędzy, jako darowiznę przyjacielską.

— Zgoda — rzekł Wolski — ale także pod warunkiem że ja się waszeci, kasztelanie, również upominkiem przyjacielskim odwdzięczę.

Przystał kasztelan, niezwłocznie akt darowizny podpisał; w kilka dni zaś potem otrzymał od Wolskiego wielką liczbę naczyń stołowych srebrnych. Z powodu tej zamiany góra otrzymała nazwę Srebrnej.

Wkrótce potem Wolski na szczycie góry rozpoczął budowę wspaniałego i obszernego klasztoru z kościołem. Przybyli z Włoch Kameduli otrzymali od niego nietylko górę i wieś przyległą, ale jeszcze wsi Mników, Ryczówek i Malec oraz po 5000 złotych polskich przez 10 lat na ukończenie budowy świątyni.

Wolski umarł w Przemyślu 1630. r., a jak był w życiu swojem w stroju i we wszystkiem umiarkowany, i przy pogrzebie również wszelkiej pompy zakazał. Zwłoki jego pochowano w owym ufundowanym przez niego klasztorze Kamedułów przy wielkich drzwiach kościelnych.

Z biegiem czasu góra znów zmieniła nazwę: zarówno ją, jak i wieś, przezwano Bielanami, zapewne od białych szat zakonników. Bo i Kamedułę zwano dawniej nie inaczej, tylko Bielanin.

Kościół bielański jest cennym zabytkiem dawnego bu-

downictwa; zdobią go liczne marmury, ma pod sobą jakoby drugą świątynię, gdzie chowani są zakonnicy. Z galeryi obok wrot klasztornych, oraz z altanki za cmentarzem i pustelnią roztaczają się dziwnie urocze widoki. Od strony zabudowań klasztornych spuszczają się do lasu ku brzegom Wisły cztery tarasy; na ich powierzchni urządzono ogród warzywny, a pod nimi ciągną się długie, pięknie sklepione korytarze.

Bielany krakowskie za lat dawnych chętnie odwiedzali monarchowie. W roku 1655., kiedy nad Polską zawisła nawała szwedzka, schronił się tu nawet król Jan Kazimierz Waza. Niedługo jednak pozostawał. Karol Gustaw zająwszy Warszawę, podążył za nim, zajął Kraków, o czem zawiadomił Jana Kazimierza pożar wzniecony na przedmieściach przez Czarnieckiego. Łuna krwawem morzem rozlała się po niebie, odblaski jej złowrogo się snuły po łanach, wszywały w gąszcza leśne, pełzały po murach bielańskiego klasztoru. Przerażony i zbolały Jan Kazimierz osłupiałym wzrokiem wpatrywał się w pełen grozy obraz, stojąc na przedsieniu klasztornem w otoczeniu wiernych dworzan.

Srogiego obejścia doznali wtedy Kameduli od Szwedów, którzy klasztornego schroniska nie omieszkali napaść, znieważyć i splondrować, a ich samych rozpędzić. Biedni zakonnicy musieli się tułać i dopiero po ustąpieniu Szwedów wrócili do klasztoru.

Wracając do Bielan, odwiedził je z monarchów polskich jeszcze August II. w r. 1706., dni cztery na rekolekcyach w tygodniu Wielkim przepędził i dopiero na samą Wielkanoc do Krakowa wrócił.

Bielany krakowskie doczekały się swego poety w osobie Franciszka Wężyka. W poemacie opisowym p. t.: »Okolice Krakowa«, który to poemat w swoim czasie dużym cieszył się rozgłosem, poświęcił im dłuższy ustęp. Poznać z niego można, jak głęboko odczuł Wężyk urok schroniska świątobliwych zakonników.

82. Matejko.

Znakomity ten mąż, którego sława wybiegła daleko po za ziemie słowiańskie, urodził się w Krakowie w r. 1838.

i na chrzcie otrzymał imiona: Jan, Alojzy. Już od wczesnych lat dziecięctwa swego chwytał za ołówek i papier, aby rysować dobrze lub mniej znane sobie przedmioty. Na to zamiłowanie małego Jasia do rysunków starsi patrzyli pobłażliwie, jako na rozrywkę pożyteczną. Nieraz, gdy inni rówieśnicy przyszłego twórcy »Kazania Skargi« biegali z krzykiem i śmiechem po dziedzińcu, na pustej zabawie czas tracąc, on zaczytany w »Śpiewach historycznych« Niemcewicza, marzył, jakby to było pięknie dodać do nich obrazki, odtworzyć ołówkiem lub pendzlem ich bohaterów. W wyobraźni chłopczyny stawał Jagiełło, Witołd, Krzyżacy butni, przesuwali się, jak żywi, wielcy rycerze, uczeni, sławni monarchowie, gwarni dworzanie, wojsko z przed wieków, lud, panowie, mieszczaństwo. Jak w czarodziejskiej latarni, tak w młodej wyobraźni zmieniały się obrazy, a co jeden, to piękniejszy, doskonalszy niż drugi. Wcześnie oddany do gimnazyum św. Anny w mieście rodzinnem, uczy się pilnie; ale ulegając nieprzepartej skłonności do malarstwa, w czternastym roku życia wstępuje do krakowskiej Szkoły Sztuk pięknych. Niestrudzony w studyach, pilny w pracy, nie marnujący ani chwili drogiego czasu, już w szesnastym roku życia z zapałem rzuca na płótno pierwsze próby genialnego swego talentu. Niebawem maluje obrazy, które zwracają nań uwagę ogólną. Są nimi: »Wjazd Henryka Walezego do Krakowa«, »Jagiełło modlący się pod Grunwaldem«, »Starowolski z Karolem Gustawem przed grobem Łokietka«.

Prace te utalentowanemu, lecz ubogiemu młodzieńcowi zapewniają stypendyum, które pozwala mu na wyjazd za granicę dla dalszego kształcenia. Tutaj zatrzymał się dłużej w Monachium i z wielką pracowitością zaczął studyować sztukę malarską. Owocem tych studyów był obraz »Otrucie królowej Bony«, uwieńczony wkrótce nagrodą akademicką, medalem bronzowym. Po krótkim następnie pobycie w Wiedniu Matejko powrócił na stały pobyt do Krakowa.

Następuje okres najświetniejszej twórczości mistrza; stanął on odrazu u szczytu przez namalowanie »Kazania Skargi«, tego przedziwnie pięknego obrazu, z którego zdaje się widzowi, że na wskrzeszoną przeszłość patrzy, że widzi dwór królewski i natchnionego kapłana, karzącego ognistem

słowem prywaty, przywary i wady jego. »Grzechy wasze są zgubą waszą« zda się grzmieć w uszach widza, gdy patrzy na wspaniałą, wyniosłą, uduchowioną i przenikniętą pozaświatową pięknością i świętością postać Skargi. Dzieło to mistrza Matejki, wystawione w Paryżu wśród obrazów malarzy całego świata, zdobyło pierwszą nagrodę — medal złoty. Sława wielkiego artysty obiegła wtedy obie półkule, imię jego stało się znanem i czczonem. Matejko z pokorą, bez uniesienia się dumą, przyjmuje hołdy i uznanie, którem go darzą swoi i obcy; skromny, pracowity, z modlitwą na ustach witający ranek i żegnający wieczór, może służyć za wzór dla tych, którzy dzieła małej pracy stworzywszy, chodzą, jak pawie, napuszeni i każą się podziwiać. Jemu obcą była zarozumiałość, matka ludzi o umysłach płytkich i duszach poziomych, obcą pycha i chęć przewodzenia innym. Zamknięty w swej pracowni, od świtu do późnej nocy, nie wypuszczał ołówka i pendzla z ręki, dążąc wciąż naprzód po drodze do doskonałości w ukochane przez się sfery ideału, w dziedziny prawdziwego i przedziwnego piękna. Świadczy o tem szereg arcydzieł, któremi świat obdarzył, jak »Wit Stwosz«, »Jan Kochanowski nad zwłokami Urszulki«, »Kopernik w swej pracowni«, »Bitwa pod Grunwaldem«, »Hołd pruski«, »Batory pod Pskowem« i wiele innych pomniejszych, niemniej jednak odtworzonych genialnie i na podziw przyszłym pokoleniom.

W roku 1873. Akademia sztuk pięknych w Pradze czeskiej, czcząc w Matejce najpierwszego malarza historycznego, zaprosiła go na swego dyrektora; ale mistrz odmówił, bo on tylko wśród swoich i dla swoich pragnął pracować. Na nic się zdały namowy pobratymców Czechów i świetne a zaszczytne propozycye materyalnego i moralnego wynagrodzenia; mistrz pozostał w murach Krakowa, który ukochał, i wśród którego pragnął zamknąć oczy do snu wiecznego.

W tymże samym roku 1873. powołano mistrza na stanowisko dyrektora Szkoły Sztuk pięknych w Krakowie. Nie odmówił i pracował jako nauczyciel młodych z rzadką sumiennością, jednając sobie ich serca i zostawiając zaszczytną pamięć, że byli jego uczniami; umarł w r. 1893.

Uosobieniem pracy i skromności był Matejko; przekona nas o tem opowieść ś. p. Tytusa Maleszewskiego, również wybitnego artysty-malarza, serdecznego przyjaciela mistrza.

»Do śmierci nie zapomnę chwil spędzonych z nim w Paryżu w r. 1870. Malarstwo polskie święciło wówczas dzięki Matejce tryumf. Mieszkałem wtedy w Paryżu stale. Paryski Salon sztuk pięknych już dawniej przyznał Matejce wielki medal złoty za »Kazanie Skargi«, jedno z jego arcydzieł, on zaś tem zachęcony, postanowił znów spróbować szczęścia. Właśnie wykończył »Unię Lubelską« i to dzieło genialne zamierzał wystawić w Salonie. Zapytał mnie listownie o radę; oczywiście gorąco przyklasnąłem zamiarowi, a wiedząc, że Matejko w życiu codziennem, jak większość geniuszy, był nieobrotny, przyrzekłem ułatwić mu wszystko.

»Unia Lubelska« przybyła z Krakowa i odrazu zrobiła ogromne wrażenie. Francuzi (bez przesady mówię) poprostu osłupieli na widok tak olbrzymiego płótna, ale niemniej zachwyciła ich treść i wykonanie. Fleury, wielki znawca malarstwa, który z gronem innych znawców oceniał, czy obraz wart jest wystawienia w Salonie, rzekł do mnie:

— Ależ to prześliczne!

Dowiedziawszy się zaś, że obraz malował Polak, Matejko z Krakowa, podchwycił:

— Ach, Matejko! »Kazanie Skargi«... Wielki medal złoty! Wiem, pamiętam! Naturalnie taki mistrz nie może czego innego tworzyć, tylko arcydzieła.

Znawcy jednomyślnie orzekli, aby »Unię« umieścić w sali honorowej. Już to samo było wielkiem zwycięstwem, bo Francuzi dla obcych nie nadto są względni, a raczej szczerze mówiąc, traktują ich z lekceważeniem. Niezwłocznie zająłem się umieszczeniem obrazu w sali przeznaczonej, co do rzeczy łatwych nie należało, bo dla płótna tak olbrzymich rozmiarów potrzeba miejsca. Załatwiłem się jednak szczęśliwie i niezmiernie uczułem się dumnym, spostrzegłszy, że obraz podbił wybrednych Francuzów. Przez cały dzień tłumy przed nim stały, podziwiając go z niekłamanym zachwytem. Serce mi wprost rosło, gdym widział, że uwielbienie dla arcydzieła z każdą niemal chwilą się zwiększa, i wierzaj mi,

straciłem głowę z radości, dowiedziawszy się, że Matejce przyznano za obraz Legię honorową.

— Legię honorową! Zrozumiej to! Legia honorowa dla cudzoziemca — to we Francyi coś niebywałego!

Natychmiast zawiadomiłem o tem nadzwyczajnem zdarzeniu Matejkę, który domatorem będąc, siedział sobie najspokojniej w Krakowie. Po odebranie zaszczytnego odznaczenia przyjechać musiał. Jakoż przyjechał. Nie wątpisz, że przywitaliśmy się po bratersku; chciałem go wprost z kolei zawieźć do mieszkania, ale on na to:

— Przedewszystkiem pójdźmy do kościoła. Bóg pierwszy.

Zawiozłem go do najbliższego kościoła; tam się pomodlił i dopiero potem udaliśmy się do mego mieszkania.

Nazajutrz dał mi drugiego nosa. Budzę się, a widząc, że Matejko także nie śpi, wszczynam gawędę. Matejko nie odpowiada. Chcę go rozruszać, opowiadam o zachwycie Francuzów, o zdaniach znawców; on milczy, jak zaklęty. »Jakaś mucha usiadła mu na nosie — myślę sobie. — Czyżby się obraził? Ale o co?« Gdy tak myślę, patrząc z pod oka na Matejkę, ten wstaje, ubiera się, klęka, wciąż milcząc, i zaczyna się modlić. Skończywszy, uściskał mnie i rzekł serdecznie:

— Mój drogi Tytusie, nie gniewaj się, nie burcz. Od dzieciństwa mam zwyczaj pierwszą myśl moją i słowa pierwsze po spoczynku nocnym zwracać do Boga. Ślubowałem to sobie i jak widzisz, ślubu dotrzymuję. Taki oto ze mnie dziwak.

Przyznam ci się, że mnie zawstydził, upokorzył, ale zarazem zbudował.

Nadszedł dzień rozdania nagród. Otrzymaliśmy zaproszenie, które też oznajmiało, że uroczystość będzie urzędowa. Ubieram się tedy w strój galowy i ze zdumieniem widzę, że Matejko przywdziewa codzienny. Przekładam mu, tłómaczę:

— Bójże się Boga! Przecież to gala, a ty chcesz iść, jak do pracowni. Nie wypada, nie można!

Na to Matejko z zimną krwią:

— Nigdy w życiu fraka na sobie nie miałem i nigdy go nie włożę. Nie dla mnie salonowe dekoracye, poruszać się w nich nie umiałbym, czułbym się w nieswojej skórze.

— Wyjątek zrobić musisz, zastanów się!

— Gadanie — fuknął Matejko niecierpliwie. — Cóż to, na dudka chcesz mnie wystrychnąć? Na pośmiewisko dać? Jeżeli frakowi i rękawiczkom mają przyznać nagrodę, to upadam do nóg! Kwituję z takiej gali...

Widząc, że nic nie poradzę, dałem pokój. Matejko poszedł, jak stał, w ubraniu codziennem, nawet bez rękawiczek.

Nagrody rozdawano »od dołu«, to jest, od najniższej. Wreszcie prezes sędziów, Fleury, wśród ogólnej ciszy powiedział:

— Nagrodę najwyższą, Legię honorową, po raz pierwszy otrzymuje cudzoziemiec: zdobył ją Jan Matejko, Polak z Krakowa.

Tłumy zaczęły wiwatować na cześć Matejki, mnie serce mało piersi nie rozsadziło, tak biło silnie, a Matejko stał na wzniesieniu blady, a tak cichy, tak nieśmiały, tak wylękły nawet i zahukany, jak dziecko, które co zbroiło; lecz w tej jego nieśmiałości, pokorze było coś porywającego, wielkiego.

Z uczuciem błogości spoglądałem na wiwatujące tłumy, a z uwielbieniem na mistrza, który w tej chwili dziękował Bogu za sprawiedliwość ludzi i o tem myślał, że sława jego spłynie na kraj, na naród, czci mu i żywotności przysporzy.

83. Krakowiak.

Zapomniane skrzypki moje, zagrajcie od ucha!
Lasy, wzgórza i doliny, zapalcie w nich ducha,
Ducha w nich zapalcie, niechaj brzmią na okół,
A ty, myśli moja, podlatuj, jak sokół!
Już skowronek i jaskółka witają nas wiosną,
Rzućmy ziarno na tę glebę, a kłosy wyrosną!

Trzeba orać ziemię żyzną z wiarą i nadzieją,
Nie dbać na to, chociaż kwiecień zaszumi zawieją,
Zaszumi zawieją, lecz jak świeży ranek,
Rozpogodzi niebo maj — wiosny kochanek.
Dalej razem, jak te wołki, idźmy krok za krokiem,
Bo gdy zagon uprawiony, miło rzucić okiem.

Ty, fujarko, brzmij po drzewach, niech pękają liście,
Wtedy wtórem i las chórem zagra uroczyście;

Uroczyście zagra jakby przy niedzieli,
Jak piosnka kochanki serca rozweseli.
A więc skrzypki i fujarki, na ojczystej grzędzie
Razem grajcie, zgodnie, żwawo, a muzyka będzie!

Żyzna niwa kłosem pływa, kwiateczkami woni,
Tu się bławat patrzy w niebo, polny mak się płoni;
Polny mak się płoni, jużci wstyd go ima,
Że błyszczy purpurą, lecz zapachu nie ma.
O boć darmo, samym blaskiem nic się nie przymili,
Stokroć milsza jest pszenica, gdy kłos ciężki schyli.

Dalej, skrzypki! grajcie hucznie, Wisła dźwięk poniesie,
Na jej brzegach rosną lasy, słowiki są w lesie:
Słowiki są w lesie, na dzióbkach zanucą,
I całą naturę zbudzą, rozesmucą!
A gdy żniwo już skończymy, wtedy na dożynek
Wszyscy Bogu piosnkę świętą złożym w upominek.

Edmund Wasilewski.

84. Zielone Świątki na Bielanach.

O milę na zachód od Krakowa, tuż ponad Wisłą, leży wysoka góra, gęstym lasem pokryta, a na jej szczycie wśród zieleni wystrzelają dwie wieże bieluchne, panujące szerokiej okolicy — to Bielany.

Kościół z frontem z kamienia ciosowego, ozdobiony wewnątrz bogato czarnym marmurem dębnickim, otoczony jest obszernym eremem z domkami i ogródkami Kamedułów. Mur, opasujący część lasu, czepia się po urwiskach skał, wisi nad przepaścią i spuszcza się po stromej spadzistości, zadziwiając wędrowca śmiałością budowy. U stóp góry Wisła roztacza swą wstęgę; naprzeciwko sterczą nagie skały opactwa tynieckiego; w dali Lanckorona i Kalwarya na sinych zasiadły górach, a dalej jeszcze majaczeją Tatry. Ku wschodowi czerwienią się dachy Krakowa wśród drzew wieńca, a na jego krańcu piętrzy się dumnie królewski zamek, otoczony szeregiem topoli. Kto raz zwiedził Bielany krakowskie, ten zatrzyma do śmierci niezatarte tego widoku wrażenie.

A mieszkańcy Krakowa tłumnie używają tej rozkoszy trzy razy na rok: na Zielone Świątki, w dzień świętego

Gerwazego i Protazego (19. czerwca) i w dniu Wniebowzięcia Matki Boskiej. Wszelako Zielone Świątki najliczniej gromadzą pod cieniem drzew góry Srebrnej krakowskich gości.

Za rogatką zwierzyniecką od świtu gromadzi się mnóstwo lekkich wózków chłopskich; drabinki i chomonta przybrane w zielone gałązki i ustrojone polnymi kwiatami; hoże parobczaki, którym krew tryska ze świeżych, opalonych twarzy, niecierpliwią się, oczekując przybyszów. Od piątej godziny z rana już tłumy mieszkańców miasta ciągną ku rogatkom i wnet rozpoczyna się konkurencya między woźnicami:

— Po piętnaście groszy od osoby — woła jeden.

— Ja wezmę za dwanaście — krzyczy drugi.

— Niech panowie siadają po dziesięć — zaprasza trzeci.

Gwar, ścisk, targi, a co chwila wóz, naładowany podróżnymi, puszcza się gościńcem. Parobczak, stojąc na przodzie, strzela z bicza i jednym lejcem zręcznie kieruje końmi; pędzi, krzyczy, wymija, śmieje się, sypie konceptami, prześciga współzawodników, łając ich niezręczność, i stara się jak najprędzej dobiedz do celu, aby wysadziwszy jednych, wrócić po innych.

Tymczasem po wszystkich ulicach miasta przed domami stoją wozy chłopskie, również gałęźmi strojne; są to powozy, na cały dzień przez zamożniejszych wynajęte. Niekiedy jedna rodzina dwa bierze wozy. Na dole dzieci poubierane oczekują z utęsknieniem chwili, w której będą mogły wsiąść na wóz, a tymczasem służące znoszą różne wiktuały. Więc pieczyste różnego rodzaju, sławne miejscowe placki z serem, mazurki, baby, tu kosz piwa, tam kilka butelek wina, stosownie do stanu i zamożności; ale nie tylko zamożni i niezamożni rzemieślnicy, ale i bogaci kupcy i właściciele domów nie wstydzą się drabiniastych ekwipaży, boć jadą na Bielany nie dla pokazania swej zamożności, ale dla spędzenia wesołej majówki. I tak ruszają jedni za drugimi, a cały gościniec, od rogatki do Bielan, literalnie zatłoczony jest tysiącem wozów, wózków i bryczek.

A w lesie bielańskim ludno i gwarno. Jak okiem zasięgniesz, mnóstwo osób: tu namioty z kawą, herbatą, pomarańczami, winem i przekąskami; tam różnego rodzaju

towary odpustowe, więc koronki, szkaplerze, książki do nabożeństwa, obrazki, pierścionki, krzyżyki i korale szklane najrozmaitszych barw; tu znów stoliki, krzesełka, kolebeczki, szafki, komódki, wózki, siekierki drewniane, dzwonki gliniane, gwizdki, garnuszki, ryneczki; obok kukiełki, placki »mosiężne« z Liszek, przysmak włościański. Gdzie tylko obok siebie dwa drzewa niezbyt daleko stoją, tam zaraz huśtawka; przy każdej parobczaki, a huśtają za grosz, za dwa, za trzy, za ile kto chce.

Nieco dalej od zgiełku odpustowych kramarzy, szeroko po lesie aż po mury pustelni porozścielane są gęsto dywany. Każdy dywan, to siedziba jednej rodziny. Wedle gustu i dogodności każdy wybiera sobie stosowne miejsce i rozkłada się taborem. Od głębi lasu, ścieżkami od skał Panieńskich i mogiły Kościuszki, ciągną lubownicy wiosennych przechadzek i śpiewu słowików. Rośnie liczba przychodniów i więcej, niż połowa ludności miejskiej, mieści się w bielańskim lesie. Bo też miasto zupełnie osamotnione; oprócz lekarstwa w aptece, za żadne pieniądze niczego nie dostaniesz, wszystkie sklepy, cukiernie, szynki na głucho pozamykane, wszystko na Bielanach.

Wtem dzwony kościelne wzywają wiernych na nabożeństwo; ani kościół ani dziedziniec obszerny nie mogą pomieścić przybyłych. Największa część słucha nabożeństwa pod gołem niebem, pod majowem słońcem, przy śpiewie ptasząt leśnych, a w tem gwarliwem zgromadzeniu tak urocza cisza panuje, że słychać każdy dźwięk dzwonka mszalnego i z głębi świątyni przedziera się głos kaznodziei. Wietrzyk tylko szeleści w liściach drzew lub niesforne ptaszę krzykliwym głosem ciszę przerywa.

Po skończonem nabożeństwie wszystko wraca do lasu. Tam już skrzętni słudzy przygotowali posiłek; po drodze napotyka się znajomych, więc jedni drugich zapraszają wzajem i odbywają się przygodne wizyty.

Swoboda, wesołość niewymuszona są duszą tej miłej rozrywki. Tu grają starzy wspólnie z dziećmi w gry rozmaite; tam gosposia nalewa wonną kawę; ówdzie zasiadło wkoło grono przyjacielskie na trawniku i wiedzie gwarne rozmowy. Przychodni żebrak nie odejdzie bez posiłku; śpiewa wesoło

dziatwa, bujają huśtawki, gra muzyka melodye narodowe, dzień rozkosznie upływa.

Słońce schyla się ku zachodowi. Już widać dokoła ruch do powrotu: zajeżdżają wózki mniejsze, woźnice trzaskają z biczów, konie rżą, ludzie śmieją się, żartują, żegnają, dzieci hałasują, wrzawa wzmaga się, huśtawki szybciej bujają, muzyka raźniej dogrywa; wszystko czuje, że blizki koniec rozrywki, że śpieszyć się trzeba, aby wesoło użyć ostatnich chwil majówki. Nakoniec karawany wędrowne puszczają się z powrotem, zmierzch zapada i gwar się uśmierza. Kobiety już z rodzinami opuściły urocze ustronie; młodzież tylko, stanowiąca tylne straże majówki bielańskiej, wraca tłumnie, licznemi gromadkami, ochoczo i wesoło, śpiewając zgodnymi chóry przeróżne pieśni. *W. L. Anczyc.*

85. Paroch.

Ojciec Cyryla, którego dziad i pradziad przesiedzieli na jednem wiejskiem probostwie, nie był pokaźnym ani sławnym, ale w istocie na swem miejscu wielkim człowiekiem i na wszelkiem stanowisku, jakieby zajął, równieby się odznaczył. Uczył się czytać na Piśmie Świętem, nie znał nic nad nie i Ojców Kościoła, świata mało, kątek swój, swoich parafian i obowiązki, ale nie zazdrościł nikomu i zdawało mu się, że berło piastuje...

Napojony przekonaniem, że powołanie jego świętem było i wielkiem, że życie całe i siły poświęcić mu było trzeba, oddał mu się duszą i sercem. Pokochał lud, któremu przewodniczył, służył mu, zapomniawszy o sobie. To też więcej tam był, niż proboszczem — gospodarzem, ojcem, sędzią, pośrednikiem, stróżem, a plebania dniem i nocą stała dla wsi otworem i nie było doby, nie było nocy, by ktoś do niej nie zapukał, przychodząc po radę, pociechę, pomoc, słowo, modlitwę.

Miał jednego tylko syna, Cyryla, i dla niego spuszczał się na Opatrzność Bożą, braterstwo ludzi, pracę własną; na swą starość nie miał obawy o chleba kawałek; żona zresztą podzielała jego spokój i często w ich śpiżarence ubogiej, gdy ostatni garniec mąki na podsitkowy chleb wychodził,

uśmiechano się tylko do opróżnionej bodni, jakby z ciekawości, kto też ją napełni, nie wątpiąc, że ręka Boża czyjąś tam dłonią przysypie. Nigdy też nie zabrakło chleba, bo się nim dzielono z ubogim i z chłopkiem i z psem nawet bezpańskim, co głodny zawył przed wrotami. Dobrodziejka tak była miłosierna, jak on sam, a że się nie wstrzymywali oboje, robili więcej dobrego od wielu zamożniejszych.

— Jak jejmość myślisz — mówił paroch, widząc nagiego dziada pode drzwiami — niema mu co dać, a stary płaszcz, którym ja się w nocy okrywam, wcale niepotrzebny, to czysty zbytek chować go... Możnaby mu go dać, a jabym się wyśmienicie okrył kilimkiem.

— Ale zapewne, mój ojcze... — odpowiadała księdzowa — i stary i dziurawy, a kilimek cieplejszy; u nas to się wala, a dla ubogiego to będzie wielka rzecz taki przyodziewek, nie zmarnuje się łachman przynajmniej.

I we dwoje wynosili potem stary płaszcz, a nieraz pod równie dobrym pozorem i co nowszego. Ktoś im był parę łyżek srebrnych darował, ksiądz je bardzo lubił, leżały schowane w szufladzie z najdroższymi sprzęty; ale przyszła wiosna głodna i jedną jejmość sama wyniosła ukradkiem, aby zboża kupić dla chłopka, drugą, tając się, ksiądz sprzedał na wołu do sochy, którą księgosusz rozprzęgał ubogiemu; oboje kryli się przed sobą, a gdy nareszcie prawda wyszła na wierzch, uściskali się w milczeniu.

— A po co próżno miały w szufladzie leżeć!... — zawołali oboje — tak lepiej.

Życie poczciwego parocha płynęło spokojnie i jednostajnie, jak mało jemu podobnych. Raniuchno dzwonek budził go do cerkiewki, w której codzień mszę świętą odprawiał; schodzili się na nią: żona, domownicy, nie zajęci pracą w powszedni dzień, a często słuchali i wieśniacy starzy, których nie przynaglała robota; młodzi zaś, mijając wrota, zaszli przynajmniej pokropić się święconą wodą u progu, przeżegnać, westchnąć, myśli o Bogu zaczerpnąć na dzień znojny.

Paroch kochał swą cerkiewkę; codzień przede mszą i po mszy musiał ją obejść razy kilka i szczegółowo obejrzeć, czy gdzie nie było dziury w oknie, czy dach nie zaciekał, czy się co nie popsuło przy ołtarzach.

Swoją ręką poprawiał zaraz uszkodzenia, a gdy podołać im nie mógł, odwoływał się do parafian i w rzewnych wyrazach żądał pomocy, której mu nigdy nie odmówił lud, do niego przywiązany.

Zaraz po mszy św. powracał wolnym krokiem do plebanii, gdzie najczęściej u progu czekali już na niego różni ludzie z prośbami o radę. Zasiadał latem w ganku na ławie i tam odbywały się te poczciwe wiece, te sądy chrześcijańskie, które sobie miał za najświętszy obowiązek. Nieraz ojciec przychodził radzić się o dziecko, lub krnąbrne przyprowadzał, aby z ust staruszka prawdę usłyszało; żona przybiegała z żalem na męża, mąż na żonę, a gdy winnego powoływano, nigdy nie zaprzeczył tej władzy szanowanej, którą świętość parocha czyniła nienaruszalną. Słuchali go wszyscy chętliwie, a że cichemu jego i skromnemu życiu nic zarzucić nie było można, że czynności jego w zgodzie były z ewangelią, którą im czytał i wykładał, nigdy się żaden nie podniósł przeciw niemu.

Prosta to była postać, z twarzy do otaczających wieśniaków podobna, tem dla nich większa, że żyła ich życiem, w takiej prawie, jak oni, mieszkała chacie, tymże powszednim kontentując się chlebem, suknią szarą nie wynosząc się nad nich, ani pragnąc od nich oddzielić. Całą wielkość kapłana stanowiła świętość i zaparcie siebie dla drugich.

Chociaż musiał, jak wieśniak, na chleb swój pracować, bo od gromadki swej mógł mieć mało, a nic nie wymagał, stary pleban nie bardzo się zajmował gospodarstwem, a szło jedną łaską Bożą tak, że głodu nie cierpiał. Nie posłyszałeś tam skarg zbytnich na nieurodzaj i klęski, a gdy się nie powiodło, znalazła się zawsze jakaś misternie utworzona pociecha, by gorzki kęs osłodzić.

— Ot i dobrze!... — mówił paroch — chwała Bogu, że nie urodziło; człekby zbogaciwszy się, o Bogu zapomniał, nie miałby powodu doświadczenia pokory, z którą do poczciwych ludzi udać się musi o pomoc, a oniby zręczności nie mieli spełnić dobry uczynek... Wie Pan Bóg, co robi!

Było to jego ulubione, często powtarzane przysłowie, które, jak ogólne lekarstwo, do każdej przykładał rany.

Jeżeli, na ławie zasiadłszy, nie doczekał się nikogo z rana,

szedł potem z książką nabożną na pole, rzadko na swoje własne, częściej tam, gdzie pracowali ludzie, gawędził z nimi wesoło, czasem usiadłszy na snopie, zagadał się do południeńka i nierychło na plebanię powracał. Te jego pielgrzymki zawsze coś dobrego przyniosły; wesół i dobrej myśli pocieszył niejednego, rozgniewanego upamiętał i uspokoił, poważnionych zgodził, a czuwaniem tem wiązał się codzień ściślej ze swoją gromadką, która go miała za ojca. Jak najdalej go zobaczywszy, biegły do niego dzieci, pewne, że dla nich ma coś w kieszeni, lub przynajmniej przyjaźnie po twarzy poklepie, i gospodarz zawracał z drogi, gospodynie śpieszyły do drzwi na jego spotkanie.

W tych pielgrzymkach upływał czas do obiadu; a w chacie, którą nawiedziła choroba, smutek, strata, nieszczęście, niezgoda, często po całych dniach przesiadywał. Z ludźmi postępował, jak z bracią — nie karcił, nie fukał, ale nachmurzone brwi jego straszniejsze były, niż innego groźby i łajanie.

Wróciwszy, zasiadał do stołu, a strawa to była niewymyślna, prosta, wieśniacza, przy której rzadko się ktoś obcy nie pożywił. Najczęściej tu przy progu znalazłeś dziada żebraka z garnuszkiem u pasa, który opowiadaniem jakiem ubawiał gospodarzy.

Potem, jeśli nic nie powoływało do drugiej wioski, do chorego, na pogrzeb, paroch zajmował się Cyrylkiem i spędzał przy nim pozostałe do wieczora godziny. Szedł jeszcze na wieczorną modlitwę do cerkiewki; tam ją klęcząc przed ołtarzem odprawiał i powracał na plebanię ze starostą, niosącym klucze, resztę dnia spędzając na rozmowie z żoną, synem i czeladką. Rzadko wszakże dano mu z niemi pozostać sam na sam — i takie było nawyknienie udawania się do proboszcza, że mało który wieczór bez gościa się obszedł.

To ktoś ze dworu, to wójt, to stary gospodarz jaki, to szlachcic sąsiad, spędzali z nim pozostałe dnia godziny. Czasem nagła, jak piorun, porywała go z pod strzechy wiadomość o chorobie lub potrzebie pomocy duchownej i nie patrząc pory, pieszo, zakasawszy poły, z kijem w ręku ruszał zaraz, gdzie głos nieszczęścia go wołał.

Poczciwa żona, choć troskliwa o jego zdrowie, nigdy go nie wstrzymywała zbytkiem obawy od spełnienia obo-

wiązku, a gdy cicho szepnęła czasem, żeby się lepiej odział, odpowiadał:

— Nigdy powinność odbyta nie zaszkodzi; nie poczuję ani chłodu ani głodu.

Istotnie też do późnych lat trzymał się starzec cudem prawie rzeźwy, krzepki i wesoły, z uśmiechem dobrodusznym, który zawsze usta jego umilał. Twarz jego bardzo przypominała św. Wincentego a Paulo, ten sam mając wyraz świętości, dobroci i słodyczy.

W takimto domku ewangelicznym, gdzie każdy dzień poczynał się od modlitwy, zajmował pracą cały, a kończył przed obrazem Chrystusowym śpiewaną pieśnią pobożną, Cyryl urodził się i wychował. Jak go kochali rodzice, potrzebaż opisywać? Może z tej troskliwości o dziecko, widząc w niem charakter i upodobania, z któremiby ciężko mu było sprawiać po ojcu obowiązek parocha, staruszek nie skłaniał syna do stanu duchownego i dozwolił mu pójść tą drogą, jaką sobie sam obierze.

Cyrylek od dzieciństwa miał namiętność do książek; nie umiejąc prawie czytać, już bawił się niemi i uspokajał w płaczu, potem schwyciwszy elementarz, pobożne modlitewniki i co tylko miała plebania, pożerał, czytać jeszcze dobrze nie mogąc. Nie pędzić go, ale odpędzać było potrzeba od nauki, której pragnął nadewszystko. W plebanii niewiele się czem mógł pokarmić i wkrótce przebrały się zapasy tak, że Cyrylkowi zabrakło pożywienia.

Sam ojciec nauczył go czytać po polsku i po słowiańsku, dał mu pierwsze początki łaciny, pojęcia obowiązków człowieka, które najlepiej wszczepiał przykładem.

Cyrylek wprędce zapotrzebował nauczyciela, a nie bardzo go mieli czem zapłacić; ojciec nie mógł mu się oddać cały, mając inne większe obowiązki, pomyślano więc o szkole, i pierwszy raz może w życiu, gdy przyszło do niej oddawać Cyryla, pleban westchnął, że grosza przy duszy nie miał. Chłopczynę i oporządzić było potrzeba i książki mu kupić i stół a pomieszkanie i opiekę zapewnić... Wszystko to na Bożym świecie kosztuje i nic nigdzie darmo nie dają.

Paroch z żoną poczęli się naradzać.

— Co tu począć? co począć? jakby to temu podołać i za Cyrylka zapłacić?

— Konia mi szkoda — mówił stary — ale niema sposobu, tylko go sprzedać muszę... Poczciwe to stworzenie; najwięcej mię boli, że się w złe ręce jakiego okrutnika dostać może, co się z nim źle będzie obchodził.

— Ale i tobie bez niego zejść na piechotę...

— A mnie on na co? — podchwycił księżyna — czy to ja gdzie jeżdżę? Piechotą nawet daleko zdrowiej i prawdziwie po apostolsku... a nie tak stare kości trzęsą się, jak na wózku. Jejmości to do miasteczka... ot sęk!

— Zmiłujże się... któryż z gospodarzy naszych mię nie podwiezie? Sami się o to napraszają... A mnie koń na co?

— Mnie też tak, jak niepotrzebny, ale bestya poczciwa!

I tak sprzedać go postanowiono. Wyszukać tylko należało, kto go na jarmark poprowadzi.

W wigilię tego dnia ofiary paroch sam nakarmił faworyta na pożegnanie, dobył siana z zastronka, nasypał owsa żłób pełen i cichą łzę otarł, zmuszony rozstać się ze swoim Grzywiakiem. Takie imię nosił ów poczciwy gniadosz, któremu potrzeba oddać sprawiedliwość, że miał i rozum wielki i charakter, jak na konia, łagodny i dobry. Poznawał, wprzężony do wózka, po sposobie ładowania go i osobach, które do niego siadły, gdzie się ma udać z niemi, stawał sam, zawracał, nie potrzeba nim było kierować.

Dobrodziejce także bardzo było smutno pozbawiać się Grzywiaka; ale czując, jaką ofiarę mąż robi, nie śmiała pary z ust puścić, a sama jeszcze namawiała do sprzedaży.

Cały wieczór chodzili oboje zasmuceni i milczący, a pleban powtarzał:

— *Alea iacta est*... Bóg wie, co robi...

Posłano na wieś po gospodarza Hryhuba, aby wziął konia do swojego wozu i poprowadził go z sobą, a ksiądz dziwował się, czemu Hryhub nie przychodził.

Wtem dość już późno zaszurgotało coś w sionce, szmer jakiś dał się słyszeć i gdy drzwi się otwarły, ujrzano najprzód wezwanego Hryhuba, za nim sześciu najstarszych ze wsi gospodarzy, którzy stanąwszy w progu, kłaniali się do ziemi dobrodziejowi. Przed nich wystąpił najwymowniejszy z gromady, Kalenica, *natus orator* wioski, i nim pleban miał czas zapytać, co ich sprowadziło, śmiało i jasno w imieniu

wsi całej wyrzekł, że księdzu konia sprzedawać nie pozwolą, a Cyrylka biorą na swój koszt.

Można się tego było spodziewać po wychowańcach poczciwego starca, a jednak obojgu księdzostwu łzy zwilżyły oczy, a pleban w milczeniu począł ściskać i Kalenicę i Hryhuba i ilu ich tam było.

— Moje dzieci — rzekł po chwili — jakie to dla mnie szczęście ta wasza ofiara, tego ja wypowiedzieć nie potrafię. Bóg widzi, nie żebym był chciwy cudzego, ale żeście mnie nią o sercach swych przekonali, że ziarno nie padło na rolę suchą i skalistą. Ale mogęż ja to przyjąć od was? Wyście sami ubodzy, nie urodziło wam, potrzeby wielkie, środki małe, łatwiej mnie pozbyć się Grzywiaka, niż wam składać się po groszu na moje dziecko.

Długo tam dosyć walczyli ze sobą, ksiądz z jednej strony, gromada z drugiej strony, aż wreszcie zapłakany paroch przyjąć musiał ofiarę i wyściskawszy parafian, odprawił ich, błogosławieństwem żegnając w ganku.

Szła za nim księdzowa i dzieciak rozczuleni, a nie zadziwicie się, gdy powiem, że potem całą noc nie spali, bo i szczęście sen odbiera.

Grzywiak w swej stajence pozostał, a Cyryl pojechał. dobrze opatrzony, z ojcem i z Kalenicą do szkółki w poblizkiem miasteczku. *J. I. Kraszewski* (Nowelle i obrazki).

86. Ptaszek.

Siedzi ptaszek na drzewie
I ludziom się dziwuje,
Że najmędrszy z nich nie wie,
Gdzie się szczęście znajduje.

Bo szukają dokoła,
Tam, gdzie nigdy nie bywa;
Pot im leje się z czoła,
Cierń im stopy rozrywa.

Trwonią życia dzień jasny
Na zabiegi i żale,
Tylko w piersi swej własnej
Nie szukają go wcale.

W nienawiści i kłótni
Wydzierają coś sobie,
Aż zmęczeni i smutni
Idą przespać się w grobie.

A więc siedząc na drzewie,
Ptaszek dziwi się bardzo;
Chciałby przestrzedz ich w śpiewie,
Lecz przestrogą pogardzą.

Adam Asnyk.

87. Domek mojego dziadka.

Któż nie doznał najtkliwszego uczucia, wchodząc po długiem oddaleniu do domku, w którym dni swe dziecinne i młode przepędzał? Czyjeż oko nie zalało się łzą miłego rozrzewnienia na wspomnienie osób, których w tych samych już nie ogląda izbach, a które go tu niegdyś z pieszczotą tuliły do serca? Komuż nie będzie słodsza jagoda, z tegoż samego krzaku w jesieni życia zerwana, z którego gdy był dzieckiem, piastunka go lub stary dziadulek karmił? Któż w starych sługach domowych nie będzie szukał z upragnieniem choćby jednego świadka chwil dawno ubiegłych, a tak obecnych w sercu i pamięci? Jakże mu drogim i szanownym będzie ten pomnik błogiej przeszłości! Z jakąż rozkoszą rozmawiać z nim będzie i uczyć się na nowo tego wszystkiego, na co dziecinnem niegdyś poglądał okiem! Przybywam do domku mojego dziadka...

»...wszystko tak, jak było,
Tylko się ku starości nieco pochyliło«.

Taż sama mchem porosła strzecha, tenże sam ganek z ławkami i te odeń w rozmaite strony wydeptane ścieżki, po których dziecinna moja niegdyś biegała stopa; a co najbardziej, tenże sam ogromny kamień, na którym tylekroć, razem wieczorem zebrani, letniego używaliśmy chłodu lub, zwróceni pokornie do podniesionego tuż wizerunku męki Chrystusa, za przewodnictwem ojca rodziny wznosiliśmy za jego długie życie, on za naszą szczęśliwość gorące modły. Zły człowiek, który tu zamieszkał, ogołacając ze wszystkiego tę ubogą chatkę, nie śmiał poruszyć krzyża, a nie zdołał głazu; i te jedynie przy ciemnych ścianach zostawił mi przeszłości pamiątki.

Przed laty kilkudziesięciu mieszkał tu pan Maciej Widmont, skarbnik od pradziadów, dziadek mój, prawdziwy szlachcic na zagrodzie.

Kilka chat włościańskich i mały obszar ziemi składały dziedzictwo mojego dziadka: z tem szczupłem mieniem był on szczęśliwy i uszczęśliwiał! Jakiż to los do zazdrości!

Wyprowadza z nędzy szlachcica
Pszczółka, klaczka i pszenica.

powtarzał często pan Widmont i szedł w gospodarstwie za tem staroświeckiem przysłowiem. To też dwa ogródki jego, gajem wisień, jabłoni i grusz zarosłe, brzęczały rojami pszczółek; na gumnisku zawsze kilkoro pięknych hasało źrebiąt i co rocznie wielka część pola jego złotym pszenicy okrywała się kłosem, a obfitość i dostatek gospodarski napełniał mu stodoły, śpiżarnie i śpichrze.

Mój dziadek nie był nigdy bez zapasu pieniążków. O! dobrze pamiętam ten kuferek, szczelnie okuty, w ciemnym kątku alkowy stojący: z niegoto dostawały mi się często talary i złotówki, a zawsze ze zwyczajną przestrogą, którą mnie wnukowi za naukę, sam sobie za refleksyę przeciw zbytecznej hojności przy każdem otworzeniu kuferka powtarzał:

Pamiętaj, przychodzie,
Żyj z rozchodem w zgodzie.

Domek ten, w którym teraz żywot dawnego dziedzica jego rozpamiętywam, schludny natenczas, wesoły i ludny, dziś mi tylko urokiem przypomnienia miły, zawiera dwie izby, pokojami honorowymi zwane, alkówkę z garderóbką i bokówkę z alkierzykiem. Bokówka ta z dużym kominem, piecem jeszcze większym, szerokim zydlem koło pieca i długim zapieckiem, gniazdem dziatwy i szczurów, była miejscem najwalniejszych spraw domowych: tu panowie i słudzy zgromadzali się przede dniem na różaniec, wieczorem na godzinki; tu faworytne przy kawie rano snów tłómaczenie i tu wieczorem przy kominie o upiorach i strachach gwary, którym mój dziadulo, lubo zdawał się nie wierzyć i wszystkim niewiarę wmawiał, jednakże sam nową często przydając powieść, nauczając dawnego i doświadczonego sposobu odpędzania czarów lub odkrywania zaklętych skarbów, niechcący z własnem wydawał się przekonaniem, a kończył zawsze tem: »Dziatki! dziatki! bez woli Boga nic się nie stanie!« Tu furczały wiecznie dwa kołowrotki, głusząc zwódkę dwóch świegotliwych prządek, zasłużonych pokojówek jejmości; tu nakoniec w niedzielę i święta uroczyste panna Helena, córka

nieboszczyka ekonoma, do familijnej przyswojona gromady, siedząc przy piecu na zydelku, cieniutko śpiewała światowe pieśni. Rzadko jednak goście wstęp mieli do bokówki, dla nich dwa paradne były pokoje: w pierwszym z nich wielki obraz Bogarodzicy, ozdobiony buntem błyszczących bisiorów i co niedziela w świeże bukiety siarczystych goździków ustrojony, główną zajmował ścianę; pod nim bogaty relikwiarz misternej roboty i dzwonek loretański, odpędzający chmury, pioruny i nawałnice; kredens i inne sprzęty proste dogadzały tu koniecznej tylko wygodzie. Drugi pokój, o! drugi pokój na zbytek zakrawał! Tu kanapki, dywanikami zasłane, tu staroświeckie, w kwiaty malowane obicia okrywały ściany, tu stolików parę, niegdyś także malowanych, na jednym warcabnica, na drugim talia kart polskich, dobrze ogranych, i filiżanka z garścią bobu na marki! Tu bowiem był plac rozprawy w codziennego nałogowego maryasza i świątecznego ćwika.

O! ileżto razy, ze szkolnej uwolniony mozoły, jechałem na uroczyste święta! Błogi wieku dziecinny, jakże ci mało do uszczęśliwienia potrzeba, jak wyobrażenie zabawy i pociechy upaja rozkoszą niewinne serce! jaka żywa radość błyszczy w oczach i wzrusza całem dziecinnem jestestwem! Student z Borun, z jakiemże uniesieniem postrzegałem z daleka gaik i dach domu, w którym piękną Wielkanoc przepędzić miałem! Wielkanoc, święto najweselsze! Święto wiosny! Święto odżywającej natury! Święto odkupienia i powszechnej radości! Ostatnie resztki suchej pańskiej wieczerzy, ostatni suchar i ostatni śledź, w wieczór ostatniej soboty spożyty — i już z bokówki, jak pierwociny jutrzejszych godów, miłe zalatywały wonie. Gdy huczne salwy artyleryi księdza proboszcza dawały hasło rezurekcyi, bieżał wnet mój dziadulo do kościoła, biegliśmy i my wszyscy za nim, biegła cała czeladź domowa, bo kto z gospodarzem chciał używać darów Wielkanocy, modlić się wprzód z nim koniecznie musiał. Powitany wesołem Alleluja dzień zaświtał wśród nabożeństwa, dzień piękny, wiosenny! Gromadnie i huczno wychodzono z kościoła: Chrystos woskres! Chrystos woskres! odzywa się naokoło. Pozdrowienia te uroczyste mieszały się z wesołym gwarem pospólstwa,

a rzeźwość, rozweselenie i radość jaśniały na twarzach wszystkich.

My także wracaliśmy do domu, przechodząc przez ulicę z łubek; około każdej z nich familia poczciwych chłopków, w kupki zebrana, czekała na poświęcenie swoich zapasów. Nasze damy powracały do domu w staroświeckiej na pasach kolasce, my piechotą krótką tę odbywaliśmy podróż, dając czas księdzu proboszczowi do przybycia dla podobnegoż obrzędu. Co za miły widok nas oczekiwał! W pierwszym pokoju, świeżą wysypanym jedlinką, długi stół, okryty najsmakowitszem święconem. Tu na środku baranek, z czerwoną chorągiewką na grzbiecie, trzyma w zawróconym pyszczku garstkę młodej trawki, jakby zwiastując wracającą wiosnę; obok podpiera go dwoje tłustych prosiąt, a każde częstuje z paszczy czerwonem jajem; dalej indyk utuczony, który sam jeden w całym domu przez post wielki nie pościł; szynka, główna ozdoba możnych i chudopacholskich święconych stołów; przy niej, dla zaspokojenia apetytu żarłoków, ćwierć cielęca szeroką zalega misę. Co mówić o półgąskach, ozorach, zającach, cietrzewiach, zdolnych najgruntowniej stępiony obudzić apetyt. Na obu końcach stołu zasiadły szerokie, przysadziste, jakby tej śpiżarni gospodynie, dwie okrutne baby. Ach! bez nich cóżby całe święcone znaczyło? Na ich ogorzałych obliczach, jakby na twarzy pijaka, gęsto wypisane czerwone garby, a ze środka, czarniawa, lepka, wysączona masa upewniała wprawne znawcy oko, że mimo straszne pozory zewnątrz smacznemi były. Garnitur pierogów i placków, rozmaitego koloru i nazwania, zapełniał przerwy między półmiskami, a wszystko razem gajem zielonego bluszczu zarosłe, troje razem zmysłów, widzenia, smakowania i powonienia, nęciło. Oczekiwano księdza proboszcza, a tymczasem każdy przygotował się do swojej roli; poglądano w okna, milczano lub szeptano z cicha; kotka tylko, faworytka domowa, siedząc na kredensie, figlarnie myła się łapką, a Filonek tańcował koło stołu.

Przybywa nakoniec i ksiądz proboszcz, mój dziadunio przyjmuje go na ganku; wnet w komżę przybrany, mając za sobą organistę z wodą święconą i kropidłem, poświęca i błogosławi Boże dary, a ukończywszy obrządek, odwraca

się z powagą do gospodarza i wyborną prawi mu oracyę przez połowę po łacinie i po polsku. O! mój dziadunio był pełen erudycyi i jezuickiej jeszcze łaciny; wzajemną zatem wyciął perorę proboszczowi, w której dnia tego solenność i respekt dla pasterskiej godności proboszcza *acuminose* (dowcipnie) były połączone. Tu już następowały powinszowania, w których mniej dowcipu, a więcej prawdziwej wylewało się czułości: syn i synowa, córki i zięciowie ze łzami w oczach, mało mówiąc, całowali rękę ojca swego i dobroczyńcy. Nakoniec przychodziła kolej na wnuka. A! serce mi się wyrywało z piersi! Występowałem więc: koło się rozszerzyło, jam na środku, pan dyrektor trochę bliżej od innych dla dodania serca, a w potrzebie i wyrazu, jeżeliby pamięć lub energia mowcę zawiodła. Zaczynam... o cudo! o mądrości nad wiek i nadzieje! Zaczynam po francusku i bez zająknienia się palę aż do końca: już francuszczyzna w modę wchodzić zaczynała i ja z gotową, w szkołach ułożoną oracyą przybywałem na święta. Niewiele jej wprawdzie rozumiałem ja, który ją perorowałem; nie rozumiał mój dziadulek, który jej słuchał, ale cieszyli się wszyscy: dziadulek i rodzice płakali z radości, jam płakał z dziecinnego rozrzewnienia, a każdy mię pieszczotą i buziakami obsypał.

Traktował potem gospodarz wszystkich z kolei pokrajanem jajem i nie opuścił najmniejszego dziecka, a z uczuciem równie życzliwem podawał talerz swym dzieciom, jak swym sługom i wiernej czeladce, która potem szła do piekarni i posiliła się nie tak wytwornem, lecz równie obfitem święconem. Dzień ten cały jakże nam mile schodził! Dostawał dobrego humoru pan Huszczanowski, organista; dął on bez miłosierdzia na klarynecie i skwarzącym się, jak patelnia, głosem wtórował pannie Helenie: »Wesoły nam dziś dzień nastał« i t. d. — Boże, gdzie się to wszystko podziało!?

Gdy teraz w wieczór, równie jak dawniej spokojny i miły, tegoż samego Wielkanocy święta, jak sierota po wszystkich moich, usiędę na kamieniu, niemym świadku mego tu niegdyś szczęścia, gdy uroczystą ciszę pięknej kwietniowej nocy chrząszcz tylko, z burczeniem przeciągając, kiedyniekiedy przerwie, gdy wtem nagle pieśń »Wesoły

nam dziś dzień nastał« ozwie się w oddaleniu, wskazując, że to wieśniacy, obchodząc w nocy po siołach, winszują sobie tą pieśnią doczekanego święta: ileż natenczas pamiątek budzi się razem w mem sercu! jakże głos ten wzrusza je do głębi i, jakby echo grobowe, odbija się wewnątrz ze drżeniem! *Ignacy Chodźko* (Obrazy litewskie).

88. Stal.

Jak ludzie rodzą się wszyscy równymi, a stają się różnymi przez wychowanie, oświatę, kształcenie umysłu i serca i nawykają do uczuć szlachetnych, tak też i szare żelazo, chociaż służy koniowi za ochronę kopyt lub spełnia inne, podrzędniejsze jeszcze zadanie, starannie jednak obrobione i przerobione, może się stać przydatnem do celów donioślejszych — jednem słowem może uszlachetnieć. Żelazo szlachetnieje w ogniu i wodzie i pod wpływem tych żywiołów przybiera własności stali.

Wiadomo, że węgiel jest niejako duszą żelaza, gdyż od ilości zawartego w niem węgla zależą przeważnie jego własności. Przy znacznej zawartości węgla topi się ono w ogniu, przydatne jest do odlewów i w przemyśle maszynowym oddaje nieocenione usługi; przy małej posłuszne jest każdemu skinieniu młotka, a w ręku zdolnego pracownika przybiera formę zarówno olbrzymiego świdra, co ziemię przewierca do znacznej głębokości, jak i kształt nadobnego kwiatu, który delikatnością nie ustępuje naturze. Ale przy pośredniej zawartości węgla nabiera żelazo cudownych własności, bo nie tylko daje się topić, kuć i spogrzewać, ale gdy z ognia zostanie wyjęte i zetknie się z wodą, nabiera hartu. W tem słowie hart mieści się cała szlachetność stali, własność tak cenna, że przypisujemy ją nieraz najdzielniejszym ludziom, uwielbiając ich hart duszy, ich niezłomność w postanowieniach, trwałość w zamiarach, siłę w odpieraniu nawalnych fal twardego życia. Bo też stal dobra i dobrze zahartowana jest nieraz twarda, jak szkło, poddaje się nieco, ale nie zginając się na zawsze, powraca do pierwotnego stanu. Dużo wytrzymuje, nie krusząc się; raz naostrzona, ostrość tę długo zachowuje, a gdy jej prze-

znaczeniem ciąć, usuwa najtwardsze przeszkody i wpija się w cielsko granitowej skały lub najtwardszego metalu.

Hartowność i dobroć stali potęgują jeszcze niektóre metale w niej zawarte, jak np. srebro, wolfram i mangan. Stal srebrzysta, zawierająca na 100 kg 5 gramów srebra, jest szczególniej przydatna do wyrobu ostrych narzędzi, nożów chirurgicznych i t. p.; stal wolframista odznacza się wielką twardością. Stal, zawierająca nikiel, posiada też wyższy stopień twardości, a wyroby z niej są dźwirowate podobnie, jak sztabka, odkuta z żelaza meteorytowego.

Naturalnie, że stal bywa różnego gatunku, chociażby tylko z powodu rozmaitej, raz mniejszej, raz większej ilości zawartego w niej węgla. Żelazo kute zaczyna być podobne do stali, gdy zawiera $^1/_2$ kg węgla na 100 kg żelaza, i wtedy już, uderzone o kamień, daje iskrę. Gdy ilość węgla się wzmaga, wtedy żelazo szlachetnieje coraz więcej, wyłaniają się własności stali; gdy zawartość węgla wynosi $1^1/_2$ kg (na 100 kg), wtedy stal jest u szczytu swojej dobroci. Przy dalszem powiększaniu zawartości węgla może się jeszcze wzmagać twardość, ale w parze z nią idzie kruchość; przy 2 kg węgla na 100 kg następuje już przesyt, stal staje się podobną do surowca.

Użyteczność stali i szerokie jej zastosowanie w przemyśle, naukach i życiu codziennem polega, jak to już wspomnieliśmy, głównie na jej hartowności, a co więcej, na tem, że twardość zahartowanej i twardej, jak szkło, stali możemy dowolnie zmniejszać i przystosowywać do rozmaitych potrzeb. Ujmując stali twardości, zmniejszamy jej kruchość, a w ślad za tem występuje coraz wyraźniej inna nieoceniona własność stali, t. j., sprężystość. Ileż to przysług wyświadcza nam sprężyna! W zegarku kieszonkowym jest ona siłą poruszającą, w wagonie kolejowym tłumi uderzenia i wstrząśnienia i t. d. To nakłanianie stali, by sfolgowawszy nieco z twardości, okazała się sprężystą, odbywa się też za pośrednictwem ognia, a raczej przez delikatne ogrzewanie. Stal zahartowana jest tak tkliwa na gorąco, że zmienia niejako swoje wewnętrzne usposobienie i na czystej powierzchni okazuje nawet tę zmianę grą kolorów, jak gdyby niewidzialnem tchnieniem rzuconych. Zrazu, przy lekkiem

nagrzaniu, żółknieje stal na powierzchni, staje się brunatną; przy dalszem nagrzewaniu rumieni się, a wreszcie przyjmuje nalot błękitny od najjaśniejszego do najciemniejszego odcienia. Tej skali barw, przechodzących dość szybko jedna w drugą, odpowiada skala coraz mniejszych twardości. Ażeby pewną twardość pochwycić, potrzeba przy pojawieniu się odpowiedniej barwy stal natychmiast skąpać w zimnej wodzie. Przedmioty, które mają mieć największy hart, napuszcza się na żółto, jak n. p. brzytwy, noże chirurgiczne i t. p.; nożyczki i dłuta napuszcza się na brunatno, noże stołowe na purpurowo, piłki, szable, sierpy i kosy na fioletowo, a wreszcie sprężyny do zegarków i inne rzeczy, wymagające największej sprężystości, na ciemno-niebiesko.

Skoro tylko odkryto wpływ węgla na hartowność stali, zaczęli zaraz technicy przemyśliwać nad sposobem fabrykacyi stali w wielkich ilościach i możliwie tanio. Stal znano wprawdzie od najdawniejszych czasów, ale wyrabiano ją przypadkowo, wytapiając z rud odrazu żelazo kowalne, które raz mniej, drugi raz więcej węgla zawierało; stary hutnik po uzyskaniu żelaza próbował dopiero, czy ono jest miękkie, czy też hartowne.

Po dokonaniu tego odkrycia miano dwie drogi przed sobą: albo żelazo kowalne nawęglić czyli dodać mu tyle węgla, ile potrzeba, aby nabrało hartowności, albo też surowiec odwęglić, t. j., odebrać mu węgiel i kruchość do tego stopnia, by się stało kowalnem, ale zarazem i hartownem.

Zrozumiemy już teraz dokładniej, co się dzieje w ognisku fryszerskiem lub piecu pudlarskim przy fabrykacyi żelaza kutego.

Oto musi być chwila podczas przemiany surowca na żelazo kowalne, w której masa ognista zamienia się w stal, gdyż tracąc węgiel aż do najniższego stopnia, musi przejść przez stopień pośredni, odpowiadający właśnie stali. W ten sposób można otrzymać stal surową, pochodzącą wprost od surowca. Doprowadzając zaś do żelaza kowalnego węgiel w dostatecznej, byle nie za wielkiej ilości, uzyskuje się także stal, a mianowicie t. zw. stal cementowaną. Ale można sobie pomyśleć jeszcze trzeci sposób fabrykacyi stali, a mianowicie przez stopienie razem żelaza kutego i surowca.

Tamto posiada w porównaniu ze stalą za mało węgla, ten znowu za dużo, a przez zmieszanie takich dwóch gatunków w stanie płynnym jeden nabiera, drugi traci trochę węgla i uzyskuje się właśnie gatunek pośredni, t. j., stal mieszaną.

Szwed Bessemer (zm. r. 1898.) udoskonaliwszy pierwszy z podanych sposobów otrzymania stali, wynalazł stal bessemerowską, nazwaną tak od jego nazwiska. Próbował on początkowo nie odwęglać surowca w zupełności, ale zastanowić prąd powietrza w chwili, w której surowiec ma właśnie ilość węgla, odpowiadającą stali. Fabrykacya okazała się jednak o wiele łatwiejszą przez zupełne odwęglanie i dodanie przy końcu stosownej ilości surowca, zawierającego węgiel, a dzieje się to w sposób następny. Olbrzymie gruszki z blachy pancernej, wyłożone wewnątrz ogniotrwałą gliną, wypalają nasamprzód węglem, ażeby były gorące, a równocześnie topią w osobnym piecu surowiec. Po wypaleniu gruszki wysypują z niej wszystek węgiel i napełniają ją do naznaczonej miary roztopionym surowcem. Następnie puszczają w ruch maszynowe miechy, które wpychają silny prąd powietrza do wnętrza gruszki.

Rozpoczyna się iście szalone gotowanie: krzem, mangan i węgiel, zawarte w żelazie, a i żelazo samo spalają się po części. Przy tej chemicznej robocie wywiązuje się tyle gorąca, iż żelazo nie tylko nie stygnie, lecz owszem staje się płynniejszem. Panuje tam temperatura, o jakiej trudno stworzyć sobie wyobrażenie, gdyż dochodzi prawie do 3000° C. Płyn burzy się, jak gdyby wrzał, ognisty słup bije i deszcz iskier sypie się do komina z otworu gruszki, jak z otwartych wrót piekła. Najpyszniejsze ognie sztuczne, na jakie najzawołańsi pyrotechnicy zdobyć się mogą, są niczem, są za bladem widowiskiem wobec majestatu ogniem ziejącej gruszki bessemerowskiej.

Nie jest bo też ten ogień tylko jasno świecącym, ale przedstawia cudowną grę kolorów. Technicy korzystają z tego barwnego widowiska, ażeby osądzić, czy robota w gruszce już skończona, czy żelazo utraciło już wszystek węgiel. Nabój gruszki, wynoszący około 100 cetnarów metrycznych surowca, ulega tej przeróbce w ciągu 20 do 25 minut. Chwilę, w której robota w gruszce ukończoną zostaje,

poznają zapomocą oka, którem treść słońca przejrzeć można a mianowicie zapomocą przyrządu, zwanego spektroskopem. W przyrządzie tym widać, patrząc na płomień gruszki, barwne linie, które się zmieniają, gdy proces ukończony zostanie; na tej podstawie inżynier wydaje rozkaz zaprzestania dalszej roboty.

Gdy się już spali wszystek węgiel, zawarty w surowcu, pochylają gruszkę, dolewają 5—10% surowca i po wyprostowaniu jej dymają jeszcze chwilkę dla dokładnego wymieszania zawartości gruszki z surowcem. Masa nieco ostyga, potem wylewają ją i uzyskują stal bessemerowską.

W ten sposób Bessemer stał się dobrodziejem ludzkości, ułatwiwszy szerokie zastosowanie taniej stali. Między innemi umożebnił on wyrób doskonałych i do wielu celów niczem nie dających się zastąpić blach bessemerowskich, używanych do wyrobu kotłów parowych, jakoteż naczyń kuchennych. Obecnie wyrabiają różne kraje przeszło 6 milionów tonn (tonna ma 10 cetnarów metrycznych albo 1000 kg) tej stali, a składa się na to więcej gruszek, niż jest dni w roku. Niemałą, ale też zasłużoną nagrodę odebrał Bessemer za swój wielki wynalazek. Do roku 1870. pobierał bowiem za każdy cetnar uzyskanej jego sposobem stali po 1 koronie jako taksę patentową.

Metoda Bessemera nadawała się do niedawna tylko do surowca, nie zawierającego fosforu. Surowiec czeski nie nadawał się do tego zupełnie. Anglik Thomas wynalazł jednak sposób do przerabiania nawet mocno fosforzystego surowca na dobrą stal i żelazo, nie zawierające fosforu. Sposób ten polega na dodaniu do treści gruszki palonego wapna i wyłożeniu ścian jej cegłą z kamienia wapnistego, zawierającego magnezyę. Z wapna i fosforu, zawartego w surowcu, tworzy się przy pomocy wyściółki gruszki żużel, zawierający dużo fosforu, który w nowszym czasie okazał się jako doskonały nawóz sztuczny, użyźniający znakomicie ziemię orną, pod nazwą żużli albo mączki Thomasa.

89. Łowy.

Głupi niedźwiedziu! gdybyś w mateczniku siedział,
Nigdyby się o tobie Wojski nie dowiedział;
Ale, czyli pasieki zwabiła cię wonność,
Czy uczułeś do owsa dojrzałego skłonność:
Wyszedłeś na brzeg puszczy, gdzie się las przerzedził,
I tam zaraz leśniczy bytność twą wyśledził;
I zaraz obsaczniki, chytre nasłał szpiegi,
By poznać, gdzie popasasz i gdzie masz noclegi.
Teraz Wojski z obławą już od matecznika,
Postawiwszy szeregi, odwrót ci zamyka.

Cicho. — Próżno myśliwi natężają ucha;
Próżno, jak najciekawszej mowy, każdy słucha
Milczenia, długo w miejscu nieruchomy czeka:
Tylko muzyka puszczy gra do nich z daleka.
Psy nurtują po puszczy, jak pod morzem nurki;
A strzelcy, odwróciwszy do lasu dwururki,
Patrzą Wojskiego: ukląkł, ziemię uchem pyta.
Jako w twarzy lekarza wzrok przyjaciół czyta
Wyrok życia lub zgonu miłej im osoby,
Tak strzelcy, ufni w sztuki Wojskiego sposoby,
Topili w nim spojrzenia nadziei i trwogi.

»Jest! jest!« wyrzekł półgłosem, zerwał się na nogi.
On słyszał, oni jeszcze słuchali — nareszcie
Słyszą: jeden pies wrzasnął, potem dwa, dwadzieście,
Wszystkie razem ogary rozpierzchnioną zgrają
Doławiają się, wrzeszczą — wpadły na trop, grają,
Ujadają. Już nie jest to powolne granie
Psów, goniących zająca, lisa albo łanie;
Lecz wciąż wrzask krótki, częsty, ucinany, zjadły;
To nie na ślad daleki ogary napadły,
Na oko gonią... Nagle ustał wrzask pogoni;
Doszli zwierza. — Wrzask znowu, skowyt — zwierz się broni
I zapewne kaleczy; wśród ogarów grania
Słychać coraz to częściej jęk psiego konania.

Strzelcy stali i każdy ze strzelbą gotową
Wygiął się, jak łuk, naprzód z wciśnioną w las głową.
Nie mogą dłużej czekać! Już ze stanowiska
Jeden za drugim zmyka i w puszczę się wciska:
Chcą pierwsi spotkać zwierza. Choć Wojski ostrzegał,
Choć Wojski stanowiska na koniu obiegał,
Krzycząc, że czy kto prostym chłopem czy paniczem,
Jeżeli z miejsca zejdzie, dostanie w grzbiet smyczem:

Nie było rady! Wszyscy pomimo zakazu
W las pobiegli. Trzy strzelby huknęły odrazu;
Potem wciąż kanonada: aż głośniej nad strzały
Ryknął niedźwiedź i echem napełnił las cały.
Ryk okropny boleści, wściekłości, rozpaczy;
Za nim wrzask psów, krzyk strzelców, trąby dojeżdżaczy
Grzmiały ze środka puszczy. Strzelcy, ci w las spieszą,
Tamci kurki odwodzą, a wszyscy się cieszą;
Jeden Wojski w żałości krzyczy, że chybiono.
Strzelcy i obławnicy poszli jedną stroną,
Na przełaj zwierza, między ostępem i puszczą;
Zwrócił się nazad w miejsca, mniej pilnie strzeżone,
Ku polom, skąd już zeszły strzelce rozstawione,
Gdzie tylko pozostali z mnogich łowczych szyków
Wojski, Tadeusz, Hrabia z kilką obławników.

Tu las był rzadszy. Słychać z głębi ryk, trzask łomu —
Aż z gęstwy, jak z chmur, wypadł niedźwiedź nakształt gromu.
W koło psy gonią, straszą, rwą — on wstał na nogi
Tylne i spojrzał w koło, rykiem strasząc wrogi;
I przedniemi łapami, to drzewa korzenie,
To pniaki osmalone, to wrosłe kamienie
Rwał, waląc w psów i w ludzi, aż wyłamał drzewo;
Kręcąc niem, jak maczugą, na prawo, na lewo,
Runął wprost na ostatnich strażników obławy,
Hrabię i Tadeusza. Oni bez obawy
Stoją w kroku, na zwierza wytknęli flint rury,
Jako dwa konduktory w łono ciemnej chmury;
Aż oba jednym razem pociągnęli kurki,
(Niedoświadczeni!) razem zagrzmiały dwururki:
Chybili. — Niedźwiedź skoczył; oni tuż utkwiony
Oszczep jeden czterema chwycili ramiony,
Wydzierali go sobie... Spojrzą, aż tu z pyska
Wielkiego, czerwonego, dwa rzędy kłów błyska
I łapa z pazurami już na łby się spuszcza...
Pobledli — w tył skoczyli i, gdzie rzednie puszcza,
Zmykali. Zwierz za nimi wspiął się, już pazury
Zahaczał — chybił, podbiegł: wspiął się znów do góry
I czarną łapą sięgał Hrabiego włos płowy.
Zdarłby mu czaszkę z mózgu, jak kapelusz z głowy:
Gdy Asesor z Rejentem wyskoczyli z boków,
A Gerwazy biegł z przodu o jakie sto kroków,
Z nim Robak, choć bez-strzelby: i trzej w jednej chwili,
Jak gdyby na komendę, razem wystrzelili.
Niedźwiedź wyskoczył w górę, jak kot przed chartami,
I głową na dół runął i czterma łapami,
Przewróciwszy się młyńcem, cielska krwawe brzemię

Waląc tuż pod Hrabiego, zbił go z nóg na ziemię.
Jeszcze ryczał, chciał jeszcze powstać, gdy nań wsiadły
Rozjuszona Strapczyna i Sprawnik zajadły.

Adam Mickiewicz (Pan Tadeusz).

90. Chorwaci.

Pędzimy z błyskawiczną szybkością przez równiny węgierskie. Temperatura się podnosi, wietrzyk południowy, nużący i denerwujący »sirocco« z Sahary, powiewa mimo gór i przestworzy morza Śródziemnego. Na zachodzie widnokręgu zaczyna się nieco falować, gospodarstwa wielkie, fabryczne, znikają, a w ich miejsce wyłaniają się, jakby z ziemi powstałe, drewniane chaty, okryte strzechą, bielone wapnem, zmieszanem z niebieską farbą: zupełnie nasze krakowskie lub mazurskie chałupy. Przed małemi okienkami ogródki, a w nich, jak u nas, smutne malwy, krzaki bzu i w jesieni kwitnące georginie. Opodal szereg wierzb zgarbionych, tu i ówdzie brzoza samotna lub krzew ciernia i głogu. Nawet gdzieniegdzie na polu wyskakują czteroskibowe zagony, jeszcze z czasów Cystersów i z czasów sochy...

Jesteśmy w Chorwacyi.

Lud rosły, zbudowany posągowo, opalony od słońca, ciemnowłosy. Oczy ciemne lub ciemno-szafirowe, szczególniej u kobiet. Mężczyźni okryci na codzień biało — płótnem, z koszulą na wierzchu. Z pod szerokiego, słomianego kapelusza oko uśmiecha się smutnie, patrzy marząco. Kobiety i dziewczęta również przybrane biało, tylko je zdobią czerwone chustki na głowach. Daleko, na polu, okrytem zielonością, łamią kukurydzę i wyglądają, jak czerwone kwiaty o białych łodygach.

Kuryer wpada na dworzec zagrzebski i staje. Wybiegłem przed dworzec, wskoczyłem do zagrzebskiej jednokonki i kazałem się zawieźć w miasto, oddzielone od dworca tylko obszernym placem Franciszka Józefa. Miasto ładne, czyste, schludne i nowe po ostatniem trzęsieniu ziemi (r. 1883). Ulice szerokie, domy dwupiętrowe, sklepy duże, widne, wszędzie napisy chorwackie. Na placu Jelaczyca język chorwacki wre i kipi; był to dzień targowy i ludu wiejskiego pełno.

Jelaczyc jest tu czczonym bohaterem, jak świadczy jego pomnik, przez naród wzniesiony. Pierwszy raz poprowadził swych Chorwatów pod komendą w ojczystym języku na głównego ich wroga i ratując ojczyznę, ratował państwo rakuskie i dynastyę.

Drugim bohaterem Chorwatów — to biskup dźakowski Strossmajer, twórca Akademii Umiejętności, biblioteki i bogatego zbioru obrazów; to bohater, który z zapaloną pochodnią miłości idzie do serca narodu, niesie mu wiedzę, oświatę i wytrwałość w walce. Długo czekali Chorwaci na takiego bohatera. Dziś ten starzec pochylony wiekiem, a silny energią i z sokolim wzrokiem stoi, jak posąg żywy, wśród swego narodu. On dał podwaliny duchowego odrodzenia swemu narodowi, on wspiera »macierz chorwacką«, oddaje dochody swoje na cele narodowe, on jest pierwszym tam, gdzie chodzi o ofiarę na ołtarz ojczyzny. To też nic dziwnego, że woźnica, pokazując mi biczyskiem gmach wspaniały, mówił z nietajoną dumą:

— Akademia i biblioteka od Strossmajera!

Na trzy minuty przed odejściem pociągu wpadam na dworzec. Do wagonu wchodzą nowi goście, a między nimi ksiądz siwy już, lecz czerstwy i barczysty.

Usłyszawszy moją z żoną rozmowę, zwrócił się do nas:

— Państwo skąd?

— Z Krakowa — odpowiedziała żona.

— Polacy nasi z pod panowania rakuskiego? My bracia; rozdzielają nas Madziarzy i Karpaty.

Zacząłem mówić po polsku i spytałem go, czy mnie rozumie.

— Nie bardzo — odpowiedział. — Wyście nas swoją piękną mową wyprzedzili o setki lat. Wasi poeci: Kochanowski, potem Trembecki, a naostatek Mickiewicz i Słowacki uchwycili wasz język w garści i tak z nim polecieli naprzód, że my z naszym, długo nieuprawianym, nie możemy was dognać. My nie mamy jeszcze geniuszów, choć mamy wielkich poetów. Język nasz jest taki, jakim go zachował lud nasz. Z grubsza wyszlifowali go filologowie... Lecz cóż? Filologowie szlifują kamyczki, a poeci robią z nich prześliczne mozaiki. Ale i nas nie zjedzą... Byle u nas dźwignąć lite-

raturę i sztukę — tego nam potrzeba! Strossmajer robi, co może, lecz tworzyć talentów nikt nie potrafi. Wielkich talentów nam brak, wielkiej poezyi nam brak. Inteligencya nasza dlatego, że język nasz ubogi i literatura nie bogata, za wiele uczy się obcych języków, nimi włada i czyta. Na północy niemiecki, na zachód i południe włoski, a i madziarski wciska się coraz natarczywiej. W każdej naszej księgarni na dziesięć egzemplarzy pism obcych jedno nasze, na dziesięć książek niemieckich i włoskich jedna nasza. W teatrze na sto utworów obcych jeden nasz...

Machnął ręką.

— Wspomagają nas Czesi, ale to nie to; i oni w sztukach pięknych i poezyi jeszcze nie nazbyt wysoko. Dopiero w ostatnich czasach zaczynają latać. Inni bracia Słowianie zdają się o nas nie wiedzieć...

Zrozumiałem wyrzut lekki i uczułem jego słuszność. Wszak my Polacy mamy się czem poszczycić w poezyi i sztukach. Zmieszany nieco, szepnąłem:

— Czekajcie, i u was źródło natchnienia wytryśnie.

— Żeby tylko rosa oczu nie wyjadła — odparł proboszcz — żeby tylko młodzi pisarze nie upadali na duchu i szli w ślady Gaja, Mazuranića, Preradowića, a z młodszych Dźalskiego, Tresića i innych. Byle nasi artyści, żyjący w Paryżu lub Monachium lub Wiedniu, ukochali ojczyznę i tworzyli narodową sztukę...

Rozmowa umilkła, każde z nas zagłębiło się we własnych myślach, a pociąg pędził po wielkiej płaszczyźnie, oświeconej słońcem, które już dawno przeszło na drugą połowę horyzontu.

Na jednej ze stacyj wysiadł proboszcz i zaprosił nas do Zagrzebia w drodze powrotnej.

Pędzimy dalej, słońce się zniża, lazur nieba ciemnieje, świeżość powietrza przejmuje. Nagle na południu wyskoczyła przed nami granatowa góra, pokryta roślinnością, lasem iglastym, a za nią w głębi druga, trzecia — cały łańcuch, ginący w pomroce. Na zachodzie również majaczeją góry, zbliżają się, lecą do nas, zdaje się, że wpadną na pociąg i że go zmiażdżą...

Nie rozbijamy się o ścianę skały, zastępującej nam

drogę, lecz wpadamy w tunel: kurz, ciemność i zaklęte jakieś jęki — i wylatujemy na słońce. Góry nas otaczają i znowu tunel i znowu słońce i zieloność, tunel trzeci, czwarty, piąty i szósty... Przelecieliśmy pasmo gór »Krasu«, suniemy po kamiennem płaskowzgórzu i roślinności wątłej, powstałej z pierwszego wietrzenia skał. Warstwa urodzajna, nie grubsza nad trzy centymetry, pokryta rzadką trawką i mchem ciemnym. Po niej przebiegają stada owiec, pędzone przez chłopców w kapeluszach podobnych do naszych górali. Co za wielkie powinowactwo mimo tysiącletniego rozdziału!...

Pniemy się w górę wolno. Na jednej ze stacyj dodano drugą, górską lokomotywę. Jedziemy grzbietem gór, pod naszemi stopami przepaście, w dole lasy liściaste, zielono-żółtawe — chłód, wietrzyk zimny przejmuje.

Wszyscy się zrywają, widać pierwszy załom morza, wśród skał czarno-niebieskawych.

— Morze, morze — szepcą wszyscy. Czujemy dla niego jakąś cześć bałwochwalczą, jakąś utajoną miłość i strach przed tym olbrzymem, w tej chwili milczącym, sennym, zadumanym, cichym. Znowu wpadamy w długie tunele, przecinamy cały łańcuch gór, pniemy się po wąwozach nad przepaściami, mijamy stacyę po stacyi.

Raptownie droga się rozjaśnia, rozszerza, pociąg się przesuwa po amfiteatrze miasta. U stóp naszych morze, ginące w zamroku niebieskawego przeźrocza.

— Fiume! (Rjeka).

Morze włoskie, rząd węgierski, handel austryacki, a przecież to ziemia słowiańska, ciągnąca się hen, daleko, aż do granic starożytnego Epiru!...

Według Sewera-Maciejowskiego (Z Krakowa do Medyolanu).

91. Dżuma w Łucku.

Morowa zaraza, ta straszna plaga Wschodu, często nawiedzała Europę, a bliższe Turcyi prowincye polskie bardziej, jak inne kraje, na nią narażone były. Wybuchła ona i na Wołyniu. Wsie bardziej na uboczu będące, mniej styczności z ludźmi mające, nie tyle od tej klęski ucierpiały; ale w miasteczkach, szczególnie większych i handlowych, straszne

częstokroć zniszczenia były. Temu losowi uległ Łuck na Wołyniu.

Skoro złowrogie słowo dżumy wymówione zostało, możniejsi mieszkańcy zaraz opuścili miasto i z wielkim pośpiechem wojsko, jakie w okolicy było, nadworne milicye panów i uzbrojona ludność okoliczna otoczyły miasto dokoła; wszelkiej komunikacyi i dowozu żywności pod karą śmierci wzbroniono, ogłaszając, że ktoby z mieszkańców z wiatrem zbliżył się do łańcucha, otaczającego miasto, do tego strzelać będą, i tylko od strony, gdzie wiatr wiał od pola, kładziono żywność dla nieszczęśliwych. Zgłodniała rzesza rozrywała ją bez ładu; wśród bójki i przeraźliwych krzyków siła pięści zapanowała w tem nieszczęśliwem mieście. Kobiety, dzieci, co słabsi z głodu marli i ten gród starożytny i obszerny, potrójną w sobie ludność chrześcijan, żydów i karaimów mieszczący, na podwójną śmierć, zarazy i głodu, był wystawiony.

Wieść o tem, jak piorunem, raziła biskupa; uczuł on ewangeliczne posłannictwo swoje i postanowił nieść pomoc cierpiącym. I zaraz wszystkich dzierżawców dóbr swoich chwastowskich w zamian za żywność, którą mu dostawiać mieli, pokwitował z rocznej tenuty dzierżawczej i zebrawszy, co mógł, pomocy lekarskiej, w towarzystwie nieodstępnego księdza Woronicza przybył w okolice Łucka. Liczne zgromadzenie zebrało się na jego powitanie; biskup obecnym oświadczył, że pochwala kroki ostrożności, jakie przedsięwzięli celem zatamowania zarazy, i wzywał do czujności; ale co do siebie, oświadczył, że pomny na obowiązki pasterza, pragnie dzielić los nieszczęśliwego miasta i postanowił zamknąć się w niem i potąd pozostać, póki tej strasznej klęski nie odwróci ręka Przedwiecznego.

Ani przedstawienia przyjaciół ani względy na własną bezpieczeństwo nie zmieniły raz powziętego postanowienia. W dniu naznaczonym poprzed łańcuchem straży ułożono zapasy żywności i ustawiono stada wołów; na tę wieść radosną całe miasto wyległo i stanęli milczący niedaleko Witołdowego zamku. Pod gołem niebem odprawił biskup solenne nabożeństwo i wśród pieśni rozgłośnych, z rozwiniętemi chorągwiami weszło nieliczne grono, towarzyszące biskupowi, w mury Łucka.

Zaraz za przybyciem swojem zajął się biskup urządzeniem policyi, z mieszkańców złożonej, znanym z poczciwości ludziom powierzył rozdawanie żywności, która obficie co jakiś czas wchodziła do miasta. W murach starego zamku urządzono szpitale; zdrowe to miejsce, na uboczu, na wyspie Styrem rzeką oblanej, przedstawiało dogodne schronienie dla dotkniętych dżumą. Obawa głodu znikła, to też nieszczęśliwi mieszkańcy Łucka widzieli w biskupie zbawcę swego i nie szczędzili oznak wdzięczności i uwielbienia.

Kilka miesięcy trwał ten stan opłakany, a kiedy nadeszłe mrozy przerwały zarazę, niezmierne tłumy okolicznych mieszkańców wszelkich stanów napływały w miasto, otwarto kościoły, dziękczynne modły wznosili wszyscy za koniec tej strasznej klęski, a biskup potem wśród błogosławieństw cisnącego się ludu opuścił Łuck i powrócił na swoją stolicę kijowską.

K. Bodzantowicz.

92. Alpuhara.

Już w gruzach leżą Maurów posady,
Naród ich dźwiga żelaza;
Bronią się jeszcze twierdze Grenady,
Ale w Grenadzie zaraza.

Broni się jeszcze z wież Alpuhary
Almanzor z garstką rycerzy;
Hiszpan pod miastem zatknął sztandary,
Jutro do szturmu uderzy.

O wschodzie słońca ryknęły spiże,
Rwą się okopy, mur wali;
Już z minaretów błysnęły krzyże:
Hiszpanie zamku dostali.

Jeden Almanzor, widząc swe roty,
Zbite w upornej obronie,
Przerznął się między szable i groty,
Uciekł i zmylił pogonie.

Hiszpan na świeżej zamku ruinie
Pomiędzy gruzy i trupy
Zastawia ucztę, kąpie się w winie,
Rozdziela brańce i łupy.

Wtem straż odźwierna wodzom donosi,
Że rycerz z obcej krainy
O posłuchanie co rychlej prosi,
Ważne przynosząc nowiny.

Był to Almanzor, król muzułmanów,
Rzucił bezpieczne ukrycie,
Sam się oddaje w ręce Hiszpanów
I tylko błaga o życie.

»Hiszpanie — woła — na waszym progu,
Przychodzę czołem uderzyć:
Przychodzę służyć waszemu bogu,
Waszym prorokom uwierzyć.

»Niechaj rozgłosi sława przed światem,
Że Arab, że król zwalczony
Swoich zwycięzców chce zostać bratem,
Wassalem obcej korony«.

Hiszpanie męstwo cenić umieją:
Gdy Almanzora poznali,
Wódz go uścisnął, inni koleją
Jak towarzysza witali.

Almanzor wszystkich wzajemnie witał,
Wodza najczulej uścisnął,
Objął za szyję, za ręce chwytał,
Na ustach jego zawisnął.

A w tem osłabnął... padł na kolana...
Ale rękami drżącemi
Wiążąc swój zawój u nóg Hiszpana,
Ciągnął się za nim po ziemi.

Spojrzał do koła — wszystkich zadziwił!
Zbladłe, zsiniałe miał lice,
Śmiechem okropnym usta wykrzywił,
Krwią mu nabiegły źrenice.

»Patrzcie, o giaury! jam siny, blady...
Zgadnijcie, czyim ja posłem?...
Jam was oszukał: wracam z Grenady,
Ja wam zarazę przyniosłem!

»Pocałowaniem wszczepiłem w duszę
Jad, co was będzie pożerać,

Pójdźcie i patrzcie na me katusze:
Wy tak musicie umierać«!

Rzuca się, krzyczy, ściąga ramiona:
Chciałby uściśnieniem wiecznem
Wszystkich Hiszpanów przykuć do łona,
Śmieje się — śmiechem serdecznym.

Śmiał się — już skonał — jeszcze powieki,
Jeszcze się usta nie zwarły:
I śmiech piekielny został na wieki
Do zimnych liców przymarły.

Hiszpanie trwożnie z miasta uciekli:
Dżuma za nimi w ślad biegła;
Z gór Alpuhary nim się wywlekli,
Reszta ich wojska poległa.

Adam Mickiewicz.

93. O miłości ojczyzny.

I.

Człowiek należy przede wszystkiem do Boga, który go dla chwały swojej stworzył, chce, by on go znał, kochał i wiernie mu służył, i to jest dla każdego pierwszym obowiązkiem. Ale ten bezpośredni obowiązek służenia Bogu składa się właśnie z mnóstwa obowiązków pośrednich. I tak, człowiek należy do rodziny, której powinien odpłacać się za to, co od niej i przez nią otrzymał; należy do społeczeństwa, którego jest członkiem i dla którego być powinien, i to z woli Bożej, członkiem pożytecznym; należy do ziemi, która go zrodziła i względem niej ma obowiązki obywatelskie; należy wreszcie do ojczyzny, której stanowi cząstkę żywotną, której chwała i pomyślność od niego w części zależą, ojczyzny, którą powinien znać i kochać, aby módz jej wiernie służyć, królestwo boże w niej szerząc.

Ojczyznę zatem trzeba znać; znać jej dzieje, jej język, jej właściwe cechy, jej warunki bytu ekonomiczne, społeczne i polityczne, gdyż z obeznania się z jej sprawami ubiegłemi i bieżącemi, z jej zasobami materyalnymi i moralnymi wynika możność służenia jej rozumnie i skutecznie.

Pierwszym tedy obowiązkiem zrozumieć i ocenić dary

boże, udzielone naszej ojczyźnie, zdać sobie sprawę, których użyliśmy na korzyść, a których na szkodę, któreśmy zmarnowali, a które, mogąc stanowić dla nas siłę żywotną, do dziś dnia leżą odłogiem.

Wszechstronnem zbadaniem kraju i spraw jego nauczamy się kraj nasz kochać, a ta miłość stanie się bodźcem do służenia mu wiernie wszelkiemi siłami.

Miłość ojczyzny, w istotnem znaczeniu, nie polega bynajmniej na jakiemś przyrodzonem upodobaniu do narodowych przywyknień, potraw, obyczajów złych, czy dobrych, jedynie dlatego, że się do nich przywykło. Takie usposobienie, chociażby było bardzo wybitne, nie stanowi wcale zadośćuczynienia obowiązkowi miłości ojczyzny. Ani też przeciwnie, to jest, brak upodobania do tego, co ojczyste, nie zwalnia bynajmniej od obowiązków, przez miłość ojczyzny nałożonych.

Śródziemne morze i alpejskie szczyty mogą się lepiej podobać od pińskiego błota, a kopuła kościoła św. Piotra kształtniejszą wydać od dzwonnicy własnego parafialnego kościoła, ale to niczem nie zmienia obowiązku miłości. Ułomności rodziców nie zmniejszają obowiązków synowskich, tak jak ułomności dziecka nie zmniejszają obowiązków rodzicielskich. Każdy jest zarazem synem i rodzicem ojczyzny i ma względem niej podwójne stąd wynikające obowiązki.

Wykonanie obowiązków polega na czynach, a nie na uczuciach. Wrodzone uczucia ułatwiają lub utrudniają wykonanie obowiązków, ale nie mogą ani ich zmienić ani od nich uwolnić ani same przez się być poczytane za spełnienie onych.

Miłość ojczyzny nie polega na jakiemś majaczeniu o sprawach narodowych i na poetyzowaniu ich, nie polega na manifestacyach, patryotycznych biesiadach, toastach, szumnych mowach i tkliwych wrażeniach.

Miłość ojczyzny nie ma nic wspólnego z narodową pychą i próżnością, jak to niektórzy mniemają, robiąc sobie jakby punkt honoru narodowego z odrzucania wszystkiego, co obce, choćby było pożądanem, dlatego, że obce, a broniąc do upadłego tego, co swoje, choćby było szkodliwem, dlatego, że swoje. Próżność narodową, tak jak wszelka pró-

żność i jak wszystko, co z zatrutego źródła pychy płynie, jest wadą zabójczą — zabójczą dla wszelkiego postępu i ulepszenia. »Podłość czy pycha« — mówi Krasiński — »to jednakie śmiecie«. Miłość ojczyzny nie tylko że nie wyklucza, ale raczej obudza zgrozę i boleść wobec tego, co w kraju zdrożnem być może.

Miłość ojczyzny nie polega na nienawiści tych, którym się przypisują klęski narodowe. Nienawiść może czasami niszczyć to, czego nienawidzi, ale niczego nie może stworzyć, niczego nie może zbudować, żadnej rany nie zagoi, żadnej szkody nie naprawi, żadnej korzyści nie przyniesie.

Miłość ojczyzny jest cnotą — a dla tego, że cnotą, to siłą, a że jest miłością, więc jak wszelka miłość, jest twórczą.

Miłość ma dwie główne cechy: chce posiadać przedmiot swego kochania i chce mu się poświęcić. Taka jest miłość Boga, taka miłość ojczyzny. Miłość zespala się z przedmiotem swojej miłości; cierpi jego cierpienia i chce mu ulżyć; odczuwa jego potrzeby i chce je zaspokoić, przeczuwa, co mu grozi, i chce go bronić; widzi, coby mu było korzystnem, i nie spocznie, dopóki mu tego nie pozyska. Poświęcenie jest tak od miłości nierozdzielne, tak z niej wynika, że nie można mówić o miłości ojczyzny, żeby nie mówić o służbie dla ojczyzny i o tem wszystkiem, co ona nastręcza, a mianowicie: szanowaniu i utrzymywaniu w kraju tego, co dobre, poprawianiu i odpokutowaniu tego, co złe, zdobywaniu dla kraju i przeprowadzeniu w nim tego, co pożądane.

II.

»Trwałość przyzwyczajeń, która nadaje charakter odrębnym osobistościom« — mówi Ozanam — »stanowi także znamienne cechy dla odrębnych narodowości«.

Piękne są nasze wigilie na sianie, na pamiątkę żłobku Betleemskiego, przy ukazaniu się pierwszej gwiazdy; piękne łamanie się opłatkiem i życzenia sobie szczęśliwych świąt; piękne chodzenie księży po kolędzie, śpiewanie kolęd i szopki, do których wartoby dzieci ile możności zachęcać; piękna Wieczerza Pańska, obchodzona w Wielki Czwartek na Litwie; piękne nasze Wielkanocne święcone, kiedy dom otworem stoi dla wszystkich, bogatych i biednych, ażeby so-

bie wzajem winszowano Zmartwychwstania Pańskiego, byleby się nie wpadło w zbytki i pracę, wykluczającą wszelkie nabożeństwo wielkotygodniowe; piękne jest święcenie gromnic, ziół, wianków, zboża, owoców, zakopywanie Ewangelii na czterech krańcach pola, poświęcenie mieszkań, nakoniec bielenie chat i majenie domów na doroczne święta, równie mądre ze względu na nabożność, jak i na schludność i zdrowotność.

Czyż nie byłoby grzechem przeciwko ojczyźnie, takie odziedziczywszy spuścizny, nie szanować ich wiernie, gdy tak już mało swojego zostało nam do szanowania?

Niemniej ważną rzeczą podtrzymywać zwyczaj śpiewania po kościołach Godzinek, Gorzkich Żali i t. p., który tak zbawiennie dopełnia niedostatek nauki katechizmowej, a zarazem przechowuje najdawniejsze zabytki polskiej mowy.

Piękny i bardzo piękny nasz język! Obstawajmy przy nim, starajmy się go doskonale posiadać, szanujmy jego bogactwa, pilnujmy czystości języka jako skarbu najdroższego, nie puszczajmy w zapomnienie starodawnych nazw i wyrażeń, nie zastępujmy ich słowami obcemi, nie kaleczmy języka niedbalstwem w sposobie pisania i wyrażania się, uczmy się wszelkiemi siłami poprawnie mówić i pisać.

Język jest skarbem najłatwiejszym do ustrzeżenia, oraz najbardziej zagrożonym zagładą. Nikt nam języka nie wydrze, póki sami o niego dbamy; pracujmy więc nad tem, by go od zagłady ustrzedz. Z zasady, z miłości ojczyzny i z przywiązania do ojczystej mowy nie rozmawiajmy w obcych językach, kiedy możemy mówić własnym — chyba wyjątkowo i chwilowo dla nauki i wprawy. Słowa i wyrażenia rodzime czasami nie odrazu na pamięć przychodzą: trzeba ich szukać i nie spocząć, póki się nie znajdą. Tego właśnie miłość i służba kraju po nas wymagają.

Niema na świecie narodu, któryby tak, jak nasz, lekceważył, co własne, a tak hołdował temu, co obce. My jedni zdobyliśmy się na to pośmiewisko, że wolimy do siebie pisywać i między sobą rozmawiać obcymi językami, choć je często kaleczymy, niż mówić i pisać własnym, którego moglibyśmy używać poprawnie. Ta rzecz, na pozór tylko śmieszna, jest w istocie krwawą obelgą ducha narodowego, zdra-

dza bowiem czy to lekceważenie, czy nieumiejętność ojczystego języka.

Język ten trzeba znać na wskróś. Trzeba przeniknąć jego tajniki, jego właściwości, jego bogactwa: trzeba nim władać nie tylko swobodnie, ale nawet wykwintnie i umiejętnie.

Mówiąc o tem, co w kraju naszym należy uszanować, jakże wielki nacisk położyć trzeba na uszanowanie i przechowanie w ręku naszem ziemi, tej ziemi, którą włościanie tak słusznie nazywają ojcowizną. Z ojcowizn składa się ojczyzna. Szanujmy każdą cząstkę tej ziemi, po ojcach odziedziczoną; nie puszczajmy jej w obce i wrogie ręce; ratujmy to, co zagrożone! Jakżeż włościanie nasi zdołają się utrzymać w wierności dla biednej ojczyzny, skoro ci, którzy powinniby przyświecać im wiernością, dają przykład zdrady i odstępstwa?

Zarzucamy ojcom naszym Targowicę; głosimy, że sprzedali ojczyznę, że ją zdradzili. Ależ, sprzedając choćby tylko piędź tej ziemi nieprzyjaciołom naszym, czyż nie tę samą popełniamy zbrodnię, tylko na taką skalę, na jaką nas dziś stać? Każdy kawałek ziemi, idący w obce, nieprzyjazne ręce, staje się jakby wyłomem, którym ten żywioł nieprzyjazny rozkład wśród nas wprowadza.

Ale nie dość ziemię posiadać, bo ona młyńskim kamieniem staje się u szyi temu, kto umiejętnie nie wyzyskuje jej najrozmaitszych bogactw, i o to właśnie chodzi, żebyśmy się z temi bogactwami umieli zapoznać, należycie je ocenić i korzystnie zużytkować. Znajmy więc i szanujmy własne, ojczyste ziemiopłody, bydło, konie, ptactwo, ryby, zwierzynę, zioła, drzewa, kwiaty. Jeżeli nam zagraniczne wydają się lepsze od naszych, to prawdopodobnie dlatego, że są lepiej hodowane, żywione, obsługiwane; a jak się te starania powtarzają przez kilka pokoleń, to samo przez się wynika, że gatunki i rodzaje poprawiają się i dochodzą do wielkiego udoskonalenia. Gdybyśmy dla swoich koni, dla swego bydła, dla trzody, drobiu, owoców, ogrodowizny i t. p. robili to wszystko, co czynią cudzoziemcy, od których obce gatunki kupujemy, tobyśmy do równie dobrych doszli wyników, a może i lepszych.

Czy są na świecie konie wytrzymalsze od naszych i mogące w tak krótkim czasie takie dzień po dniu przestrzenie przebywać? Godzinami biegną, a zawsze chętne do dalszej drogi. Można śmiało powiedzieć z Gaszyńskim:

Mój koniczek drogi, gdy siądę, wiatr goni,
Tak zwrotny, jak ręka, najlepszy koń z koni,
Strumienie przepływa, parowy przeskoczy...

Niech się kto przejdzie po angielskich stajniach, niech się przypatrzy, jaka staranność, jaka czystość, jaka opłata umiejętnych masztalerzy i kowali, i niech to porówna z tem, co się dla naszych koni robi; niech obaczy, jakim niedbałym, nieumiejętnym rękom nasze konie są powierzone, a potrafi tem lepiej rzadkie ich zalety ocenić.

A czy są na świecie krowy, któreby przy tak nędznej paszy tyle stosunkowo mleka dawały! Niech się kto przypatrzy holenderskim oborom, jak krowy żywione, jak doglądane, jak po ocieleniu osłaniane od wszelkiego przeciągu, jak w oborach cicho mówią, aby im żucia nie przerywać, jak je przed dojeniem głaszczą i rozmawiają z niemi, ażeby mleka nie wstrzymywały — a potem niech się przypatrzy temu, co się u nas dzieje: jak na bydło krzyczą, fukają, jak je kułakują, szturchają, biją, a będzie mógł sobie zdać sprawę z tego, jak nasze krowy oceniać warto.

A nasze trzody! Czy są na świecie płodniejsze i wytrzymalsze? A nasze kury! Czy są gdziekolwiek dowcipniejsze i dzielniejsze w szukaniu sobie żywności, nikogo o nią nie trudząc? Ktoby się przypatrzył chlewom i kurnikom zagranicznym, tenby sobie mógł zdać sprawę z tego, czy nasze rodzaje stosunkowo do tego, co się dla nich czyni, nie są stokroć przynośniejsze. Gdybyśmy ich zalety umieli wyzyskiwać, mając o nich należyte staranie, któż obliczy, jakiebyśmy skutki osiągnąć mogli? Ale my wolimy dojść do rzeczy gotowej i raczej obce gatunki sprowadzać z wielkim kosztem, niż swoje ulepszać z pewnym trudem. Nie idzie za tem oczywiście, aby nie kupować za granicą tego, co istotną korzyść dla kraju przynieść może i przyczynić się do prędkiego ulepszenia krajowych gatunków.

To samo stosuje się do całego gospodarstwa: ryb, ptaków, zwierzyny, pasiek; szanujmy je, nie pozwalajmy na

to, ażeby z braku umiejętnej hodowli gatunków niszczały i znikały.

To wszystko stanowi narodowe mienie, dobrobyt, bogactwo.

Kto będzie wierny w małych rzeczach, temu obiecuje Chrystus Pan powierzać rzeczy wielkie. Ceniąc i użytkując dary mniejsze, zasługiwać sobie będziemy na otrzymanie większych, tem bardziej, że i to nam Chrystus Pan zapowiedział, że ten, co już coś posiada, otrzyma więcej, a ten, co prawie nic nie posiada, i tę trochę, co mieć może, utraci, bo mu będzie odebrane.

94. Koncert myśliwski.

. . . Wojski chwycił na taśmie przypięty
Swój róg bawoli, długi, centkowany, kręty,
Jak wąż boa; oburącz do ust go przycisnął,
Wzdął policzki, jak banię, w oczach krwią zabłysnął,
Zasunął w pół powieki, wciągnął w głąb pół brzucha
I do płuc wysłał z niego cały zapas ducha
I zagrał. Róg, jak wicher, niewstrzymanym dechem
Niesie w puszczę muzykę i podwaja echem.
Umilkli strzelcy, stali szczwacze, zadziwieni
Mocą, czystością, dziwną harmonią pieni.
Starzec cały kunszt, którym niegdyś w lasach słynął,
Jeszcze raz przed uszami myśliwców rozwinął;
Napełnił wnet, ożywił knieje i dąbrowy,
Jakby psiarnię w nie wpuścił i rozpoczął łowy.
Bo w graniu była łowów historya krótka:
Zrazu odzew dźwięczący, rzeźki: to pobudka;
Potem jęki po jękach skomlą: to psów granie;
A gdzieniegdzie ton twardszy, jak grzmot: to strzelanie.

Tu przerwał, lecz róg trzymał: wszystkim się zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.

Zadął znowu. Myślałbyś, że róg kształty zmieniał
I że w ustach Wojskiego to grubiał, to cieniał,
Udając głosy zwierząt: to raz w wilczą szyję
Przeciągając się, długo, przeraźliwie wyje;
Znowu, jakby w niedźwiedzie rozwarłszy się gardło,
Ryknął: potem beczenie żubra wiatr rozdarło.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.

Wysłuchawszy rogowej arcydzieło sztuki,
Powtarzały je dęby dębom, bukom buki.

Dmie znowu. Jakby w rogu były setne rogi:
Słychać zmieszane wrzaski szczwania, gniewu, trwogi,
Strzelców, psiarni i zwierząt; aż Wojski do góry
Podniósł róg i tryumfu hymn uderzył w chmury!

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.
Ile drzew, tyle rogów znalazło się w boru,
Jedne drugim pieśń niosą, jak z choru do choru.
I szła muzyka coraz szersza, coraz dalsza,
Coraz cichsza i coraz czystsza, doskonalsza,
Aż znikła gdzieś daleko . . . gdzieś na niebios progu! . . .

Wojski obiedwie ręce odjąwszy od rogu,
Rozkrzyżował; rógł opadł, na pasie rzemiennym
Chwiał się. Wojski z obliczem nabrzmiałem, promiennem,
Z oczyma wzniesionemi, stał jakby natchniony,
Łowiąc uchem ostatnie znikające tony.
A tymczasem zagrzmiało tysiące oklasków,
Tysiące powinszowań i wiwatnych wrzasków.

Adam Mickiewicz (Pan Tadeusz).

95. Mały pisarz.

Był to ładny, miły chłopczyna lat dwunastu, o czarnych włosach i białej twarzy, najstarszy syn pewnego urzędnika kolei żelaznej, który mając liczną rodzinę, a bardzo lichą płacę, żył niemal w niedostatku. Ojciec kochał go i był dobry i pobłażliwy dla niego. Pobłażliwy we wszystkiem, oprócz tego tylko, co dotyczyło szkoły: w tym względzie był wymagający i surowy, bo pragnął, aby syn czemprędzej już mógł dostać jaką posadę i pomagać rodzinie. Ażeby dojść do tego w jak najkrótszym czasie, trzeba było pracować wiele. Chłopczyk uczył się pilnie, lecz ojciec pomimo to jeszcze go do nauki zachęcał. Ojciec był już niemłody, a praca nadmierna sprawiła, że się zestarzał przedwcześnie. Wszakże, aby rodzinie środków utrzymania przysporzyć, oprócz pełnienia obowiązkowej służby na kolei brał jeszcze tu i owdzie, gdy się zdarzyło, papiery do przepisywania do domu i znaczną część nocy na tej pracy przy stoliku przepędzał. Ostatnimi

czasy dostał był w pewnej redakcyi, która wydawała gazetę i książki zeszytami, robotę stałą, polegającą na tem, że na gotowych opaskach wypisywał imiona i adresy prenumeratorów; za każde pięćset takich papierowych pasków, opatrzonych czytelnem i foremnem pismem, pobierał zapłaty trzy korony. Ale ta praca nużyła go bardzo i często się na to przed swą rodziną uskarżał przy obiedzie.

— Oczy moje się psują — mawiał — ta nocna praca mnie zabija.

Syn powiedział do niego pewnego razu:

— Tatku, pozwól mnie pracować za siebie; wiesz, że i ja mniej więcej tak samo napisać potrafię.

Ale ojciec odrzekł:

— Nie, nie, synku, ty masz się uczyć; twoja szkoła jest rzeczą o wiele ważniejszą, niż te opaski; miałbym wyrzut sumienia, gdybym ci choć godzinę od nauki ujął; dziękuję, ale nie chcę i nie mów mi o tem więcej.

Syn wiedział, iż w takich rzeczach, skoro ojciec raz powiedział: nie, to już żadne nalegania nie pomogą — i umilkł. Lecz nie dał za wygraną i oto, jak sobie poradził.

Wiedział, że równo o północy ojciec pisać przestaje i ze swego gabineciku udaje się do sypialnego pokoju. Nieraz sam słyszał jednocześnie z wydzwonieniem północy na zegarze posunięcie krzesła i powolny chód ojca. Pewnej nocy, zaczekawszy, aż się ojciec do łóżka położy, wstał, ubrał się cichutko, poszedł poomacku do gabinetu, zapalił na nowo lampę naftową, usiadł przy biurku, na którem leżał cały stos białych pasków, oraz spis adresów, i zaczął pisać, naśladując o ile możności charakter ojca. I pisał ochoczo, zadowolony, chociaż z pewnym strachem, a zapisanych opasek stos się powiększał; chwilami kładł pióro, aby potrzeć ręce, i znowu brał się do roboty z większym jeszcze zapałem, ucha nadstawiał, uśmiechał się. Sto siedemdziesiąt pasków zapisał: korona! Wówczas zatrzymał się, pióro odłożył na to samo miejsce, skąd je był wziął, zagasił lampę i na palcach powrócił do łóżka.

Tego dnia w południe ojciec w dobrym humorze zasiadł do stołu. Nic nie spostrzegł, niczego się nie domyślał. Pracę tę swoją wykonywał machinalnie, mierząc ją na godziny,

myśląc o czem innem, i nie liczył zapisanych opasek aż dnia następnego.

Usiadł więc do stołu wesoły i klepiąc ręką po ramieniu syna, powiedział:

— Ej, Julku, jeszcze z tego twego ojca lepszy robotnik, niż myślałeś. W ciągu dwóch godzin wczorajszego wieczora zrobiłem o dobrą trzecią część więcej, niż zwykle. Ręka jeszcze żwawa, a i oczy pełnią jeszcze swą powinność.

A Julek ucieszony milczał, tylko sobie mówił w duchu: »Biedny ojczulek! Oprócz zarobku, robię mu jeszcze i tę przyjemność, iż mu się zdaje, jakoby odmłodniał. A więc odwagi!«...

Ośmielony tak dobrym początkiem, następnej nocy, kiedy północ wybiła, znowu wstał i zabrał się do pracy. I tak czynił przez kilka nocy. A ojciec niczego się nie domyślał. Pewnego razu jedynie powiedział, zdziwiony:

— Nie rozumiem doprawdy. Tyle nafty wychodzi w tym domu od jakiegoś czasu!

Julek drgnął, ale ta uwaga ojca przeszła bez następstw. Praca po nocy twała dalej. Jednakże przez takie ujmowanie sobie kilku godzin snu co nocy Julek niedostatecznie wypoczywał, z rana wstawał znużony, a wieczorem, przygotowując się z lekcyi do szkoły, wszelkich sił dobywał, aby nie zdrzemnąć: tak mu się sklejały powieki. Pewnego wieczora po raz pierwszy w życiu usnął na kajecie.

— Odwagi! odwagi! — zawołał nań ojciec, klaszcząc w dłonie. — Dalej, żwawo do roboty!

On się ocknął i zabrał się na nowo do nauki. Ale następnego wieczora, a również i dni następnych, powtórzyło się to samo i nawet było coraz gorzej; biedak drzemał nad książką, wstawał później, niż zwykle, lekcyi się uczył z wysiłkiem, zdawał się być zniechęconym do nauki. Ojciec zaczął mu się uważnie przyglądać, potem zamyślać się, nareszcie robić mu wymówki. Dotąd mu ich nigdy robić nie potrzebował!

— Julku — powiedział mu pewnego rana — coś mi się nie śpieszysz... W tem coś jest, tyś nie ten, co dawniej. To mi się nie podoba. Pamiętaj, cała nadzieja rodziny w tobie. Jestem z ciebie niezadowolony, rozumiesz?

Na tę wymówkę, pierwszą naprawdę surową wymówkę, jaką odbierał, chłopak się zmieszał i zatrwożył.

»Tak — pomyślał sobie — to prawda; tak trwać dalej nie może; trzeba wszystkiego zaniechać«.

Ale tego samego dnia wieczorem ojciec jego powiedział wesoło:

— Wiecie, iż w tym miesiącu zarobiłem o trzydzieści dwie korony więcej, niż w zeszłym, za te opaski.

— Jestem bardzo zadowolony... Tylko oto ten tam — i wskazał na Julka — ten mnie martwi.

Julek zniósł wymówkę w milczeniu, połykając łzy, które go za gardło ściskały, ale jednocześnie uczuł w sercu wielką jakąś błogość. I dalej z wszystkich sił pracował. Ale dodając niewywczas do niewywczasu , znużenie do znużenia, coraz bardziej siły swoje nadwątlał i coraz mu trudniej było walczyć z samym sobą. Taki stan rzeczy trwał już od dwóch miesięcy. Ojciec robił synowi częste wymówki i poglądał nań z coraz większem niezadowoleniem.

Pewnego dnia poszedł do nauczyciela, aby od niego wiadomości zasięgnąć, a nauczyciel powiedział mu:

— Tak na ogół nieźle jest, nieźle, bo ma zdolności. Ale nie widzę już w nim tej ochoty do nauk, co dawniej. Ćwiczenia piśmienne robi jak najkrótsze, znać w nich pośpiech i pisze brzydko. O! mógłby daleko więcej robić, daleko więcej!

Tego wieczora ojciec wziął chłopca na stronę i zaczął mu czynić wyrzuty tak gorzkie, jakich jeszcze nigdy nie słyszał.

— Juliuszu — rzekł — ty widzisz, że ja pracuję ciężko, że zdrowie, życie dla rodziny poświęcam. A ty nie masz serca ani dla mnie, ani dla braci, ani dla twojej matki!

— Ach! nie, ojcze, nie! nie mów tego! — zawołał Julek, wybuchając płaczem i już usta otworzył, aby wszystko wyznać.

Lecz ojciec przerwał mu, mówiąc:

— Znasz nasze położenie; wiesz, że każdy z nas ofiary ponosić musi, że każdy powinien mieć dobre chęci. Ja sam, widzisz, powinienbym był dwa razy tyle pracować. Liczyłem, że w tym miesiącu dostanę od zarządu kolei z jakie sto koron nagrody, a tymczasem dziś rano dowiedziałem się, iż nic mi nie dadzą!

Na tę wiadomość owo wyznanie, które miał Julek

uczynić, zamarło mu na ustach; w jednej chwili zmienił postanowienie i rzekł sobie w duchu:

»A więc odwagi!... Nie, ojcze, ja ci nic nie powiem, nie wyjawię tajemnicy, aby módz pracować dla ciebie; za tę boleść, którą ci sprawiam, wynagradzam cię w inny sposób; dla szkoły zawsze dość się nauczę, aby dostać promocyę; pomagać ci w pracy na życie, ulżyć ci trudu, który cię zabija — to rzecz najpierwsza!«

I pracował dalej. I znowu upłynęły dwa miesiące trudu w nocy, znużenia we dnie, wysiłków rozpaczliwych ze strony syna i gorzkich wyrzutów od ojca. Ale najsmutniejsze było to, iż ojciec coraz bardziej obojętniał dla chłopca, rzadko do niego przemawiał, jak gdyby to był syn niedobry, zepsuty, po którym niczego się już dobrego spodziewać nie było można; nawet oczy niemal od niego odwracał, aby się z jego wzrokiem nie spotkać. Julek to widział i cierpiał niewypowiedzianie i z tej żałości i z tej pracy nad siły chudł i bladł i coraz bardziej musiał zaniedbywać nauki. Rozumiał zresztą dobrze, iż raz przecie trzeba już będzie z tem skończyć, i co wieczór mówił sobie:

— Tej nocy już nie wstanę, nie pójdę.

A przecież jeszcze i tej nocy zbudził się i wstał, więcej z nawyknienia, które staje się jakby drugą naturą, niż dla czego innego; a kiedy wstał, wówczas zapragnął pójść choć na chwil kilka, wśród ciszy nocnej, po raz ostatni do tego pokoiku, gdzie czas długi pracował pokryjomu, z sercem pełnem czułości i zadowolenia. Gdy się znalazł znów przed tym stolikiem z lampą zapaloną i gdy spojrzał na te białe paski, na których już nie miał nigdy wypisywać owych nazwisk miast i osób, które teraz znał wszystkie na pamięć, dziwny go smutek ogarnął i nie namyślając się dłużej, ruchem szybkim, stanowczym, pochwycił pióro, aby znowu zwykłą pracę rozpocząć. Ale wyciągając rękę, potrącił o jakąś książkę, a ta spadła na ziemię. Krew rzuciła mu się do głowy. Gdyby się ojciec obudził! Wprawdzie nie zeszedłby go na złym uczynku — przecież on sam postanowił już wszystko mu wyznać — a jednak, gdyby usłyszał zbliżające się kroki w ciemności... gdyby się jego matka obudziła i zlękła... gdyby ojciec odkrył wszystko i (to mu po raz

pierwszy na myśl przyszło) miał doznać upokorzenia wobec niego, wobec syna...

Wszystko to go przeraziło. Stał chwilę, jak wryty. Słuch wytężył, dech zatrzymał... Żaden go szmer nie doleciał. Przyłożył ucho do zamku u drzwi, które się znajdowały tuż za nim: cisza. Cały dom spał. Ojciec się nie obudził. Uspokoił się i zaczął pisać. Stos opasek coraz się zwiększał. Doszedł do niego odgłos miarowy kroków stróża nocnego z pustej ulicy, potem turkot powozu, który ustał nagle; potem, po pewnej chwili, stuk szeregu wozów, które przeciągały zwolna, potem cisza głęboka, przerywana jedynie kiedy niekiedy szczekaniem dalekiem czujnego psa.

A tymczasem jego ojciec stał za nim: obudził się, gdy spadła książka, wstał i czekał na stosowną chwilę; turkot wozów zagłuszył szmer jego kroków i słabe skrzypnięcie drzwi otwieranych; stał za nim — siwą swą głowę pochylił nad czarnowłosą główką syna i widział, jak pióro biegało po papierze i — w jednej chwili wszystko odgadł, wszystko sobie przypomniał, wszystko zrozumiał, a żal i boleść i rozczulenie niezmierne wstrząsnęły mu duszę i trzymały go tam nieruchomie, jak przykutego, za krzesłem jego dziecka. Nagle Julek krzyknął przeraźliwie — dwoje ramion konwulsyjnie ścisnęły mu głowę.

— Ach tato! tato! przebacz! — zawołał, poznając swego ojca po płaczu.

— Ty mi przebacz — odrzekł ojciec, łkając jak dziecko i pokrywając mu czoło pocałunkami. — Zrozumiałem wszystko, wiem wszystko... to ty, ty mi przebacz, drogie, święte dziecko moje! Chodź, chodź ze mną!

I poprowadził go, a raczej zaniósł do matki, która już nie spała, popchnął go w jej ramiona i powiedział:

— Uściskaj tego syna, tego anioła, który od czterech miesięcy nie śpi i pracuje za mnie, a ja mu serce zakrwawiam, jemu, który na chleb dla nas zarabia, a on milczy cierpliwie!

Matka przycisnęła go do piersi, nie mogąc czas jakiś słowa wymówić, potem rzekła:

— Idź spać natychmiast, dziecko ty drogie, idź spać, wypocznij! Zanieś go łóżka.

Ojciec wziął go na ramiona, zaniósł do swego pokoju,

położył do łóżka wśród pieszczot i rozczulenia, poprawił mu poduszki i kołderkę.

— Dziękuję, tatko, dziękuję — powtarzał Julek — dziękuję; ale niech i tatko już idzie spać; ja taki szczęśliwy, niech tatko idzie do łóżka.

Ale ojciec nie chciał odejść, nim syn nie zaśnie; usiadł przy łóżku, wziął go za rękę i powiedział:

— Śpij, śpij, synku mój drogi!

I Julek, znużony, zasnął nakoniec i spał wiele, wiele godzin, używając po raz pierwszy od czterech miesięcy snu spokojnego, w którym mu się śniło o miłych, wesołych rzeczach; a otworzywszy wreszcie oczy, gdy już od dawna słonko świeciło, naprzód uczuł, potem zobaczył obok swej piersi na brzegu łóżeczka opartą siwą głowę swojego ojca, który w ten sposób noc spędził i spał jeszcze z czołem przy jego sercu. *Edmund de Amicis* (Pamiętnik chłopca).

96. Bitwa pod Lissą.

Ranek dnia 20. lipca 1866. roku był chmurny, morze niespokojne, a bałwany, pędzące z południowego wschodu kazały powątpiewać, czy bitwa wogóle będzie możliwa. O godzinie 7. dostrzegły straże kilka okrętów na widnokręgu, lecz wicher z deszczem, pędzący z północnego zachodu, znów zakrył je oczom. Fale wzdymały się w tym czasie tak wysoko, że mniejsze pancerniki musiały pozamykać okiennice armatnie. Deszcz padał na dobre. W miarę jednak, jak flota zwolna zbliżała się do Lissy, morze poczęło się uspokajać; około godziny 10. nastała pogoda. Dostrzeżono też zaraz wyspę Lissę, a przed nią w półkolu nieprzyjacielską flotę.

Z następnego zestawienia można powziąć wyobrażenie o obustronnych siłach bojowych:

	Austryacy	Włosi
Pancerniki	7 z 173 działami	12 z 248 działami
Okręty drewniane .	7 „ 307 „	8 „ 360 „
Kanonierki	9 „ 36 „	4 „ 16 „
Kołowce	4 „ 10 „	10 „ 32 „
Razem	27 z 526 działami	34 z 656 działami
	7.492 ludzi osady	10.706 ludzi.

Zauważyć jeszcze należy, że podczas gdy włoska flota uzbrojona była głównie w olbrzymie działa Armstronga i Kawallego, a nadto same gwintowane działa francuskie, Austryacy mieli tylko gładkie 30—48 i 60-funtówki i gwintowane 24-funtówki. Przewaga artyleryi była więc stanowczo po stronie włoskiej; to też admirał austryacki, już pod Helgolandem wsławiony Tegetthof, umocniwszy swoje »drewniaki« w okolicy maszyn i okiennic armatnich zapomocą poprzybijanych łańcuchów, postanowił rozprawić się z nieprzyjacielem z blizka, unikając walki artylerzyckiej na dalszą odległość.

Cesarska flota, uszykowana w trzy linie bojowe, zbliżała się wysuniętym klinem, w którego wierzchołku, a więc na samym czele płynął »Ferdynand Max«, okręt admiralski Tegetthofa. Pierwszą linię tworzyły pancerniki, drugą okręty drewniane z »Cesarzem« na czele, trzecią kanonierki; przeciw niej płynęła flota włoska również w trzy linie bojowe sformowana. Dowódca austryacki, świadom dobrze niższości swojej artyleryi, wywiesił sygnał: »Den Feind anlaufen und ihn zum Sinken bringen« (na nieprzyjaciela najeżdżać i topić), a zarazem rozkazał pędzić całą siłą pary, ażeby przez to ruchy nieprzyjaciela uprzedzić i celność strzałów osłabić; nadto przykazał ostro tylko wtedy i to całe salwy boczne dawać, kiedy co do skuteczności strzału żadna nie może zachodzić wątpliwość.

Była już godzina $10^{3}/_{4}$, kiedy się rozległ pierwszy strzał z pancernika włoskiego »Principe Carignano«, a niebawem zagrały do wtóru wszystkie działa nieprzyjacielskiej floty; odpowiedziała im cesarska dywizya pancerna, nie zatrzymując się w biegu. Gęsty dym zasłonił obydwie floty i zakrył widok. Mimo to okręt admiralski (Ferdynand Max) pędził na czele pancerników nieustannie naprzód i przełamał linię nieprzyjacielską. Wtedy to następna, średnia dywizya pancerników włoskich, rzuciła się na drewniane statki austryackie, które przez to w niemałych znalazły się opałach. Widząc to Tegetthof, śpieszy ze swymi pancernikami na pomoc i teraz poczyna się bezładne borykanie się okrętu z okrętem lub kilkoma naraz: napad, obrona, najeżdżanie, wymijanie, powszechna gonitwa, prawdziwy taniec piekielny

przy muzyce 1182 dział, których straszliwy huk słyszano aż w Zadarze.

Na tem ogólnem tle rysują się wyraźnie dwa bohaterskie epizody, w których cesarska marynarka okryła się chwałą.

Okręt admiralski »Ferdynand Max« pod komendą br. Sternecka próbował już dwakroć przebić swym dziobem nieprzyjacielskie pancerniki, atoli cios za każdym razem nie był wymierzony prostopadle do dłuższej średnicy statku, więc też widocznego skutku nie było. Wtem napotyka on admiralski okręt nieprzyjaciela »Rè d'Italia«, z którego jednak dowódca włoski, admirał Persano, na godzinę przed bitwą przesiadł się na pancernik wieżowy »Affondatore«. Nastąpił pojedynek dwu potworów pancernych: »Ferdynand Max« pędzi z szybkością $11^1/_2$ węzła naprzeciw, a ponieważ »Rè d'Italia« usunąć się nie chce, czy nie może, przeto wbija mu swój dziób w bok, w okolicy przedniego masztu. Skutek był straszny: na 2 *m* głęboko wrył się dziób w kadłub przeciwnika. »Rè d'Italia« przewalił się zwolna na drugą stronę, a gdy przeciwnik w tył się cofnąwszy, swój dziób wyswobodził, rzuciła się natychmiast woda w zrobiony otwór i w przeciągu $^1/_2$ minuty poszedł na dno jeden z największych pancerników włoskich o pojemności 6000 beczek, całą niemal załogę, 550 ludzi wynoszącą, za sobą w płynny grób pociągając; zaledwo kilkunastu ludzi z całej osady zdołało dopłynąć do brzegu wyspy i w ten sposób się uratować. O ratowaniu rozbitków nie można było nawet pomyśleć, gdyż natychmiast zjawił się inny pancernik włoski i »Ferdynand Max« tylko z biedą uniknął losu zatopionego przeciwnika.

Włosi widocznie uwzięli się najbardziej na okręt liniowy »Cesarz«. Był to statek drewniany, uzbrojony w 92 armat, osady liczył 892 ludzi, a dowodził nim kommodor Petz. Niebawem otoczyło go 5 pancerników, między nim »Affondatore«, który prosto zmierzał ku »Cesarzowi«, ażeby go swoją potężną ostrogą przebić i zatopić; nim jednak do tego przyszło, otrzymał na odległość nie przenoszącą 400 *m* dwie po sobie następujące salwy, które »Cesarza« uratowały, gdyż przeciwnik nagle zmienił kierunek. Także z drugiej sposobności, która się nadarzyła, »Affondatore« nie tylko nie skorzystał,

lecz nawet nie okazywał ochoty mścić się na »Cesarzu«. Zato udało mu się poczęstować przeciwnika dwoma strzałami ze swoich 150-funtówek, które niemałe na »Cesarzu« sprawiły spustoszenie; dwa działa zdemontowane, a ich artylerzyści, tudzież majtkowie przy sterze zabici lub poranieni. Wtem inny pancernik włoski »Rè di Portugallo« pędzi wprost na »Cesarza«; zamiar się jednak nie udał dzięki pięknemu pomysłowi kommodora Petza, który widząc, że innego wyjścia niema, w największym pędzie uderzył w rufę przeciwnika i tym sposobem drogę sobie utorował. Śmiałe to jednak, jak na okręt drewniany, przedsięwzięcie opłacił »Cesarz« strzaskaniem swej sztaby, a nadto maszt przedni runął w tył i obalił komin; bałwan dymu buchnął w tej chwili, tocząc się po pokładzie, co dało nawet powód mniemaniu, że okręt się pali. Na szczęście tak nie było; żeby jednak pokład uwolnić od masztu razem z linami, które zająwszy się, mogły pożar sprowadzić, musiał »Cesarz« opuścić walkę i zwolna zmierzał do portu, po drodze jeszcze trzy salwy boczne posyłając swemu napastnikowi »Affondatore«, który też później wskutek odniesionych w tej bitwie uszkodzeń w Ankonie zatonął.

Szala zwycięstwa przechyliła się już widocznie na stronę austryacką. Włosi ponieśli znaczne straty, postradawszy zwłaszcza okręt »Rè d'Italia«, a gdy jeszcze na innym ich statku, »Palestro« (250 osady), wybuchnął pożar, wtedy cała flota, otoczywszy go dla ochrony, oddaliła się zwolna w kierunku Ankony. Na tem skończyła się bitwa; była godzina 2. m. 15. O godzinie $^1/_2$3. spostrzeżono słup dymu, prosto do góry się wznoszący z płynącego statku »Palestro«, w 10 sekund później rozległ się huk: pancernik włoski wyleciał w powietrze. Flota austryacka długo jeszcze w gotowości bojowej obserwowała nieprzyjaciela; nie mogąc wszakże z powodu niższości artyleryi wdawać się w kanonadę na dalszą odległość, po dwu godzinach zawinęła do portu w Lissie, gdzie zastała »Cesarza« wprawdzie ciężko uszkodzonego, ale zupełnie zdatnego do żeglugi. Nazajutrz (21. lipca) przywiózł z Zadaru lloydowy statek »Venezia« telegram cesarski, w którym monarcha oficerom i osadzie najwyższe podziękowanie przesyłając, Tegetthofa na stopień wice-admirała posunął.

97. Mury Habsburga.

W argowskiej ziemi na wysokiej skale
Wznosi się zamek Habsburski wspaniale:
Czyjeż to dzieło
Czołem z granitu w obłoku spoczęło?

Alboż go nie znasz? — To dzieło Radbota.
Cny biskup Werner sypnął na to złota;
I spólne siły
Strażniczym orłom gniazdo umościły.

I przyszedł biskup widzieć gmachy nowe,
I potrząsając srebrnowłosą głowę,
Rzecze zdumiały:
»Zamek jest, lecz gdzież są mury? gdzież wały?«

A na to hrabia: »Strassburg ma świątynię,
Twe dzieło, bracie, co szeroko słynie;
— Sam to widziałem —
Aniś ją zamknął murem ani wałem«.

»To inna, bracie, bo też domu Boga
Broni przed wrogiem święta cześć i trwoga;
Zamczyska wieże
Wał tylko i mur obronny ustrzeże«.

»Tak, prawda! twierdzy trzeba dla budowy —
Rzekł hrabia — lecz tem nie psuj sobie głowy:
Nim jutro rano
Spędzi ćmy nocne, już mury powstaną«.

Wnet gońców nocą głos brzmi po dolinie;
I wnet drużyna stąd i zowąd płynie
I z wschodem słońca
Zamek okrąża od końca do końca.

Otrąbił hrabia radość swą dokoła
I do sennego brata gromko woła:
»Patrz! nasze mury!
Tak raźną pracę widziałże człek który?«

Zerwał się ze snu biskup i nie wierzy
I już u okna w niedbałej odzieży!
Cudny widoku:
To huf rycerzy przedstawia się oku!

Pierś obok piersi, obok grotów groty:
Murem stanęły mocnych pieszych roty,
A gdzie konnica,
Gęsta się wznosi ruchoma wieżyca.

I rzekł mąż boży, wznosząc dłonie obie:
»O! takiej twierdzy ufaj w każdej dobie!
A próżen trudu,
Oprzyj potęgę na wierności ludu«.

O niechże, póki tylko wieków starczy,
Nie schodzi na tej Habsburgowi tarczy!
W jej kojnym cieniu
Błogo wszelkiemu będzie pokoleniu!

Według *Karola Simrocka.*

98. Sabałowa bajka.

Siedliśmy wokół ogniska, wsłuchani w tę ciszę tatrzańską, która aż w uszach dzwoni. Zbliżała się już i godzina spoczynku, gdy nagle Sabała podniósł swą pomarszczoną twarz, chwilę popatrzył szklanemi oczyma w ogień i tak zaczął opowiadać:

Proszę pięknie waszych miłości, raz szedł chłop ze świdrem i rąbanicą do Nowego Targu na siacie. Jakoś za Poroninem stowarzyszyła się z nim stara baba. Chłop, że był mądry gazda, poznał Śmierć i zaraz myśli, jako się jej pozbyć. Wziął wreszcie wiercić dziurę do wierzby, wiercił, póki nie wywiercił, a potem w nią zagląda.

— Czego patrzysz? — pyta Śmierć.

— Chcesz uznać, to sama zajrzyj.

Zajrzała Śmierć do dziury, nie widzi nic; a przez ten czas ociosał chłop rąbanicą bukowy kołek.

— Nie widzę nic — powiada Śmierć.

— Wleź całkiem, to zobaczysz.

Ledwie Śmierć wlazła całkiem, zatkał ci ją chłop bukowym kołkiem, przybił kołek obuchem i poszedł.

Aż tu rok po roku idzie, chłop żyje i żyje; ludziska przestali umierać, zajaziło się od nich w Zakopanem, w Białym Dunajcu, w Chochołowie, wszędzie, że człek koło człeka stał, jako smreki stoją w borze. Chłopisko się zestarzało,

bieda poczyna go gnieść, robić już nie mogło. Naprzykrzyło mu się w ostatku żyć, poszedł i odetkał Śmierć z wierzby.

Jak Śmierć skoczy, jak weźmie kosić w Zakopanem, w Białym Dunajcu, w Kościeliskach, w Chochołowie: to tyle ludzi wymarło, że i chować gdzie nie było. Przychodzi wreszcie Śmierć do pewnej gaździny wdowy — siedmioro sierot u niej — i bierze ją. A tu dzieci jak nie zaczną lamentować:

— Nie bierz matki, nie bierz matki!

Zlutowała się Śmierć nad dziećmi, idzie do Pana Boga i powiada:

— Panie Boże, jakże mnie matkę brać, kiedy dzieci tak proszą, tak lamentują, aże mi się luto stało?

A Pan Bóg powiada tak:

— Ja w tych rzeczach nie gazda, jeno Pan Jezus gazda. Idźże do Pana Jezusa, niech ci ta powie, jako ma być.

Przychodzi Śmierć do Pana Jezusa i powiada:

— Panie Jezu, jakże mnie gaździnę brać? Siedmioro sierót w chałupie, tak proszą, tak lamentują, aże mi się luto stało.

A Pan Jezus:

— Chybaj do morza, przynieś skałkę!

Skoczyła Śmierć do morza na samusieńkie dno, przyniosła skałkę, okrąglutką, jako bochenek chleba, a Pan Jezus do niej:

— Gryź!

Gryzie Śmierć, gryzie, zębiska ją bolą; zgryzła wreszcie calusieńką skałkę i patrzy, aż w środku robaczek maluśki siedzi.

A Pan Jezus:

— Widzisz — powiada — to ja i o tym maluśkim robaczku na dnie morza wiem i pamiętam, a ty myślisz, że ja o sierotach nie będę pamiętał? Chybaj, bierz matkę!

Henryk Sienkiewicz.

99. Tatry.

Hej, za mną w Tatry, w ziemię czarów,
Na strome szczyty gór!
Okiem rozbijem dal obszarów,
Czołami sięgniem chmur.

Ponad przepaści nasza droga,
Odważnie, bracie mój!
Od ludzi dalej — bliżej Boga,
Ha! już jesteśmy — stój!

Patrz, jak w głębinach białą pianą
Potoków kipi war —
Potężną falą, rozhukaną,
W granitach żłobi jar.

I siłą w hale się przerzyna,
W juhasa Boży świat —
Gdzie w szmaragd stroi się dolina
I w różnobarwny kwiat.

Tu znów iglica za iglicą
W niebiosa patrzy się;
Patrz! tam urwiskiem błyskawicą
Kozica trwożnie mknie.

I z bystrej turni nad jeziora
Wieczysty zbiega chłód,
Gdzie się przegląda mnich-potwora
W zwierciadle czarnych wód.

Tam białą wstęgą nurt szeroki
Śle w przepaść głazów złom
I błyskawica drze obłoki,
Po gromie wali grom.

Zda się, że wstrząsa gór posadę
Grom zdwojon echem burz,
Zda się, że niesie nam zagładę,
Że koniec świata już.

Lecz burza coraz niżej schodzi,
Piorunów słabnie trzask,
Wybiegłe szczyty z chmur powodzi
Oblewa złoty blask.

Gerlach, Łomnica i Lodowy
Nad białe morza chmur
Podnoszą swoje dumne głowy,
Króle tatrzańskich gór.

Uczucie wzniosłe, niepojęte
W piersi nie mieści się

I jakieś tchnienie wonne, święte,
W niebiosa serce rwie.

Oddalonemu od trosk ziemi
Zda się, że niebieski próg...
Że stanął między wybranemi,
Że tutaj mieszka — Bóg!

W. L. Anczyc.

100. Egzamin i zakończenie roku szkolnego w gimnazyum krzemienieckiem.

Rozpoczęły się publiczne egzamina. W Krzemieńcu młodzież z prawdziwym zapałem oddawała się naukom i pewna siebie, ochotnie i przytomnie z nich sprawę zdawała. Popisy, szczególniej z fizyki i chemii, objaśnione doświadczeniami, z wymowy i literatury, okraszone przytoczonymi wzorowymi przykładami prozy i wiersza, zgromadzonych słuchaczów zachwycały. Zadowoleni byli goście, rozrzewniał się pociechą szanowny pasterz, rodzice uwielbiali Czackiego, Czacki ojcowskiej w sercu doznawał radości i w duchu gorącej wiary niósł Panu dzięki, że trudy i starania jego błogosławił.

Po trzechdniowych popisach nastąpił dzień rozdawania nagród. W środku kościoła, po prawej ręce od wchodu, wzniesione było siedzenie biskupa, po lewej tron z portretem cesarza; wokoło stały w dwóch rzędach krzesła, które zasiedli poważni obywatele, ojcowie i matki; poza nimi porządkiem stanęli uczniowie klas i kursów, dalej mnóstwo interesowanych lub tylko ciekawych i widzów. Jeszcze niema Czackiego, komisarzów i senatu nauczycielskiego. Uczniowie, klasami rozstawieni, zajęli swe miejsca; na czele każdej klasy gromada celujących należnej nagrody oczekuje. Kursa osobno stoją; wszyscy w mundurach, wszyscy weseli; czyż wszyscy nagrody biorą? Śmiało i wesoło poglądają, ale ułożeniem skromni i przyzwoici, bo tu nie tylko przyozdabiają umysły, tu i serca kształcą i nadpsute nawet wzniosłemi uczuciami natchnąć potrafią; bo tu naczelnikiem jest przykład, jest wzór, za którym dążą wszyscy, pragnący się szczycić imieniem prawego obywatela. Od drzwi wchodowych dał się słyszeć szelest, wszystkich oczy w tę stronę się zwróciły,

wszystkich usta szepnęły: »Idą«. Jakoż weszli nauczyciele parami, porządkiem starszeństwa, a dwaj ostatni nieśli, jeden dyplom cesarski, drugi na tacy medale; za nimi weszli dyrektor i prefekt, dalej komisarze: Michał Sobański, Wacław Boreyko, ks. Maksymilian Jabłonowski i Filip Plater, pisarz komisyi, Rudzki, i plenipotent funduszów edukacyjnych, Borkowski; na końcu szedł Czacki, a za nim sekretarz gimnazyalny ze stosem atestatów i listów pochwalnych. Rozstąpili się wszyscy, grono szanownych mężów zasiadło swoje krzesła, na tronie pod portretem cesarskim złożono dyplom, na stopniach listy pochwalne, sekretarz stanął za krzesłem Czackiego. Ks. biskup zaintonował *Veni Creator*, po którego odśpiewaniu Czacki zagaił posiedzenie krótką, piękną przemową. Profesor Choiński w uroczystej rozprawie wykazał korzyści uczenia ekonomii politycznej.

Nastąpiło rozdawanie nagród; od pierwszej klasy aż do trzeciego kursu każdemu Czacki, oddając list pochwalny, coś stosownego, coś przyjemnego powiedział. Następowały medale. Od najdawniejszych czasów trwał u nas zwyczaj, że je rozdawali rodzice, znakomitsi dygnitarze lub damy, a zwłaszcza jeśli byli pokrewni medalowego ucznia; nie mającym obecnej na akcie rodziny oddawali tę nagrodę ks. biskup, poważni ojcowie i dostojne matrony. W tym roku p. Michał Sobański brata i synowca medalem ozdobił. »Zaszczyć tą nagrodą zasłużoną ich pilność i obyczajność, dostojny mężu!« przemówił Czacki. »Zastąp tu im ojców, których opiekę tak godnie im zastępowałeś; zaszczyć, zaszczyć ich, nim twój syn, dorósłszy lat, do nauki sposobnych, odebrać znak taki z rąk rodziców zasłuży. Wy zaś, młodzieńcy, możecie się pochlubić, żeście z rąk takiego czcigodnego krewnego ten znak waszej zasługi odebrali i starajcie się być jemu podobni«. Izydor i Piotr Sobańscy byli z drugiego kursu. Następował kurs trzeci, na którym najbezstronniej złoty medal nauczyciele przysądzili Józefowi Czackiemu. Szedł piękny młodzieniec po nagrodę skromnie, lecz śmiało; ale spojrzawszy na matkę, której wyraz twarzy zdradzał walkę uczuć wewnętrznych, jeszcze żywszym spłonął rumieńcem i nie tak już pewnym krokiem postąpił ku ojcu. »Synu mój, Józefie — rzekł ojciec — ufność moja bez granic w charakterze i sumieniu

władz tej szkoły upewnia mnie, że nie sama ku mnie życzliwość ani żaden interes w przysądzeniu ci tej nagrody zdaniem ich kierowały. Żeś na nią zasłużył, zacni ci nauczyciele mnie zapewniają; wierzę więc, z prawdziwą serca uciechą zasługę twoją uznaję i do tego drżącego z radości ojcowskiego serca przyciskam! Wam, dostojni nauczyciele i przełożeni tej szkoły, najczulsze składam dzięki, żeście wszczepili w ten młodociany umysł zamiłowanie nauk i szlachetną emulacyę. Czem on będzie na świecie, wasze to dzieło, a za trudy, około niego podjęte, moja ku wam wdzięczność i do grobu serca mego nie odstąpi. Ale, mój synu! ukończywszy zawód naukowy, wychodzisz na świat; wręczyłem ci w tym względzie moje uwagi, tu ci jeszcze kilka jedynie słów powiem. Wielkie zaciągnąłeś obowiązki względem tej szkoły! Ja jedną nogą nad grobem już stoję, może głos mój już po raz ostatni w tych się murach rozlega. Na tobie, mój synu, cała moja nadzieja! Ty się przejmiesz mojemi względem tej szkoły uczuciami, ty z mojej wdzięczności masz się wypłacić tej szkole, tym czcigodnym współziomkom, tej ziemi rodzinnej, która cię wydała i wykarmiła, Twojej i mojej wdzięczności dowiedziesz, jeśli w całem twem życiu postępując drogą wiary i prawości, staniesz się godnym szacunku tych życzliwych współobywateli, godnym opieki twojego monarchy, godnym imienia ucznia gimnazyum Wołyńskiego, imienia Polaka! Na znak, że mi to przyrzekasz, podaj mi dłoń twoją!« A ująwszy syna za rękę jedną, a drugą ręką medal: »Pójdź — rzecze — synu kochany! nikt godniej nie zdoła ozdobić cię tym znakiem zaszczytnym, jak ta, która z mlekiem swojem przelała w twe serce uczucie miłości Boga, miłości honoru i miłości ojczyzny!« Nie mógł już więcej mówić, łzy głos stłumiły. Oddał żonie medal, a Józef przed matką zgiął kolano; drżącą ręką starościna przypięła medal synowi, pochyliła się nad głową jego, lecz gdy chciała do niego przemówić, płacz głośny wydarł się z piersi szczęśliwej matki; objęła piękną głowę młodzieńca, przycisnęła do serca i łzy czcigodnych rodziców zmieszały się ze łzami godnego ich syna; a te łzy były łzami radości, niemymi tłómaczami rodzicielskiego błogosławieństwa.

Gdy starościna przypięła synowi medal i ojciec wręczył mu atestat szkolny, przykląkł młody Czacki przed spłakanym pasterzem, który go ojcowskiem sercem na dalszą kolej życia pobłogosławił. Zakończył tę całą uroczystość czcigodny ks. biskup hymnem św. Ambrożego i powszechnem błogosławieństwem. *Antoni Andrzejowski* (Ramoty starego Detiuka).

101. Chrystus z nami.

Łódź gibka na modrem jeziorze usiadła
I pruli spokojnie przeźrocze źwierciadła,
Płynęli powoli wietrzykiem owiani,
Aż fala zahuczy, wełnami bałwani;
To wody się nagle podniosą, to zwiną,
I z łodzią igrają, jak z wątłą łupiną.

Więc ucznie się zlękli i w okropnej chwili
Uśpionego Mistrza z przestrachem budzili.
»Ach, ratuj nas, Rabbi!« — wołali ze łzami,
A Chrystus: »O słabi! wszak jestem ja z wami«.
I kazał się burzy uciszyć — opadła;
I pruli spokojnie przeźrocze źwierciadła.

O duszo chrześciańska! gdy burza szalona
Roztoczy nad tobą huczące ramiona,
Ty rozpacz odepchnij świętemi piersiami
I spojrzyj spokojnie, bo Chrystus jest z nami.

Antoni Czaykowski.

OBJAŚNIENIA.

Abszyt (niem.) — odprawa, uwolnienie ze służby.

Achtuba — odnoga rzeki Wołgi.

adamaszek — materya jedwabna w kwiaty, wyrabiana w Damaszku w Syryi.

Akademia Nauk — towarzystwo uczonych, któremu rządy i kraje dają pomoc materyalną. Ma ono ograniczoną liczbę członków, wybieranych podług zasług i zatwierdzanych przez panującego monarchę.

Akademia Umiejętności — to samo, co Akademia Nauk. Jedyna polska w Krakowie, powstała w r. 1873. z Towarzystwa Naukowego krakowskiego.

książę *Aleksander* — było to imię chrzestne W. księcia Litewskiego, Witolda, stryjecznego brata Jagiełły króla.

alkierzyk — pokoik kobiecy.

alkoran (tur.) — księga zasad wiary mahometańskiej.

alkowa (z włoskiego) — nyża, framuga.

ambaras (franc.) — kłopot.

animusz (łać.) — odwaga, męstwo.

antidotum (gr.) — lekarstwo przeciw truciźnie, środek na co.

apopleksya (gr.) — uderzenie krwi do głowy.

archeolog (gr.) — znawca starożytności; uczony, zajmujący się badaniem zabytków przeszłości.

archistrateg (gr.) — arcyhetman, przydomek św. Michała.

architektura — budownictwo, jedna ze sztuk pięknych.

architypografia (gr.) — drukarnia pierwsza, najważniejsza.

argument (łać.) — dowód.

astronom (gr.) — badacz gwiazd; uczony zajmujący się badaniem ciał niebieskich, ich wielkości, odległości i praw ich ruchu.

atestat (łać.) — świadectwo.

Bakałarz — najniższy stopień uniwersytecki, otrzymywany po złożeniu wymaganego egzaminu.

banderya (włos.) — oddział konny z chorągwiami, wogóle orszak jeźdźców w dobranych strojach.

Bandtkie Jerzy Samuel (1768—1835) historyk i gramatyk. Napisał między innemi »Historyę drukarń w Polsce i na Litwie«.

bankier (franc.) — kupczący pieniędzmi; właściciel zakładu wymiany papierów publicznych i monet.

pod »*Baranami*« — dom hr. Potockich w rynku krakowskim.

barok — styl architektoniczny o liniach nieregularnych (zwyrodniały renesans); panował w końcu w. XVII. i na początku XVIII.

beczka — (miara ciężkości na okrętach) = 1000 klgr.

bejram — święto mahometańskie wielkie.

biesagi (z włosk. *bisaccio*) — podwójna torba żebracza.

bisiory — cienka materya droga.

bizantyńskie kopuły, wysokie, zao-

kräglone, jedna z cech stylu architektonicznego tej nazwy.

bodenka, bodnia — beczka.

bojar — stan pośredni między szlachtą a chłopami na Litwie, na Rusi i na Wołoszczyźnie bojarami zwano magnatów.

bokówka — izba boczna.

brandy — gorzałka.

brekfest — śniadanie.

Brodziński Kazimierz — poetą, autor »Wiesława« ur. 1791. w Królówce (w powiecie bocheńskim), um. 1835. w Dreznie.

bunt — wiązka, wiązanka.

Centuryon — setnik, dowódca setki żołnierzy.

chmyz — chuchrak, marna człowieczyna.

chojar — choina; krzak młodej jodły lub sosny.

chorąży województwa — drugi co do godności urzędnik ziemski; obowiązany był podczas pospolitego ruszenia stawać na czele ze sztandarem swego województwa.

Chowaresmowie — mocarstwo w średnich wiekach na wschodnich brzegach morza Kaspijskiego.

cyrk — zabudowanie podłużne, zakończone półkolem, z areną we środku dla wyprawiania igrzysk, najczęściej wyścigów konnych i na rydwanach.

cyrograf (gr. χειρόγραφος) — rękopis; własnoręczne pismo, dokument.

Dahomejski król, czyli król murzyński, despota panujący w Abomeh, w Wyższej Gwinei.

damascenka — szabla ze stali damasceńskiej, słynnej z twardości i wytrzymałości.

decorum (łać.) — przyzwoitość.

dekoracye (łać.) — ozdoby.

Decyusz Justus — historyk, sekretarz króla Zygmunta Starego, założyciel Woli Justowskiej pod Krakowem.

dębniak — rodzaj miodu do picia.

dining room — jadalnia.

dramat (gr.) — zdarzenie pełne powikłań i chwil wstrząsających.

dramatyczna sztuka — przedstawianie na scenie zdarzeń z życia ludzkiego tak, jakby się one w rzeczywistości odbywały.

drążki — dyszel lub wózek cały.

dyalogi (gr.) — rozmowy dwu osób, wogóle rozmowy t. j. utwór dramatyczny, przedstawiany na scenie.

dyplomatyczny (gr.) — używany w przywilejach i w stosunkach międzynarodowych.

dyrektor (str. 256.) — nauczyciel domowy.

dyssydencki (łać.) — różnowierczy.

dywizya — oddział floty.

dziewosłęby — swaty, poselstwo do rodziców panny z prośbą o jej rękę.

dżakowski biskup — Dżakowo, m. w Sławonii, posiada wspaniałą katedrę w stylu romańskim, wzniesioną kosztem biskupa Strossmajera.

dźwirowate wyroby — podobne do damasceńskich.

dżin — jałowcówka (wódka).

dżuma — zaraza morowa. Mowa o biskupie Kasprze Cieciszowskim; umarł arcybiskupem mohylewskim w 1831.

Ekonomia polityczna — nauka gospodarstwa krajowego.

elegia — utwór liryczny, treści zazwyczaj smutnej, opiewający jakąś stratę lub wogóle to, co niepowrotnie minęło.

elektor (łać.) — książę niemiecki, mający prawo wyboru cesarza.

emulacya (łać.) — współzawodnictwo.

entuzyazm (gr.) — zapał, uniesienie.

epidemia (gr.) — choroba zaraźliwa.

epizod (z greck.) — część tragedyi greckiej, wogóle część jakiejś całości, ustęp.

erem (z greck.) — pustelnia.
erudycya (z łać.) — uczoność.
z *etatu* spaść — być usuniętym ze służby z powodu zniesienia posady.
Familiant (łać.) — posiadający *familię*, t. j. szlachcic z dziada, pradziada.
famulus (łać.) — sługa.
fanatyczna propaganda (łać.-gr.) — żarliwe do przesady rozszerzanie jakichś zasad, zwłaszcza religijnych.
fantazya (gr.) — wyobraźnia; ochota, junactwo.
po *Febie bracia stryjeczni*. Febus Apollo był bogiem poetów. *Bracia po Febie* — poeci; *stryjeczni* — w dalekiem pokrewieństwie.
feniks — ptak bajeczny, symbol odrodzenia, ponieważ się sam odradzał z własnych popiołów.
ferwor (łać.) — zapał, gorliwość.
filologia (gr.) — nauka, obejmująca studya nad językiem, przeszłością i życiem publicznem i prywatnem jakiegoś narodu.
filozoficzny (gr.) — odnoszący się do filozofii, nauki o początku wszech rzeczy.
fraternizować (łać.) — bratać się.
fryszerskie ognisko, w którem surowiec przerabia się na żelazo kute.
furdyment (franc.) — rękojeść pałasza.
furya (zemsty) (łać.) — jędza, wściekłość.
Gaj Ludwik *1809. †1877., pisarz chorwacki.
galerya obrazów — gmach lub sala, w której umieszczone są obrazy sławnych artystów.
Galileusz (Galileo Galilei), sławny fizyk włoski *1564. †1642., bronił nauki Kopernika o obrocie ziemi. Sławne jest jego zdanie: »E pur si muove!« (a przecież się porusza!)
gazda, gaździna — gospodarz, gospodyni.
gotyk — styl budowlany, którego cechą znamienną są ostre łuki (gotyckie) (u nas w w. XIV. i XV.).
Górnicki Łukasz — znakomity pisarz polski XVI. w. *1527. †1603.
grocernia sklep korzenny.
gwintowane działa — posiadające *gwinty*, t. j. rowki ślimakowate w rurze, które zapewniają celność strzału.
Hajdukować — pełnić służbę hajduka (służący prywatny).
hala — pastwisko górskie.
halucynacya (łać.-gr.) — złudzenie zmysłów.
hanzeatyckie miasta — stanowiące związek miast w północnych Niemczech »Hansa«, do którego należał i Gdańsk.
Homer — podług podań najstarszy poeta grecki, mniemany autor poematów p. t. »Iliada« i »Odyssea«.
hora canonica — godzina, ustawami kościelnemi oznaczona, t. j. 12. w nocy; tu jednak południe.
husarz — pancerny żołnierz konny z długą kopią, noszący skrzydła u zbroi.
hygiena (gr.) — nauka o zachowaniu zdrowia.
I crossed Missisipi — »Przebyłem Missisipi« (początek pieśni).
ideał, idealny (gr.) — doskonałość wymarzona, trudna do osiągnięcia.
idylliczno-atletyczny (gr.) sielankowo-zapaśniczy (gdzie z prostotą wiejską łączą się zapasy siłaczów).
iman (tur.) — duchowny mahometański.
imperatory (łać.) — panujący, władcy.
in bona fide (łać.) — w dobrej wierze.
intruz (łać.) — gość nieproszony, natręt.
inżynierya (wojskowa) — oddziały wojskowe, budujące drogi, mosty, szańce i t. d.

Jasyr (tur.) — niewola tatarska lub turecka.

Jelączyc Józef hr. *1801. †1859. ban (namiestnik) Chorwacyi, walczył z powstańcami madziarskimi w r. 1848.

jubilaty i *definitory* (łać.)—jubilatem zowią księdza, który dożyje 50. roku swego kapłaństwa; *definitor* to godność duchowna: pomocnik prowincyała.

juhas (z węg.) — pasterz w górach.

jupka tarletanowa — ubiór kobiecy, rodzaj kaftana. *Tarletanowy* — muślinowy, z delikatnej materyi bawełnianej.

Kaduk (łać.) — djabeł, czart.

kajuta — rodzaj małego pokoiku wewnątrz okrętu dla załogi lub gości.

Kallimach (Buonacorsi Filip) *1437. †1496., Włoch, poeta i historyk.

Kałka, dziś Kalec — rzeka wpadająca do morza Azowskiego; bitwa d. 29. maja 1224.

kanclerska, inaczej *wielka pieczęć*, którą kanclerz pieczętował akta przez króla podpisywane.

kapitol (w miastach półn. Ameryki) gmach rządowy lub gminny.

karabela (arab.) — krzywa szabla, z rękojeścią ozdobną.

karaimi lub *karaici* — sekta żydowska, odrzucająca Talmud (w Galicyi w Haliczu).

karawana kupiecka — orszak podróżny, wyprawa kupiecka.

karazya — pierwotnie sukno, potem z tego sukna sukmana krakowska.

kasztelan (łać. castellanus) — dowódca zameczku, grodu (grododzierżca), urzędnik rzędu senatorskiego, którego zwykle krótko »panem« nazywano. Kasztelan krakowski — pierwsza godność świecka, po której dopiero szli wojewodowie.

katapulta — (gr.) machina u starożytnych do wyrzucania większych pocisków.

kawalkata (włos.) — orszak konny.

kenion — jar głęboki, na którego dnie płynie rzeka lub potok.

kilimek — dywanik domowej roboty.

kirejka (rus.) — opończa sukienna, często futrem podszyta.

kiścień (tatar.) — broń tatarska (sztuka ołowiu albo kości na rzemieniu przy toporzysku uwiązana).

klinga — ostrze szabli.

Kobierzycki Stan. †1665., historyk polski.

Kochanowski Jan, największy poeta polski w. XVI. *1530. †1584.

kojot (coati) — rodzaj małego niedźwiedzia (Nasua rufa).

kolebka — pojazd na pasach, kocz.

kolegiata (łać.) — kościół, posiadający grono, kolegium kanoników, ale bez biskupa.

koligackie (łać.) *stosunki* — rodzinne stosunki.

kołdun tatarski — rodzaj pierogów, nadziewanych surowem mięsem i potem gotowanych.

kommodor — dowódca eskadry (pewnej części floty).

komora (celna) — budynek, gdzie się pobiera opłatę celną lub podatek spożywczy.

koncept (łać.) — pomysł, dowcip.

koneksya (łać.) — związek, stosunek pokrewieństwa.

konkluzya (łać.) — wynik, zakończenie.

konkokcya (łać.) — trawienie.

konkurs (łać.) — współubieganie się; *ogłosić konkurs* — wyznaczyć nagrodę na najlepszą pracę w pewnym kierunku.

konserwa (łać.) — artykuł spożywczy, zabezpieczony od zepsucia.

konsul (łać.) rajca miejski.

konsylium (łać.) narada.

kontrakt — (łać.) umowa.

konwikt (łać.) — wspólne mieszkanie; zakład naukowy, dla mieszkających razem uczniów.

Mikołaj Kopernik (* 1473. † 1543.) kanonik warmiński, najsłynniejszy polski astronom, który przez wskazanie obrotu ciał niebieskich (i ziemi) około słońca dał podstawę nowszej astronomii.

kopiować, kopista (łać.) — przepisywać lub przerysowywać.

korbionka — torebka ze świeżo zdartej kory z drzewa do noszenia zebranych w lesie jagód.

kordyalny (łać.) — serdeczny.

korowód — pochód.

korpus (łać.) — większy oddział wojska.

kostjum (franc.) — ubiór.

Krakowskie Przedmieście — najcelniejsza ulica Warszawy; przedłużeniem jej jest *Nowy Świat.*

kran — kurek, dający się zakręcać i odkręcać.

Krasiński Zygmunt, znakomity poeta polski * 1812. † 1859.

krużganek (niem. Kreuzgang), kryty korytarz naokoło dziedzińca wewnętrznego bieżący.

krzemienieckie gimnazyum, założone w r. 1805. przez Tadeusza Czackiego, starostę poryckiego, († 1813.) z funduszów jego własnych i składkowych. Wydało wielu znakomitych ludzi; istniało do r. 1831. Bogate jego zbiory, przewiezione do Kijowa, stanowiły zawiązek późniejszego uniwersytetu św. Włodzimierza.

kultura (łać.) — ogół pracy umysłowej i przeobrażeń przyrody, do celów człowieka przystosowanej.

kupno (przysł.) — łącznie, razem (kupą).

kursa. Gimnazyum krzemienieckie obejmowało: »cztery klasy języków«, »kursa nauk dwuletnich« i »kursa dodatkowe«.

kurulskie krzesło (sella curulis) — krzesło składane, ozdobione kością słoniową; siadali na niem w czasie urzędowania konsulowie, pretorowie i edylowie t. z. kurulni.

kust (rusk.) — krzak, krzew.

Larum (z włosk. allarme = ad arma) — trwoga, popłoch, pobudka, krzyk o pomoc.

laurowa meta — cel, u którego czeka jako nagroda wieniec laurowy (nagroda poetów).

lazaret (włos.) — szpital wojskowy na polu walki.

Legia honorowa — francuski order zasługi, ustanowiony w r. 1802. przez Napoleona.

liman — szerokie ujście rzeki.

llojdowy statek. Llojd austryacki — przedsiębiorstwo żeglugi parowej w Tryeście.

lonherya — budownictwo miejskie, urząd, mający staranie o domy, drogi i mosty miejskie.

ludwisarnia (niem.) — odlewarnia metalów.

lulka (tur.) — fajka.

Łuba, łubka — kora drzewna.

»*Macierz*« chorwacka (Matica Hrvatska) — zakład narodowy dla popierania literatury, wydaje rocznie 9—10 książek za 6 k.

magdeburgia — prawo magdeburskie (pochodzące z Magdeburga) niemieckie, podług którego rządziły się miasta polskie, założone przez Niemców.

makata (arab.) — drogie obicie wełniane lub jedwabne, przetykane złotem lub srebrem.

malkontent (włos.) — niezadowolony.

manifestacya (łać.) — publiczne, zbiorowe okazywanie uczuć patryotycznych.

manipulacya — obchodzenie się z czem.

mansyonarz (łać.) — kapłan, którego obowiązkiem jest codziennie w kościele katedralnym lub kolegiackim śpiewać oficium do Najśw. Maryi Panny.

Maro t. j. P. Vergilius Maro, poeta rzymski i autor epopei p. t. »Eneida«. Wojski czytał zapewne Eneidę w przekładzie Andrzeja Kochanowskiego (1590. r.), gdzie miejsce to brzmi: »...gruntu kupili za wołową skórę; Birsą to z własnej sprawy nazwali imieniem, Ileby mogli z wołu otoczyć rzemieniem«.

maroder (fr.) — żołnierz odłączający się od wojska dla rabunku.

(pole) *Marsowe* (Campus Martius), wielka równina pod Rzymem, miejsce ćwiczeń wojska i zgromadzeń ludu rzymskiego.

maszkary (włos.) — widowisko publiczne (w maskach) podczas obrzędów weselnych lub przy innych okolicznościach.

mauzoleum (gr.) — okazały pomnik pośmiertny.

Mazuranić Jan, statysta i poeta chorwacki *1813. †1890.

mecenas (łać.)(Maecenas) — pierwszy minister cesarza Augusta, przyjaciel poetów Horacego i Wergilego — wogóle opiekun nauk i sztuk.

minaret — wieżyczka przy meczecie (świątyni mahometańskiej).

mizerykordya (łać.) — mieczyk krótki, puginał do dobijania rannych.

mogiłki — cmentarz.

mołna (tat. mułła) duchowny tatarski.

most zwodzony w zamkach i twierdzach, prowadzący przez rów głęboki do bramy wjazdowej; mógł być *zwiedziony*, t. j. podniesiony w górę.

mszary — miejsce nizkie i bagniste, mchem pokryte.

munsztuk (Mundstück) — wędzidło; str. 141. rodzaj wieka lub przykrywki metalowej.

murza (mirza) — tytuł wodza pokolenia lub pułku u Tatarów,

Naczołek, inaczej tympanon (greck.) trójkątne pole, utworzone przez dach i szczyt przodkowej ściany świątyni.

nankinowy (chiń. od miasta Nanking) — z tkaniny bawełnianej.

naumachia (gr.) — bitwa morska. Tak się zwało u Rzymian widowisko, na wodzie urządzane, jako też miejsce (z siedzeniami dla widzów), na ten cel przeznaczone.

przywileje *nieszawskie*, dane w roku 1454. szlachcie przez króla Kazimierza Jagiellończyka, ugruntowały przewagę stanu szlacheckiego nad innymi stanami.

nowicyat (łać.) — czas próby w zakonie; przygotowanie się do zawodu.

Oda (gr.) — utwór poetycki, liryczny, wyrażający zazwyczaj jakieś podniośliejsze uczucie.

Odraki — Ślązacy z nad rzeki Odry.

odryna — szopa, stodoła.

ogień grecki, masa palna, gorejąca nawet we wodzie, dlatego używana do zapalania okrętów nieprzyjacielskich.

ogrojec — ogród wielki.

oficyna (łać.) — poboczna budowa przy większym domu, zwykle w podwórzu.

opera — dzieło muzyczne w formie dramatycznego utworu, w którym deklamacyę zastępuje śpiew i muzyka.

oprawa, inaczej *reformacya* — zabezpieczenie sumy posagowej.

orderowy pan — ozdobiony orderami.

ordynans (franc.) — rozkaz; na ordynansie — na służbie.

ordynat — najstarszy syn, spadko-

bierca wielkiej posiadłości, która nie może być zmniejszona przez sprzedaż lub podział familijny.

Orzechowski Stan. *1516. †1566. — mowca i historyk.

osiłek — siłacz, człowiek nadzwyczajnej siły.

ostrokoły — parkan z pali zakończonych ostro, otaczający twierdze.

Ozanam Antoni Fryderyk, znakomity pisarz francuski *1813. †1853.

Pajuk (z persk.) — pokojowiec lub żołnierz konny w przybocznym orszaku.

brat *pałkuć* — braciszek z ogoloną głową (pałką).

pancerna blacha — używana na pancerze do statków wojennych.

paraliż (gr.) — choroba, odejmująca władzę w członkach ciała.

pardonować się (franc.) — poddać się, złożyć broń.

parlamentarz (franc.) — posłaniec do obozu nieprzyjacielskiego, mający prowadzić układy.

paroch — grecko-katolicki proboszcz.

parter (franc.) — miejsce dla widzów na dole w teatrze (w przeciwstawieniu do I. lub II. piętra).

patron z trybunału — adwokat przysięgły.

pedogra (gr.) właśc. *podagra* — choroba nóg, gościec w nogach.

Perkun, Swentorog — rzekome bóstwa pogańskich Litwinów.

pielesz — łożysko, gniazdo.

statuty *piotrkowskie* z r. 1496. zabraniające nabywania ziemi przez mieszczan i ograniczające wolność przesiedlania się poddanych włościan.

pisarz nadworny — urzędnik na dworze króla, pilnujący jego pokojowej i sygnetowej pieczęci.

pleonazm (z greck.) — dodawanie zbytecznych wyrazów lub zdań na wyrażenie pewnej myśli.

płatnerz (niem.) — robiący zbroje i rynsztunki.

podsitkowy chleb — z mąki pośledniejszej od »sitnej« t. j. pytlowej.

pokucie (pokącie) — miejsce poczesne w chacie.

portyk (łać.) — przedsionek, ozdobiony słupami.

posada — osada ludzka, zamek.

postoły — sandały, rodzaj obuwia.

prażnik — odpust.

prefekt (łać.) — przełożony; dowódca jazdy, wyższy urzędnik.

Preradowić Piotr *1813. †1872., znakomity poeta chorwacki.

pretoryanie (łać.) — gwardya przyboczna dawnych cesarzów rzymskich.

proceder — sposób postępowania, zwyczaj.

progenitura (łać.) — potomstwo.

progresya (łać.) — postęp.

protestacya (łać.) — zaprzeczenie, sprzeciwienie się.

prym (łać.) — pierwsze miejsce.

przemytnik — przewożący lub przenoszący towary bez opłaty cła.

pudlarski piec — ulepszony piec, w którym przez *pudlowanie* (ang.) t. j. mieszanie, obracanie surowiec zamienia się w żelazo kute.

puklerz — tarcza.

pulpit (franc.) — rodzaj małego, wysokiego stolika do kładzenia książek lub nut.

pyrotechnik (z greck.) — mistrz przyrządzający ognie sztuczne.

pysanka — jajko wielkanocne, pomalowane na różne kolory.

Rabbi (hebr.) — mistrz, nauczyciel.

Radbot — protoplasta domu Habsburgów.

radca stanu — w ks. Warszawskiem jeden z najwyższych urzędników w ministerstwie.

rąbanica — siekiera.

refleksya — zastanowienie, przestroga.

remiz — ptak z rzędu ziarnojadów.
renesans — styl »odrodzenia« w kierunku klasycznym, t. j. sposobu budowania, używanego przez starożytnych Greków i Rzymian.
reprodukcyjne sztuki — których celem łatwe odtwarzanie i rozmnażanie maszynowe dzieł sztuki. Do nich należy fotografia, cynkografia, chromotypia, heliograwura itp.
reprymenda (łać.) — nagana upomnienie.
respekt (łać.) — wzgląd, uszanowanie
rewers (franc.) — poświadczenie, kwit.
rohatyna (czes.) — włócznia długa do rzucania (łać. pilum).
styl *romański* — odznacza się w budownictwie kształtami półkolistymi.
rufa — tył okrętu.
Sabała — pod tym przydomkiem znany był na Podhalu (*1809. †1894.) Jan Krzeptowski, góral z Kościelisk, towarzysz wypraw Dra. Chałubińskiego; »Homer Podhala«, umiał zajmująco opowiadać o dawnych czasach.
Salon — doroczna wystawa obrazów i rzeźb w Paryżu.
salwa — jednoczesne wystrzelenie z większej liczby dział lub karabinów.
samodział — sukno lub płótno domowej roboty.
sentymentalizm — powierzchowne roztkliwianie się, płytka uczuciowość.
Septa Julia (ogrodzenie Julijskie) — tak się zwał wspaniały budynek marmurowy, wzniesiony na Campus Martius przez Juliusza Cezara dla zgromadzeń ludowych.
siacie — sianie, zboże.
sic fata tulere — tak losy zrządziły.
skarbnik — najniższy (tytularny) urząd ziemski w dawnej Polsce.
Skarga Piotr Powęski — jezuita, największy kaznodzieja polski, *1532. †1612.
skórznie — buty z cholewami.
Skrzynecki Jan, wódz naczelny w r. 1830–31. †1860.
skwater — osadnik.
smrek — świerk.
spektroskop (gr.) — przyrząd do badania ciał płonących lub widma słonecznego.
spogrzewać czyli z niemiecka szwajsować — spajać żelazo przez rozgrzanie do białości i kucie młotami.
Stadnicki z przydomkiem Dyabeł, rokoszanin (1606), sławny awanturnik i warchoł.
starosta — urzędnik królewski, mający władzę i wykonujący sądownictwo karne w powiecie.
stępa — naczynie drewniane do otłukiwania ziarn jęczmienia, hreczki, prosa, celem zrobienia kaszy.
stolnik — urzędnik dworski w dawnej Polsce, mający nadzór nad kredensem i piwnicą królewską.
strop dębowy — powała z tragarzy dębowych i desek, w deseń układanych.
Stwosz Wit, rzeźbiarz polski (* 1447. 1533.). Pozostawił w Krakowie dzieła swej ręki wspaniałe, między niemi wielki ołtarz w kościele N. P. Maryi.
symbol (gr.) — wyobrażenie, znak.
synod (gr.) — sobór, zjazd biskupów.
szachta — szyb w kopalni.
szerpentynka (łać.) — szabla bardzo zakrzywiona.
Szkarpy (we Lwowie) — nazwa części miasta, leżącego u podnóża Zamku Wysokiego.
szmelcowany (niem.) — pokryty powłoką przez »szmelc« wytworzoną, a chroniącą od rdzy lub śniedzi.
szpaler (włosk.) — rząd słupów, drzew podwójny; szereg podwójny ludzi ustawionych w szeregu.

sztaba — przód okrętu.
sztych (niem.) — pchnięcie, ukłócie.
sztyftować (niem.) — zakładać, fundować.
Taradejka — mała, prosta bryczka.
taras — wzniesienie, zabezpieczone murem.
temblak — rzemień u rękojeści szabli.
tenuta — dzierżawa, rata dzierżawna.
teorya (gr.) — zasady jakiejś nauki, pomysły o czem.
tercya (łać.) — trzecia godzina w kościelnym dnia podziale, podług którego dzielą kapłani swe modlitwy.
Tercyarki stopień. — Tercyarze i tercyarki tworzą zakon bez obowiązku noszenia habitu i mieszkania w klasztorze, ale z zachowywaniem reguły zakonu.
termy (gr.) — łaźnie publiczne.
Towarzystwo Przyjaciół Nauk, założone w roku 1800. w Warszawie, istniało do r. 1831.
tragedya — utwór sceniczny, przedstawiający zdarzenie smutne, zakończone śmiercią głównej osoby.
transmisya (łać.) przyrząd przenoszący siłę z miejsca na miejsce n. p. pas założony na dwa koła oddalone, wskutek czego jedno, poruszane siłą, obraca i to drugie.
pod *Trebią*, w północnych Włoszech w r. 1799., w której jenerał rosyjski Suworow zmusił Francuzów do odwrotu.
Trembecki Stanisław, poeta polski * 1730. † 1812.
trojniak — rodzaj miodu pitnego.
turnia — nagi szczyt góry, gdzie już drzewa nie rosną.
turnieje — igrzyska rycerskie, naśladujące walkę.
sztuka typograficzna — druk.
Ubiorczy — zawiadowca ubiorów.
unia (łać.) połączenie się w jedno.
unisono — jednogłośnie.
usus fructus — użytkowanie.
Votum — ślub.
Wakans (łać.) — miejsce opróżnione.
wandalizm — dzikość, połączona z żądzą niszczenia pomników oświaty.
wena (łać.) — żyłka.
Werner — biskup strassburski, dał pieniądze na zbudowanie zamku Strassburg (r. 1020.) w Argowii (Aargau w Szwajcaryi).
Wernyhora — kozak ukraiński, żył w czasie konfederacyi Barskiej (1768—1772.), znany z przepowiedni.
wesołek — błazen, zabawiający figlami drugich.
weteran (łać.) — żołnierz doświadczony, wysłużony.
wezgłowie poduszka.
węgrzyn — wino węgierskie.
węzeł czyli mila morska = 1·955 klm.
Wężyk Franciszek (* 1786. † 1862.), poeta.
whisky — gatunek gorzałki.
wici — obwieszczenie królewskie o grożącej wojnie i wzywające stan szlachecki do broni.
widły (furca) zakładano skazanym na śmierć krzyżową na kark a do odnóg przywiązywano ręce skazańca.
wizya — widzenie, objawienie.
wojewoda krakowski, po kasztelanie krak. najwyższy dostojnik-senator, dowódca pospolitego ruszenia swego województwa.
wojski — urząd ziemski mniejszy; w razie opuszczenia ziemi przez szlachtę, ciągnącą na wojnę, wojski obejmował opiekę nad ich rodzinami.
Woronicz Jan Paweł, kaznodzieja i poeta, * 1757., † arcybiskupem warszawskim 1829.
woskobojnia — miejsce, gdzie wosk przetapiają.
ks. Wujek Jakób T. J., tłómacz biblii, * 1540. † 1597.

wwiązać się — wejść w posiadanie.
wykusze — wystające ze ściany budynku części izby z oknem, rodzaj balkonu, zakrytego i oknem zaopatrzonego.
wyzwoleńcy — uwolnieni niewolnicy.
Zajazić się — zagęścić się.
(w)zapór pić — pić tak długo, że aż *zaprze* się w piersiach.
zastronek — szopa, przystawiona do większego budynku.
zatemperowany (łać.) — zacięty (pióro gęsie).
zdemontować — zrzucić, uczynić nieużytecznem.
złotogłów — materya, gęsto przetykana złotem.
znicz — rzekome bóstwo ognia u pogańskich Litwinów.
zodyak czyli zwierzyniec — pas na kuli niebieskiej, podzielony na 12 części, nazwanych od gromad gwiazd: Baran, Byk, Bliźnięta i t. d.
Zoil — złośliwy krytyk Homera, stąd krytyk w ogóle.
zwódka — zwada, spór.
zydel (sedile) — stołek.
Żupa — kopalnia.

Wiadomości o ważniejszych autorach,

których utwory pomieszczono w niniejszych „Wypisach".

Amicis Edmund, współczesny literat włoski.

Anczyc Władysław Ludwik, (* 1824. † 1885.), poeta (»Tyrteusz«), autor utworów dramatycznych, osnutych na tle życia ludowego: »Chłopi arystokraci«, »Łobzowianie«, »Emigracya chłopska«, »Kościuszko pod Racławicami« i t. d.

Asnyk Adam, (El...y) (* 1838. † 1897.), poeta (»Poezye« 4 tomy, tragedye »Kiejstut«, »Cola Rienzi« i dramat »Bracia Lerche« i inne).

Bobrzyński Michał, (* 1849.), współczesny historyk polski (»Dzieje Polski w zarysie«), prawnik, członek Akademii Umiejętności, b. wiceprezydent c. k. Rady szkolnej krajowej.

Bodzantowicz (pseudonim): Suffczyński Kajetan (* 1807. † 1872.), autor powieści historycznych: »Muszkieter«, »Boje polskie«, »Marszałek Łomżyński«, »Starosta Warecki«, »Zawsze oni« i i.

Chodźko Ignacy, (* 1795. † 1861. w Dziewiętni pod Smorgoniami na Litwie), powieściopisarz, autor »Obrazów litewskich« seryi 4 i »Podań litewskich« seryi 6, stanowiących dalszy ciąg »Obrazów«.

Czaykowski Antoni, (* 1816. † 1873.), był profesorem prawa w uniwersytecie petersburskim; wydał dwa zbiorki poezyi.

Długosz Jan, (* 1415. † 1480.), znakomity historyk polski, nauczyciel synów Kazimierza Jagiellończyka, umarł nominatem arcybiskupem lwowskim. »Historya polska w XII ks.«, »Księga uposażeń dyecezyi krakowskiej« i w. i. Pisał tylko po łacinie.

Gaszyński Konstanty, (* 1809. † 1866.), żołnierz z roku 1831., następnie emigrant, większą część życia przepędził w Prowancyi, w Aix; poeta (»Poezye«) i prozaik (»Pan Dezydery Boczko i sługa jego Pafnucy«, »Kontuszowe pogadanki«).

Gawalewicz Maryan, (* 1851.), współczesny poeta i literat.

Gorecki Antoni, (* 1787. na Litwie, † 1861. w Paryżu), poeta, żołnierz napoleoński, następnie gospodarz wiejski, wreszcie po r. 1831. emigrant we Francyi. (»Poezye Litwina« Paryż 1834., »Bajki, Poezye nowe«, Paryż 1839. i inne).

Jelinek Edward, (* 1855. † 1897.), czeski literat, wielki przyjaciel Polski i Polaków. (W dolinie Strążyskiej w Tatrach, tablica pamiątkowa ku czci J.).

Kaczkowski Zygmunt, (* 1826. w Bereźnicy w Sanockiem, † 1896. w Paryżu); jeden z celniejszych powieściopisarzy polskich, przedstawia w swych utworach z wielką plastyką schyłek XVIII. wieku: »Powieści ostatniego z Nieczujów«, »Bracia ślubni« i t. d., nadto: »Olbrachtowi rycerze« i w. i.

Karłowicz Jan, (* 1836. † 1903.), uczony lingwista (językoznawca) i etnograf (ludoznawca).

Konopnicka Marya, (* 1846.), współczesna poetka polska. (»Poezye« tomów 4 i »Nowele«, epopea ludowa (niedokończona) »Pan Balcer w Brazylii«).

Kowerska Zofia, współczesna autorka dzieł treści powieściowych i wychowawczych (»Wychowanie macierzyńskie«).

Krasicki Ignacy, »książę poetów polskich« (* 1735. w Dubiecku w dziś. Galicyi, † 1801. w Berlinie). Biskup warmiński, od r. 1795. arcybiskup gnieźnieński, pisał wierszem (»Satyry«, »Bajki«, »Myszeis«, »Wojna Chocimska« i inne) i prozą (»Przypadki Doświadczyńskiego«, »Pan Podstoli«, »Powieść o losach narożnej kamienicy w Kukurowcach« i wiele innych).

Kraszewski Józef Ignacy, (* 1812. † 1887.), poeta, powieściopisarz, literat, historyk polski, napisał przeszło 600 tomów dzieł rozmaitej treści, głównie powieści obyczajowych i historycznych. Nauki pobierał w Białej (na Podlasiu), w Lublinie i Świsłoczy; następnie uczęszczał na uniwersytytet w Wilnie. Do roku 1860. gospodarzył na Wołyniu, zajmując się równocześnie gorliwie literaturą; w roku 1860 przenosi się do Warszawy, gdzie redaguje »Gazetę codzienną« (później zmienioną na »Polską«); w roku 1863. otrzymał rozkaz opuszczenia kraju; odtąd mieszka stale w Dreznie, wyjeżdżając tylko dla poratowania zdrowia do kąpiel. — Umarł w Genewie 19. marca 1887. r.; spoczywa w grobie »zasłużonych« na Skałce w Krakowie.

Lenartowicz Teofil, (* 1822. † 1893.), zwany powszechnie »Lirnikiem mazowieckim« od zbiorku poezyi »Lirenka«. Urodzony w Warszawie, opuszcza w roku 1848. rodzinne strony i po kilku latach pobytu w Krakowie, Wielkopolsce i Paryżu, osiadł stale we Włoszech, we Florencyi. Oprócz poezyi, w której opiewał życie ludu, zajmował się muzyką i rzeźbiarstwem. — Spoczywa obok Kraszewskiego na Skałce.

Lewicki Anatol, (* 1841. † 1899.), historyk polski, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Mickiewicz Adam, (* 24. grudnia 1794. w Nowogródku na Litwie, † 26 listopada 1855. w Konstantynopolu). Ojciec Mikołaj († 1812) był adwokatem w Nowogródku, matka Barbara z Majewskich († 1820). Niższe i średnie szkoły ukończył w Nowogródka w szkole powiatowej OO. Dominikanów; w r. 1812 widział »wielką armię« Napoleona, ciągnącą na Moskwę. Od roku 1815—1819. kształcił się dalej na uniwersytecie wileńskim, gdzie młodzież łączyła się w ściślejsze związki Filomatów 1817. (»przyjaciół nauki«) i Filaretów 1819. (»przyjaciół cnoty«); następnie był (1819—1820) nauczycielem w szkole powiatowej (gimnazyum) w Kownie, lecz dla słabego zdrowia otrzymał zwolnienie od obo-

wiązków i przeniósł się do Wilna, gdzie wydał r. 1822/3. pierwsze dwa tomiki swoich poezyi. Wskutek śledztwa, jakie w roku 1823. rozpoczął przeciw owym związkom młodzieży senator Nowosilców, i zapadłego wyroku musiał poeta w roku 1824. opuścić Litwę — na zawsze. — Po krótkim pobycie w Petersburgu i Odessie (1825) i dłuższym (3-letnim) w Moskwie, uzyskał wreszcie w Petersburgu paszport na wyjazd za granicę w roku 1829. i przez Niemcy i Szwajcaryę (w towarzystwie A. E. Odyńca) podążył do Rzymu. Tu go zaskoczyły wypadki listopadowe (29. listopada 1830 r.); w maju 1831. pośpiesza w Poznańskie, żeby się przedrzeć do Królestwa i wziąć udział we walce. Gdy jednak wszelkie usiłowania z powodu silnego obsadzenia granicy spełzły na niczem, udaje się naprzód do Drezna, następnie do Paryża, gdzie stale zamieszkał. W roku 1834. pojął w małżeństwo Celinę Szymanowską; w roku 1839. objął obowiązki profesora literatury łacińskiej w Lozannie (w Szwajcaryi), skąd jednak następnego roku powołany został na katedrę literatur słowiańskich, świeżo utworzoną w »Kolegium francuskiem« w Paryżu; wykładał tu od roku 1840. do 1844. W lutym 1855. roku stracił żonę, a we wrześniu wyjechał (wysłany przez rząd francuski) na Wschód; tu zachorował nagle i zgasł 26. listopada 1855. w Konstantynopolu. Zwłoki przewieziono do Francyi i złożono na cmentarzu w Montmorency pod Paryżem, skąd je 4. lipca 1890. roku sprowadzono do Krakowa i uroczyście pochowano w grobach królewskich na Wawelu. — »Ballady i romanse«, »Grażyna«, »Dziady«, »Sonety Krymskie«, »Konrad Wallenrod«, »Pan Tadeusz«, »Konfederaci Barscy« (I. i II. akt, reszta zaginęła), dramat, pierwotnie po francusku przez poetę napisany, przetłómaczony później pięknym wierszem przez Tomasza Olizarowskiego.

Morawski Franciszek, (* 1784. † 1861.), Wielkopolanin, w roku 1807. wstąpił do wojska i brał udział we wyprawie na Moskwę; po upadku Napoleona wszedł w służbę Królestwa kongresowego w stopniu pułkownika. W roku 1831. był ministrem wojny; po upadku powstania wywieziony do Wołogdy w głąb Moskwy — wraca po dwu latach i gospodaruje w dziedzicznej Luboni (w W. Ks. Poznańskiem). — (»Dworzec mojego dziadka«, »Bajki«, »Giermek«, przekłady utworów angielskiego poety Byrona: (»Manfred«, »Mazepa«, »Oblężenie Koryntu«, »Paryzyna«, »Więzień Czyllonu«).

Odyniec Antoni Edward, (* 1804. na Litwie, † 1885. w Warszawie), poeta, przyjaciel i towarzysz podróży Mickiewicza w latach 1829. i 1830. Osiadł na Litwie, później (od 1866. roku) we Warszawie. — »Poezye« (ballady, legendy, wiersze drobne), tłómaczenia z Byrona: »Narzeczona z Abydos«, »Korsarz«, »Niebo i ziemia«, »Mazepa«; z Tomasza Moora: »Czciciele ognia«, »Raj i Peri«; Walter Scota: »Dziewica jeziora« i »Pieśń ostatniego minstrela«; wreszcie Schillera: »Dziewica Orleańska«; proza: »Listy z podróży« 4 tomy, »Wspomnienia z przeszłości«.

Pol Wincenty, (* 1807. w Lublinie, † 1872. w Krakowie). Otrzymawszy wykształcenie w Galicyi (w Tarnopolu i Lwowie), został w roku 1830. lektorem języka niemieckiego i literatury w uniwersytecie wileńskim. W powstaniu 1830. roku brał czynny udział, po upadku poszedł z innymi za granicę, w roku 1832. jednak osiadł stale w Galicyi, gospodarując na roli. Od roku 1849. do roku 1853. był profesorem geografii w Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Ostatnie lata przepędził bez przerwy w Krakowie; spoczywa w grobie »zasłużonych« na Skałce. — (»Pieśni Janusza«, »Pieśń o ziemi naszej«, »Pieśń o domu naszym«, »Mohort«, »Pamiętniki Winnickiego«, »Pacholę hetmańskie«, »Obrazy z życia i natury« (prozą).

Prus Bolesław, (Aleksander Głowacki), (* 1847.), współczesny powieściopisarz (»Kłopoty babuni«, »Omyłka«, »Placówka«, »Lalka«, »Faraon« i wiele innych).

Sewer, (Ignacy Maciejowski), (* 1839. † 1901. r. w Krakowie). »Listy z Anglii«, powieści, zwłaszcza na tle ludowym, utwory dramatyczne (»Pojedynek szlachetnych«, »Dla świętej ziemi«, »Marcin Łuba«).

Siemieński Lucyan, (* 1809. † 1877.), urodzony w Magierowie w Galicyi nauki pobierał w gimnazyum lubelskiem u ks. Pijarów. Po wypadkach 1831. roku, w których czynny brał udział, przebywał w Galicyi, następnie we Francyi (1839.), we Wielkopolsce, w Brukseli (1846.), aż wreszcie na stałe osiadł (1848. roku) w Krakowie, redagując do śmierci część literacką dziennika »Czas«. W zakresie poezyi największe zasługi ma jako tłómacz: »Ody Horacyusza«, »Homera Odysseja«. Proza: »Wieczory pod lipą« (historya polska), »Portrety literackie«, »Żywot Kazimierza Brodzińskiego«.

Sienkiewicz Henryk, (* 1846. w Woli Okrzejskiej w gubernii siedleckiej powiecie łukowskim), wychowanek Szkoły Głównej, wcześnie poświęcił się literaturze; w latach 1876—1878. odbył podróż do Ameryki Północnej, w 1891. do Afryki. Krótsze utwory: »Stary sługa«, »Za chlebem«, »Latarnik«, »Niewola tatarska«, »Bartek zwycięzca«, »Wspomnienie z Maripozy«; — dłuższe: Trylogia, 1. »Ogniem i mieczem«, 2. »Potop«, 3. »Pan Wołodyjowski«, »Listy z Afryki«, »Quo vadis«, »Krzyżacy«). Powieść »Quo vadis«, przełożona na wszystkie języki narodów cywilizowanych, zjednała autorowi wszechświatową sławę i pociągnęła za sobą tłómaczenia innych dzieł Sienkiewicza. Otoczony miłością swoich, czcią i szacunkiem obcych, obchodził w r. 1900. jubileusz twórczości pisarskiej; wdzięczny naród ofiarował mu w dniu jubileuszowym kawał ziemi ojczystej pod Kielcami, wieś Oblęgórek.

Szajnocha Karol, (* 1818. w Komarnie w Galicyi, † 1868 we Lwowie), ukończywszy nauki gimnazyalne w Samborze i we Lwowie, wstąpił na uniwersytet we Lwowie, którego jednak z winy ówczesnych okoliczności politycznych nie skończył. Od roku 1839. osiadłszy we Lwowie, poświęca się literaturze; zaczynając od powieści, przechodzi do dramatu, a wreszcie na pole dziejopisarskie, na którem niespożyte położył zasługi. W roku 1853. został kustoszem w Za-

kładzie narodowym imienia Ossolińskich, w roku 1855. ociemniał, pracy jednak dziejopisarskiej aż do końca życia nie porzucał. — (»Bolesław Chrobry«, »Pierwsze odrodzenie się Polski 1279—1333.«, »Szkice historyczne«, »Jadwiga i Jagiełło«, »Mściciel, opowiadanie o Janie III.«, »Dwa lata dziejów naszych 1846. i 1648.«).

Tarnowski Stanisław hr., (* 1837.), prezes Akademii, profesor hist. lit. pol. w Uniw. Jagiellońskim, autor dzieł (»Pisarze polityczni XVI. w.«, »Jan Kochanowski«, »Zygmunt Krasiński«, »Z wakacyj« i t. d.) i licznych rozpraw treści literackiej i politycznej.

Biblioteka Wyższej Szkoły Pedagog. W KRAKOWIE